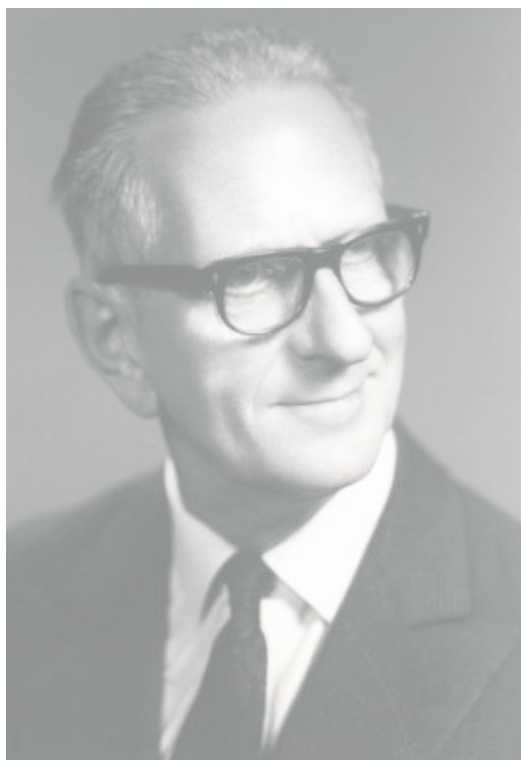


George Bidwell



KOLEKCJA JELENIOGÓRSKA

STANLEY



KSIAŻNICA
KARKONOSKA

KOLEKCJA JELENIOGÓRSKA

GEORGE BIDWELL

STANLEY

napisane w latach 1962/63

Przekład z języka angielskiego

ANNY BIDWELL

JClIER Książnica Karkonoska
Jelenia Góra 2017

Kolekcja Jeleniogórska Georga Bidwella jest wynikiem pasjonującej i twórczej współpracy z Panią Sybillą Bidwell i Krystyną Bidwell-Porębską, córkami Pisarza.

Jesteśmy za to niezmiernie wdzięczni

Danuta Sawicz

Dyrektor JClIER „Książnica Karkonoska”

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA	2
Rozdział I NIESPODZIEWANY PRZYBYSZ	2
Rozdział II WYDZIEDZICZONY ZBIEG	4
Rozdział III W NOWY ŚWIAT	10
Rozdział IV ZMIANA NAZWISKA	17
Rozdział V PIERWSZA PRZELANA KREW	22
Rozdział VI DEZERTER Z PRYZYWCZAJENIA	28
CZĘŚĆ DRUGA	33
Rozdział VII „JA PATRZĘ WYŻEJ!”	33
Rozdział VIII U WRÓT AFRYKI	39
Rozdział IX ZWYCZAJNY DZIEŃ MARSZU	48
Rozdział X STANLEY W DESPERACJI.....	59
Rozdział XI STANLEY ODNAJDUJE SIEBIE	69
Rozdział XII POTOMEK OSTATNIEGO KRÓLA POLSKIEGO	78
CZĘŚĆ TRZECIA.....	86
Rozdział XIII NA DWORZE KABAKI	86
Rozdział XIV O MAŁY WŁOS	95
Rozdział XV ZEMSTA STANLEYA	103
Rozdział XVI LUALABA SPŁYWA KRWIĄ.....	111
Rozdział XVII NOWE NIEBEZPIECZEŃSTWO	123
Rozdział XVIII BITWA NA RZECE	129
Rozdział XIX KATARAKTY ŚMIERCI	134
Rozdział XX OSIĄGNIĘCIE	144
Rozdział XXI IMPERIALIZM BEZ PRZYŁBICY	148

CZĘŚĆ CZWARTA	155
Rozdział XXII OCALONY ZBAWCA	155
Rozdział XXIII POWODZENIE ZA CENĘ KRWI	162
EPILOG	169
BIBLIOGRAFIA	172
SPIS ILUSTRACJI	173

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

NIESPODZIEWANY PRZYBYSZ

Kępy trawy porastały wąskie uliczki i rynek osady. Krowy, osły i kozy wałęsały się między żółtką zielenią i kupami śmieci w poszukiwaniu skąpego pożywienia. Okrągłe chaty krajowców, bez okien, o stożkowatych dachach, posytych słomianą strzechą, przypominały żywo stogi, tyle tylko, że miały drzwi. Nieliczne otaczała dodatkowo palisada.

Na obszernym placu stał dom kwadratowy, o ścianach wylepionych z gliny, płaskim, daleko wystającym dachu, podpartym drewnianymi słupami tak, iż tworzył zacienioną werandę. Tu, osłonięci od rażących promieni słońca, zebrali się arabscy kupcy, wielmoże miasteczka Udżidzi, położonego na wschodnim brzegu afrykańskiego jeziora Tanganika. Ich powłóczyście białe szaty, wysokie turbany i czarne lub siwiejące brody kontrastowały z nagimi ciałami Murzynów, zbierających się gromadkami wszędzie, gdzie tylko można było znaleźć skrawek cienia przed bezlitosnym słońcem. Człowiek, któremu Arabowie wynajęli ów dom, stał pomiędzy nimi. Średniego wzrostu, bladego pod opalenizną, o twarzy znużonej, siwiejącej brodzie i włosach, ubrany w szare spodnie, brudną marynarkę z czerwonymi rękawami — wypłowiałą i połataną — oraz okrągłą, żeglarskiego kroju czapkę z daszkiem, niegdyś błękitną, otoczoną złotym, szerniałym sznurem. Człowiek ten — to angielski podróżnik i uczynek, Dawid Livingstone. Dzień — dziesiąty listopada 1871 roku.

Livingstone miał powody, by wyglądać na znużonego, zniechęconego i chorego. Przeżył pięć lat w najtrudniejszych warunkach, jako jedyny biały człowiek wśród prymitywnych tubylczych szczepów, podróżując przez dżunglę i rozlewiska rzek Środkowej Afryki z pomocą jedynie murzyńskich tragarzy, przeważnie młodych chłopców, nieskorych do pracy, choć przywiązanych do niego i oddanych mu aż do śmierci. W poszukiwaniu źródeł Nilu Livingstone dokonał odkryć o epokowym znaczeniu dla nauki; obalił kilka teorii, wymyślonych przez gabinetowych geografów w Europie, oznaczył na mapach każdą milę, którą przemierzył własnymi stopami, zapisał cenne obserwacje flory i fauny w swych notatkach, które później, już po jego śmierci wśród moczarów afrykańskich, miały przysłużyć się nauce. Ale nie znalazł źródeł Nilu. Wreszcie, zmuszony potrzebą odpoczynku i stanem zdrowia, zdecydował wrócić do miasteczka nad jeziorem. Miał nadzieję, że nadejdą tu jego bagaże, których oczekiwał z Zanzibaru. Właśnie przed trzema tygodniami przywlokł się ostatkiem sił do Udżidzi, wycieńczony trudami podróży, dyzenterią i hemoroidami, na które cierpiał. Podtrzymywała go jedynie myśl o czekających na niego w bagażach lekarstwach. W takim stanie musiał znieść cios: wszystkie skrzynie przysłane dla niego z Zanzibaru, zostały rozbite i rozkradzione. Był po prostu nędzarzem. Pozostało mu zaledwie tyle perkalu i paciorków, by opłacić mieszkanie i żywność dla siebie i swojej wiernej gromadki tragarzy za jeden miesiąc.

Gdy teraz rozmawiał na werandzie z arabskimi kupcami, którzy podejmowali go bardzo gościnnie i ceremonialnie — może właśnie dlatego, ponieważ wiedzieli, że Livingstone nie ufał im i nienawidził

ich jako handlarzy niewolników — nadbiegł młody Murzyn, gwałtownie gestykując i wskazując w stronę pasma wzgórz na wschodzie:

— Bwana! — wołał. — Bwana! Biały człowiek! Biały człowiek nadchodzi ze strzelbami i chorągwiami i mnóstwem ludzi!

— Suzi, pewno znowu się upiłeś — rzekł surowo Livingstone. Ileż razy ci mówiłem...

— Nie piłem, Bwana. Mówię prawdę. Biały człowiek i mnóstwo tragarzy z nim, a wszyscy niosą bagaże na głowach, a jeden niesie długie pudło, całkiem puste...

Nadbiegł drugi Murzyn.

— On mówi prawdę, Bwana... biały człowiek idzie!

— Suzi! Czuma! Nie kłamiecie? — gorączkowo pytał Livingstone.

Odpowiedziała mu daleka salwa strzałów z kilkudziesięciu sztuk broni palnej. Rozległy się okrzyki i murzyńskie śpiewy chóralne, bardziej donośne niż melodyjne dla ucha Europejczyka.

— Biały człowiek! — wykrzykiwali Suzi i Czuma, skacząc z podniecenia. — Kazał nam powiedzieć, że nadchodzi!

— Ale kto to jest? Jak się nazywa?

— Nie powiedział tego, Bwana. Musi być bardzo bogaty, potężny... Tłum ludzi z nim idzie... i flagi, Bwana, flagi!

Livingstone stał, zdumiony, wstrząśnięty, rozglądając się, jak by szukał odpowiedzi w uśmiechniętych twarzach Arabów.

Biały człowiek? Co może biały człowiek robić w Udżidzi? Tylko dwóch białych odwiedziło przed Livingstonem ten zapadły kąt w samym sercu Afryki. Kto to mógł być?

Rozdział II

WYDZIEDZICZONY ZBIEG

Przytułek dla ubogich pod wezwaniem św. Ezawa w północnej Walii był typową tego rodzaju instytucją w Wielkiej Brytanii na przełomie dziewiętnastego wieku. Surowy budynek z szarego kamienia, otoczony żelaznymi sztachetami, mieścił starców bez środków utrzymania i sieroty lub dzieci porzucone przez rodziców. Dobroczynność była jedną z metod, jakimi szanowni i wielmożni tego świata pozbywali się odstręczającego widoku skrajnej nędzy ludzkiej.

W przytułku Św. Ezawa mieszkał w 1856 roku piętnastoletni chłopak, na którego wołano John. Spędził już dziewięć lat w domu z szarego kamienia i przywykł do trudów i udręczeń tego życia, do nieustannej ciężkiej pracy, do głodowania, do brutalności. Był niewysoki, ale barczysty, o okrągłej, krótko ostrzyżonej głowie, twarzy zaciętej i upartej, nogach szczupłych i nieproporcjonalnie krótkich. Był owocem nieślubnego związku Elżbiety Parry z niejakim Rowlandsem: matka go porzuciła, a jej ojciec wychowywał. Po śmierci jego dziadka rodzina, uważając dziecko za ciężar, oddała je do przytułku i przestała się nim interesować. Taki początek życia był może jedną z przyczyn jego późniejszego przewrażliwienia, popęduliwości, zupełnego braku poczucia humoru.

Aby żyć w przytułku Św. Ezawa, trzeba było istotnie mieć tak niezwykłą fizyczną odporność, jaką posiadał John Rowlands. O godzinie szóstej rano budzono starszych i młodszych. Od tego momentu przez czternaście godzin dzieci żyły tylko lekcjami, pracą i karami, do chwili, kiedy wreszcie zamykano drzwi dormitorium na noc. Na pracę składało się zmiatanie domu i dziedzińców, szorowanie podłóg, kopanie, pielenie i uprawa ogrodu, należącego do przytułku. Lekcje nie obejmowały arytmetyki ani geografii — te przedmioty uważano za zbyt cenny luksus dla wyrzutków społeczeństwa — nauka ograniczała się do wkuwania historii Starego Testamentu, katechizmu i sylabizowania z pamięci. Nie było zeszytów ani tabliczek. Uczniowie wkuwali na pamięć całe stronicie tekstów, które na nic nie mogły im przydać się w późniejszym życiu, no i wystuchiwali każdej niedzieli dwóch długich kazań.

Zimą nie ogrzewano pomieszczeń i jedynym sposobem rozgrzania się było kopanie zmarzniętej ziemi. Odzież z barchanu marnie chroniła chude ciała od mrozu i wiatru. Razowy chleb, kasza i kartofle, w porcjach ściśle wydzielanych, były podstawą pożywienia. Smaku mięsa wychowankowie przytułku prawie nie znali.

John Rowlands dawał sobie nieźle radę z nauką. Miał wyborną pamięć, którą ciągłe wkuwanie wersetów jeszcze wydoskonalilo, co było zapewne jedyną korzyścią, jaką wyniósł z przytułku Św. Ezawa. Był pierwszym śpiewakiem chóru chłopięcego, umiał rysować. Kiedyś otrzymał, w nagrodę za dobre skopiowanie rysunku, przedstawiającego katedrę, od wizytującego przytułek biskupa Biblię z jego własnoręcznym podpisem. Nie uchroniło go to jednak od ciągłych szykan ze strony nauczyciela nazwiskiem James Francis, potężnie zbudowanego trzydziestoletniego mężczyzny, brutalnego i rozkoszującego się terroryzowaniem chłopców pięścią i laską, z którą nie rozstawał się nigdy; chłopcy mawiali, że kładzie ją na noc obok siebie do łóżka.

W dziewiątym roku udręki Johna Rowlandsa w przytułku zdarzył się wypadek, który zdecydował o dalszych losach chłopca. Pewnego ranka James Francis zauważył, że jego stół w sali, w której odbywały się lekcje, jest podrapany jakimś ostrym narzędziem.

— Kto z was to zrobił, łobuzy? — zapytał i z trzaskiem uderzył o stół laską.

Chłopcy zamarli w przestachu. Nauczyciel zaczął wypytywać uczniów kolejno, ale każdy tylko zaprzeczał posępnie.

— Co? Żaden się nie przyzna? I nie podda się po męsku należnej karze?

Chłopcy spoglądali to na Francisa, to na siebie. Nie wiedzieli kto zawinił — a może w ogóle żaden z nich. Może któraś z dziewcząt dostała się do szkolnego pokoju chłopców. Może Francis sam to zrobił, by mieć powód do bicia i karania.

— A więc wychłostam wszystkich! Wstawajcie i ściągajcie spodnie! Wszyscy po kolei, ilu was tam jest!

Francis przeszedł szerokimi krokami na koniec klasy i z całą satysfakcją zaczął się znęcać nad jednym z najmłodszych chłopców.

John Rowlands wstał z innymi, ale dalszej części rozkazu nauczyciela nie usłuchał. Miał piętnaście lat. Jeszcze tylko przez parę miesięcy mieli go trzymać w przytułku. Potem zostanie praktykantem w warsztacie jakiegoś majstra, pewno równie okrutnego jak nauczyciel z przytułku Św. Ezawa. Nadeszła jego chwila. I tak miał niewiele do stracenia.

Francis podszedł do niego, wymachując laską.

— A co? to ma znaczyć?! — krzyknął wściekle. — Czemuś nie gotów? Rozbieraj się w tej chwili. Już ja was oduczę niszczenia własności waszych wspaniałomyślnych dobroczyńców! I oduczę was kłamania w żywe oczy!

John wyzywająco podniósł głowę. Usta jego, z natury surowe, zacisnęły się w twardą linię. Ciemne oczy błyszczały złym ogniem.

— Ja nie kłamałem, proszę pana. Nie wiem, kto uszkodził stół — powiedział hardo.

— Milczeć! — zagrział Francis. — Czy ty sobie wyobrażasz, że będę tu wysłuchiwał twoich łgarstw? I że się wykręcisz od kary gadaniem? Ściągaj spodnie!

Ale i John podniósł głos i krzyknął w odpowiedzi: - Nie! Nigdy więcej!

Jednakże nie przygotował się do obrony. Zanim się zorientował, Francis chwycił go za kołnierz marynarki, podniósł w powietrze i cisnął na ławkę. Laskę odrzucił. Zabrał się do swojej ofiary gołymi pięściami. Walił z całych sił po ramionach, piersi, wreszcie trafił w żołądek. Chwyając oddech, John próbował unikać tego deszczu ciosów. Zwinął się w kłębek, wystawiając tylko plecy na razy swego

prześladowcy. Ale wściekłość Francisa jeszcze się nie wypaliła. Chwył znow chłopca za kołnierz i rzucił nim o ławkę z taką siłą, że powinien był potrzaskać mu wszystkie kości. John leżał bez ruchu.

Chłopcy gapili się z otwartymi ustami i przerażeniem na twarzach.

— Tym razem skończył z nim...

— John ma dosyć...

— Zabił go chyba...

Poszeptowali między sobą, ściśnięci w gromadkę poza zasięgiem ramion nauczyciela.

Na chwilę otoczyła chłopca ciemność, z której ocuciło go uderzenie w policzek. Odzyskawszy przytomność, poszedł za nakazem instynktownego odruchu. Okulary Francisa poleciały z brzękiem rozbijanego szkła na podłogę. Nauczyciel odskoczył z okrzykiem, więcej zdumienia niż bólu. Przerażeni chłopcy cofnęli się i noga nauczyciela zaczęła o ławkę. Padł jak długi na wznak, silnie uderzając głową o kamienną podłogę. Leżał tak, z podbitym okiem, nieprzytomny, dając świadectwo celności instynktownego odruchu Johna Rowlandsa.

Teraz z kolei John wpadł w szal. Zeskoczył z ławki i rzuciwszy się na nauczyciela, zaczął go łomotać pięściami. Paru chłopców jęło go odciągać i uspokajać.

— Czy nie widzisz, głupcze, że leży nieprzytomny?

— Rąbnął się głową o podłogę...

— Może już nie żyje...

— Ma ktoś z was lusterko?

— Ja mam, weź!

— Teraz uważajcie! Oddycha! Lusterko zaszło mgłą.

John otarł czoło ręką i rozejrzał się po towarzyszach przestraszonymi oczyma, ale wciąż jeszcze hardo.

— Puśćcie mnie — powiedział już spokojnie.

— Nie bij go więcej — rzekli dwaj koledzy, jakby jednym głosem.

— Nie będę. Pomóżcie mi go przenieść.

John dźwignął nauczyciela pod ramiona. Kilka par rąk rzuciło się do pomocy, podnosząc nogi i plecy Francisa, podtrzymując opadającą w tył głowę. Tak na wpół zanieśli, na wpół zawlekli nieprzytomnego nauczyciela do jego pokoju. Stali przez chwilę przyglądając mu się i znowu sprawdzali za pomocą lusterka czy żyje.

— Przyjdzie do siebie — rzekł jeden.

— Patrzcie: powieki mu drgają!

— Hej! Ty się lepiej wynoś, i to zaraz! — doradził jeden z chłopców, zwracając się do Johna.

— To wy będziecie mieli kłopoty — zawahał się John.

— Nie martw się o nas. Nawiewaj, a wtedy będziemy mogli zwalić całą winę na ciebie. Tylko schowaj się tak, by cię nikt nie znalazł.

— Dobrze — odrzekł posępnie John.

Uściskał ręce najbliższym i wybiegł z pokoju, a razem z nim paru chłopców, którzy podsadzili go przez sztachety, po czym powrócili do klasy, by czekać na dalszy rozwój wypadków.

John Rowlands stał na gościńcu. Nie posiadał nic, prócz determinacji, by żyć. Odzież, którą miał na sobie, nie była znaczone, choć rzadko taką widywano poza ogrodzeniem z żelaznych sztachet. Dokąd się udać? Niewielki miał wybór. Świat stał przed nim obcy i wrogi. Zdecydował pójść do swego dziadka ze strony ojca, zamożnego farmera, który mieszkał o kilka mil od przytułku Św. Ezawa.

Było już prawie ciemno, gdy dotarł do dużego domu z ogrodem od frontu i obszernymi, porządnie utrzymanymi budynkami gospodarczymi od strony bocznej drogi. Zastukał do ciężkich, dębowych drzwi frontowych. Otworzyła je przystojna młoda kobieta — jego ciotka, której dotąd nie widział. Przyjrzała mu się uważnie.

— Czy zastałem pana Rowlandsa, proszę pani?

— A czego chcesz od niego? — zapytała młoda kobieta. Choć słowa jej były szorstkie, twarz miała dobrą.

— To mój dziadek.

— Twój dziadek?

— Tak. Mój ojciec był jego synem.

— Ach, więc jesteś jednym z bękartów mojego narwanego brata? Współczuję ci. — W głosie jej zabrzmiała raczej pogarda dla brata, niż niechęć do przybysza — owocu jego nieodpowiedzialnych wybryków.

John nie odpowiedział, tylko spojrzał w oczy swej ciotki.

— Możesz pójść do dziadka — rzekła. — Ale nic u niego nie wskórasz. Twego ojca wyrzucił z domu już dawno.

Zaprowadziła chłopca do obszernej sieni, kazała mu zaczekać, a sama weszła do sąsiedniego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Słyszał, jak rozmawiała z kimś przyciszonym głosem. Wreszcie przywołała go, a wpuściwszy do pokoju, odeszła.

Stary Rowlands siedział za stołem w bawialnym pokoju, wertując przy świetle naftowej lampy jakąś grubą księgę. Był krępy i niewysoki, jak jego wnuk. Twarz miał ściemniałą od wiatrów i poradloną, oczy ciemne, posępne. W ogromnych, czerwonych rękach trzymał wielką fajkę, której cybuchem drapał się co chwila w siwą, w kwadrat przystrzyżoną brodę. Wyglądał właśnie tak, jak na podstawie kazań niedzielnych i wykutych na pamięć wersetów Biblii, John wyobrażał sobie Boga Ojca: surowy, niewzruszony, wiekuisty sędzia ludzkich grzechów.

— No i co? — spytał stary farmer. — Czego chcesz ode mnie?

— Jestem... — zaczął John, bohatercko przewyciężając strach, jaki w nim budził ten oschły, otoczony dobrobytem mężczyzna, od którego nie można było oczekiwać wyrozumiałości.

— Wiem, kto ty jesteś. I widzę po twoim ubraniu, skąd przychodzisz. Czego chcesz ode mnie, pytam? Nikt z mojej rodziny nie przychodzi do mnie, o ile czegoś nie potrzebuje.

— Uciekłem z przytułku Św. Ezawa. Zostałem zbity niezastuzenie... — i chaotycznie opowiedział całą historię zajścia z Jamesem Francisem.

Stary farmer wysłuchał go w milczeniu, spoglądając na swoją księgę i na zmianę pykając z fajki i drapiąc się cybuchem po brodzie.

— ... Więc przyszedłem prosić o pomoc — zakończył John. — Nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Będę pracował od świtu do nocy za dach nad głową i kawałek chleba. Przywykłem od dziecka zadowalać się małym.

Farmer popatrzył na niego z obojętną surowością, po czym zwrócił głowę w kierunku drzwi i w tę samą stronę wskazał cybuchem fajki.

— Wyjdiesz przez te same drzwi, którymi wszedłeś, pójdiesz do furtki i na gościniec. I nigdy tu nie wracaj.

— Ale ja nie mam dokąd...

Farmer nie zwrócił żadnej uwagi na jego słowa.

— A jeżeli cię kiedykolwiek spotkam w tych stronach, dam ci takie lanie, że ci się bicie twego nauczyciela wyda łaskotaniem.

Cybuch wskazywał nadal w stronę drzwi, ale oczy farmera wróciły już do książki.

Chłopcu nie pozostało nic innego do zrobienia, jak usłuchać. Gdy szedł przez sień, z bocznych drzwi wysunęła się jego ciotka i z palcem na ustach wcisnęła mu do rąk spore zawiniątko z chlebem i mięsem, a do kieszeni wsunęła parę szylingów.

— Nasze grunta ciągną się do pierwszego zakrętu gościńca — szepnęła. — Zaraz za zakrętem znajdziesz stóg siana, w którym możesz się przespać do rana. Ale o świcie uciekaj. Idź do Liverpoolu — tam dostaniesz pracę w dokach albo gdzie indziej.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. O ile pamiętał, był to pierwszy pocałunek w jego życiu. I prędko zatrzęsnęła za nim drzwi.

John Rowlands poszedł przed siebie w ciemność.

Rozdział III W NOWY ŚWIAT

Pewnego ranka, w rok mniej więcej po ucieczce z przytułku Św. Ezawa, John Rowlands popychał w stronę przystani w Liverpoolu drewniane taczki, których krzywo umocowane koło zataczało się jak pijane pod ciężarem połci mięsa. A i chłopiec był jak upojony, co w owym dziewiętnastym wieku zdarzało się niejednemu młodemu Anglikowi o awanturczym duchu, gdy patrzył na wysokie maszty smukłych kliprów, odbywających regularne rejsy do Australii, na kominy parowców, kursujących do Ameryki, na całą bogatą różnorodność statków, które przewoziły towary do prawie wszystkich portów świata od Chin aż do Peru.

Dzielnica portowa cuchnęła wstrętnymi odorami, roiła się od złodziei i wyrzutek społeczeństwa. A jednak unosiła się nad nią atmosfera romantycznej przygody. Najnędniejsi, najbardziej odstręczający z mężczyzn, którzy wałęsali się tutaj w niebieskich, spłowiałych swetrach i rozszerzających się ku dołowi spodniach, mogli opowiadać, pykając ze szerniałych fajeczek, cudowne historie o nieznanym lądach i ich egzotycznych mieszkańcach, o dzikich zwierzętach i bujnej dżungli, o walce z żywiołem, burzami i ogniem.

Zanim zaczął rozwozić mięso u rzeźnika, zaopatrującego statki, John Rowlands pracował w różnych miejscach, co nie pozostało bez wpływu na jego rozwój umysłowy. Był nawet w wiejskiej szkole pomocnikiem nauczyciela, od którego przejął umiłowanie książek. Dobrze się sprawiał przy tym zajęciu, ale gdy uczniowie odkryli, że on sam uczył się w sierocińcu, zaczęli mu zatruwać życie. Przeczulony, wybuchowy i zupełnie pozbawiony humoru, John Rowlands nie umiał znieść docinków uczniów. Uznał, że miłość do książek może zabrać ze sobą, a dokuczanie pozostawić za sobą.

Mięso przeznaczone było na statek „Windermere”, żaglowiec duży i dość porządny w porównaniu z wieloma innymi, które zawijały do przystani w Liverpoolu. Wismukły kadłub górował nad wodą, w oczach Johna zarazem przerażająco wysoki i upajająco piękny. Zostawiwszy swój ładunek pod opieką kucharza, którego pomocnicy natychmiast zaczęli znosić mięso pod pokład, udał się na poszukiwanie kapitana, do którego miał kartkę od swego chlebowawcy.

Kapitan Dawid Harding był niewiele wyższy od Johna. Barczysty, opalony, o czarnej brodzie i wojowniczym wyglądzie, nosił czarną łatę na jednym oku, co nadawało mu wygląd pirata. Twierdził, że stracił oko w bitwie morskiej, ale ludzie z jego załogi utrzymywali, że była to zwyczajna bójka w portowej tawernie.

Wziął teraz bez słowa świstek papieru z rąk chłopca i zaczął go czytać, rzucając chwilami ukośne spojrzenia zdrowym okiem na Johna, który rozglądał się z zachwytem po kabinie. Nie była duża, ale na ścianach wisały plecione maty i ozdoby z dalekich, nieznanym krajów, obok groźnie wyglądających szabel i dzid, zapewne egzotycznego pochodzenia. Prócz koi stał tu stół, przyśrubowany do podłogi, przy którym siedział kapitan, cztery krzesła i zielony fotel.

John porównywał w myśli te wspaniałości z nagą izdebką na poddaszu nad sklepem rzeźnika, w której sam mieszkał.

Kapitan Harding mówił niskim barytonem, krótkimi, urywanymi zdaniami, najczęściej kończąc pytaniem, które brzmiało jak wystrzał.

— Widzę, że podziwiasz moją kabinę. Wszystko tu jest moje własne. Żeglarz gromadzi różne dobra. Podoba ci się?

— Nigdy nie widziałem czegoś, co by mi się tak bardzo podobało — wyznał John.

— Chciałbyś mieszkać w takiej kabinie... chciałbyś?

— Oczywiście, panie... ale...

— Wolisz być posłańcem u rzeźnika?

— Muszę zarabiać na chleb, panie.

— Na morzu też możesz zarabiać. I dorobić się. Nie wierzysz?

John nieraz już miał ochotę zaciągnąć się na jakiś statek. Ale odstraszał go groźny wygląd i grubiańskie zachowanie marynarzy, których spotykał w porcie. Teraz odrzekł tylko:

— Tak, panie.

— Wydaje się, że liznąłeś trochę nauki. Marynarz z jakim takim wykształceniem może zajść daleko w naszym zawodzie. Wyglądasz mi na silnego i wytrzymałego, czy nie?

— Tak, panie.

— Chcesz się zaciągnąć na mój statek?

— Na ten statek, panie?

— Powiedziałem przecież! — rzekł nieco zirytowany kapitan.

— Ale ja się tu do niczego nie nadam. Nie umiem...

— Och, przestań się jękać i wahać! Nauczysz się! Musiałeś się czegoś nauczyć chyba, by zostać chłopcem u rzeźnika, czy nie? Więc przyuczysz się też na stewarda do mojej osobistej obsługi, czy nie?

John Rowlands pomyślał, że teraz oto trafia mu się sposobność i nie da jej uciec. Odrzekł stanowczo i bez wahania:

— Jestem gotów spróbować, panie.

— Dobrze. Doszliśmy do czegoś, czy nie? — rzekł kapitan Harding. Jego jedyne oko zamrugało przyjaźnie. — Prawdę rzekłszy, miałem dobrego chłopca do osobistych posług. Żeglował ze mną do Ameryki i z powrotem. Zostałby ze mną, ale wczoraj wieczorem zabrał go ojciec. Okazało się, że chłopiec uciekł z domu. Niedogodnie to dla mnie, chłopiec właśnie przyuczył się do roboty. Ale co miałem robić?

John uznał, że nie obowiązuje go odpowiedź na to pytanie. Istotnie, kapitan nie czekał na żadną odpowiedź, tylko mówił dalej:

— Możesz zająć jego miejsce. Masz ojca?

— Nigdy go nie widziałem, panie.

— Matkę?

— Ona mnie nie chce widzieć, panie.

— To się dobrze składa. Będziesz zatem chłopcem do moich usług, co? Steward i ja nauczymy ciebie twoich obowiązków. Ja sam zaczynałem niegdyś jako chłopiec do usług kapitana. I popatrz, jaki piękny mam statek. Ty masz trochę nauki i zaciętości, jak mi się zdaje — możesz zostać kapitanem równie pięknego statku. No więc, zgadzasz się?

— Jakie... jakie są warunki? — zapytał John, zmuszając się do tego pytania.

Kapitan odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem, uderzając pięścią w stół.

— To mi chłopiec! Bardzo słusznie! Czekałem, kiedy zapytasz o to! Więc słuchaj: odzież, oczywiście mieszkanie i wyżywienie, gdy jesteśmy na morzu i jeden funt miesięcznie. Odpowiada ci?

— Tak, panie.

— W porządku. Odplywamy o świcie do Nowego Orleanu w Zatoce Meksykańskiej. Masz być na pokładzie przed godziną ósmą dziś wieczorem, rozumiesz?

Wszystko przyszło bardzo nagle. John pojął, że będzie musiał znowu uciekać. Rzeźnik, u którego pracował, nigdy by go z dobrej woli nie puścił tak od razu. Ale powziął już decyzję.

— Czy muszę co podpisać?...

— Podpisy... papierki... to wszystko głupstwa. Ja tym sobie głowy nie zaprzątam. W twoim własnym interesie jest stawić się tutaj na czas. Jak nie przyjdiesz, nie będę rozpaczał. Mogę sobie kogoś innego wziąć na chłopca do usług, może nie?

— Będę na czas, panie kapitanie.

Była to pierwsza z tych decyzji Johna Rowlandsa, które miały go zaprowadzić na drogę wiodącą do przyszłej kariery podróżnika i odkrywcy, ku spotkaniu na brzegach jeziora Tanganika uczonego, szukającego źródeł Nilu, Anglika, którego nazwisko otoczyła światowa sława.

Nie o świcie, lecz w godzinę lub dwie po tym, jak John znalazł się na pokładzie statku, dnia 20 grudnia 1858 roku „Windermere” rozwinęła żagle i wypłynęła na Morze Irlandzkie, w podróż przez Atlantyk, która trwała sześć tygodni, co w owych czasach uważane było za rekordowe tempo.

Siedemnastoletni John przez pierwsze trzy dni leżał w swoim hamaku rozpaczliwie chory, wpatrzony tylko w ciągle napełniającą się miednicę, przyniesioną mu przez nieco starszego wyrostka, imieniem Harry, który wręczył mu również kawałek drutu, mówiąc ze śmiechem:

— A jak wyrzucasz własne wnętrzności, wepchnij je z powrotem tą szpilką!

W kubryku, gdzie kołysał się w swoim hamaku, marynarze przechodzili nieustannie, idąc lub wracając z wachty, kłócili się, bili, klęli, pili trunki z przemyconych po kryjomu flaszek, chrapali i jęczeli w niespokojnym śnie. Prócz Harry'ego nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na młodzika, który w tej chwili, udręczony morską chorobą, chciał tylko umrzeć.

Właśnie gdy czuł, że już nic więcej prócz własnych wnętrzności, jak przepowiadał Harry, zwymiotować nie może, do kubryku wszedł długi, chudy, truposzowato wyglądający oficer oznajmiając swoje nadejście potokiem przekleństw na temat zakamieniałych leniów, nierobów, którzy by tylko objadali się wybornym pożywieniem na statku — sama myśl o tym kazała biednemu Johnowi zwymiotować jeszcze raz — a o żadnej robocie im się nie śni.

Wyłaż z tego zakazanego hamaka, ty niedołęgo, ty leniu! Wrzasnął.

Nie czekając na wykonanie swego rozkazu przechylił hamak i wyrzucił bezwładnego chłopca na podłogę. Tu oficer wymierzył mu potężnego kopniaka, aż chłopiec potoczył się po podłodze, zbierając brud, gdyż kubryk czyszczono tylko wtedy, gdy statek zawinął do portu; zamierzył się raz jeszcze, ale John zdążył podnieść się na nogi i powłókł się w kierunku schodni.

Gdy wygrzebał się na pokład, oficer, tuż za nim, krzyknął:

— Harry!

— Tak, panie!

— Weź tego nicponia do szorowania pokładu. Znalazłem go dekującego się w kubryku. Udaje, że jest chory.

Praca na pokładzie i świeży powiew morskiego powietrza po zatęchłej duszności kubryku pomogły Johnowi opanować morską chorobę. Harry, który widocznie dozorował mycia pokładu, umieścił Johna między dwoma chłopcami mniej więcej w jego wieku, już zajętymi szorowaniem. Pracowali, nie zwracając uwagi na nowo przybyłego, a Harry wymachiwał szmatą rad, że ktoś robi za niego ciężką robotę.

— Mnie przyjęto do osobistej obsługi kapitana — burknął jeden z szorujących pokład chłopców.

— Jak to? — oburzył się drugi, przestając na chwilę szorować. — To ja miałem być do osobistych posług kapitana.

— Szyper powiedział, że mnie bierze — upierał się pierwszy. — I mówił, że z moimi naukami i moją zaciętością charakteru mogę sam zostać kiedyś kapitanem!

— No, no! Nabierasz mnie. Słyszałeś, jak wczoraj opowiadałem o tym jednemu z marynarzy!

— Co ty wygadujesz? Ja w ogóle nie słyszałem, że rozmawiałeś z którymś z marynarzy. Powtarzam dokładnie to, co mnie powiedział kapitan.

— Tobie? — zapytał drugi chłopiec, wyginając kąciki swoich złośliwych ust w grymas gniewu. Zaczynał rozumieć.

— Tak, mnie! — potwierdził pierwszy.

— Niech mnie gęś kopnie! — zirytował się drugi. — Jak spotkam tego starego, to mu...

— Nie chełp się — przerwał Harry. — Jak spotkasz kapitana, to w dwie minuty później będziesz uciekał, kwicząc jak zarzynane prosię; tak cię połechta końcem liny!

— Ależ gdybym ja wiedział... — zaczął pierwszy chłopiec.

Drugi przerwał mu wybuchem śmiechu, a gdy się już wyśmiał, rzekł:

— No to wiesz teraz. Jeśli tak się robi karierę na morzu, to moja gotowa! I ja potrafię niezgorzej nabijać w butelkę!

John Rowlands nie śmiał się. Nie widział w swoim położeniu nic zabawnego. Harry machnął szmatą w stronę chłopców.

— Hej tam, żywiej ruszajcie się z tym szorowaniem, bo i mnie się za was dostanie!

— Przejechałeś się tam i z powrotem na tej łajbie i już się uważasz za coś lepszego od nas!

— Bo jestem czymś lepszym od was — odparł Harry. — Mnie na statek mój ojciec przyprowadził. Podpisałem papiery. Będę marynarzem. A jeśli mi się coś przytrafi, to kapitan odpowie za mnie przed władzami. Ale jeśli któregoś z was bosman kopnie w złości aż za burtę albo zatłucze na śmierć — a to wcale nie takie nieprawdopodobne, jak myślicie — to pies z kulawą nogą nie zapomni się o was. — Odgarnął ręką z czoła potarganą szopę jasnych włosów, które mu nieustannie na oczy spadały i mrugnął wesoło do Johna.

— Nie rozumiem — powiedział powoli John, który do tej pory ani słowem się nie odezwał — czemu kapitan zaciąga na statek tylu chłopców do osobistych usług?

— To jego wypróbowany sposób ściągania na statek taniej siły roboczej — odrzekł Harry. — Kapitan i oficerowie będą was tak ganiać i dręczyć, aż zdecydujecie się uciec ze statku przy najbliższej sposobności. Wtedy schowają sobie do kieszeni gaźkę, która wam się należy.

— Więc jeżeli my możemy zwać ze statku, a ty nie możesz — powiedział John — to ostatecznie może lepiej nam, niż tobie.

— Ale ja chcę zostać marynarzem — odrzekł z prostotą Harry. — Ja nie uciekłem od nikogo i od niczego, jak zwykle ci tak zwani „chłopcy do osobistej usługi”. Mój ojciec zgodził się oddać mnie na statek, bym się nauczył zawodu, który sam sobie wybrałem.

John zdecydował w duchu, że jeśli go oszukał jeden kapitan, nie zawierzy już żadnemu innemu. Służba na morzu odpowiada Harry'emu, ale on tu nie zostanie. Każdy następny dzień na pokładzie „Windermere” utwierdzał go w tym postanowieniu. Gdy morze było burzliwsze, John chorował rozpaczliwie, ale nie pozwalano mu położyć się ani na chwilę. Wiedząc, że „chłopcy od osobistych posług” nie są pożądanymi na statku, oficerowie poganiali ich od rana do nocy, nie dawali im spokoju, bez żadnej przyczyny bili, gdzie popadło. Załoga oczywiście brała przykład z oficerów. Każdy kopał ich i bił, gdy się tylko nawinęli pod rękę.

Były i w owych czasach statki z uczciwą, przyzwoitą załogą, gdzie można było nauczyć się pięknego i romantycznego zawodu żeglarza. Ale kapitan Harding znany był w Liverpoolu jako oszust i brutal. Dobierał sobie też odpowiednich oficerów. Żaden naprawdę dobry marynarz nie pozęgłowałby z nim.

Wyrażenia, których słuchał wieczorami w kubryku, przerażały chłopca. W wiele lat później wspominał, że ci sami marynarze, którzy na pokładzie najgłośniej powtarzali swoje „tak, kapitanie”, zawsze umieli się zadekować, gdy w czasie burzy trzeba było wspinać się na maszty, a jeśli już wspięli się, to zawsze tkwili przy maszcie, nigdy na niebezpiecznych miejscach na rejach.

Kapitana Hardinga załoga rzadko widywała. Brutalne wyżywanie się pozostawiał swoim dobranym oficerom. Gdy się jednak pojawił, chłopcy musieli stać na baczność, dopóki nie odszedł, ale nigdy ich nie zaszczylił nawet spojrzeniem. John zwrócił się raz do drugiego oficera z prośbą o widzenie z kapitanem, zdecydowany poskarżyć się na brutalne traktowanie. W następnej chwili leżał plackiem na deskach pokładu, przekonany, że ma złamaną szczękę, w czym się na szczęście omylił.

„Windermere” wyszukiwała sobie drogę przez Florydzką Cieśninę do Zatoki Meksykańskiej. Wybrzeża Florydy były pożądanym widokiem dla oczu Johna. Poczucie dumy, iż dotarł do Nowego Świata, rozpiekało jego pierś. Wkrótce był już na lądzie, w Nowym Orleanie, z rozkoszą oddychając powietrzem wonnym, ciepłym nawet w lutym, przesyconym aromatami kawy, smoły, melasy, rumu i whisky. Przypatrywał się z ciekawością mieszaninie ras: ludziom białym, czarnym, czerwonym i żółtym.

Jasnowłosa Harry, który upodobał sobie Johna i namawiał go, by pozostał na morzu, stał obok niego na placu Jacksona, zabudowanym pięknymi gmachami w stylu francuskiej i hiszpańskiej architektury.

— Znam tu jedną oberżę, gdzie można wyśmienicie zjeść — rzekł Harry ze znajomością rzeczy wytrawnego podróżnika. — Chodź ze mną!

Po uczcie, jakiej nigdy dotąd nie zaznał, John powiedział:

— Nie jest to szczególnie łatwy sposób zwiedzania świata, ale przynajmniej ci, że świat jest ciekawy!

Zaczynał być dumny z własnej przedsiębiorczości.

— No widzisz! A teraz pobawimy się, jak marynarzom przystało — zawołał wesoło Harry.

Zaprowadził Johna do domu, w którym przyjęła ich bardzo czule starsza niewiasta i wprowadziła do salonu. Z bocznych drzwi wyszły cztery młode, ładne dziewczyny — odziane niezwykle lekko, jak na tę porę roku, pomyślał John — i otoczyły chłopców. John spojrział na Harry'ego wystraszony. Ten mrugnął

do niego. John trząśniętym się ze zdenerwowania, ale to był obcy, dziwny kraj i prawdopodobnie powinien był się przystosować do jego obcych i dziwnych obyczajów. Jeżeli ma zwiedzać świat, musi być zdecydowany uczyć się nowego. Ale gdy dwie dziewczyny, które usiadły tuż obok niego, zaczęły go głaskać, przytulać się i obejmować go za szyję, a wreszcie namawiać, żeby je pocałował — okazało się, że do tego rodzaju nauki nie był jeszcze gotowy. Zerwał się z sofy, uciekł z salonu i z domu, ścigany wybuchami śmiechu czterech dziewcząt.

Harry pobiegł za nim, namawiając go by wrócił, tłumacząc, że dziewczęta są dobrymi jego przyjaciółkami i że obrażą się za takie potraktowanie. John jednakże wysunął naprzód swój uparty podbródek i pomaszerował w przeciwną stronę. Dobre serce Harry'ego nie pozwoliło mu opuścić takiego żółtodzioba, który po paru kieliszkach może okazać się lepiej usposobionym. Ale w tawernie, do której teraz weszli, John oświadczył, że poprzysiągł sobie, iż nigdy w życiu nie tknie silnych trunków. Zdesperowany Harry, odrzucając w tył jasne włosy, rzekł:

— No więc zapal cygaro. Zrób choć coś, jak na mężczyznę przystało, bo pójdę i kupię ci pieluszki!

Ukłuty szyderstwem, John zapalił czarny zwitek liści, który mu kupił jego kompan. Chociaż dym palił mu język, zawziął się i pykał uparcie, a Harry wypił kilka szklaneczek rumu. Ale w miarę, jak minuty upływały, ciemnawe wnętrze tawerny zaczęło mu się kręcić przed oczyma. Robił coraz dłuższe przerwy między pyknięciami. Ale to się już na nic nie zdało. Harry spostrzegł, że chłopiec dosłownie zzieleniał.

— Boże! Co za kompana sobie dobrałem na pierwszą noc w porcie! — westchnął. — Biegnij prędzej na stronę!

John nie potrzebował przynaglania. Ledwo zdążył dobiec do miejsca osamotnienia, by pozbyć się owej wspaniałej kolacji, pierwszej w życiu, jaka mu naprawdę smakowała.

Gdy bardzo zawstydzony powrócił do tawerny, Harry'ego już tam nie było. Nadal jeszcze źle się czując, John powlókł się na statek. Cała prawie załoga była na lądzie, a ci, którym kazano zostać na straży, pili i hałasowali. John zebrał swoje ubogie manatki — włącznie z ową Biblią, którą dostał od biskupa, wizytującego przytułek — zawinął je w tobołek, włożył najlepsze ubranie i znowu zeszedł na ląd. Z nabrzeża popatrzył na „Windermere” i rzekł:

— Przywiozłeś mnie tutaj. Czy będę cię za to przeklinał, czy błogosławił, nie wiem jeszcze!

Wędrował po dzielnicy portowej, aż w zakątku jakiegoś nabrzeża znalazł stos beli bawełny. Wdrapał się na nie i podłożywszy sobie tobołek pod głowę pomyślał, czy też całe życie będzie musiał skądś uciekać — z przytułku, od rzeźnika, a teraz znowu ze statku. Tak John Rowlands ułożył się do snu pierwszej nocy w Nowym Świecie.

Rozdział IV

ZMIANA NAZWISKA

Następnego ranka po ucieczce Johna Rowlandsa ze statku, przed składem towarowym w Nowym Orleanie siedział w trzcinowym fotelu, czytając gazetę, starszy jegomość o ojcowskim wyglądzie. Kulturalny, rozumny, zamożny, Henryk Morton Stanley był z zawodu kupcem, hurtownikiem i agentem handlowym. Skład, przed którym siedział, nie należał do niego; jako agent podróżował między miastem a plantacjami na brzegach Missisipi i sklepami w miasteczkach tej prowincji. Dla magazynów w mieście załatwiał zakup produktów plantacji — kawy, cukru, tytoniu — a dla sklepów prowincjonalnych zamawiał towary, przywożone do portu w Nowym Orleanie z Europy.

Czytał właśnie ze wzruszeniem opis samobójstwa, na które zdecydowała się wspólnie pewna para małżeńska, ponieważ nie mogła mieć dzieci. Odłożył gazetę i pomyślał o swoim własnym małżeństwie — bardzo szczęśliwym, ale również bezdzietnym, czym się oboje martwili. Przez całe życie marzył o synu, który obejmie po nim jego interesy. Było już za późno, by to marzenie mogło się spełnić.

— Czy pan nie potrzebuje chłopca, proszę pana?

Henryk Morton Stanley drgnął, wyrwany ze swych rozmyślań młodocianym głosem, nieśmiałym, pełnym szacunku. Pytanie wydało mu się echem jego myśli. Usiadł prosto w fotelu.

— Coś powiedział?

— Czy pan nie potrzebuje chłopca, proszę pana? — powtórzył John Rowlands. — Ja szukam pracy.

Przez chwilę starszy jegomość — otyły, siwiejący, o czerwonej twarzy i zacnym brzuchu, który zdawał się wspierać na kolanach, bez surduta, z rozwiązanym krawatem, zwisającym z rozłożonego kołnierza koszuli — wpatrywał się bez słowa w stojącego przed nim wyrostka. Wreszcie powtórzył powoli:

— Chłopca... chłopca.

Nieświadom rozmyślań, które kazały kupcowi powtórzyć te słowa, John patrzył na niego zdziwiony. Stanley kazał mu usiąść na krześle obok siebie.

— Opowiedz mi, jak to się stało, że jesteś bez pracy — rzekł dobrotliwie.

John opowiedział mu tyle ze swoich przygód, ile uznał za właściwe; nie wspomniał obcemu człowiekowi o swoim pochodzeniu, ale przyznał się do ucieczki z przytułku i sprawy z kapitanem Hardingiem.

— Dobrze się uczyłeś? — pytał kupiec.

— Zdaje mi się, że wykorzystałem takie możliwości nauki, jakie miałem — odpowiedział John przezornie. — Byłem pomocnikiem nauczyciela przez kilka miesięcy.

— I lubisz czytać? Lubisz książki?

— Chciałbym tylko mieć książki i móc je czytać, proszę pana!

Stanley zmienił temat rozmowy. Przeszedł do spraw konkretnych. Zaprowadził Johna do składów.

— Widzisz te worki? — rzekł. — To kawa. Właśnie nadeszły dla pana Speake, właściciela tego składu. Powinny być zaopatrzone w etykiety z napisami. Nie mają tych etykietek. A moim zadaniem jest dopilnować, żeby towar odchodził stąd oznaczony. Potrafiłbyś zaopatrzyć te worki w etykiety?

— Owszem, jeśli będę wiedział co mam napisać, proszę pana.

Kupiec zdjął z wieszaka swój surdut i sięgnął do kieszeni. Z pliki papierów wydobył kartkę i wręczył ją Johnowi, który przyglądał się, zafascynowany, potężnej cyrkumferencji jego brzucha.

— Masz, młody człowieku! Oto treść etykiety. Siądź przy tym bocznym stoliku, tu jest pióro i atrament, i napisz mi, jak według ciebie powinna wyglądać etykieta, zrozumiała dla hurtownika, czy pisarza okrętowego, który będzie przyjmował towar.

John wypełnił etykietykę pośpiesznie, wyraźnym, czytelnym pismem.

— Wcale dobrze, wcale dobrze — pochwalił Stanley. — Powiedz mi, kiedy ty jadłeś ostatni raz?

— Wczoraj wieczorem, proszę pana — odpowiedział John. Nie uznał za potrzebne dodać, że ten posiłek nie został długo w jego żołądku.

— A włosów nie strzygłeś pewno od kiedy z Anglii wyjechałeś, co? — uśmiechnął się kupiec. — No, to chodźmy teraz na mały spacer.

Trochę w strachu, czy przypadkiem finałem tego spaceru nie okaże się oddaniem go policji jako włóczęgi, ale jednocześnie z nadzieją w sercu, John szedł o krok za swoim nowym znajomym, czujnie rozglądając się dookoła. Ale nie potrzebował się obawiać. Dostał solidne śniadanie. Potem oddano go kolejno w ręce balwierza i czyszciciela butów.

— No, tak! Teraz możesz rozmawiać z ewentualnym pracodawcą — osądził Stanley, obrzucając go aprobującym spojrzeniem.

Zabrał chłopca z powrotem do magazynu i przedstawił Jamesowi Speake. Ciemnowłosa, szczupły, o bystrych oczach i szybkich ruchach mężczyzna za kantorem spojrzął na etykiety, wypisane przez Johna i potrząsnął przecząco głową.

— Potrzebny mi jest tylko tragarz — rzekł.

— Ja potrafię nosić, panie — rzekł John, zanim jego opiekun mógł się odezwać. — Zobacz pan, że będę bardzo użyteczny.

— Pięć dolarów tygodniowo — rzekł zwięźle James Speake. Nie tracąc nigdy słów ani czasu daremno, oczekiwał od innych tego samego.

Henryk Morton Stanley poklepał chłopca po ramieniu, powiedział, że jeśli będzie się dobrze sprawiał, to powinno mu być dobrze u pana Speake i — zanim John zdołał podziękować pierwszemu w swym życiu człowiekowi, który bezinteresownie podał mu pomocną dłoń — odszedł bez słowa.

Znalazłszy sobie pomieszczenie u zacnej gospodyni o macierzyńskim wyglądzie, John zabrał się wieczorami do nadrobienia straconego czasu. Kupował książki i brnął przez dosyć ciężką lekturę, łącznie z „Żywotami” Plutarcha i Gibbona „Upadkiem Cesarstwa Rzymskiego”. Przy pomocy gospodyni zrobił sobie ze starych skrzyń półki na książki. Czytał do późna w noc i czuł się zadowolony z losu, jak nigdy; był głęboko wdzięczny owemu kupcowi, którego zainteresowanie i dobroć przekształciły jego życie. Trudno mu było wprost uwierzyć, że przecież niedawno jeszcze żył w przytułku. Jest zrozumiałe, że gdy porównywał kraj, w którym się urodził, z krajem, do którego zaprowadził go przypadek i oszustwo kapitana, rezultat wypadła niekorzystnie dla kraju ojczystego.

John dotrzymał słowa swemu pracodawcy. Dowiedział Jamesowi Speake, że może mu być użyteczny. Po dwóch tygodniach ciągłego rozładowywania wozów z towarem, noszenia ładunków i układania ich w magazynach, znał rozmieszczenie wszystkich towarów, pamiętał ilość beczek, skrzyń i worków, zalegających każdy zakątek olbrzymich składów. Ćwiczenia pamięci w przytułku wyszły mu teraz na dobre. Speake był sprawiedliwy w stosunku do tych, którzy pracowali solidnie dla jego dobra. Taki chodzący spis towarów bardzo się mu przydawał. Wkrótce powierzył Johnowi wypisywanie i nalepianie etykiet, a następnie wciąganie nadchodzących i wysyłanych towarów do ksiąg. Został więc młodszym urzędnikiem z pensją dwudziestu pięciu dolarów tygodniowo.

Młody przybysz z Walii zrobił więc już znaczne postępy, gdy po miesięcznej podróży w interesach wzdłuż Missisipi, powrócił Henryk Morton Stanley i zapytał pana Speake, jak się spisuje jego młody pracownik.

— Dosyć dobrze, dosyć dobrze — odparł Speake, nie podnosząc nawet głowy znad korespondencji handlowej, którą był właśnie zajęty.

— Widzę, że nie jest już tragarzem — rzekł Stanley.

— Nie! Jedyne, co teraz nosi, to cyfry w swojej pamięci — odrzekł hurtownik.

— Czy zasłużył na to, bym go zaprosił do mego domu? — zapytał Stanley, mrugając porozumiewawczo do chłopca.

— Jeśli masz pan ochotę marnować w ten sposób swój i jego czas, to wstydu panu nie robi — odparł Speake, nie odrywając się od pracy.

Wizyta w domu bezdzietnych Stanleyów pozwoliła Johnowi po raz pierwszy, w osiemnastym roku życia, zakosztować macierzyńskiej czułości; miała ona stać się także przyczyną utraty jego pierwszej dobrej posady.

Pani Stanley polubiła od razu poważnego, stanowczego młodzieńca z Walii i zapraszała go często do swego domu. John odwzajemniał się jej gorącym, młodzieńczym uwielbieniem. Pewnej niedzieli powitano Johna u progu wiadomością, że pani Stanley zachorowała. Kupiec wyjechał w tym czasie

znowu w objazd prowincji. John od razu przyjął na siebie rolę troskliwego syna. Kiedy dowiedział się od lekarza, że choroba jest poważna, pobiegł do swego pracodawcy, aby zawiadomić go, że nie wróci do pracy wcześniej, dopóki pani Stanley nie wyzdrowieje.

— To nie wrócisz wcale — rzekł James Speake, podnosząc na chwilę głowę znad Biblii, którą zwykł był czytać w niedzielne popołudnie. — Robota nie będzie na ciebie czekać, podczas gdy ty będziesz marnotrawił czas na głupie sentymenty...

— Ale pan Stanley jest pana...

— Wiem kim jest pan Stanley. Ty jesteś moim pracownikiem. Będziesz u mnie pracował normalnie albo kto inny zajmie twoje miejsce.

John Rowlands wyszedł bez słowa i pobiegł z powrotem do domu Stanleyów. Zapisał sobie wszystkie instrukcje lekarza, chociaż mógł być zaufać swej niezawodnej pamięci. Pilnował, aby każdy szczegół zaleceń był wypełniony z drobiazgową ścisłością, aby każde najdrobniejsze życzenie pani Stanley, o ile tylko nie sprzeciwiało się zaleceniom lekarza, było natychmiast spełnione. W nocy sypiał w korytarzyku przed jej drzwiami, gotów na najcichsze wezwanie jej osłabionego głosu.

Po kilku dniach chora zmarła. Henryk Morton Stanley, podróżując w tym czasie po Missisipi i nie mając żadnej możliwości kontaktu z domem, nie wiedział nic o tym tragicznym wydarzeniu. Brat jego, kapitan, którego statek przypadkowo zawinął w tym czasie do portu, zajął się pogrzebem. Johna nie znał wcale; młodzieniec, czując, że jest już niepotrzebny, opuścił bez słowa dom Stanleyów. Powrócił do pana Speake. Lecz właściciel składów nawet nie przerywając sobie podliczania długiej kolumny cyfr, pokazał mu drzwi.

Przez parę tygodni John zarabiał na utrzymanie dorywczymi usługami w porcie, jak noszeniem ładunków, czy bieganiem z posyłkami. Każdego wieczora przychodził pod kuchenne drzwi domu Stanleyów, by zapytać kucharkę, która znała go dobrze i wzruszona była jego przywiązaniem do zmarłej, czy pan Stanley już wrócił.

Pewnego wieczoru kucharka poleciła Johnowi, żeby podszedł do frontowych drzwi i zadzwonił. Kiedy to uczynił, otworzyła mu sama i zaprowadziła do biblioteki. Z fotela za biurkiem wstał sam Stanley, obszedł biurko i ku zdumieniu chłopca objął go i przycisnął do piersi, a raczej do swego wydatnego brzucha.

— Mój drogi chłopcze! Nasza poczciwa kucharka opowiedziała mi o wszystkim, co zrobiłeś dla mojej biednej, nieodżałowanej żony. Nigdy ci się dość nie wywdzięczę.

— Ależ, proszę pana, pani Stanley była dla mnie aniołem!

— Była aniołem dla wszystkich, którzy ją znali, a najbardziej dla mnie — odrzekł Stanley, nie hamując łez, które mu spływały po ogorzałych policzkach. — I ponieważ kochała ciebie, a ty jej odpłacałeś równą miłością i przywiązaniem, przyrzekam ci, że od dziś zaopiekuję się tobą. Miałeś ciężkie życie. Moje życie układało się dobrze, ponieważ miałem szczęście poślubić znaną kobietę. Dla jej pamięci zaopiekuję się tobą, abys już więcej ciężkich dni nie przeżywał.

Od tego dnia chłopiec zamieszkał w domu swego dobroczyńcy. Stanley wypytał go szczegółowo o jego pochodzenie i rodzinę, o czym do tej pory John zamilczał przed nim.

— W rezultacie można powiedzieć — rzekł kupiec, wysłuchawszy wszystkich szczegółów — że nie masz ani rodziców, ani nikogo, kto by się o ciebie troszczył, czy choćby interesował twoim losem?

— To prawda, panie — przyznał John niezbyt pewnym głosem.

— A więc od dziś — rzekł Stanley — będziesz mi mówić: „ojcze”. Biorę ciebie za syna i przygotuję cię do zawodu kupieckiego.

Johnowi ze wzruszenia słów brakowało. Przykląkł i ucałował rękę kupca, który podniósł go, a poleciwszy kucharce przynieść miednicę z wodą, umoczył palce i dotknął nimi czoła młodzieńca, mówiąc:

— Oto zmieniam twoje nazwisko na moje! Nie będziesz się już odtąd nazywał John Rowlands, lecz Henryk Morton Stanley i pamiętaj, abyś okazał się godny tego imienia!

Zabrawszy przybranego syna na miasto, kupił mu ubranie, obuwie, koszule i pierwszą szczoteczkę do zębów, jaką chłopiec w ogóle posiadał. Pomyślał o wszystkich szczegółach, lecz zaniedbał jednej ważnej rzeczy, a mianowicie nie załatwił prawnych formalności adopcji. Jednakże chłopiec, który w dzieciństwie doznał tyle krzywd i kopniaków, że nauczył się nikomu nie ufać i polegać tylko na sobie samym, przez resztę życia używał imienia i nazwiska, nadanego mu przy tej dziwnej ceremonii chrztu w bibliotece przybranego ojca.

Przez blisko dwa lata, kupiec i jego przybrany syn objeżdżali razem plantacje i miasteczka prowincji Missisipi, jeden pouczając i wprowadzając w tajniki handlu, drugi słuchając pilnie a zarazem ucząc się logicznego myślenia i życia wstrzemięźliwego i kulturalnego. Pod koniec tego okresu, kupiec wyjechał do Hawany odwiedzić swego brata, a młody, dwudziestoletni wówczas mężczyzna pozostał na praktyce handlowej w zaprzyjaźnionej firmie w miejscowości Cypress Bend w stanie Arkansas.

Okres, który Henryk Morton Stanley młodszy miał później nazwać „złotą epoką życia”, zakończył się bezpowrotnie. Śledząc smugę dymu unoszącego się z komina parowca, na którego pokładzie odjechał do Hawany jego przybrany ojciec, młodzieniec poczuł ścisnięcie gardła. Ogarnęło go rozpaczliwe osamotnienie, choć jeszcze nie wiedział, że już nigdy nie zobaczy człowieka, który mu dał swoje nazwisko.

Rozdział V

PIERWSZA PRZELANA KREW

Młody Parker miał siedemnaście lat, jasne włosy, niebieskie oczy i twarz dziewczyny. Wsparty o swój muszkiet, rozglądał się wokoło ze zdziwieniem.

— Jeść mi się chce — powiedział do stojącego obok towarzysza.

— Mnie też — odparł o cztery lata starszy Henryk Morton Stanley. — Nic dziwnego. Od dwóch dni jesteśmy na suchym prowiancie. Zawsze w marszu, pod deszczem. Kwiecień mokry i zimny jak lichy!

— Dobrze, że przynajmniej dziś rano jest ładny — rzekł Parker. — Spójrz: fiołki!

Wyszedł przed linię frontu ciągnącą się na dwa i pół kilometra w prawo i w lewo. Konfederaci stali obok kościoła Shiloh, o trzy kilometry na zachód od rzeki Tennessee, o czterdzieści kilometrów na północ od granicy między stanami Tennessee a Missisipi: wymęczeni, głodni, obdarci, w strzępach przemoczonych szarych mundurów. Znacznie liczniejsze oddziały Unii pod dowództwem generała Granta i Bella oddzielały ich od rzeki Tennessee. Pomimo szczupłych sił, mimo zmęczenia ludzi, generałowie Konfederacji — Johnston i Beauregard — Postanowili wydać bitwę czterdziestu tysiącom przeciwników, licząc na to, że świeżo przybyli na front żołnierze Unii nie są gotowi do walki.

Parker łaził wkoło, zbierając fiołki.

— Na wieniec do swojej trumny zbierasz, co? — zakpił któryś z żołnierzy.

— Nawet trumny żaden z nas nie będzie miał! — dorzucił drugi. — Zwyczajnie, dół w ziemi!

— Przynajmniej pogrzebią mnie z fiołkami — rzekł Parker z bladym uśmiechem i zatknąwszy na swojej czapce bukietek fiołków, podał drugi Stanleyowi.

Do dowódcy przygłupował jeździec. Druga wielka bitwa amerykańskiej wojny domowej miała się niebawem zacząć: bitwa pod Shiloh, zwana również bitwą o port Pittsburg, dnia 6 i 7 kwietnia 1862 roku.

— Gotuj się! Gotuj się! — nawoływali ostrzegawczo wzdłuż całej linii oficerowie, a w chwilę później zabrzmiał rozkaz:

— Naprzód!

Linia szarych mundurów ruszyła naprzód, nierówna i chwiejna z początku, potem nabrała jakoś rozpędu.

— Bitwa przed nami! — powiedział Parker do Stanleya z nerwowym uśmiechem. — Napiszę dla ciebie wiersz o tym: krew, błoto i bohaterstwo!

— Jeżeli będziesz żył, by go napisać — rzekł z posępną zaciętością Stanley.

— Albo ty, by go przeczytać — odparł Parker.

— Ja będę żył na pewno — oświadczył Stanley. Maszerowali przez pola. Uszli jakieś pół kilometra, gdy uszu ich doszedł grzechot nieregularnego ognia muszkietowego.

— Nie podobają mi się te odgłosy — rzekł Parker. — Wydaje mi się, że Jankesi widzą mnie i celują wprost we mnie!

— Szkoda, że zagłuszyli śpiew ptaków. — Parker chciał rozmową pokonać strach.

— Muzyki tu nie brak — mruknął Stanley.

Wojska konfederatów doszły do lasu. Kule świstały nad głowami, z trzaskiem spadały ścięte gałązki i liście. Większość żołnierzy Konfederacji znajdowała się w ogniu po raz pierwszy. Żądni zwycięstwa, nieświadomi jeszcze ofiar jakich od nich bitwa zażąda, przyspieszyli kroku.

Stanley i Parker wyszli z lasu i nagle uderzył ich jak obuchem ogłuszający hałas. Nad młodą zielenią traw i pączkami wiosennych kwiatów unosiły się sine smugi dymu.

— Patrz! Widać ich niebieskie mundury! — zawołał Stanley.

— A ja się czuję jak nagi — odrzekł Parker.

— Strzelać maszerując! Celować nisko! — rozległ się znowu krzyk oficera.

— Wszystko jedno, gdzie będę celował — skrzywił się w półśmiechu Parker. — Nogi się pode mną uginają, a ręce się trzęsą. Muszkiet się chwieje jak nasze flagi na wietrze!

— Cicho bądź! — burknął Stanley. Był blady, jakiś uroczysty, przejęty. Szedł naprzód równym krokiem, ładował i strzelał ze swego prymitywnego, ciężkiego muszkietu ze spokojną zawziętością. Kule leciały coraz gęściej. Parę rozpaczliwych, urwanych okrzyków, parę jęków przedarło się przez kakofonię strzelaniny. Rzuciwszy szybkie spojrzenie w prawo i w lewo, Stanley dostrzegł luki w postępujących szeregach. Nabił i znowu wystrzelił.

— Bagnet na broń! — Oficerowie, starając się przekrzyczeć hałas, powtarzali rozkaz wzdłuż linii.

Beźładnie próbowano umocowywać bagnety: jedni przystanęli, inni szli wciąż naprzód.

— Do ataku!

Z okrzykiem, który równie dobrze wyrażał strach, jak bojowy zapał, żołnierze w szarych mundurach popędzili naprzód: ale ci, którzy zatrzymali się, by nasadzić bagnet, a wśród nich Parker i Stanley, nie mogli teraz nadążyć za innymi. Ale choć nie w pierwszym szeregu, Stanley biegł porwany uniesieniem bitewnym, świadomy jedynie tego, iż trzyma w ręku broń, która mu daje moc zabijania.

Oddziały Unii trwały w miejscu, czekając na atak, ale gdy dotarły do nich pierwsze szare mundury, Stanley, który pędził bez tchu, by jak najprędzej dopaść nieprzyjaciela, ujrzał, jak niebieskie postacie poderwały się do odwrotu; niektóre z nich padały od morderczych ciosów z tyłu. Przed nim była

puszka. Biegł dalej, czując za sobą Parkera, który zdyszany dotrzymywał mu kroku. Powstrzymała ich potężna salwa ognia muszkietowego drugiej linii wojsk generała Granta.

Salwa za salwą dziesiątkowały szeregi konfederatów, których atak powstrzymywały pnie setek ściętych drzew. Była to trudna sytuacja dla niedoświadczonych żołnierzy, którzy w pierwszym zapale ataku mogli zwyciężyć, ale łatwo ulegali zaraźliwej panice w obliczu przeszkody.

Poprzez nieustanny grzechot ognia muszkietowego, Stanley dosłyszał niewyraźne teraz, jakby oddalone, głosy oficerów:

— Padać na ziemię! Kryć się! Strzelać zza osłony!

Rzucił się na ziemię za pień zwalonego drzewa; obok niego Parker i jeszcze z tuzin innych. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak gęsta była strzelanina. Kule uderzały o pnie drzew, świstały nad głowami, przelatywały po prawej i lewej stronie.

O kilka kroków dalej jeden z jego towarzyszy wychylił się tylko na chwilę ponad osłonę pnia. Zanim spojrzał przed siebie, kula rozszarpała mu twarz. Inny zerwał się na nogi, wołając:

— Nie możemy tu leżeć beczynn timer, chłopcy!

I nagle padł, jakby rozciągnięty uderzeniem maczugi, z kulą w czole.

Parker dotknął końcami palców fioletków na swej czapce i spojrzał z ukosa na Stanleya.

— My mamy talizman — rzekł z niepewnym uśmiechem. — Duch wiosny zaopiekuje się nami.

Stanley leżał nieruchomo, w milczeniu. Miał wewnętrzne przekonanie, że ktokolwiek by zginął — on ocaleje.

Oficerowie zorientowali się, że nie mogą pozostawić ludzi beczynn timer leżących w tym huraganie ognia. Nie sposób też było się wycofać.

— Naprzód! Naprzód! — Okrzyki zabrzmiały od lewej strony i powtarzały się echem wzdłuż całej linii frontu.

Stanley pobiegł znowu, zgięty wpół, strzelając ze swego muszkietu prawie bez celowania i przystając, by go naładować. Wśród trzasku i świstu ognia muszkietowego ozwał się nowy dźwięk: głucho dudnienie strażów armatnich. Nagle, tuż obok siebie, usłyszał młodociany, cieniutki głos przyjaciela:

— Stanley! Zaczekaj! Stanley! Ja nie mogę się ruszyć! Moje fiołki znikły... jestem chyba ranny...

Zawrócił w porę, by ujrzeć jeszcze Parkera, który stał z wyrazem bolesnego zdumienia na twarzy, z ręką podniesioną do czapki. Chwiał się dziwnie, gdyż stał na jednej nodze: druga zwisała krwawą masą od kolana. W tej samej chwili, na oczach Stanleya, głowa chłopca odleciała straszliwym wirem, oderwana kulą armatnią.

Okropny ten widok nie obezwładnił Stanleya, lecz przeciwnie, wzbudził w nim niepohamowaną wściekłość. Nie kryjąc się więcej, popędził w zapamiętaniu naprzód i jako jeden z pierwszych dopadł szeregów Unii. Stanął przed nim, jak by wyrósł spod ziemi, żołnierz, o kilka cali wyższy od niego, który z nieprzeciętną siłą odparował jego pierwszy cios. Oszalały pragnieniem pomszczenia młodego Parkera, Stanley zamachnął się bagnietem i ominąwszy zastawę przeciwnika, zadał mu straszny cios. Tamten rozłożył szeroko ramiona; bagnet rozszarpał mu brzuch od góry do dołu. W następnej chwili Stanley wydobywał się spod martwego ciężaru pierwszego człowieka, którego zabił.

Biegł dalej, widząc przed sobą tylko plecy uciekających żołnierzy Unii. Nagle poczuł ogromne wyczerpanie, nogi jak kłody drewna. Potknął się. W tej samej chwili dostał potężny cios w żołądek. Rzuciło go o ziemię, stoczył się do jakiegoś dołu, czapka spadła mu z głowy. Leżał, wstrząśnięty i przerażony. Nie patrząc, sięgnął ręką do brzucha, przekonany, że zanurzy ją we własnej krwi i wnętrznościach. Na szczęście dotknął tylko stalowej klamry na pasie, a przyjrzawszy się jej już nieco spokojniej, zobaczył, że była wygięta i porysowana. Na wpół bezwiednie podniósł czapkę i spojrzął: fiołki Parkera tkwiły na niej nienaruszone.

Stanley siadł i odetchnął głęboko. Poczuł, że jest głodny. Wyjąwszy z plecaka suchary i kawałek sera zaczął je gryźć.

Bitwa przetoczyła się dalej. Po raz pierwszy tego dnia miał chwilę czasu, żeby zebrać myśli. Był sam. Podniecenie porannego marszu i obłąkany szal ostatniego ataku — wszystko to przetopiło się teraz w obezwładniające znużenie.

Do tego dnia wojna, w której brał udział, była dla Stanleya rozczarowaniem i nudą. Gdy pracował w sklepie w Cypress Bend, w stanie Arkansas, nabawił się malarii, której wciąż powracające ataki miały być klątwą jego życia. Z kolei uległ innej gorączce, gdy południowe stany Ameryki nie godząc się na zniesienie niewolnictwa ogłosiły secesję, a stany północne odpowiedziały na to wojną domową.

Młody Stanley zajęty był w Ameryce początkowo zarobkowaniem na życie, a później praktykował zawód kupiecki. O przyczynach, które doprowadziły do wybuchu wojny domowej, właściwie nic nie wiedział. Spotykał nieraz dawnych znajomych w nowych, szarych mundurach wojskowych, słyszał ich chełpliwe zapewnienia, że nie dopuszczą, aby północne stany doprowadziły ich do nędzy. Wojaczka go nie pociągała. Nie zamierzał wstąpić do wojska. Ale właśnie zakochał się w dziewczynie, dla której zmienił swoją początkową decyzję.

Dziewczęta lubiły spacerować po ulicach miasta w towarzystwie przyszłych bohaterów w szarych mundurach. Pewnego dnia Stanley dostał paczuszkę zaadresowaną kobiecym pismem, zawierającą damską koszulkę i fartuszek. Aluzja była oczywista. Poczuł się tchórzem. Gdy więc jeszcze tego dnia ojciec dziewczyny odwiedził go i zapytał, czy ma zamiar udowodnić, że jest mężczyzną, Stanley wysunąwszy swą wydatną szczękę odparł:

— Tak, panie, mam ten zamiar!

Bardzo szybko dostosował się do roli chełpliwego zawadiaki w mundurze, paradującego ulicami miasta z uroczą towarzyszką u boku. Kupił sobie rewolwer i długi sztylet, a gdy z Szóstym Regimentem

Ochotników z Arkansas został skierowany na północ, maszerował przez miasto z głową tak wysoko podniesioną, jak mu tylko na to pozwalał niski wzrost.

Rozczarowanie przyszło wraz z obolałymi ramionami, pęcherzami na stopach, ciągłym brudem i głodowaniem. Mogli się najeść do syta tylko wtedy, jeżeli napadali na fermę jakiegoś gospodarza, posądzanego o sprzyjanie Północy. Wkrótce doszła do tego surowa dyscyplina wojenna. Młodzi rekruci musieli być świadkami stosowania za drobne czasem przekroczenia regulaminu takich kar, jak wieszanie za kciuki, włóczenie koniem lub zakuwanie w kajdany, obciążone kulą.

Nie czas teraz na żale, pomyślał młody Stanley, zjadłszy suchary do ostatniego okrucha. Wstał, wyprostował się z trudem i ruszył w ślad za swoim regimentem. Nie orientował się w sytuacji; wiedział tylko, że jego strona szła naprzód. Zabici leżeli stosami, a tu i ówdzie dostrzegał martwą, zmienioną twarz i wytrzeszczone oczy towarzysza, z którym niedawno dzielił butelkę wody albo kawę suchara. Teraz powoli zaczął pojmować, jak krwawa była ta bitwa, w której brał udział.

Po godzinie takiego marszu w kierunku, aż nazbyt wyraźnie i strasznie oznaczonym, Stanley doścignął swój regiment, który zatrzymał się na odpoczynek pod osłoną lasu. Artylerie obu stron grzmiały bez przerwy. Niebawem znów poderwano piechotę. Dopiero kiedy zdobyto spory obóz, oficerowie zdecydowali wreszcie dać odpoczynek upadającym ze zmęczenia ludziom.

Żołnierze Unii porzucili obóz w pośpiechu i pozostawili sporo rzeczy. Pomimo znużenia, konfederaci zabrali się do plądrowania. Ale Stanley już wiedział, że dołożenie ciężaru do plecaka w czasie marszu odbija się boleśnie na zmęczonych, poranionych ramionach. Znalazłszy puszkę z sucharami i dzbanek z melasą, zjadł to z rozkoszą, zastanawiając się przez chwilę nad własną nieczułością, która pozwalała mu nie tracić apetytu nawet w obliczu śmierci i trupów, po czym ułożył się w namiocie, zajmowanym poprzedniego dnia przez jakiegoś oficera konfederatów, i zapadł od razu w kamienny sen, podczas gdy ranni, pozostawieni na polach, spędzali noc w ulewnym deszczu.

Kompania, do której należał młody Anglik, poniosła duże straty. Tylko pięćdziesięciu żołnierzy zebrało się rankiem. Obdarci, ledwie się wlekli na obolałych nogach z trudem utrzymując muszkiet w rękę. Mimo to przynaglani przez oficerów musieli iść naprzód.

Stanleya ogarnęła chęć odznaczenia się odwagą. Zabił jednego wroga i czuł się już doświadczonym żołnierzem. Musi dać przykład. Gdy padł rozkaz do ataku, wysforował się do przodu. Wypadł przed towarzyszami daleko na otwarte pole. Posypały się strzały nieprzyjaciela. Nie było nigdzie drzewa ani pnia więc Stanley pędził dalej naprzód, aż dopadł jakiegoś dogodnego zagłębienia gruntu.

Usadowiwszy się mniej więcej bezpiecznie, rozpoczął systematycznie nabijać i strzelać: rwał papier naboju zębami, wysypywał proch do panewki, zamykał, resztę prochu wsypywał do lufy i przybijał stemplem. Ten przestarzały już wówczas sposób nabijania konfederaci musieli wykonywać w czasie ataku przeważnie w otwartym polu. Stanley strzelał, ładował, strzelał, ładował. Jego cele stawały się coraz większe i większe. Niejeden raz, w ślad za hukiem jego strzału żołnierz Unii, rozłożywszy ramiona, padał na wznak. W pewnej chwili Stanley pojął, że coraz łatwiej było mu trafić dlatego, że wojska Unii były coraz bliżej; można powiedzieć, nieprzyjemnie blisko.

Podniósł się nieco, by zorientować się co robią oficerowie wobec tej alarmującej bliskości nieprzyjaciela. Rozglądając się wokoło odkrył z przestachem, że ani oficerów, ani w ogóle żadnego żołnierza wojsk konfederatów nie było w pobliżu. Jego entuzjazm oddzielił go od reszty oddziału. Gwałtowny ogień muszkietowy zmusił go do położenia się znowu na płask w zagłębieniu.

W chwilę później otoczyli go zewsząd żołnierze Unii.

— Rzuć ten muszkiet, bo ci kulę w brzuch wpakuję! Słyszysz? Rzucaj! — Wysoki, gburowaty mężczyzna wpychał mu w pierś lufę nowoczesnego karabinu. Obok stał drugi z nastawionym bagnetem.

Stanley puścił muszkiet, który osunął się na ziemię. Gburowaty nogą odtrącił broń, mówiąc szyderczo:

— Łuk lepiej by ci posłużył od tego grata!

Tak Henryk Morton Stanley został jeńcem wojsk generała Ulyssesa Granta. Bardzo zadowoleni, że mają prawo opuścić bitwę, ci dwaj, którzy go wzięli do niewoli, maszerowali wraz z nim na tyły. Stanley, oszołomiony, nie mógł jeszcze pojąć, co mu się przydarzyło. Żołnierze, których mijał, pluli na niego, czasem kopali, któryś krzyknął:

— Gdzie go prowadzicie? Wsadźcie bagnety w tego poganiacza niewolników!

Zdumiony, upokorzony, rozejrzał się wokoło. Dostrzegł nienawiść i pogardę na rozognionych twarzach.

— Buntownik przeciw Stanom! — ktoś krzyknął na niego.

— Dajcie mu takie cięgi, jakie on dawał niewolnikom! — poradził inny.

Paru próbowało go dosięgnąć bagnetem. Zdał sobie sprawę, że konfederaci nie mogli oczekiwać litości i pomyślał, że oni sami też by pewno nie lepiej traktowali swoich jeńców. Jego strażnicy ochraniali go, gdyż z każdym krokiem sami oddalali się od linii ognia. Ale wkrótce znaleźli się w innego rodzaju niebezpieczeństwie: weszli w zasięg pocisków artylerii konfederackiej, osłaniającej odwrót towarzyszy Stanleya.

Jak schwytanego konia wepchnięto go do zagrody, w której już było około pięćdziesięciu takich jak on nieszczęśników. Nie było wszakże nikogo, kogo by znał. Głodni, kulili się jeden do drugiego w tę zimną noc kwietniową; szczęściem nie padał deszcz.

Stanley nie mógł zasnąć. Zastanawiał się nad własną głupotą, z powodu której znalazł się w tak strasznym położeniu. A ponieważ nie miał ducha żołnierskiego, pocieszał się tym tylko, że skończyło się dla niego wojowanie. Jak zakończy się wojna? Jakie będą jego dalsze losy? Pomyślał o swym przybranym ojcu, który prawdopodobnie dlatego tak długo pozostawał na Hawanie, ponieważ dowiedział się o wybuchu wojny domowej. Z tą myślą usnął wreszcie, ale ledwie świt ubielił zmęczone twarze jeńców, zapędzono ich na parowiec, którym popłynęli na północ.

Rozdział VI

DEZERTER Z PRYZWYCZAJENIA

— Czy uważasz za słuszne, aby jeden człowiek miał na własność drugiego, tak jak konia lub krowę? — zapytał Shipman, który w cywilu był buchalterem: niski, zasuszony człowieczek w grubych binoklach na nosie. Wojna uczyniła zeń kwatermistrza w obozie Camp Douglas dla jeńców konfederackich w pobliżu Chicago, dokąd zawędrował wreszcie Stanley po długiej podróży statkiem i pociągiem w warunkach bardziej odpowiednich do przewożenia bydła niż ludzi.

— Nie wiem — odrzekł Stanley. — To pewno zależy od tego, jak właściciel traktuje człowieka.

Stanleya wybrano „starszym” grupy jeńców wojennych. Do jego obowiązków należało odbieranie skąpych racji żywnościowych dla całej grupy. Przy tej sposobności nawiązywał coraz bliższą przyjaźń z poczciwym kwatermistrem.

— Czy człowiek powinien posiadać na własność człowieka? To zależy tylko od jednej rzeczy: od ludzkiej godności. Tak jest, od ludzkiej godności. — Shipman raz jeszcze powoli i dobitnie powtórzył ostatnie dwa wyrazy młodzieńcowi z Południa, który siedział naprzeciw niego, popijając kawę.

— Ależ niewolnicy często lepiej się mają od wielu białych — zaprotestował Stanley. — Właściciele traktują ich wspaniałomyślnie, mają dobre życie.

— Nie może być dobrego życia bez ludzkiej godności — odrzekł Shipman, znowu z naciskiem wymawiając dwa ostatnie wyrazy.

— Po co mi pan to powtarza? — spytał z irytacją Stanley. Nie miał dotąd sposobności zastanawiać się nad takimi sprawami. Traktował niewolnictwo jako rzecz normalną i konieczną. — Widywałem plantatorów, którzy istotnie źle obchodzili się ze swymi niewolnikami, nawet okrutnie. Ale spotykałem też takich, którzy traktowali niewolników, jak członków rodziny.

— Jak członków rodziny? — powtórzył Shipman. — A gdy zdarzy się im jakiś wypadek, gdy potrzeba pieniędzy? Wówczas sprzedają swoich niewolników i może nawet tym kupcom, którzy są okrutni. Czy sprzedaliby członków swojej rodziny?

— Ale ostatecznie, ludzie rzadko odnoszą się do kogokolwiek, nawet do swych przyjaciół, jak do własnej rodziny. Niewolnicy...

— Niewolnikom tylko jednego brakuje — przerwał mu Shipman, podkreślając swoje słowa machnięciem pióra, którego obsadką właśnie zamieszał kawę — wolności. W tym już wszystko jest zawarte. Nie mogą odchodzić i wracać według własnej woli. Nie mogą mieć żadnej własności. Nie mogą się żenić z własnego wyboru. Nie mają żadnych praw. Ich pan, który ich posiada, tak jak posiada krowę, jest dla nich sędzią, a jeśli mu się spodoba, również katem. W najgorszym wypadku, niewolnik żyje jak bydło. W najlepszym, pozbawiony jest ludzkiej godności. Ludzkiej godności! — uparcie powtarzał te słowa.

Stanley siedział w zamyśleniu. Shipman wstał i poszedł sprawdzić przygotowane przez pomocnika racje prowiantu. Gdy powrócił do biurka, zapytał:

— Jakie jest twoje pochodzenie?

Stanley odchrząknął.

— Mój przybrany ojciec... — zaczął. Zawahał się.

— Niepotrzebne mi szczegóły — powiedział Shipman. — Czy uciekłeś od nudy zamożnego domu, czy nędzy robotniczej rodziny?

— Pochodzę z ubogiej rodziny — odrzekł Stanley.

— W takim razie jak ty wyobrażasz sobie Stany Zjednoczone w przyszłości? — nalegał Shipman. — Arystokrację ziemiańską u władzy, gospodarke plantatorów, jak na Południu? Czy też przemysłowy, postępujący kraj, który rywalizuje z Anglią — jaki chcemy stworzyć na Północy?

— Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym — wyznał Stanley.

— Czas najwyższy, byś się nad tym zastanowił — rzekł Shipman. — O co więc walczyłeś? Jest tylko jedna rzecz na świecie, o którą według mnie warto walczyć. Jest nią godność ludzka.

Stanley, podpisawszy odbiór prowiantu dla więźniów, odszedł. Długo rozważał słowa Shipmana. Musiał przyznać sam przed sobą — gdy wyłapywał wszy ze swej odzieży lub siedział godzinami z głową wspartą na rękach, tępo wpatrzony przed siebie — że poszedł na wojnę po prostu, aby uniknąć kpin dziewczyny, o której już prawie zapomniał.

Wprawdzie władze Unii mało zwracały uwagi na „godność ludzką” jeńca wojennego, ale zapewne właśnie warunki życia Stanleya w obozie, mimo całej ich okropności, umocniły w nim przekonanie, że w tej wojnie domowej stanął on po niewłaściwej stronie.

Czy dlatego że Shipman przekonał Stanleya, że zniesienie niewolnictwa zlikwiduje inne formy „zaprzeczenia ludzkiej godności”, czy też, że młody człowiek po prostu ujrzał przed sobą wyjście z obozu — w każdym razie faktem pozostaje, że dnia 4 czerwca 1862 roku Stanley zdezercerował z szeregów armii konfederatów, opuścił towarzyszy niedoli i zgłosił się do artylerii wojsk Unii. Idealistycznie nastawiony buchalter z firmy masarskiej, Shipman, pochwalił tę decyzję jako bardziej męską niż ta, która skłoniła Stanleya do wstąpienia do konfederatów pod wpływem hysterii wojennej.

Służba Stanleya pod sztandarami Unii trwała krótko i nie przyniosła mu chwały. W trzy dni po zaciągnięciu się uległ bakteriom, które wyniósł ze sobą z obozu Camp Douglas, zapadając na dyzenterię. Po trzech tygodniach spędzonych w szpitalu został zwolniony, jako niezdolny do pełnienia służby wojskowej.

W jego życiu rozpoczął się nowy okres wędrówek. Najmował się do pracy na parę dni lub tygodni, idąc, gdy tylko miał sposobność, ku wschodowi, w stronę morza. Gdy dotarł do Nowego Jorku, miał już uciulaną — najmował się do prac polowych z noclegami i utrzymaniem, a należność za dniówki

starannie odkładał — pewną sumę pieniędzy. Wynajął pokój w domu sędziego, którego rozrzutność i pociąg do trunków zmusiły do przyjmowania „płatnych gości”. Sędzia żył ze swoją żoną, jak pies z kotem: gdy sobie podchmielił, zachowywał się jak gbur, ona natomiast wpadała w histerię, gdy nie chciał dać jej pieniędzy na stroje.

Pewnego wieczoru idąc do swego pokoju, Stanley spotkał na schodach sędziego — wysokiego, ciężkiego mężczyznę, o czerwono-żyłkowanych policzkach i nosie. Wychodził właśnie z biblioteki z pistoletem w ręku, chwiejąc się na nogach i machając bronią, najwyraźniej zamroczony alkoholem.

— Czy mogę służyć pomocą, szanowny panie? — zapytał grzecznie Stanley, trochę przestraszony groźną postacią.

— Jeżeli... pomożesz mi... zabić tę przeklętą, wrzeszczącą babę... tam na dole... to pomagaj! — brzmiała zdumiewająca odpowiedź.

— Owszem, jestem gotów pomóc, ale muszę wiedzieć, jakie powody skłaniają do tego szanownego pana — rzekł uspokajająco Stanley. — Chodźmy do gabinetu. Tylko na chwilę. — Życie nauczyło go taktownego postępowania w każdej okoliczności.

Ujął go energicznie za ramię, uzbrojone w pistolet i poprowadził chwiejącego się na nogach i niezbyt przytomnego z powrotem do biblioteki, cicho zamykając za sobą drzwi na klucz.

Sędzia opadł bezwładnie na wielki, skórzany fotel i w pijackim zamroczeniu, niewyraźnym, zająkliwym głosem, bez ładu i składu dowodził, że jego żona jest megierą, dokuczliwą złością, z którą żaden mężczyzna nie byłby w stanie długo wytrzymać.

— Gdyby przede mną... w sądzie... stanął zabójca takiej... takiej żony... uwolniłbym go od winy i kary!

Stanley poczuł się w roli reżysera, którego zadaniem jest doprowadzić ten dramat do szczęśliwego zakończenia. Przede wszystkim chciał zyskać na czasie. Zaczął więc z całą powagą wypytywać sędziego o konkretne przykłady przewinień jego żony, z której porywczymi wybuchami gniewu sam już niejednokrotnie miał sposobność zaznajomić się osobiście. Strategię jego uwieńczyło powodzenie. Sędzia, jękając się i powtarzając w kółko to samo, rozprawiał chętnie. Od czasu do czasu powstawał i chwiejąc się na nogach, oznajmiał:

— Już dość gadania... czas na czyn!

I sięgał po pistolet, który leżał na stole. Ruchy jego były jednak tak powolne, że młody człowiek za każdym razem bez trudu sadzał go z powrotem w fotelu i pośpiesznie zadawał następne pytanie.

Wreszcie głowa sędziego zaczęła się kiwać, a wzburzenie uległo pijackiej senności. Stanley już przedtem słyszał, jak pani domu poszła po schodach na górę do sypialni. Odczekał chwilę, słuchając pochrapywania sędziego, po czym wysunął się z biblioteki. Ale w swoim pokoju nie mógł zasnąć. Nadśluchiwał przy uchylonych drzwiach, czy nie usłyszy kroków sędziego. Jednakże noc minęła bez dalszych przygód.

Zszedłszy wcześniej na śniadanie, Stanley, w oczekiwaniu na gospodarzy, próbował uspokoić roztrzęsione nerwy cygarem. Pałac, wyglądał przez okno, gdy nagle poczuł energiczne uderzenie w ucho. Odwrócił się gwałtownie, spodziewając się ujrzeć sędziego, gdy nagle usłyszał słowa:

— Jak śmiesz palić w mojej jadalni i jeszcze do tego przed śniadaniem, ty smarkaczu bez wychowania! Mojemu mężowi nigdy by do głowy nie przyszło coś podobnego!

W ten sposób powitała go kobieta, w obronie której przepędził bezsenność, niespokojną noc. Nie widział komizmu w tej sytuacji. Wyszedł bez śniadania, oburzony, narzekając bardzo, że nawet w domu sędziego nie ma sprawiedliwości.

Wkrótce po tym incydencie Stanley, który postanowił odnaleźć swego przybranego ojca, zgłosił się jako marynarz na statek towarowy, płynący na Kubę. Z początkiem 1863 roku przybył na wyspę, gdzie dowiedział się, że człowiek, którego nazwisko nosił, zmarł przed dwoma laty. Teraz miał powody żałować niedopełnienia przez Stanleya-ojca formalności, związanych z legalną adopcją. Młody Stanley, któremu stary kupiec zamierzał pozostawić swoje przedsiębiorstwo i dużą część majątku, nie miał żadnych praw do spadku.

W tej sytuacji postanowił pozostać na statku. Przez rok przeszło pływał po morzach: odwiedził Indie Zachodnie, Włochy i Hiszpanię. Niewiele wiadomo o podróżach Stanleya z tego okresu. Lakoniczny dziennik, jaki wtedy prowadził, w dwóch wierszach rozprawia się z rozbiciem statku w pobliżu Barcelony, podczas którego zginęła, jak się zdaje, cała załoga. Tylko Stanley, zdartszy z siebie ubranie, dopłynął ostatkiem sił do brzegu, gdzie hiszpańscy strażnicy powitali tego półżywego rozbitka żądaniem, by okazał dokumenty.

Życie na morzu odpowiadało mu widocznie, skoro w lipcu 1864 roku zaciągnął się na trzy lata do marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. W czasie tej służby Stanley nie wyróżnił się niczym szczególnym. Jednakże pół roku, które spędził na pokładzie okrętu U.S.S. „Minnesota” miało zadecydować o jego późniejszej karierze i sławie.

Zaokrętowany jako pisarz — w dokumentach podano: wzrost 170 cm, oczy brązowe, cera śniada, włosy ciemne — otrzymał stopień podoficera. Zajmował się prowadzeniem dziennika i pisaniem sprawozdań. W tym charakterze odgrywał tylko bierną rolę obserwatora w bitwach na lądzie i morzu, które prowadzono z wojskami konfederatów, broniącymi desperacko ostatniego swego otwartego portu — Fortu Fisher w Północnej Karolinie.

Gdy twierdza padła, Stanley zeszedł do kabiny, by opisać w dzienniku to wydarzenie. Skończywszy, siedział przez chwilę, zapatrzony w zapisaną kartę, ściągając kąciki swych opuszczonych ku dołowi warg i postukując końcem pióra o stół. Wreszcie wstał i udał się wprost do kapitana.

— Panie kapitanie, czy nie byłoby zastrzeżeń, gdybym posłał opis bitwy do gazety?

Kapitan, energiczny i przedsiębiorczy zawodowy marynarz, uśmiechnął się z uznaniem i rzekł:

— Lubię młodych ludzi, którzy umieją korzystać ze sposobności. A czy podzielisz się honorarium za artykuł z władzami marynarki amerykańskiej?

— Władze mogą wziąć nawet całe honorarium, panie kapitanie. Chciałbym tylko spróbować czy potrafię pisać tak, aby mi to wydrukowano.

— No, materiału masz pod dostatkiem — powiedział zachęcająco kapitan. — Pisz, niech ludzie wiedzą o tej bitwie!

— Dziękuję, panie kapitanie — odrzekł Stanley i powrócił do swej ciasnej kabiny, by napisać drugie sprawozdanie, jasne i dokładne, lecz dużo ozdobniejsze od suchych zapisków w dzienniku okrętowym.

Jego przybrany ojciec nie zostawił mu majątku, ale teraz Stanley odkrył, że jednak zdobył dziedzictwo po swoim dobroczyńcy, który systematycznie ćwiczył jego umysł w ścisłej i rzetelnej obserwacji ludzi i zdarzeń podczas licznych wspólnych podróży. Sprawozdanie Stanleja z bitwy było wierne, a jednocześnie barwne i plastyczne. Ten jego pierwszy artykuł został przyjęty, wydrukowany i — zapłacono mu za niego. Powodzenie zwróciło jego myśli w stronę nowego zawodu: dziennikarstwa. Służba w marynarce wojennej, która miała trwać jeszcze dwa i pół roku, na razie uniemożliwiła mu całkowite poświęcenie się tej nowej, pociągającej go profesji.

Stanley wypraktykował już sposób uwalniania się od pracy, która mu nie odpowiadała. Po prostu uciekał. Wojna domowa była już właściwie skończona. „Minnesota” zawinęła do Portsmouth w New Hampshire. Tu młodzieniec, który uciekł był już z sierocińca, od rzeźnika w Anglii, z angielskiego statku pocztowego, z wojsk konfederatów, gdzie zaciągnął się jako ochotnik — zdezerterował po raz ostatni. Było to dnia 10 lutego 1865 roku. Od tej pory nie ratował się więcej ucieczką. Historia przekazała nam postać człowieka, który nigdy nie ustępował, nigdy nie rezygnował, każde swoje zadanie doprowadzał do końca, nie bacząc na niebezpieczeństwo, trudy i przeszkody.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział VII „JA PATRZĘ WYŻEJ!”

Nowa namiętność — dziewczyna lub zawód, pobudzający ambicję — często pozornie zmienia człowieka, a w rzeczywistości tylko wydobywa na jaw to, co w nim było dobrego albo złego. Pisząc dla prasy sprawozdania z amerykańskiej wojny domowej, Stanley zapalił się do dziennikarstwa. Nabrał zaufania do własnych sił, do posługiwania się nową dla niego bronią — piórem.

Wojna domowa skończyła się. Stany nie potrzebowały już żołnierzy i marynarzy w takiej liczbie, jak poprzednio. Władze nie kłopotowały się ściganiem dezertersów, chyba że stawali się oni uciążliwymi włączkami. Stanley został specjalnym korespondentem pisma „Missouri Democrat” i wyjechał wraz z ekspedycją, która miała na celu pacyfikację Indian, protestujących przeciw naporowi na ich terytoria osadników, poszukiwaczy złota, awanturników, graczy, robotników, budujących koleje, i kobiet lekkich obyczajów.

Ekspedycji polecono unikać bitew, natomiast dążyć do rozbicia Indian na drobniejsze grupy, oddzielić tych, którzy gotowi byli ustąpić wobec przemocy białego człowieka od nieprzejednanych, którzy chcieli opierać się za wszelką cenę walcząc bronią palną i nożem do skalpowania.

Stanley, który nie miał tu sposobności oglądania bitew i działań wojennych, dowiódł swego talentu wynajdywania tematów do artykułów. Pisał o białym osadniku, którego Indianin oskalpował, ale później rzucił skalp; osadnik podniósł go, dowlóknął się z nim do domu i włożył do wiadra z wodą dla lepszego zakonserwowania; pisał o małym chłopcu indiańskim, towarzyszącym wojskom, którego ojciec, wódz plemienia, został zabity przed laty; o indiańskim przewodniku, który powziął sympatię do dziennikarza i w jego obronie przerzucił człowieka przez stół bilardowy na drugi koniec izby; pisał o wzruszającym przemówieniu starego wodza: „Kocham ziemię i kocham bawoły i nie rozstanę się z nimi. Nie chcę, by tutaj budowano domy leczenia; chcę, aby papoży (dzieci) wychowywano dokładnie tak, jak ja byłem wychowany. Posłyszałem, że zamierzacie nas osiedlić w rezerwacie w górach. My nie chcemy tam iść. Tylko wtedy jesteśmy szczęśliwi, gdy swobodnie wędrujemy po szerokiej prerii. Gdy się osiedlamy w rezerwatach, chudniemy i umieramy”.

Reportaże Stanleya nie były zastrzeżone wyłącznie dla „Missouri Democrat”. Różne czasopisma, między innymi „New York Herald” i „New York Times”, drukowały jego materiały. Zarabiał przeciętnie sto dolarów tygodniowo. Z tej sumy sporo wydawał na poczęstunki dla swoich informatorów, na napiwki dla telegrafistów i posłańców, od których zależało przekazanie wiadomości do wielkich ośrodków miejskich. Ale i tak do stycznia 1868 roku zdołał uzbierać „dzięki surowej oszczędności i wstrzemięźliwemu życiu” sumę trzech tysięcy dolarów, co dało mu „poczucie zabezpieczenia i pewność siebie, uwalniając od zależności”.

Po zakończeniu wyprawy przeciw Indianom, Stanley zaczął się rozglądać za jakąś inną wyprawą, która dałaby pole do popisu jego zdolnościom publicystycznym. Ufną we własne siły zrezygnował z pracy

dla „Missouri Democrat” i postanowił szukać szczęścia w redakcji najświetniejszego z ówczesnych dzienników amerykańskich — „New York Herald”. Właścicielem dziennika był James Gordon Bennett, który rozpoczął go wydawać przed dwudziestu sześciu laty w małej piwniczce i doprowadził do rozkwitu nowoczesnymi metodami handlowymi oraz publikowaniem najświeższych wiadomości zamiast tradycyjnych artykułów „poglądowych”.

Dumny z wydrukowania przez „New York Herald” swoich reportaży, Stanley postarał się o rozmowę z właścicielem. W tym czasie Anglia przygotowywała ekspedycję wojskową do Abisynii celem oswobodzenia grupy angielskich poddanych, włącznie z konsulem i misjonarzami, których uwięził i podobno maltretował król abisyński, Teodor. Dostawszy się przed oblicze Jamesa Gordona Bennetta, Stanley zaproponował mu, że pojedzie z brytyjską ekspedycją do Abisynii jako korespondent „New York Herald”.

Gordon Bennett senior siedział za biurkiem w obracającym się krześle, przechylony wstecz, z nogą opartą o biurko, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie jasnopopielatych spodni; czarną brodę złożył na kamizelce w biało-czarną kratę, między grubymi wargami kręcił cygaro. Spod krzaczastych brwi mierzyły młodego człowieka czarne, przenikliwe oczy.

— Potrzebne mi są najświeższe wiadomości jakie Amerykanie chcą czytać — rzekł na wstępie — ale czy Amerykanie zechcą czytać o tej brytyjskiej ekspedycji?

— Jestem przekonany, że zechcą, szanowny panie — odparł bez wahania Stanley.

— Lubię młodych ludzi, którzy wierzą w siebie i własne pomysły — rzekł Gordon Bennett. — Na jakich warunkach chcesz pan jechać?

— Na każdych warunkach, jakie szanowny pan zechce określić. Proszę wyznaczyć mi skromne uposażenie jako stałemu korespondentowi, albo też płacić mi od wiersza; w tym jednak wypadku zarezerwuję sobie oczywiście prawo wysyłania wiadomości również do innych gazet.

Bennett przesunął cygaro z jednego kąta ust w drugi.

— Ja moich korespondentów z nikim nie dzielę. A płacę dobrze za ekskluzywny materiał. Byłeś pan w Europie?

— Urodziłem się tam, szanowny panie.

— Hm. Będziesz się pan chyba nadawał. Nie gadasz za wiele. Gotów pan jesteś ryzykować?

— Tak. Jestem pewien, że sobie dam radę.

— A cóż byś pan powiedział, gdybyśmy ten wyjazd uznali za rodzaj egzaminu? Pojedziesz pan na własny koszt, a jeśli materiał będzie dobry, zapłacę najwyższą wierszówkę, jaką płacimy za korespondencję z Europy.

Przerwał na chwilę, uważnie śledząc reakcję młodzieńca, po czym dorzucił z uśmiechem:

— Nie mamy jeszcze określonych wierszówek na korespondencję z Afryki.

Ta krótka przerwa Bennetta wystarczyła Stanleyowi na powzięcie decyzji.

— Sądzę, że ani pan, ani ja, nie będziemy tego żałować.

— Gdybym uważał, że pan mógłbyś tego żałować, dałbym z miejsca odpowiedź odmowną — odparł Bennett. — Ale jestem pewien, że takie załatwienie sprawy będzie dla pana najlepszym bodźcem. Kiedy pan zamierzasz wyruszyć?

— Mam już bilet na parowiec „Hecla”, który odpływa dwudziestego drugiego, pojutrze.

— A więc zamierzałeś pan jechać w każdym razie? — roześmiał się głośno Bennett.

— Oczywiście, szanowny panie! — odparł poważnie Stanley.

Przedsięwzięcie było istotnie ryzykowne, ale dzięki przezorności Stanley osiągnął sukces. Przede wszystkim upewnił się, że najbliższy od Abisynii urząd telegraficzny znajduje się w Suezie. Opuściwszy w tym porcie statek — Kanał Sueski był dopiero w budowie — Stanley poszedł prosto do głównego telegrafisty. W czasie krótkiej i rzeczowej rozmowy dziennikarz rozstał się z pewną sumką pieniędzy, ale wyszedł z obietnicą, że jego depesze będą miały pierwszeństwo przed wszelkimi innymi depeszami do Londynu.

Dnia dziesiątego kwietnia 1868 roku brytyjska ekspedycja wojskowa pod dowództwem generała Roberta Napiera stała w szyku bojowym u stóp skalistej twierdzy Magdala, stolicy króla Teodora, władcy Abisynii. Trzymając się z dala od generała — który, gdy Stanley zameldował mu o przyłączeniu się do wyprawy, kazał „dziennikarskiej hołocie” wynieść się z namiotu — korespondent „New York Herald” przypatrywał się wojskom brytyjskim wystrojonym w jaskrawe paradne mundury. Sześć tysięcy żołnierzy: weterani z angielskich i irlandzkich pułków w mundurach czerwonych; Sikhowie, Beludźowie i Sipajowie z Indii w swoich malowniczych strojach; krajowcy afrykańscy w czerwonych fezach albo zielonych turbanach; angielscy marynarze, zbrojni w race; słonie, wielbłądy, konie, muły, wszystko w ozdobnej uprzęży; oficerowie strojni i barwni, w srebrnych hełmach, a wśród nich jeden w zamiszowych rękawiczkach i zielonym welonie na hełmie; a w asyście archeolog z Muzeum Brytyjskiego.

Ruszyli do bitwy regularnymi szeregami pod górę, na której wznosiła się forteca. Król Teodor wysłał im naprzeciw abisyńskich wojowników, zbrojnych w szable, topory i dzidy, którzy bezładnie z wielkim wrzaskiem popędzili na dół na złamanie karku. Ale race angielskich marynarzy wstrzymały ich rozpęd, a batalion piechoty dokończył pogromu ogniem karabinowym i bagnetami. Stanley widział, jak abisyńscy wojownicy padali i darli ziemię rękoma w przedśmiertnej agonii.

Atak odparto. Przez cały dzień król Teodor dążył do oskrzydlenia postępujących wojsk brytyjskich, ale broń jego wojowników nie dorównywała tej taktyce. Szerzące popłoch race, ogień karabinowy i bagnety Sipajów musiały zwyciężyć. Tej nocy szakale i hieny ucztowały nad ciałami pięciuset sześćdziesięciu poległych Abisyńczyków. Po stronie brytyjskiej straty wynosiły trzydziestu jeden rannych żołnierzy i jednego rannego oficera.

Następnego ranka dwaj brytyjscy więźniowie króla przybyli z listem do generała sir Roberta Napiera. Przed wieczorem uwolniono wszystkich więźniów. Właściwie, niezupełnie wszystkich. W pośpiechu jeden z misjonarzy zapomniał o swojej żonie, która leżała chora. Późną nocą jego służący poszli z powrotem pod górę i przynieśli ją z fortecy.

Oswobodzeni więźniowie troszczyli się jedynie o to, by ich służba zajęła się urządzeniem dla nich wygodnego noclegu, a arystokratyczni oficerowie siedzieli na koniach i patrzyli chłodno przez monokle na mężczyzn i kobiety, Anglików, ale mieszczańskiego pochodzenia, dla uwolnienia których maszerowali przez tropikalne puszcze.

Nie pierwszy to raz Stanley miał powody zdumiewać się nad zachowaniem angielskich oficerów. Pewnego ranka spotkał młodego porucznika kawalerii i pozdrowił go uprzejmie. Oficer wetknął monokl w oko, zmierzył szklanym wzrokiem impertynenckiego amerykańskiego dziennikarza i pojechał dalej. Kiedy indziej młody arystokrata, do którego Stanley się zwrócił, cofnął się o krok i zapytał: „Z kim mam honor rozmawiać?” Anglicy odnosili się z pogardą do dziennikarzy a zwłaszcza dziennikarzy amerykańskich, którzy nie orientowali się w różnicach klasy i sfery.

Król Teodor wydał więźniów, nie chciał jednak oddać fortecy. Przystąpiono do generalnego szturmu. Król popełnił samobójstwo, strzelając sobie w usta z rewolweru, który kiedyś otrzymał w darze od królowej Wiktorii. W parę godzin później pod brytyjskim sztandarem, zatkniętym na szczycie fortecy, orkiestra grała hymn „Boże, zbaw królową”. Po czym można było rabować, pić i dzielić łupy. Pierwsi do rabunku rzucili się, jak pisał ze zgorzaniem Stanley, uwolnieni misjonarze.

W dwa dni później angielscy inżynierowie wysadzili w powietrze skalistą twierdzę Magdala.

Stanley miał doskonały materiał — egzotyczny, barwny, wstrząsający. Ale nie pozwolono mu wysłać kuriera z korespondencją przed powracającą armią. Musiał złożyć swój materiał wraz z oficjalną pocztą i sprawozdaniami innych reporterów. To go bynajmniej nie zadowoliło. Jego depesze muszą dojść przed innymi! Codziennie wieczorem, po skończonym marszu dziennym, Stanley pisał po raz drugi swoje sprawozdanie.

Dostał się na pierwszy okręt, który odpływał z żołnierzami, w nadziei, że w Suezie zobaczy się ze swym znajomym głównym telegrafistą. Ale gdy przybyli na miejsce, wszystkich pasażerów okrętu wojskowego poddano przymusowej pięciodniowej kwarantannie. Zrozpaczony Stanley postanowił zaryzykować. Właśnie podpłynął do statku młody krajowiec, sprzedawca owoców. Obiecując znaczną nagrodę za dostarczenie pakietu głównemu telegrafistcie, oczywiście po okazaniu pokwitowania odbioru, powierzył mu swoje depesze. Po dwóch godzinach nerwowego oczekiwania, chłopiec wrócił z pokwitowaniem i otrzymał obiecaną sumę.

Sprawozdanie Stanleya, opublikowane w „New York Herald”, było pierwszą wiadomością o brytyjskiej ekspedycji do Abisynii. Ukazało się na długo przed innymi, ponieważ zaraz po nadaniu depeszy Stanleya kabel został uszkodzony. Korespondencja ta zyskała Stanleyowi sławę w świecie dziennikarskim. Gordon Bennett dotrzymał słowa i dobrze zapłacił swemu korespondentowi, przyrzekając jednocześnie wysłać go na najbliższą ciekawą wyprawę.

Tymczasem Stanley udał się na Kretę, gdzie podobno miało wybuchnąć powstanie. Tu nauczył się po grecku iomal nie ożenił się — nie tyle z Greczynką, ile z jej rodziną. Od ostatecznego kroku ocaliło go polecenie natychmiastowego wyjazdu do Adenu, gdzie miał przeprowadzić wywiad ze sławnym wówczas podróżnikiem po Środkowej Afryce, doktorem Dawidem Livingstonem, który podobno powracał do kraju. Pogłoska ta okazała się fałszywa. Stanley smażył się przez dwa i pół miesiąca w upale tej pustynnej placówki — bezowocnie. Zniecierpliwiony bezczynnością, pisał: *Im więcej mam trudnych zadań, tym jestem szczęśliwszy. Potrzeba mi pracy trudnej, absorbującej, dającej mi pełną satysfakcję... Książek mam pod dostatkiem. Z Aleksandrii przywiozłem sobie Helwecjusza i Zimmermana, ale chociaż dużo zawierają mądrości, nie są odpowiednią lekturą dla młodego człowieka, rwącego się do działania.*

Było mu przeznaczone tyle „działania”, ile tylko zapragnął. Tymczasem „New York Herald” wysłał go do Hiszpanii, by pisał reportaże o rewolucjach i kontrrewolucjach w tym kraju. Przy tej sposobności nauczył się nowego języka. W jednym z jego listów z Hiszpanii znajdujemy świadectwo niemałego zadowolenia z własnych osiągnięć: *Tak dobrze wypełniałem moje obowiązki, przewyższając w tym wszystkich moich współczesnych, iż pokładane jest we mnie największe zaufanie. (...) Osiągnąłem to w ciągu zaledwie osiemnastu miesięcy, gdy inni grzebali się po piętnaście lat w tym zawodzie i nie ruszyli z miejsca, od którego zaczęli. Jak to osiągnąłem? Dzięki absolutnemu poświęceniu się mojej pracy, dzięki samozaparciu, co znaczy, że odmawiałem sobie wszelkich przyjemności. (...) Rozrywki nie zaślepiają mnie, nie mogą odwieść mnie z drogi, którą sobie wytknąłem. Jestem tak dalece panem siebie, że władam moimi namiętnościami. We własnym interesie dobrze wypełniam moje obowiązki. (...) Od tego uzależniony jest mój przyszły awans na drodze do znaczenia i sławy. Nawet teraz, gdybym złożył podanie, mógłbym dostać konsula, ale ja nie chcę być konsulem — patrzę wyżej, dalej!*

Następne wyróżnienie nie dało długo na siebie czekać. Wezwany do Paryża, otrzymał dnia 27 października 1869 roku od Jamesa Gordona Bennetta juniora polecenie, którego mógł mu pozazdrościć każdy ambitny dziennikarz.

— Chciałbym, żebyś pan pojechał najpierw na otwarcie Kanału Sueskiego — powiedział Bennett junior. — Następnie wybierz się pan w górę Nilu, donosząc co tam może być ciekawego dla turystów. Stamtąd jedź pan do Jerozolimy, gdzie podobno ostatnio dokonano ciekawych odkryć, dalej do Konstantynopola, do paru starych miast perskich, potem do Indii i przez Ocean Indyjski do właściwego celu pańskiej podróży — to jest do Środkowej Afryki, gdzie pan odnajdziesz Livingstone'a.

Stanley podkreślił, jak olbrzymie koszty musiałaby pochłonąć wyprawa celem odnalezienia Livingstone'a, zabłąkanego gdzieś w środkowoafrykańskich dżunglach. Usłyszał, że otrzymuje nieograniczony kredyt i pieniądze nie mają znaczenia, byle tylko odnalazł Livingstone'a, udzielił mu pomocy, żywności, odzieży, towarów na wymianę. W ciągu całej tej rozmowy z młodym szefem dwa słowa wciąż powracały: odnaleźć Livingstone'a! I odtąd te dwa słowa opanowały jego myśli: „Odnaleźć Livingstone'a!”

Młody człowiek, „rwąc się do działania”, już następnego dnia wyruszył na Wschód.

Nie będziemy tutaj śledzić krok za krokiem pierwszej, mniej ważnej części zleconej mu podróży. Artykuły, ukazujące się regularnie na łamach „New York Herald” świadczyły o tym, że stosował się

ściśle do wydanych mu zleceń. W pewnym punkcie trasy, którą odbył, sam miałem możliwość ujrzeć ślad jego obecności. Wśród ruin sławnego w starożytności miasta perskiego, Persepolis, stolicy Dariusza i innych władców perskich, zobaczyłem w sierpniu 1945 roku na antycznym murze w pobliżu ocalałego we fragmentach portalu, wykuty w szorstkiej powierzchni kamienia rysunek rombu, a w środku napis:

STANLEY

NEW YORK HERALD 1870

Osiemset kilometrów drogi, a właściwie traktu o kiepskiej nawierzchni, z Teheranu do Persepolis, odbyłem samochodem i uważałem tę wyprawę za bardzo uciążliwą. Wstyd mnie ogarnął, gdy pomyślałem, że Stanley tę samą drogę odbył wierzchem na wielbłądzie.

Rozdział VIII

U WRÓT AFRYKI

Dnia 6 stycznia 1871 roku, w piętnaście miesięcy po rozmowie z Gordonem Bennettem juniorem, Stanley stał na pokładzie amerykańskiego statku wielorybniczego, między dwoma trochę niedobranymi towarzyszami, śledząc wzrokiem zbliżający się brzeg. Był to końcowy etap — dwa tysiące mil morzem od wyspy Mauritius na Oceanie Indyjskim do wyspy Zanzibar przy wybrzeżu wschodnioafrykańskim — jego okrężnej podróży do punktu, z którego rozpoczynał właściwą wyprawę w głąb lądu afrykańskiego celem odszukania Livingstone'a.

Panował oślepiający upał. Ciemnoniebieskie morze, ciężkie, jakby polane oliwą, omywało ospale białe brzegi Zanzibaru. Tuż za plażami z białego koralu rozpoczynała się olśniewająca zieleń bujnego listowia dżungli. Nigdzie nie było ani pagórków, ani nawet skarpy nadbrzeżnej. Port, jak zwykle osiedle arabskie, stanowił mieszaninę glinianych lepiarek i kamiennych, kwadratowych budynków, nad którymi z rzadka wznosiły się smukłe wieżyczki minaretów ponad rozłożystymi meczetami. Kamieniem, powszechnie używanym tu do budowy, był popielaty koral.

Obok Stanleya stali: na lewo siedemnastoletni wyrostek arabski, Selim, w pasiastej, błękitnobiałej marynarce i pantalonach, w czerwonym fezie nad śniadą twarzą o semickim nosie i wielkich, czarnych, sennych oczach. Stanley, przeczytawszy wszystko, co tylko mógł dostać o Środkowej Afryce uznał, pomimo swoich zdolności do języków, że będzie mu potrzebny tłumacz, władający angielskim i arabskim. W Jerozolimie znalazł Selima, który marzył o podróżach i zabrał go z sobą przez Turcję i Persję. A po prawej stronie dziennikarza stał William Farquhar, barczysty, rudobrody Szkot, który służył jako pierwszy oficer na statku, wiozącym Stanleya z Indii na wyspę Mauritius i przekonał go, że pragnie przyczynić się do ocalenia swego rodaka, Davida Livingstone'a.

Przystań na Zanzibarze była zatłoczona arabskimi „dhow” — solidnymi drewnianymi statkami o pojemności 50 do 500 ton, z jednym masztem i niezwykle długim bukszprytem, od których odcinały się wyniosłe kształty kilku dużych statków towarowych z Francji i Niemiec, zabierających ładunki orzechów kokosowych, kości słoniowej, skór, szylkretu, rogu nosorożca, czerwonego pieprzu, ambry, wosku pszczelego, zębów hipopotama i różnych drobnostek z bazarów. Wielki rekin przemyczał pomiędzy statkami, wysuwając chwilami trójkątną paszczę nad powierzchnię wody. W powietrzu pachniało gnijącą koprą, rybami i aromatem egzotycznych korzeni.

Pozostawiwszy rzeczy pod opieką Selima, Stanley udał się wspólnie z Farquharem na poszukiwanie brytyjskiego konsula, Johna Kirka, który spędził pięć lat we wnętrzu Afryki razem z Livingstonem, gdy ten niezmordowany podróżnik badał bieg rzeki Zambezi i odkrył jezioro Niasa. Idąc wąskimi, krętymi uliczkami, dziennikarz obserwował egzotyczny tłum półnagich Murzynów, Arabów, Hindusów, Persów i Swahili, przepychających się między wielbłądami i osłami. Przekupnie siedzieli na skrzyżowanych nogach we wnękach murów, paląc długie fajki zwane huka i obracając swoje towary: stopy tropikalnych owoców i warzyw, leżące na słomianych matach. Żebracy nawoływali jękliwie, wyciągając po jałmużnę wychudzone ręce.

— Arabowie są tu panami — opowiadał Farquhar. — Bywałem tu nieraz. Zdarzają się w tym mieście Arabowie, którzy mają po dwa tysiące niewolników, przywiezionych z głębi lądu do pracy na plantacjach goździków i palm kokosowych. Arabowie decydują o handlu kością słoniową, chociaż Hindusi też się do tego wtrącają. Arabowie pożyczają pieniądze — przekleści lichwiarze! — na fantastyczny procent. Nic dziwnego, że drzwi ich domów są pięknie rzeźbione, a wewnątrz mają pokoje całe zapchane najpiękniejszymi tkaninami, haftowanymi szatami i turbanami.

Niegdyś, niezupełnie świadomie, Stanley walczył o utrzymanie niewolnictwa w Ameryce. Jednakże od czasu pamiętnych rozmów z kwatermistrzem Shipmanem, sama myśl o niewolnictwie budziła w nim odrazę.

— Bodaj ich! — burknął i dodał jeszcze: — Poganie! Farquhar prychnął śmiechem w rudą brodę.

— Przecież to wierni wyznawcy Islamu. Modlą się rano, w meczecie przed drzemką południową, wieczorem, nim pójdą do haremu. Lepiej ich nie nazywać poganami. — Znowu prychnął śmiechem i trzepnął Stanleya w ramię, czego ten nie znośił.

— A kobiety w haremach, to Arabki? — zapytał Stanley.

— Nigdy w haremie nie byłem — Farquhar mrugnął porozumiewawczo i westchnął żałośnie. — Ale powiadają, że kupcy arabscy wolą Murzynki. A Arabki wolą ponoć Murzynów...

— Murzynów? Czemuż to?

Farquhar szturchnął Stanleya łokciem w żebra: drugi jego zwyczaj, który Stanleya irytował.

— Chyba nigdy pan nie widziałeś nagiego Murzyna wystawionego na sprzedaż? Zrozumiałbyś pan od razu! — prychnął śmiechem.

Konsul Kirk okazał się również Szkotem i również rudowłosym. Stanley pozostawił Farquhara w przedpokoju, a sam w rozmowie z konsulem starał się ukryć właściwy cel swojej podróży, zgodnie z zaleceniem Gordona Bennetta, który wyznawał zasadę, że tylko zaskakujące i sensacyjne wiadomości mogą właścicielowi gazety zwrócić z nadwyżką wyłożone koszty.

— Interesują mnie okolice na północ od Tabora, Jeziora Wiktorii i dalej jeszcze. Wśród geografów toczy się wciąż spór o to, czy wodospady Ripon, odkryte w 1867 roku przez Johna Speke'a, są rzeczywiście źródłem Nilu. Chciałbym to definitywnie rozstrzygnąć.

— Jednym z nieprzekonanych jest Livingstone — zauważył Kirk. — Poszukuje źródeł Nilu dalej na zachód, za Udżidzi.

— Tak mi mówiono — rzekł z udaną obojętnością Stanley. — Czy są jakieś wiadomości o nim? Podobno w Anglii niepokoją się o jego losy.

— Wiadomości są niepewne i sprzeczne — Kirk potrząsnął głową. — Czasem jakiś arabski handlarz niewolników zjawi się w Zanzibarze i opowiada, że Livingstone zmarł. Następnego dnia inny twierdzi, że Livingstone żyje i ma się dobrze.

— A co pan osobiście sądzi o tym?

— Ja wierzę, że Livingstone żyje.

— Spodziewam się całym sercem, że pan ma słuszność — rzekł Stanley. — Ale muszę zająć się wypełnieniem moich własnych zadań.

Kirk popatrzył na niego bystro.

— A ja myślę — rzekł — że jeżeli Livingstone powróci do Zanzibaru, to z panem!

Stanley wzruszył ramionami.

— Któż może przewidzieć, kogo się spotka w dżungli? Pan zapewne posyła Livingstonowi dostawy?

— Jeśli tylko mam okazję. Ale do tych arabskich wypraw nie można mieć zaufania. Boję się powierzać im cenne towary, których Livingstone może nigdy nie otrzymać.

— Wyobrażam sobie, że warto ryzykować, jeśli istnieje choćby tylko mała szansa dopomożenia takiemu człowiekowi w trudnym położeniu — rzekł Stanley z zapałem, którego nie potrafił ukryć. — A czemu pan nie zorganizuje własnej ekspedycji?

— Nie mam na to środków — odparł Kirk. — Ale pan ma, jak mi się zdaje.

— Niestety, nie dysponuję pieniędzmi swobodnie — odparł Stanley, usiłując zatuszować wrażenie swego nazbyt gorącego wystąpienia. — Podróżuję tam, dokąd mnie wysyłają.

— Konsul też podlega swojej zwierzchności — przypomniał Kirk. — A rządy rzadko kiedy bywają tak hojne, jak właściciele gazet. Co więcej — tu Kirk utkwiał w dziennikarzu przenikliwe spojrzenie — ktokolwiek uda się na poszukiwanie Livingstone'a, powinien pamiętać, że on nie lubi, by ktoś się wtrącał do jego spraw. Spędziłem z nim kilka lat. Mam dla niego głęboki szacunek i podziw. Ale Livingstone jest uparty i nierzadko popędliwy. Może się zdarzyć, że ktoś ryzykując życie, by go odnaleźć, usłyszy od niego, że zmarnował czas; bo człowiek tylko wtedy jest zagubiony czy zabłąkany, kiedy sam tak sądzi.

Stanley nie odpowiedział. Zaczął wypytywać Kirka o możliwości otrzymania na miejscu ekwipunku, tragarzy i zapasów żywności dla wyprawy.

Zanim Stanley opuścił konsulát, Kirk zapytał go:

— Czyś pan prowadził już kiedy podobną wyprawę?

— Nie.

— Ale masz pan, oczywiście, doświadczenie w dowodzeniu ludźmi. — Żadnego.

— Ufasz pan we własne siły?

— Najzupętniej.

Gdy Stanley wyszedł, Kirk spoglądał za nim przez okno z ustami ściągniętymi jak do gwizdania. Zastanawiał się, dlaczego ten właśnie dwudziestodwujęcioletni mężczyzna, ledwo średniego wzrostu, o szerokiej piersi, krótkich nogach i wielkich stopach, o świeżej twarzy i chłopięcych oczach, został wybrany na dowódcę wyprawy, mającej na celu odnalezienie Livingstone'a wśród niezbadanej dżungli i bagien Środkowej Afryki. Bo Kirk nie miał ani na chwilę wątpliwości co do istotnego celu tej wyprawy.

Na nalegania Farquhara, żeby kupić niewolników, którzy będą najlepszymi tragarzami i posiadają znajomość terenu, Stanley odpowiedział odmownie po części dlatego, że nie chciał być właścicielem niewolników, a po części ze względów praktycznych; był przekonany, że niewolnicy uciekną przy pierwszej sposobności.

— Francja i Wielka Brytania zniosły niewolnictwo — dodał. Farquhar najpierw szturchnął Stanleya w bok, po czym rzekł:

— Nie jesteśmy wcale na terytorium brytyjskiego imperium. Sułtan Zanzibaru zabronił co prawda wywożenia niewolników, a brytyjskie i francuskie okręty wojenne patrolują wybrzeża szukając statków z niewolnikami. I cóż z tego! Nikt nie powstrzyma handlarza, który może kupić na targu człowieka za dwa funty lub niewiele więcej, a sprzeda w Persji za dwadzieścia. Ponad dwadzieścia tysięcy niewolników wywozi się corocznie z Zanzibaru do Persji, Egiptu, Turcji i jeszcze odleglejszych krajów.

— Targ niewolników — rzekł Stanley.

— A tak, targ niewolników. Niewolnictwo jest prawnie dozwolone w obrębie tak zwanych dominiów sułtana. Jego jedynym podatkiem jest pogłównie od niewolnika. Dochodzi właśnie czwarta godzina. O tej porze zaczyna się targ. Możemy pójść popatrzeć.

Ta propozycja wydała się Stanleyowi gorsząca. Ale — był dziennikarzem.

Na targu oprowadzano tam i z powrotem nagich niewolników, mężczyzn i kobiety, przed ewentualnymi nabywcami i gapiami. Niektórzy niewolnicy byli źle odżywieni, kości sterczały im pod skórą. Byli i tak starzy, że ledwie szli. Były kobiety z dziećmi przy piersi. Wszyscy — od 6 do 60 lat — mieli skórę naoliwioną tłuszczem z orzechów kokosowych, twarze pomalowane w pasy czerwone i białe, a w uszach, nosach, na rękach i nogach klejnoty i bransolety. Kilku niewolników należących do handlarza, uzbrojonych w szable i włócznie, pilnowało wystawionych na sprzedaż, a sam właściciel zachwalał krzykliwie zalety swego towaru podając jego cenę.

Od czasu do czasu z grona przypatrujących się ktoś występował naprzód, a szereg posuwających się przed nim niewolników przystawał. Właściciel podprowadzał wskazanego niewolnika do zainteresowanego, który rozpoczynał dokładne badanie. Sprawdzał sprawność ruchów, mowy, słuchu. Wypytywał właściciela o choroby. Oglądał zęby.

Farquhar przypatrywał się lubieżnie dziewczętom, aż wreszcie zatrzymał szereg, w którym szła pulchna, młodziutka dziewczyna.

— Co pan robisz? — zapytał Stanley, zaskoczony. Szkot szturchnął go w żebra.

— Posiedzimy jakiś czas w Zanzibarze — powiedział. — A to najtańszy sposób, żeby mieć kobietę.

— Zabraniam panu! — wykrzyknął z oburzeniem Stanley. Twarz Farquhara wykrzywił dziwny grymas.

— Zrobię, co zechcę — odparł. — Pan mnie więcej potrzebujesz, niż ja pana, panie Stanley!

Zabrał się do szczegółowego oglądania dziewczyny, a wkoło zebrał się zaraz tłum gapiów. Dziewczyna stała sztywno wyprostowana, patrząc ponad głową Farquhara gdzieś daleko.

Po długich targach Farquhar zapłacił cztery funty, a właściciel obdarł dziewczynę z jej bransolet i kolczyków.

— Dostanę tyle samo albo i więcej, gdy ją odsprzedam — oznajmił Szkot. — Najtańsza konkubina. I będzie jej u mnie lepiej niż u jakiegoś Araba. Nie będę jej bił.

Oburzony Stanley odszedł, a Farquhar zabrał swój nabytek do domu.

Dowódca ekspedycji stał w obliczu tylu trudności i tak skoncentrował całą swoją wolę na dopełnieniu wyznaczonej mu misji, iż nie pozwolił niczemu, nawet cierpieniom młodej murzyńskiej niewolnicy odwieść się z obranej drogi.

Miał teraz do rozstrzygnięcia dwa zasadnicze problemy — co zabrać ze sobą i kto to będzie niósł. Pierwszy problem polegał nie tylko na zakupieniu broni, obozowego ekwipunku i żywności. Należało zabrać towar wymienny, aby móc za niego kupować świeżą żywność i opłacać różnych miejscowych władców za pozwolenie przejścia przez ich terytoria. W 1871 roku dolar był już potęgą w wielu częściach globu, ale w Środkowej Afryce nie miał wartości. Towarem wymiennym były tam paciorki, drut i perkal. Niektóre plemiona przyjmowały tylko czerwone, inne tylko czarne paciorki; gdzie indziej brano paciorki owalne, to znowu małe jak nasiona sezamu albo tak duże jak jaja drozda.

Stanley posłał na poszukiwanie Farquhara, ale były marynarz lepiej umiał kupować murzyńskie niewolnice niż paciorki i wolał czas spędzać ze swą konkubiną, niż w upale cuchnących czosnkiem bazarów. W tej sytuacji dowódca ekspedycji z nieodstępnym Selimem u boku sam przeszukiwał bazy, wybierając takie paciorki, jakie mu Kirk doradził. Kirk polecił Stanleyowi drugiego białego pomocnika, Anglika Johna Shaw, który do niedawna służył jako trzeci oficer na pokładzie amerykańskiego statku, ale miał dość życia na morzu. Był to dwa razy większy od Stanleya, potężnie zbudowany blondyn o niebieskich oczach, okaz zdrowia. Okazał się użyteczniejszy od Farquhara; na przemian wymyślał i żartował, aż zdobył potrzebny towar — paciorki, drut i perkal — płacąc nie więcej, niż jego dwukrotną wartość.

Był to dopiero początek zakupów. Pozostały jeszcze namioty, żywność, lekarstwa, odzież, broń, amunicja i to w ilościach wystarczających wyprawie na dwa lata, tyle bowiem czasu według obliczenia Stanleya mogło upłynąć do powrotu ekspedycji. Prócz tego dostawy dla Livingstone'a. Osiem tysięcy dolarów kosztowały same towary wymienne.

— Strasznie dużo pieniędzy Gordona Bennetta wydaję! — rzekł Stanley do Shawa.

Świeżo zwerbowany uczestnik wyprawy roześmiał się szczerze.

— My, marynarze, wyznajemy taką zasadę: „Słuchaj rozkazów nawet wbrew rozkazodawcy!”

Stanley wziął sobie tę zasadę do serca.

Rozpoczęto werbunek krajowców. I znowu rady Kirka okazały się nieocenione. Gdy później Stanley wyrażał się niepochlebnie o Kirku do Livingstone'a i krytykował go w swoich sprawozdaniach, być może zapomniał w chwili triumfu o tym, ile zawdzięczał człowiekowi, którego — jak mylnie sądził — oszukał co do właściwego celu swej wyprawy.

Nie brak było wyzwolonych Murzynów, którzy zgłaszali gotowość towarzyszenia trzem białym, jako straż zbrojna lub przewodnicy. Sześciu z nich brało już udział w wyprawach z białymi podróżnikami w głąb Afryki, co można było uznać za wielką zaletę, gdyż była nadzieja, że i tym razem szczęśliwie powrócą razem z wyprawą do Zanzibaru. Zwerbowano pięciu askarysów, czyli żołnierzy. Jednemu, imieniem Bombay, powierzono dowództwo nad zbrojnymi i polecono zwerbować jeszcze osiemnastu askarysów. Wśród pozostałych „weteranów” był Mabruki, który, choć znany pod nazwą „twardej głowy”, okazał się inteligentny i lojalny. Bombay miał otrzymywać osiemdziesiąt dolarów rocznie, inni „weterani” czterdzieści, a pozostali krajowcy po trzydzieści sześć.

Pierwsi rekruci zabrali się do pakowania ekwipunku i towarów wymiennych do skrzyń lub worków. Tysiące jardów rozmaitych materiałów należało pociąć na kawałki długości jednego „dhoti”, czyli czterech jardów. Składano je następnie na ziemi jeden na drugim — różnych rodzajów, aby strata jednego pakunku nie pozbawiła wyprawy na przykład perkalu jednego koloru — dopóty nie osiągnięto wagi 68 funtów. Zawinięte w płótno i mocno związane bele miały długość trzech i pół, a średnicę jednej stopy. Bele wsuwano w odpowiednio uszyte worki; wtedy pakunek był już gotowy do niesienia na ramionach „pagazich”, czyli tragarzy. Drut zwijano w krążki wagi sześćdziesięciu funtów i niesiono po trzy krążki na prętach długości pięciu stóp. Bagaże ważyły w sumie ponad sześć ton, nie licząc rozłożonych na części dwóch czółen, których smołowane płócienne boki sporządzone zostały według wskazówek Johna Shaw.

Istniał tylko jeden sposób przeniesienia tych wszystkich bagaży — na ludzkich plecach. Wozy były nie do pomyślenia w wyprawie przez dżunglę. Grasująca w Centralnej Afryce mucha tse-tse, której ukąszenia wywoływały śmiertelną chorobę bydła, wykluczała posługiwanie się wołami. Zakupiono dwadzieścia siedem osłów i dwa konie. Ale pagazich trzeba było wynajmować tuzinami, i to na zapas, licząc się z możliwością strat.

Stanley pracował całymi dniami, kupując, najmując, dozorując pakowania — a planował nocami. *Moja misja znalezienia Livingstone'a* — pisał później — *była bardzo prosta, cel jasny i wyraźny. Musiałem tylko uwolnić mój umysł od wszelkich innych myśli, od wszelkich ziemskich pożądań. (...) Wyłącznie skoncentrowanie się na moim zadaniu pozwoliło mi zapomnieć o tym, co zostawiłem za sobą, o wszystkim, co mogło być w przyszłości.*

Stanley nie był już dezertorem z przyzwyczajenia. Zmieniło go poczucie własnych zdolności, możliwość wyróżnienia się spośród tłumu, wykazania zalet swej indywidualności. Dziennikarstwo dało mu szansę wybicia się i tę szansę chwycił obiema rękami. W młodości był zawsze tylko popychadłem. Teraz miał

nowe pojęcie o życiu, w którym powodzenie lub klęska zależały w największej mierze od jego wysiłku, umiejętności i determinacji.

Próbował pociągnąć innych przykładem swojego zapału i pracowitości. Wierny Selim i niektórzy Murzyni, pod przewodnictwem Mabrukiego, poszli w jego ślady. Natomiast z goryczą i poczuciem własnej winy zaczęli pojmować, dlaczego Farquhar i Shaw opuścili marynarkę: obaj byli skończonymi leniami, pozbawionymi ambicji, szukali tylko rozrywek i przyjemności, i zapewne nie mieli nadziei na jakikolwiek awans. Licząc na to, że wyprawa zawróci po krótkiej eskapadzie w głąb dżungli, zażądali z góry od Stanleya sporej części sumy z należnej im gaży. Tymczasem wodza wyprawy niecierpliwiła każda zmarnowana godzina. Nadchodziła pora deszczowa, a z nią groźba wezbranych rzek, zalanych równin i chorób. Stanley zamierzał przebyć możliwie dużą część drogi, zanim chmury zaczną nabrzmiwać i pękać.

Wreszcie, w miesiąc po przybyciu do Zanzibaru, Stanley rozstrzygnął te problemy, które można było rozstrzygnąć na miejscu. Większość pagazich mógł wynająć dopiero na stałym lądzie afrykańskim. Załadowano bagaże na cztery dhow, nie czekając na pomoc dwóch białych towarzyszy, którzy nie pokazali się przez cały ranek. W południe miano odpłynąć z Zanzibaru. Do portu przyszedł konsul Kirk, by pożegnać Stanleya i jego wyprawę. Nie można było oczekiwać ścisłej punktualności, ale przed pierwszą wszystko było gotowe — prócz Farquhara i Shaw'a. Ci się nie zjawili.

— Jadę bez nich! — rzekł z irytacją Stanley do konsula, zapominając, że tylko Shawa zawdzięcza jego rekomendacji. — I tak mi się na nic nie przydadzą, jeżeli w ten sposób wyobrażają sobie swoją pomoc!

— W wyprawie o takich rozmiarach będzie pan potrzebował pomocy białego człowieka — powiedział spokojnie Kirk.

Selim przysunął się do Stanleya i szepnął mu do ucha:

— Ja wiem, gdzie ich znaleźć, panie. Proszę mi tylko dać Bombaya, Mabrukiego i trzech askarich.

— Weź ich i idź! — burknął Stanley. Zirytowany, nie zastanowił się wcale, po co Selimowi potrzeba sześciu ludzi. — Będę czekał godzinę. Nie dłużej.

Niecierpliwie uderzając laską o swe buty, Stanley chodził tam i z powrotem, a Kirk początkowo próbował mu towarzyszyć i uspokajać, później dał spokój i stał opodal, rozmyślając z niepokojem o porywczosci tego człowieka, który szedł z ludźmi, wymagającymi cierpliwego i umiejętnego traktowania, a jednocześnie podziwiał jego dynamiczną energię.

— Jeszcze pięć minut — rzekł Stanley. — Pięć minut i odpływamy. Kto chce, może iść za nami na własną rękę!

Właśnie gdy to mówił, Murzyni ukazali się, biegnąc prawie. Nieśli za nogi i ramiona dwóch białych ludzi.

Stanley rzucił jedno spojrzenie na skandaliczną kondycję swoich pomocników.

— Ciśnijcie ich na pokład — rzekł twardo.

— Nie, tak nie można — zaprotestował Kirk. — Nie może pan pozwolić, aby czarni w ten sposób traktowali białych. Pańscy oficerowie ściągnęli na siebie już dość upokorzenia — tyle, że może nigdy nie odzyskają autorytetu w oczach ludzi, którymi mają dowodzić.

Wściekły, Stanley zrozumiał jednak punkt widzenia konsula. Kazał rozpakować jeden starannie przygotowany pakunek i ułożył obu białych na wygodnych postaniach.

— Gdzie ich znalazłeś? — spytał Selima.

— W szynku, panie. Wiedziałem, że tam poszli wczoraj wieczorem, panie.

— Przepuszczali pieniądze, które Farquhar dostał za sprzedanie tej swojej czarnej konkubiny — powiedział Stanley do Kirka.

Krótko, bez podziękowań, Stanley pożegnał się z konsulem. Arabskie stateczki odbiły od brzegu, by przebyć dwadzieścia mil, dzielących wyspę Zanzibar od lądu.

Przewodnicy i askarysi spoglądali na zbliżający się brzeg afrykański bez szczególnych emocji. Dla nich ekspedycja była tylko sposobem zarobkowania. Stanley niecierpliwił się, chciał już jak najprędzej znaleźć się na lądzie, ruszyć w pochód. Jego dwaj biali pomocnicy leżeli bez czucia, pogrążeni w twardym, pijackim śnie.

Zdenerwowanie Stanleya ustąpiło dopiero na widok miasta Bagamoyo, w którym mieli wylądować. Wzdłuż brzegu wznosiły się pióropusze palm kokosowych, a za nimi ogromne drzewa, okryte kwieciami o jaskrawych odcieniach szkarłatu, purpury i czerwieni. Nie było tu właściwej przystani. Korallowa rafa załamywała napór fal, a szeroka plaża łagodnie wznosiła się w głąb lądu. Arabskie dhawy korzystały z przyptywu, by wplynąć możliwie najdalej. Marynarze wydobyli rodzaj noszy z zamiarem zniesienia trzech białych na ląd.

— Zabierzcie tamtych dwóch — rzekł im Stanley. — Ja zaczekam na odpływ i sam pójdę.

Marynarze spojrzeli na niego zdumieni, ale wyraz jego twarzy był stanowczy. Dowódca wyprawy bał się po prostu — chociaż znoszenie pasażerów było zwykłą procedurą w Bagamoyo za owych czasów — aby nie pomyślano, że jest on w takim samym stanie otępiatego pijaństwa, jak jego dwaj biali oficerowie.

Podczas odpływu dhawy podparto z obu stron palami z drzewa mangowego, a Murzyni wraz z wynajętymi tragarzami, brodząc po płytkiej wodzie, jęli znosić na brzeg bagaże. Stanley zszedł sam na suchy ląd w Bagamayo, mieście o poetycznej nazwie, która oznacza „Zdejm ciężar z twego serca”. Za miasteczkiem uroczy widok z oceanu zmieniał się w niegościnną przestrzeń pustyni, z rzadka porośniętej karłowatymi krzewami. Na pierwszym planie widniały ubogie przedmieścia: małe jak pudełka nędzne domki o płaskich dachach, zbudowane z pali i oblepione gliną. Dalej na pustynnej równinie tu i ówdzie rosły ogromne, podobne do beczek baobaby, barwy skóry stonia, z rozgałęzionymi rogami zamiast konarów.

Stanley nie mógł jednak zdjąć ciężaru ze swego serca w Bagamojo. Arabscy pośrednicy, którzy podjęli się dostarczyć mu pagazich, wzięwszy z góry pieniądze, przyszli, aby mu powiedzieć, że zostali

okradzeni, po czym zażądali więcej pieniędzy, niż przewidywała umowa. Minęło jeszcze sześć długich tygodni, nim Stanley zdołał zebrać wszystkich ludzi, których potrzebował, by pójść szlakiem handlarzy niewolników aż do Udżidzi nad jeziorem Tanganika, skąd po raz ostatni nadeszły wieści o Livingstone. Stanley już nie czynił sekretu z celu swej wyprawy.

Wreszcie dnia 21 marca 1871 roku, mając u boku Selima, Shawa i Farquhara, Stanley mógł patrzeć na swoją karawanę, wyruszającą z Bagamoyo. Na czele szedł czarny, lśniący olbrzym, „kirangozi”, czyli przewodnik, imieniem Asmani, niosąc rozwiniętą flagę amerykańską.

Gdy przed pięciu laty, prawie co do dnia, człowiek, którego Stanley chciał odnaleźć, opuszczał Bagamoyo, miał ze sobą zaledwie czterdziestu przewodników i tragarzy, którzy nieśli nieco zapasów i minimalną ilość broni. Stanley miał 189 ludzi, włącznie z dwoma Brytyjczykami. Pagazi nieśli pięćdziesiąt beli materiałów, szesnaście ładunków z paciorkami, siedem ładunków drutu, dwadzieścia ładunków rozłożonych na części łodzi, trzy ładunki z namiotami, cztery ładunki z bagażem osobistym, dwa ładunki z naczyniami kuchennymi i stołowymi — włącznie z dwoma srebrnymi pucharkami, z których Stanley zamierzał pić za zdrowie Livingstone'a — jeden pakunek lekarstw, osiem ładunków amunicji, trzy pakunki z narzędziami i zapasami żywności dodatkowej — włącznie z butelką szampana, którym miano napełnić srebrne pucharki — i jedną wannę, którą sługa Livingstone'a, Suzi, miał później określić jako „puste, przewrócone do góry nogami pudło”.

Gdy karawana przeszła, Stanley — nazywany przez swoich ludzi Bwana Makuba, co oznaczało „Wielki Pan” — pośpieszył naprzód by zająć swoje miejsce na jej czele. Mijając sprawdzał porządek pochodu. Farquhar nadzorował pagazich. W środku długiego, krętego węża karawany znajdował się Bombay z dwunastoma askarysami i osiołkami, które niosły części dwóch łodzi. Shaw zamykał pochód z resztą zbrojnych askarysów. Stanley konno — „kronikarz, myśliciel i wódz wyprawy”, jak o sobie pisał — zajął miejsce na czele, z Selimem u boku, tuż za hebanowym olbrzymem, przewodnikiem Asmanim.

Można przypuszczać, iż Stanley więcej ufał sile niż inteligencji. Wyposażył siebie i swoją ekspedycję w jedną wiatrówkę, dwa sztucery, cztery strzelby, osiem pistoletów, dwadzieścia cztery muszkiety, dwa miecze, dwa sztylety, dzidę, dwadzieścia cztery siekiery, topór wojenny i dwa tuziny długich noży. Tak zaopatrzony uważał, że będzie mógł złamać każdą przeszkodę stojącą mu na drodze. Ekwipunek jego świadczył o różnicy usposobienia między nim, twardym Henrykiem Mortonem Stanleyem a łagodnym, szlachetnym człowiekiem, którego szedł szukać. Livingstone unikał przelewu krwi i wołał mieć w ręku sekstans i ołówek do kreślenia map niż strzelbę. Ale też Livingstone nigdy nie szedł na czele ekspedycji, hojnie finansowanej jako dziennikarska sensacja.

Rozdział IX

ZWYCZAJNY DZIEŃ MARSZU

Było jeszcze ciemno, powietrze przejmowało wilgotnym chłodem, gdy głosy ptaków wśród mangrowi i palm kokosowych oznajmiły nadejście świtu. Stanley obudził się w swoim namiocie do nowego dnia, dnia zwyczajnego, z codziennymi kłopotami i trudnościami. Krzyknął na Selima, który spał razem z Mabrukim i Asmanim w pobliskim szałasie z trawy. Do obowiązków Selima należało budzić pana, ale choć wierny i oddany młody Arab był śpiochem, w dodatku bywał znużony całodziennym marszem. Tak więc Stanley zwykle budził się pierwszy.

Obciążając pasiaste, bawełniane ubranie, w którym spał, Selim ukazał się u wejścia do namiotu. Stanley wchodził już do wanny, napełnionej poprzedniego dnia wodą.

— Obudź pana Farquhara i pana Shawa — polecił Stanley. W chwilę później Selim wrócił.

— Mówią, że są zmęczeni i nogi ich bolą, panie. Nie wstaną.

— Powiedz im, że za piętnaście minut mają się u mnie zameldować — odparł Stanley.

Nie ogolony, roztargany, przecierając zaspane oczy, Shaw zjawił się jednak. Stanley, ubrany i wyświeżony, zaczął natychmiast wydawać instrukcje na dzień marszu, spoglądając co chwila na zegarek. Gdy minęło piętnaście minut, a Farquhara nie było, Stanley przerwał w pół słowa i dużymi krokami wyszedł z namiotu.

Strażnik arabski, zwrócony ku wschodowi, odprawiał modły, wezwany przez tego samego „muezzina drzew”, który obudził Bwana Mkubę. Pagazi przeciągali się wokół ognisk obozowych, próbując wytrząsnąć wilgoć ziemi ze swych kości. Stanley wszedł do namiotu Farquhara.

— Czas w drogę — rzekł szorstko.

— Jestem chory — zamruczał Farquhar. — Nogi mnie bolą. Wyjdę później i dogonię karawanę.

— Mówisz to pan każdego ranka!

— Ale dzisiaj mówię prawdę — jęknął Farquhar.

— A skąd ja mam wiedzieć, czy to prawda, czy nie? — odparował Stanley. — Pewnoś pan wczoraj wieczór za długo z butelką siedział!

Mówiąc to ujął brzeg polowego łóżka i wyrzucił Szkota na ziemię.

Powróciwszy do swego namiotu dalej wydawał instrukcje Shawowi, gdy Mabruki wniósł trzy porcje gorących płatków owsianych i trzy kawy — wszystko podane na dobrej, gustownej porcelanie. Usiedli do śniadania; porcja trzeciego stygła. Wreszcie zjawił się Farquhar, szary na twarzy, z podkrążonymi oczyma.

— Moje nogi — poskarżył się. Bolał okropnie.

Stanley bez słowa wskazał mu talerz owsianki i kawę. Farquhar wypił kawę chciwie, owsiankę odsunął. Stanley podszedł do podręcznej apteczki i odmierzył hojną porcję chininy, którą kazał Farquharowi wypić.

Byli już miesiąc w marszu, idąc od jednej wioski murzyńskiej do drugiej szlakiem arabskich handlarzy, po jałowych sawannach, wśród gęstych zarośli i nieprzebytych gąszczy mimozy, przez strumienie i rzeki, których brzegi porastała gęsta dżungla, gdzie barwnie upierzone ptaki przypatrywały się z ciekawością przechodzącej karawanie i z wrzaskiem przelatowały z gałęzi na gałąź. Dniem upał i wilgoć wysysały ich siły — nocą plaga mrówek odbierała sen.

— Czas na apel, Farquhar — oznajmił Stanley.

— Apele nie dla chorych — burknął Szkot, ale wyszedł z namiotu.

Stanley i Shaw wyszli również. Askarysi i pagazi stali wyciągnięci w podwójny szereg przed Bombayem i Asmanim. Bombay wywoływał nazwiska. Od czasu do czasu nazwisko pozostawało bez odpowiedzi. Bombay powtarzał nazwisko: nie otrzymawszy odpowiedzi, odwracał się i patrzył pytająco na Stanleya.

— Co on niósł? — pytał rzeczowo Stanley.

— Belę perkalu — odrzekł Farquhar.

W trzech wypadkach nie znaleziono pakunku, co oznaczało, że pagazi zdezerterowali, zabierając ze sobą część cennych bagaży. W dwóch innych wypadkach pakunki leżały przy ognisku; oddano je rezerwowym tragarzom.

— Jak tak dalej pójdzie, nie wystarczy nam ludzi do niesienia ładunków. Będziemy musieli pozostawiać to, czego oni nie ukradną — zauważył Stanley.

— Powiedz, niech się szykują do drogi — rozkazał Shaw Selimowi. Gdy rozkaz powtórzono, wywiązała się codzienna kottowanina, bo każdy pchał się, by zabrać lżejsze pakunki. Silniejsi odpychali słabszych, którzy pozostawali z najcięższymi ładunkami. Tymczasem Shaw i askarysi podpalali szałas, które wielu Murzynów budowało sobie na noc.

Wreszcie Asmani poprowadził karawanę na zachód, za nim Stanley z Selimem. Farquhar włókł się obok pagazich, a Shaw zamykał pochód, popędzając grupę Murzynów tak wycieńczonych dyzenterią, że nie mogli nieść już żadnych ciężarów. Każdy z askarysów niósł muszkiet, miecz lub długi nóż, sakwę skórzaną na pasie i duży róg z prochem.

Wilgotne mgły unosiły się w górę i rozprasały, upał z każdą chwilą stawał się coraz intensywniejszy. Murzyni śpiewali, zawodzili, gwizdali i pokrzykiwali, gdyż hałas miał głosić miejscowym plemionom potęgę bojową karawany.

Posłyszawszy krzyki innego rodzaju dowódca wyprawy obrócił się nagle. Kilku tragarzy pędziło po sawannie porzuciwszy ładunki. Inni zdejmowali właśnie ładunki, by popędzić w ślad za tamtymi. Stanley skręcił konia i pognął wzdłuż linii, z której wybiegało coraz więcej pagazich. Farquhar siedział na głazie z głową na rękach, na końcu karawany siedli również chorzy Murzyni, a Shaw i Bombay nawoływali bezskutecznie biegnących tragarzy.

— Zając — odrzekł lakonicznie Farquhar na zirytowane pytanie Stanleya.

— Stu pięćdziesięciu ludzi ściga jednego zająca?! — wybuchnął Stanley.

Nikt mu nie odpowiedział. Podobne sceny zdarzały się prawie co dzień.

Czterech Murzynów pędzących na czele rzuciło się na ziemię, jak by dawali nurka. Inni dopadli ich i w chwilę później widać było tylko gmatwaninę gwałtownie poruszających się czarnych nóg i ramion. Spod spodu wypełzło paru szczęśliwców, gryząc jeszcze resztki surowego zająca i wypluwając sierść. Inni wrywali im kawałki mięsa, jak kury, odbierające dżdżownicę towarzyszcę.

Tragarze wracali, uśmiechnięci i z ociąganiem podnosili ładunki.

— Powiedz im, że następnego, który wyłamie się z szeregu i rzuci ładunek, zastrzelę na miejscu — rzekł Stanley do Selima.

— To jedyny sposób — zgodził się Shaw i szpicrutą zaczął zaganiać opieszałych.

W chwili, gdy karawana ruszała dalej, drugi zając wyrwał się zza kępy zarośli i pognął przez odsłonięte pole. Kilku Murzynów rzuciło już swe ładunki, ale zanim zaczęło się polowanie, Stanley zabił zająca jednym celnym strzałem.

— Przynieś mi go — rozkazał Mabrukiemu. — Przytroczę go do mego siodła.

Celny strzał otrzeźwił nieco pagazich. Wędrowali dalej, podśpiewując rytmicznie, choć niezbyt melodyjnie.

W tym kraju, i z taką karawaną, można było się nie obawiać monotonii. Na każdym kroku czyhały nowe niebezpieczeństwa, pojawiały się nowe problemy, wymagające odwagi i szybkiej orientacji.

Wkrótce po zdarzeniu z zającem, czterej askarysi wyznaczeni tego dnia na zwiadowców przybiegli z wiadomością, że na szlaku przed karawaną znajdował się spory strumień.

— Nie pierwszy — rzekł krótko Stanley. — Przepawimy się i przez ten.

Przedzierali się przez gęstą dżunglę, gdzie węże wyglądały ku nim z zarośli, przestraszone hałasem, jaki wzniesli pagazi. Asmani zsunął się po błotnistym zboczu do strumienia, który okazał się rzeką tak głęboką, że woda sięgała piersi i ponad sześć metrów szeroką. Stanley zjechał konno — za nim Selim — i bacznie przepatrywał burą powierzchnię wody, szukając podejrzanie wyglądających „pni”. Na drugim brzegu zsiadł z konia i oddawszy cugle Selimowi stanął z gotową do strzału strzelbą na najwyższym wzniesieniu, skąd miał pod obstrzałem cały bród.

— Każ przechodzić! — krzyknął do Farquhara.

Ale Szkot nie słyszał. Siadł na pniu zwalonego drzewa, głowę opuścił na piersi, ręce zwiśły mu bezwładnie między kolanami.

Mabruki wydał rozkaz pagazim. Niektórzy weszli w wodę, ze strachem spoglądając w górę i w dół rzeki. Inni ociągali się, aż nadszedł Shaw z tylną strażą askarich i zagroził im szpicrutą. Stanley stał nieporuszony, żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy, tylko oczy śledziły bez przerwy powierzchnię wody. Raz wszedłszy na bród, Murzyni śpieszyli jak mogli, ale prąd był silny, a rękoma nie mogli sobie pomagać, gdyż przytrzymywali ładunki, umieszczone teraz na kędzierzawych głowach. Chwiali się, potykali, odzyskiwali równowagę, niektórzy z nich zanurzając przy tym ładunek w wodzie. Gdy to się zdarzyło, Shaw i Mabruki krzyczeli i wymyślali. Ale wreszcie ostatni pagazi wylazł na przeciwległy brzeg, rzucił na ziemie ładunek i siadł na nim. Do wody wszedł Mabruki, a za nim Bombay z oddziałem askarysów.

Stanley wpatrywał się w „pień drzewa” w pobliżu Mabrukiego. Przecież tego pnia tam przedtem nie było! Podniósł strzelbę do ramienia. Ale to z pewnością pień! W tej chwili pień poruszył się i zanurzył. Mabruki wrzasnął, Stanley nacisnął cyngiel. Mabruki potknął się i pobiegł dalej. Bombay, tuż za nim, cofnął się gwałtownie w ramiona następnego askarysa. Czerwona plama ukazała się na wodzie w miejscu, gdzie był Mabruki, w momencie gdy Stanley strzelił. Na powierzchnię wypłynął krokodyl, brzuchem do góry. Mabruki był już na brzegu, tamując krew, która płynęła z rozciętego zębami bestii uda. Stanley strzelił w tył głowy krokodyla w chwili, gdy jego szczęki miały się całkowicie zawrzeć.

Rozpakowano skrzynkę z podręczną apteczką, z której Stanley wydobyl bandażę, lekarstwa, a opatrzywszy ranę dał Mabrukiemu, który doznał szoku i teraz trząsł się cały, porcją mocnego trunku. Shaw wylazł z trudem na brzeg, dźwigając Farquhara na plecach. Pagazi, siedząc na swoich ładunkach, śpiewali przeciągle i żałośnie. Stanley, znający już nieco język Swahili, podstawę wszystkich dialektów Środkowej Afryki, zrozumiał słowa pieśni, opiewające niebezpieczeństwa życia pagazich.

Z takimi codziennymi przeszkodami i opóźnieniami karawana wlokła się powoli: w ciągu ostatnich pięciu godzin posunęła się zaledwie o dziewięć mil. Było już prawie południe, straszny tropikalny upał stał się nie do zniesienia zarówno dla białych, jak i czarnych. W ciągu następnych dwóch godzin można było się spodziewać, że temperatura wzrośnie nawet do 128° F. (Odpowiada około 46°C.) przy atmosferze wilgotnej i dusznej klimat ten wysysał wszelką siłę z organizmu ludzkiego i osłabiał wolę każdego, mniej upartego od Stanleya. Owady wszelkich gatunków, jakie tylko można sobie wyobrazić, dokuczały w dzień, a nocą uniemożliwiały sen, gdyż trzeba było bezustannie osłaniać usta, uszy i oczy przed ich natręctwem.

Bombay, zawsze ponury i jak by niechętny, chociaż ludzi swoich trzymał w dobrej dyscyplinie, poszedł ze zwiadowcami naprzód, by wyszukać odpowiedni teren na obóz. Jakoż po chwili przysłał człowieka z wiadomością, że o milę dalej, za lasem, w którym znajdowała się karawana, leży wioska. Bombay z askarysami obszedł wieś dookoła, by zapobiec ucieczce mieszkańców. Manewrowano w ten sposób dlatego, że zwykle na widok zbliżającej się karawany tubylcy w obawie przed handlarzami niewolników, uciekali zabierając ze sobą żywność.

Gdy Stanley wyjechał z dżungli na otwartą przestrzeń, ujrzał, jak zza palisady otaczającej wieś, wychodziła niewielka procesja. Na jej czele szedł wódz wioski z kawałem szkarłatnej materii na ramionach i wysokim pióropuszem z zielonych i żółtych piór we włosach. Mężczyźni byli zupełnie nagi, lub też nosili jedynie przepaskę na biodrach; twarze mieli wszyscy umalowane w czerwone i białe pasy. W rękach dzierżyli dzidy. Kobiety w spódnicach, nagie do pasa, niosły dzieci na plecach lub wsparte na biodrze. Za tym pochodem postępował Bombay i jego askarysi z gotowymi do strzału muszkietami. Między nimi szło sześć prawie nagich młodych dziewcząt.

Wódz przystanął o parę kroków przed Asmanim i amerykańską flagą. Stanley również zatrzymał karawanę. Pagazi wykorzystując skwapliwie okazję od razu zrzucili swe pakunki i usiadłszy na nich oczekiwali wyników pertraktacji. Shaw szedł wzdłuż kolumny, by przyłączyć się do Stanleya. Po drodze zabrał ze sobą wyczerpanego i gorączkującego Farquhara.

— Przychodzimy z pokojem — zaczął Stanley. — Potrzebujemy ziarna i wszelkich jarzyn i owoców, jakie macie. Za wszystko zapłacimy perkalem albo paciorkami.

— Ile nam dacie? — zapytał wódz. Był to odważny człowiek. Wiedział dobrze, że w ostateczności askarysi rozstrzygną muszkietami sprawę ceny.

— To zależy od tego, co nam dostarczycie — odrzekł Stanley.

Wódz wydał rozkaz kilku swoim ludziom, którzy zawrócili do wsi w towarzystwie sześciu askarysów, wystanych przez Bombay a.

Shaw i Farquhar dotarli tymczasem do czoła karawany.

Askarysi podprowadzili do nich dziewczęta. Shaw obejrzał je i wybrał jedną dla siebie.

— A ty, którą chcesz? — zapytał Farquhara.

Rudobrody Szkot już nie interesował się dziewczętami. Potrząsnął głową.

— Weź lepiej którąś, żeby się tobą opiekowała — poradził mu Shaw, i wybrawszy drugą dziewczynę kazał askarysom pozostałe uwolnić.

Dowódca wyprawy nie protestował już przeciw tym zwyczajom, budzącym w nim niesmak. Nie chciał, aby go dwaj biali opuścili. Shaw był mu bardzo pomocny, utrzymywał karawanę w ładu, popędzał maruderów, poganiał skłonnych do częstego odpoczynku pagazich.

Tymczasem powrócili Murzyni z kosztami ziarna i owoców oraz z sześcioma koźlętami. Rozpoczęły się targi. Stanley zaproponował perkal i paciorki. Wódz zgodził się na paciorki, ale zażądał drutu. Stanley ocenił prowiant i zaproponował w zamian odpowiednią ilość towarów. Wódz odrzekł, że to za mało, ale zdradził własną niepewność, spoglądając ukradkiem na stojących wokół askarysów. To było wystarczającym sygnałem dla Stanleya. Oznajmił, że więcej nie da. Wódz skapitulował, przynajmniej otwarcie:

— Ja mogę się tylko zgodzić. Mam za mało wojowników i w dodatku samych chłopców. Dorosłych zabrał na wojnę nasz wielki wódz.

Rozkazawszy rozbić namiot dla Farquhara, którego wreszcie uznał za chorego, Stanley poszedł z Selimem i Mabrukim na polowanie, aby przynieść coś pożywnego dla Szkota.

Strzelba jego przemawiała z dala i w godzinę później powrócił z kilkoma przepiórkami. Tymczasem wzniesiono wokół obozu karawany rodzaj ogrodzenia z kolczastych gałęzi, a wewnątrz szereg szałasów z trawy i namioty dla białych ludzi.

Upał obezwładniał. Nawet Stanley wszedł z ulgą do namiotu, gdzie zabrał się do pisania swego dziennika. Tu również odbył naradę z Shawem w sprawie jutrzejszych zajęć i choroby Farquhara.

O godzinie czwartej po południu, gdy upał złagodniał nieco, podano obiad — mięso koźlece i gotowane proso dla Murzynów, zająca i przepiórki dla białych. Farquhar nie wstał i leżąc sam w namiocie skubał przepiórkę.

Po napisaniu listów, które zamierzał wysłać przez pierwszą napotkaną karawanę, zdążającą w kierunku Zanzibaru, do Paryża i Nowego Jorku, Stanley poszedł w stronę namiotu, który Farquhar zajmował razem z Shawem. Było już ciemno. Wysoka sylwetka Shawa rzucała chybotliwy cień od świecy na ścianę namiotu. Dwaj mężczyźni rozmawiali. Stanley przystanął i słuchał. Nie uważał tego za rzecz niewłaściwą. Może usłyszy coś, co zaważy na losach wyprawy.

— On nie dba o żadną ludzką istotę — mówił Farquhar.

— Nie może sobie na to pozwolić — odpowiedział Shaw. — W takiej wyprawie silny przeżyje, a słaby...

— Miły jesteś — jęknął Farquhar. — Ja się czuję okropnie.

— Przepraszam cię. Ale nie możesz go za to winić. On ma swój cel, któremu wszystko musi być podporządkowane.

— Chcesz powiedzieć: wszyscy. Służyłem pod różnymi zwierzchnikami, ale on jest najsurowszy, najbardziej bezwzględny, jakiego spotkałem. On zostawi i mnie, i ciebie, byśmy zdechli na szlaku, jeżeli nam sił nie starczy.

Stanley zawrócił i odszedł cicho. Nagle usłyszał wołanie Shawa, po czym dwie młode Murzynki wsunęły się do namiotu białych.

Murzyni, siedząc wokół ognisk obozowych, śpiewali do wtóru głuchym uderzeniom samotnego bębna. Stanley rozejrzał się za askarysem, który miał trzymać straż. Nie było go widać. Krzyknął więc na Bombaya. Nikt mu nie odpowiedział. Nagle, jakby wyrósł spod ziemi, zjawił się Selim.

— Odszukaj mi Bombaya i wartownika — rzekł Stanley. — Oni są w wiosce, panie. Z kobietami.

Stanley tupnął nogą w złości. Jak mógł rozkazać askarysom, by wrócili, skoro Farquhar i Shaw mieli dziewczęta w swoim namiocie? Ale obóz był bez straży. Wziął strzelbę ze swego namiotu i przez całą

noc krążył wokół kolczastego ogrodzenia. Przed świtem zjawili się askarysi z Bombayem, próbując ukradkiem wśliznąć się do obozu.

— Myśmy posłyszeli, że wódz przygotowuje napaść — kłamał Bombay. — Poszliśmy, żeby temu przeszkodzić.

— Ty jesteś odpowiedzialny za wszystkich żołnierzy — rzekł Stanley. — Jeżeli znowu zobaczę, że któryś z nich opuścił wartę, ciebie za to zastrzelę. Obiecuję ci to.

Gdy odszedł, Bombay zamruczał do siebie:

— On ciągle komuś grozi, że go zastrzeli!

Dowódca askarysów nie zdawał sobie sprawy, że Stanley nie zawaha się przed zrealizowaniem swej groźby.

Następnego ranka Shaw przyszedł z wiadomością, że Farquhar jest bardzo chory i nie może iść.

— Tak. I ja tak sądzę — odrzekł Stanley.

— Jest naprawdę chory — potwierdził Shaw. — Bredzi przez sen.

— Na jawie też bredzi! — burknął Stanley przypominając sobie podsłuchaną poprzedniego wieczora rozmowę.

Po kąpieli, „kronikarz, myśliciel i wódz” w jednej osobie poszedł do Farquhara, którego zastał w łóżku wybladłego i słabego.

Stanley nie ufał dobrej woli ani entuzjazmowi swych białych współtowarzyszy, ufał jednak własnym oczom. Bez słowa wyjął z kieszeni termometr i włożył go w usta chorego. Farquhar posłusznie się temu poddał, zadowolony, że nareszcie dowódca traktuje poważnie jego chorobę. Stwierdziwszy, że rudowłosy Szkot ma wysoką gorączkę, Stanley zapytał:

— Masz pan jakieś bóle?

— Głównie nogi mnie bolą — rzekł Farquhar. — Jestem bardzo chory. Będzie pan musiał dać mi tuzin pagazich i paru askarysów, żeby mnie odstawili z powrotem do Zanzibaru.

— Niemożliwe — odparł Stanley. — Już i tak za wiele tracimy ludzi. Dezercje i choroby.

Obejrzał nogi chorego. Były spuchnięte.

— Trzeba będzie pana nieść — oznajmił.

— Ależ to na nic — zaprotestował Farquhar. — Ja nie wyzdrowieję przez to, że będę się oddalał od Zanzibaru!

— Ja wiem, że pan chcesz wrócić — odparł Stanley. — Moim obowiązkiem jest jednak iść naprzód i prowadzić za sobą tych, za których wziąłem odpowiedzialność.

— Gdybyś pan więcej myślał o ludziach, a mniej o swoich obowiązkach... — zaczął Farquhar, ale Stanley wyszedł już z namiotu. Nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że Farquhar zachorował jemu na złość.

W dwa dni później nadeszła pora deszczowa. Rzeki i strumienie wezbrały, przeprawy trwały godzinami. Nosze Farquhara trzeba było przeciągać na linach. Ładunki również przeciągano z brzegu na brzeg. Murzyni, którzy nie umieli pływać, przesuwali się na rękach po tej samej linii. Ci, którzy szli w bród, tracili grunt pod nogami w błotnistej wodzie i przewracali się w bystry nurt. Szlak zmienił się teraz w grzęzawisko, na którym tragarze z ładunkami ślizgali się, potykali, przewracali i nie chcieli wstawać. Stanley zsiadł z konia, kazał na niego włądownąć pakunki czterech ludzi i oddał go pod opiekę „twardogłowego” Mabrukiego. Sam wziął na siebie obowiązki Farquhara, chodząc bez ustanku wzdłuż kolumny tam i z powrotem, poganiając pagazich, podnosząc siedzących, wkładając porzucone ładunki z powrotem na plecy. Tempo marszu spadło do pięciu mil na dzień.

— Jeżeli będziemy iść tak wolno — zauważył z desperacją Stanley do Shawa — to zanim odnajdziemy Livingstone'a, staniemy się żebrakami!

— Mamy nie tylko własne zapasy żywności, ale i przeznaczone dla Livingstone'a — przypomniał Shaw.

Ta sugestia zgorszyła Stanleya.

— Co? Odnaleźć go z próżnymi rękoma? Wpierw się zagłodzę, nim cokolwiek ruszę z tego co jest przeznaczone dla Livingstone'a! I strzelę w łeb każdemu, kto tego popróbuje!

W miarę, jak dni mijały w marszach pod deszczem, w przemoczonych odzieży, która obcierała boleśnie skórę, wśród Murzynów zaczęły pojawiać się wypadki elephantiasis. Ospa, którą zarazili się w jakiejś wiosce, zabrała już dwóch askarysów i trzech tragarzy. Dostał febry Stanley, ale zmuszał się do maszerowania, wlokąc nogę za nogą, zbyt chory, by poganiać pagazich, którzy w ostatecznym znużeniu siadali przy szlaku, ale również zbyt uparty, by zgodzić się, żeby go niesiono na noszach.

Tragiczny widok wstrząsnął nim i otrzeźwił, przynajmniej chwilowo. Wyprawa spotkała karawanę handlarzy niewolników, prowadzącą przeszło trzystu nieszczęśników w stronę wschodniego wybrzeża. Byli powiązani liną od szyi do szyi; silniejsi i bardziej nieposkromieni mieli dodatkowo szyje uchwycone w drewniane jarzma, a ręce przywiązane do długiej, łączącej ich żerdzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci, szli tak, popędzani brutalnie przez strażników, którzy końcami szabel kłuli kuśtykających na oślep naprzód.

Znużeni Murzyni Stanleya patrzyli ze współczuciem — być może rozmyślając nad tym, że podobną wędrówkę z puszczy afrykańskich odbyli niegdyś ich rodzice — wdzięczni, że biali panowie i zbrojni strażnicy chronią ich samych od przyłączenia do tej tragicznej karawany.

Wprawdzie Stanley był przygotowany na takie spotkanie, ale teraz widok prowadzonych niewolników wstrząsnął nim. Gdy tak patrzył na karawanę, z wolna oddalającą się ku wschodowi, przyszło mu do głowy, że oto nadarza się doskonała okazja pozbycia się Farquhara. Zaproponował mu, że pośle go z karawaną handlarzy niewolników.

— Dobrze — zgodził się Farquhar — jeśli mi pan dasz moich tragarzy i dwóch askarysów dla opieki. Inaczej tamci poderzną mi gardło.

Stanley nie zgodził się jednak na uszczuplenie swoich i tak zdziesiątkowanych sił. Natomiast agent arabskich przedsiębiorców, który był na czele karawany, zgodził się zabrać listy Stanleya do konsula Kirka w Zanzibarze.

Gdy karawana z niewolnikami już znikła, wyprawa idąc naprzód napotykała codziennie jej tragiczne ślady: chorych i umierających, kobiety i mężczyzn. Człowiek, który nie zgodził się poświęcić kilku tragarzy, by zabrali chorego współtowarzysza do Zanzibaru, i sam będąc tak chory, że ledwo mógł iść, teraz rozkazał zatrzymać karawanę, aby wspólnie z Shawem, Mabrukim i Selimem udzielać pomocy nieszczęśnikom, nad których głowami krążyły już sępy.

Pilnie lecząc się wielkimi dawkami chininy, Stanley powoli powracał do zdrowia. Natomiast jego koń padł ofiarą straszliwej muchy tse-tse. Stanley kazał pogrzebać zwierzę w pewnym oddaleniu od obozu. Następnego ranka, zanim wyprawa ruszyła w dalszy pochód, przybył do Stanleya wódz wioski w otoczeniu starców, by zaprotestować.

— Nie macie prawa grzebać końskiego ścierwa na mojej ziemi — poskarżył się. — Żądam dwóch dhoti perkalu jako odszkodowania.

— Czy ty jesteś wielkim wodzem? — zapytał Stanley, opanowując złość. Postanowił sobie politykować.

— Jestem.

— Wielkim, wielkim wodzem?

— Jestem.

— A ilu masz wojowników? — przepytывał dalej Stanley.

— Żadnego.

— O! A. ja myślałem, że masz bardzo wielu wojowników, skoro ośmielasz się żądać od potężnych białych ludzi, którzy mają pod dostatkiem strzelb i askarysów, dwóch dhoti odszkodowania za pogrzebanie zdechłego konia. Dlaczego więc przychodzisz tu i wszczynasz niesnaski?

Wielki biały pan, Bwana Mkuba, jak zwyczajny miejscowy kacyk, przemawiał innym tonem, gdy czuł przewagę sił za sobą.

— Grzebiąc konia wzięłeś w posiadanie moją ziemię — odrzekł wódz. — Kto ci pozwolił brać moją ziemię i robić z niej cementarz?

— Po to, by zrobić to, co jest słuszne, właściwe i czyste, nie potrzebuję niczyjego pozwolenia — odrzekł Stanley. — Gdybym tu zostawił zdechłego konia, gnijąc zatrutą dolinę, a choroby nawiedziłyby waszą wioskę, woda stałaby się niezdrowa, karawany nie zatrzymywałyby się więcej tutaj, by wymienić towary na żywność. Ale rozumiem twoje zastrzeżenia. Naprawię tę obrazę. Moi

ludzie wykopią konia, zostawią ziemię, jak przedtem, a konia tam, gdzie padł. — Stanley zwrócił się do Bombaya i rozkazał: — Weź kilku ludzi i zrób, jak sobie wódz życzy.

Podstęp poskutkował. Wódz, nie mając wojowników do poparcia swoich żądań, zrozumiał, że nie dostanie perkalu za pogrzebanie konia.

— Stójcie! — zawołał. — Niech się biały wódz nie gniewa. Koń zdechtł i jest pogrzebany. Niechaj tak będzie. Nie powiem nic więcej. Bądźmy znowu przyjaciółmi.

Ta przyjaźń kosztowała Stanleya znacznie więcej niż dwa dhoti perkalu, musiał bowiem drogo zapłacić za parę chudych kur i kozę, ofiarowaną przez wodza. Jednakże wyprawa ruszyła bez przeszkód dalej.

Maszerowali przez parę dni bez nadzwyczajnych wydarzeń, wyjąwszy zwykłe opóźnienia i kłopoty. Ale pewnego ranka wywiadowcy donieśli, że przed nimi znajdują się liczne siły wojowników. Jak się okazało, była to armia miejscowego króla, który pobierał „honga” czyli podatek od pozwolenia za przejście jego terytorium. Ajenci arabskich handlarzy niewolników wiedzieli dobrze, ile należy zapłacić każdemu z kacyków, aby iść swobodnie dalej. Natomiast Stanley musiał opłacać swoje doświadczenia; jego białą skórę uważano za znak, że można go oskubać jak kurczaka.

Z westchnieniem kazał zatrzymać karawanę o sto jardów przed groźnymi hebanowymi wojownikami, umalowanymi w pasy, uzbrojonymi w dobre muszkiety, pochodzące z wymiany za niewolników, których dostarczały im ciągłe wojny z innymi plemionami. Pod grupą palm kokosowych siedział młody, pięknie zbudowany wódz w otoczeniu doradców, poważnych starców, wspartych na kijach. Stanley podszedł ze swymi tłumaczami. Zaczęły się targi.

Żądania młodego wodza były bardzo wygórowane. Stanley dla przeciwwagi podał bardzo niewielką ilość towarów, będąc przygotowany, że w najlepszym razie będzie musiał zapłacić dwa razy tyle. Po parokrotnej obniżce ze strony wodza, a podwyżce ze strony Stanleya utknęli na martwym punkcie: ani wódz, ani Stanley nie chcieli więcej ustąpić. Pertraktacje przerwano, z zachowaniem wszelkich pozorów przyjaźni. Młody wódz nie miał ochoty doprowadzić do zbrojnego starcia. Mógł co prawda z pogardą spoglądać na stosunkowo nielicznych askarysów Stanleya, ale obawiał się późniejszych represji i nie chciał, żeby w przyszłości karawany omijały jego terytorium, zwłaszcza częste karawany handlarzy niewolników. Stanley ze swojej strony poznał z własnego doświadczenia, że groźby i gniew do niczego nie prowadzą; cierpliwość, spryt, wysiłki zrozumienia celów murzyńskich władców okazywały się lepsze w skutkach.

Tymczasem rozpoczęto targi o żywność. W tej sprawie młody wódz okazał się zdumiewająco ustępliwy: zrezygnował — zupełnie nielogicznie — z paciorków i perkalu, których żądał jako hongy, i zadowolił się stosunkowo małą ilością drutu.

Pertraktacje w sprawie hongy wznowiono następnego dnia. Pod kokosowe palmy przyszedł Shaw razem ze swoim zwierzchnikiem, ale Farquhar nie mógł opuścić łóżka; po chwilowej poprawie stan jego zdrowia znacznie się pogorszył.

Stanley nie zamierzał podwyższyć ostatnio oferowanej sumy. Młody wódz, uśmiechnięty, najwyraźniej zadowolony z okazji do targowania się, równie uparcie obstawał przy swoim. Ten stan rzeczy, na pozór

bez wyjścia, utrzymywał się do godziny jedenastej, kiedy nagle wódz obniżył swoje żądania o połowę różnicy między poprzednią swoją sumą a kwotą ofiarowaną. Stanley wyraził zgodę. Zrozumiał, dlaczego młody wódz ustąpił: było już za późno, aby karawana tego dnia mogła udać się w dalszą drogę. Będą musieli jeszcze kupić od niego żywności. Shaw parsknął śmiechem. Stanley ocenił spryt swego przeciwnika, ale nie było mu wcale do śmiechu.

Wróciwszy do obozu, Stanley musiał rozstrzygnąć problem swego drugiego białego współtowarzysza. Badając razem z Shawem nogi chorego stwierdził dalsze opuchnięcie, połączone z zaczerwienieniem i stwardnieniem tkanek podskórnych.

Wyszedszy z namiotu, dwaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy.

— Elephantiasis — rzekł krótko Shaw. Milczał chwilę, po czym dorzucił: — Widziałem dość przypadków tej choroby, aby być pewnym.

— Nieuleczalna — mruknął Stanley, zamyślony, ale bez wzruszenia.

— W tych warunkach, na pewno — powiedział Shaw. — Trzeba go będzie mimo wszystko odesłać z powrotem.

— Gdyby mógł być wyleczony, miałoby to może jakiś sens — odparł Stanley. — Ale on i tak się nie wyleczy. Poświęcilibyśmy dobrych pagazich dla czczego sentymentu.

— Czy pan nie żywi żadnych sentymentów w ogóle? — spytał Shaw, wstrząśnięty.

— Moje sentymenty dotyczą misji, którą mam do wypełnienia — odparł Stanley szorstko. W oczach Shawa było to zaprzeczeniem wszelkiego sentymentu.

Gdy karawana ruszyła w dalszą drogę, Farquhara pozostawiono we wsi, w najlepszej chacie, z jednym pagazim jako służącym i z zapasem perkalu, który powinien był wystarczyć na zaspokojenie jego potrzeb na przeciąg sześciu miesięcy.

— Niech pan wyzdrowieje — rzekł mu na pożegnanie Stanley bez szczególnej serdeczności w głosie.
— Zabierzemy pana w powrotnej drodze.

Farquhar odwrócił twarz do ściany. Gdy Stanley wyszedł, rzekł do Shawa:

— Nawet jeśli wrócicie, znajdziecie tylko moje kości. A ten człowiek nie zdobędzie się nawet na to, by wyrzucić swoją wannę i wolnemu tragarzowi kazać nieść mój szkielet.

Rudowłosy Szkot zmarł w kilka dni później, sam wśród obcych.

Rozdział X

STANLEY W DESPERACJI

Na północo-zachód od Taborów w okręgu Unyanyembe, w wiejskiej chacie, na polowym łożku, leżał Stanley. Był tak słaby, że z trudem mógł mówić, a o poruszaniu nie było co, i marzyć. Febra powtarzała się ze wszystkimi symptomami: najpierw silne dreszcze, dygotanie z zimna, twarz blada, palce śmiertelnie białe, paznokcie sine; potem suche gorąco, skóra rozpalona i zaczerwieniona; i wreszcie poty takie, że całe pośnięcie przemakało. Stanley czuł się zupełnie wyczerpany.

Pośpieszne kroki przed chatą. Selim wpadł, bez czerwonego feza na głowie, zdyszany, oczy przerażone.

— Panie, panie! Wojownicy Arabów są pokonani! Uciekają! Wstawaj, panie, bo Mirambo weźmie ciebie do niewoli.

Stanley z najwyższym wysiłkiem uniósł się na łożku.

— Pomóż mi, Selimie. Tak osłabłem, że nawet ubrać się nie mogę. Gdzie są nasi ludzie?

— Czterech zabito, panie — opowiadał gorączkowo Selim. — Reszta ucieka wraz z Arabami. Przebiegli już prawie przez wieś. Opuścili nas, panie.

Ubrawszy się z pomocą Selima, Stanley pokuśtykał do wyjścia i zobaczył Shawę, jak właśnie wymykał się z siedmiu askarysami, bez powiadomienia swego chorego dowódcy, który w obecnym stanie zdrowia opóźniłby, jak przypuszczali, ich ucieczkę.

— Panie Shaw! — zawołał Stanley. Ale tamci jego słabego głosu nie usłyszeli. Biegli dalej. Selim popędził za nimi, krzycząc, aż wreszcie Shaw odwrócił się i zobaczył Stanleja, opartego o drzwi chaty. Zawstydzony, wrócił z grupą askarysów i pagazich, którzy jeszcze pozostali z licznej wyprawy.

— Gdzie reszta wojowników? — zapytał Stanley, gdy Shaw, mocno zmieszany, stanął przed nim.

— Uciekli — odburknął Anglik.

— A pan też myślał o własnej skórze, co? Shaw nie odpowiedział.

— Zbierz ich pan — rozkazał Stanley. — Weź pięciu ludzi. Dwóch zostaw z Selimem i ze mną. Podążymy za wami.

Spakowano pośpiesznie bagaże Stanleja i zorganizowano ewakuację do pobliskiego lasu. Ledwie uciekinierzy ukryli się wśród gęstej zieleni, gdy usłyszeli krzyki wojowników Miramby, wkraczających właśnie do wsi.

— Zostaną we wsi jakiś czas — rzekł Stanley. — Sporo do rabowania. I kobiety.

Nie zgodził się, by go niesiono: ciągnął ołowiane nogi, ale nabierał sił w miarę, jak szedł. Wieczorem dotarli do sąsiedniej wsi, gdzie zbierały się rozproszone siły Arabów. Tu znaleźli również Shawę z

większą częścią ludzi z wyprawy, a wśród nich Bombaya, który uciekł pierwszy. Obaj, Shaw i Bombay, czuli się winni i upokorzeni i wobec tego byli wściekli.

Zmobilizowano siły tylko po to, by w jakim takim ładzie wycofać się do Taboru. Stanley nie miał wyboru. Musiał iść za pokonanym wojskiem, a widząc, że nie było tylnej straży, zorganizował ją z własnych ludzi.

Tak zakończyła się dla Stanleya próba wmieszania się w wewnętrzne sprawy afrykańskie.

Przybył do Taboru dnia 23 czerwca 1871 roku, przeszedłszy 512 mil od wybrzeża w trzy miesiące, co było niemałym osiągnięciem, zważywszy trudności, z którymi musiał walczyć. W Taborze, chociaż większość mieszkańców stanowili Murzyni, władzę sprawowali Arabowie. Ci wykształceni ludzie, uprzejmi, o wytwornych manierach, żyli z porywania mężczyzn, kobiet i dzieci, które sprzedawali na targu niewolników w Zanzibarze. A żyli dobrze. Wokół okrągłych dziedzińców pobudowali obszerne, wygodne domy z gliny, zwane tembe, z oddzielnymi pomieszczeniami na harem i dla niewolników. W pobliżu osiedla uprawiano sporo ziemi i na bazarach można było kupić owoce, warzywa, ryż i inne produkty.

Arabowie przyjęli Stanleya z radosną gościnnością. Na naradzie, na którą go zaproszono, dowiedział się, że znajdowali się właśnie w trudnej sytuacji. Mirambo, dawny pagazi, zebrał sobie popleczników, zagarnął władzę w okręgu Uyoweh i terroryzował okolicę. Kilka plemion już pobił i rozproszył, a teraz czuł się tak silny, iż gotów był wyzwać potęgę Arabów w okręgu Unyanyembe. Zagroził też ich interesom, gdyż zwracał karawany, podążające z Unyanyembe do Udżidzi i z powrotem.

— Co by nam doradził biały wódz? — zapytali Arabowie, przedstawivszy swoją sytuację.

— A wielu macie żołnierzy? — zapytał z kolei Stanley.

— Jakies dwa tysiące, wyzwoleńców i niewolników razem.

— A wielu ma ten Mirambo?

— Nie wiemy. Ale chyba nie więcej.

— W takim razie nie siedźcie beczynnie czekając, aż na was napadnie. Wyprawcie wojska i zniszczcie go!

W ten sposób Stanley stał się doradcą handlarzy niewolników. Miał po temu własne powody. Jeśli droga do Udżidzi jest nie do przebycia, jak dotrzeć do Livingstone'a? Należało przypuszczać, że Mirambo nie zadowoliliby się żadną hongą, a po prostu zagarnąłby wszystkie ładunki karawany. Więc Stanley do rady dodał jeszcze konkretną pomoc. Zamiast biernie oczekiwać wyniku starcia, zdecydował rzucić na szalę własne siły. Wybrał pięćdziesięciu najlepszych ludzi, z Shawem i Bombayem, Mabrukiem zlecił pilnować pagazich oraz bagaży, i przyłączył się do wojsk Arabów, maszerujących na Mirambę.

Ale przedsiębiorczy dziennikarz nie zaszedł daleko. Powalił go gwałtowny atak febry. Mirambo wychylił się z puszczy i zadał swoim przeciwnikom druzgocącą klęskę.

Po powrocie do Taboru, Stanley przywołał do siebie Shawa. Gdzie to pan się nauczył opuszczać swego dowódcę w obliczu nieprzyjaciela? — zapytał go.

Shaw nie odpowiadał. Patrzył hardo i wyzywająco.

— Po takim występku — pytał dalej Stanley — jakiego traktowania pan się ode mnie spodziewa?

— Ani gorszego, ani lepszego, niż do tej pory — odparł Shaw. — Wiem, że lepszego nie mogę oczekiwać od pana. Gorszego już być nie może. Pan mnie traktowałeś nie lepiej niż Bombaya, a gorzej niż Selima.

— Gdybyś pan był równie lojalny jak Selim... — zaczął Stanley. Ale Shaw nie czekał na odpowiedź. Zawrócił na pięcie i wyszedł.

Rozmowa przypomniała Stanleyowi, że nie oddał sprawiedliwości wiernemu Selimowi. Ten chłopiec przynajmniej nie skarżył się na złe traktowanie.

— Jestem głęboko wzruszony tym — powiedział do Selima — że zaryzykowałeś własne życie, aby ostrzec mnie przed niebezpieczeństwem.

Selim, podobnie jak Shaw, nie odpowiadał zrazu wcale.

— Czemu to zrobiłeś? — zapytał Stanley, pragnąc koniecznie usłyszeć jakąś pochwałę, jakieś wyrazy przywiązania. — Czemuś nie myślał tylko o własnej skórze, jak tamci?

— Och, panie — rzekł Selim — ja naprawdę myślałem, ale bałem się, że jeżeli nie ostrzegę, to mnie pan każe wychłostać !

Nie można było wezwać na naradę Shawa, który przesiadywał teraz w domu, oddanym do jego dyspozycji przez uroczystych Arabów i zabawiał się z miejscowymi dziewczętami, przyprowadzanymi mu przez Bombaya. Stanley sam zdecydował, że jedyną możliwością odnalezienia Livingstone'a będzie okrążenie od południa obszarów, po których grasował Miramba. Wezwał pozostałych askarysów i pagazich — z tych ostatnich wielu wymknęło się wbrew czujności Mabrukiego i zdezerterowało, gdy wódz maszerował z armią Arabów — i wyjaśnwszy, jakie są jego zamiary, zapytał, kto chce z nim pójść.

Natychmiast zerwała się burza protestów. Bombay wołał, że wynajęto ich na wyprawę do Udżidzi szlakiem arabskich karawan. Asmani oznajmił, że on sam gotów jest iść ze Stanleyem, ale inni stchórzą przed Mirambą i jego bandytami, tak że dalsza wyprawa i tak nie dojdzie do skutku.

— Przyprowadziłem was tak daleko, nieśliście bagaże aż tutaj. Musimy wypełnić do końca naszą misję — argumentował Stanley.

Trudno było jednak oczekiwać od tragarzy i strażników, aby zrozumieli znaczenie owej misji. Dawid Livingstone niewiele dla nich znaczył, a jeszcze mniej New York Herald i jego właściciel, Gordon Bennett. Nie dla nich była sława, związana z powodzeniem wyprawy, ani niefaska w razie klęski.

— Nie powiedziałeś nam, że będziemy brać udział w wojnach — odezwał się jeden z askarysów. — Mieliśmy być jedynie strażą karawany, idącej po regularnym szlaku.

— Musieliśmy walczyć — odparł Stanley. — Trzeba było spróbować otworzyć sobie tę właśnie zwykłą drogę po regularnym szlaku karawanowym, o której mówicie. Mirambo i jego ludzie chcieli nas zmusić do powrotu do Zanzibaru.

— Jeśli teraz mamy go okrążyć, mogliśmy to zrobić od początku — zawołał jeden z pagazich.

— Wracajmy do Zanzibaru! — wykrzyknął inny. Ten okrzyk wszyscy podjęli.

— Wracamy do Zanzibaru! Do Zanzibaru!... Do Zanzibaru! — wołali, a głosy ich stawały się coraz groźniejsze.

Askarysi zaczęli odwracać się i odchodzić w stronę miasta, krzycząc i gestykulując.

Stanley patrzył z zaciśniętymi wargami, jak odchodzili. Na nic się zdało namawianie i przekonywanie. Nie usłyszeli by nawet jego głosu w hałasie, który czynili. Ostatecznie pozostali tylko: Selim, Mabruki, kucharz Feradzi, niejaki Ulimengo — o którym później Stanley pisał, że był najbardziej zwariowanym członkiem ekspedycji — trzech askarysów i czterech pagazich. Bombay i Asmani odeszli z większością. Tak więc ze stu osiemdziesięciu dziewięciu ludzi, którzy wyruszyli z Bagamojo, tylko tych kilku gotowych było iść dalej.

— Trzymajcie się razem — rzekł do nich Stanley i dodał z na pozór nieuzasadnionym optymizmem: — Jesteście garstką wiernych; wkrótce będzie was więcej. Za parę dni idziemy dalej.

Stanley posłał Selima po Shawa, który zwlekał całą godzinę, zanim wreszcie przyszedł na wezwanie.

— Jeżeli dostanę pięćdziesięciu ludzi — zapytał go Stanley — jesteś pan gotów iść dalej ze mną, pomimo złego traktowania, którego pan ode mnie doznajesz?

Shaw ważył w myśli odpowiedź, spoglądając z ukosa na dowódcę wyprawy.

— Przypuszczam — rzekł wreszcie — że jeżeli nie pójdę, nie dostanę od pana więcej pieniędzy?

— Ani centa — rzekł krótko Stanley.

— Więc pójdę.

— Dobrze. Oświadczam, i proszę pana, byś to rozgłaszał, że zapłacę trzykrotnie więcej pagazim i askarysom, którzy zechcą się do nas przyłączyć. Dotyczy to zarówno naszych dawnych ludzi, jak i innych.

— A mnie to też dotyczy? — zapytał Shaw.

Tym razem Stanley nic nie odpowiedział. Spoglądając za odchodzącym pomyślał bez fałszywej skromności: dla jednych trudności i przeszkody są natchnieniem, innych zaś łamią jak trzcinę.

Podwyższenie zapłaty dało pewien rezultat. Kilku dawnych tragarzy dało się skusić, ponadto zgłosiło się dwakroć tylu nowych ochotników.

Dobiegała już połowa września, zanim Stanley, spędziwszy tyle prawie czasu w Taborze, ile mu zajęła podróż z wybrzeża, zdołał zebrać około pięćdziesięciu ludzi, którzy zgadzali się pójść do Udżidzi.

Ostatniej nocy przed wyruszeniem karawany w dalszą drogę w jednej z dzielnic Taboru wybuchły zamieszki przeciwko Zanzibarczykom. Bombay i Asmani, bojąc się pozostać w mieście, przyłączyli się do kolumny Stanleya już w marszu.

A w ostatniej chwili przed odjazdem, gdy Stanley jadł śniadanie — właśnie świt ubielił wierzchołki palm i strzechy chat przedmieścia, a chude kurczaki zaglądały do jego drzwi — przyszedł doń z wizytą poważny Arab, ofiarowując mu jako pożegnalny dar, małego Murzynka, niewolnika, który ponoć błagał, by go oddać Bwana Mkubie.

Po należnych podziękowaniach i pożegnalnych ceremoniach, Stanley zwrócił się do chłopca i zapytał go o imię.

— N'dugu M'hali — odparł nieśmiało chłopiec.

— To znaczy „bogactwo mojego brata” — podchwycił Selim, który nauczył się języka Swahili jeszcze szybciej i dokładniej niż Stanley.

Selim o wiele bardziej się ucieszył z pożegnalnego podarunku Arabów, aniżeli sam obdarzony.

— Ja będę ojcem dla niego, ja będę ojcem — powtarzał uradowany, więc Stanley oddał mu małego pod opiekę.

Na pierwszym postoju Stanley przywołał do siebie Shawa, Mabrukiego, Bombaya, Asmaniego, Ulimengo i innych, którzy szli od początku wyprawy. Położywszy rękę na ramieniu młodego niewolnika, rzekł:

— Dano mi tego chłopca. Przyjąłem go dlatego, że sam o to prosił. Nie podoba mi się jego imię. Powiedziałem mu, żeby sobie wybrał inne, ale on tego nie potrafi. Sam nie wiem, jakie imię w języku Swahili byłoby dla niego odpowiednie. Zaproponujcie jakieś imię, a to, które wspólnie wybierzemy, chłopiec będzie nosił tak długo, dopóki pozostanie z nami.

— Simba! — zawołał kucharz. Słowo to znaczyło „lew” i miało posmak kpiny.

— Ngombe! — wykrzyknął Asmani, co już było wyraźnym szyderstwem, bo znaczyło „krowa”.

— Bombay Mdogo — zaproponował Bombay; a znaczyło to młody Bombay.

— O nie — sprzeciwił się Stanley. — Ty byś przywłaszczył go sobie, a on chce zostać ze mną. Tak powiedział. I zostanie ze mną, jako mój osobisty służący.

— Może Mirambo? — zażartował Mabruki, a Ulimengo rzekł:

— Kalulu.

— Młode antylopy „pala” — przetłumaczył Selim. — To jest imię dla niego, panie!

Stanley przyglądał się chłopcu: był smukły, zgrabny, miał oczy błyszczące i wesołe; jego czarna główka kręciła się w prawo i w lewo śledząc uważnie każdego, kto zabierał głos w sprawie jego nowego imienia.

— Przynieś mi miednicę z wodą — polecił Stanley Mabrukiemu. A kiedy miednicę postawiono przed nim, pokropił wodą kędzierzawą głowę chłopca i powiedział uroczyście: — Niechaj imię twe odtąd będzie Kalulu i niechaj ci go nie odbierze żaden człowiek na świecie.

Na pierwszym apelu po opuszczeniu Taboru okazało się, że uciekło dwudziestu ludzi. Wystano więc natychmiast Mabrukiego z grupą askarysów na poszukiwania i odnaleziono dziewięciu dezertersów. Wyprawa liczyła obecnie około czterdziestu ludzi.

— Jest nas teraz tak mało — powiedział Stanley do Bombaya i Asmaniego — że chyba możecie upilnować, aby nikt nie uciekł.

Bombay i Asmani patrzyli nań spode łba, niechętnie.

— Robimy, co możemy. Niech Bwana Mkuba powie, co mamy jeszcze robić.

Tych, których ujęto w czasie ucieczki, skuć razem łańcuchami. To będzie nauczka dla drugich — twardo odpowiedział Stanley.

Kto by więc teraz spotkał wyprawę Stanleya, mógłby ją z łatwością przyjąć za karawanę prowadzącą niewolników.

Ale amerykański dziennikarz odrzucił wszelkie skrupuły w imię swego jedyne, upragnionego celu: odnalezienia człowieka, którego szukał. Nie zwracał więc uwagi na namowy Shawa do powrotu.

Wkrótce Stanley znów zapadł na febrę. Jednakże nie dopuścił do tego, by słabość jego ciała opóźniła pochód choćby o jedną godzinę. Poprzez pagórkowate łąki zachodniej Tanganiki karawana posuwała się naprzód stosunkowo szybko, nie napotykając na przeszkody. Przed nimi uciekały w popłochu stada zebra; z bezpiecznej odległości obserwowały ich z wysoka długoszyje żyrafy. Na odgłos strzałów Stanleya pędziły nieprzytomnie szybkie i zgrabne, o rogach w kształcie liry, brunatne antylopy „cama”. W nocy śpiących budziły groźne poryki lwów. Stanley i Shaw polowali codziennie i bez trudu zaopatrywali uszczuploną karawanę w świeże mięso. Bombay również dobrze strzelał do żywego, ruchomego celu.

Z kolei Shaw zapadł na febrę, a ponieważ brakło mu odporności i siły woli jego zwierzchnika, pozwolił chorobie zapanować nad sobą.

— Nie mogę iść dalej — upierał się, gdy pewnego ranka

Stanley nalegał, by zwlekł się z polowego łóżka. Ku zdumieniu chorego, Stanley odrzekł:

— W takim razie niech pan lepiej wraca!

Przeciwności wyprawy zniechęciły nawzajem do siebie obu tych mężczyzn, tak krańcowo odmiennych.

— Dostanę tragarzy? — zapytał Shaw.

— Dam panu czterech spośród najbardziej opieszających, którzy tak jak pan, tylko marzą o powrocie do Taborzy.

Shaw został odesłany z powrotem. Nim jednak Stanley ujrzał ponownie arabskie miasteczko, był oficer marynarki, John Shaw już nie żył.

Tak więc pozostał tylko jeden biały człowiek. Szedł, szedł wciąż naprzód, gnany swoją niezwykłą wolą, gnany upartym pragnieniem odnalezienia Livingstone'a i zdobycia sławy. Ale była jeszcze przed nim niejedna przeszkoda.

Kiedy pagórkowata, otwarta i bogata w zwierzynę kraina skończyła się, a karawana stanęła u wrót okolic skalistych, nagich, pokrytych jedynie kolczastymi krzewami, ludzie Stanleya zawahali się. Postanowiono rozbić obóz i zarządzić dwudniowy postój, aby Stanley i Bombay mogli upolować tyle zwierzyny, ile tylko karawana mogła unieść ze sobą. Stanley absolutnie nie zgadzał się na pozostawienie choćby jednego ładunku, a nawet swojej wanny, toteż tragarze mogli zabrać ze sobą niewiele żywności — zbyt mało, aby im starczyła do wybrzeży jeziora Tanganika. Narzekania wokół ognisk obozowych przybrały na sile. Mały Kalulu z przestrachem doniósł swemu panu, że zanosi się na bunt. Stanley kładł się spać z gotową do strzału strzelbą. Nie ufał Bombayowi ani Asmaniemu.

Nadszedł ranek, kiedy miano ruszyć w dalszy pochód. Śniadanie zjedzono w posępnym milczeniu, szałas podpalono. Pagazi stanęli przy ładunkach.

— Zadmij w róg. Ruszamy! — rzekł Stanley do Asmaniego. Hebanowy olbrzym wykonał rozkaz, po czym wzruszywszy ramionami rzekł:

Ci, którzy zostali w Taborze, byli mądrzy. Żałuję, że nie jestem z nimi.

Na razie jednak stanął na czele kolumny. Bombay, który zwykle towarzyszył Stanleyowi, poganiając maruderów, tym razem zignorował swego dowódcę i szedł obok Asmaniego rozmawiając z nim po cichu. Pomrukując, ludzie podnieśli ładunki i ruszyli. Stanley wraz z Selimem, który niósł jego sztucer, i z Kalulu, który niósł amunicję, opuścił obóz ostatni.

W pół godziny później karawana stanęła. Ładunki porzucano na ziemię nie zwracając uwagi na dowódcę, który szedł pośpiesznie w stronę czoła kolumny, aby się dowiedzieć o przyczynie nieprzewidzianego postoju. Pagazi i askarysi patrzyli nań spode łba, wrogo. Stanley odstąpiwszy o parę kroków od kolumny, wziął sztucer od Selima i ładował go powoli tak, aby wszyscy mogli to widzieć. Czuł, że nadeszła chwila, kiedy musi opanować karawanę albo stracić życie. Sprawdzał, czy pistolety łatwo wychodzą zza pasa i ruszył w kierunku Bombaya. Asmaniego nie było nigdzie widać.

Idąc wciąż ku przodowi kolumny, Stanley kątem oka dostrzegł naraz dwie kędzierzawe głowy, wychylające się zza wysokiego kopca termitów. Wymierzone w niego lufy strzelb ukrytych ludzi

poruszały się wolno za nim, w miarę jak szedł. Z całym spokojem Stanley przystanął, zwrócił się ku kopcowi termitów i podniósł sztucer, mierząc w głowy.

— Wstać i podejść do mnie, bo strzelam! — krzyknął.

Upokorzeni, ale wciąż wrogo nastawieni, obaj ukryci Murzyni wstali. Jeden zwał się Halongo, drugim był olbrzym Asmani, który wciąż jeszcze trzymał strzelbę w pogotowiu. Kalulu, który zawsze był przy Stanleyu, znikł.

— Rzucić broń, bo strzelam! — rozkazał znowu Stanley. Asmani popatrzył na niego wyzywająco i nie usłuchał. Szedł ku białemu człowiekowi z szyderczym grymasem ust i morderstwem w oczach. Stanley nie dał się wszakże zastraszyć. Halongo zboczył nieco, jakby chciał zejść go od tyłu. Stanley obrócił się błyskawicznie ku niemu, i stała się rzecz dziwna: Halongo puścił broń i nagle, bez widocznego powodu, padł na twarz. Nad jego leżącym ciałem ukazała się niespodziewanie uśmiechnięta szeroko twarz „młodej antylopy”, Kalulu, który niepostrzeżenie podczołgał się za Halongę i chwyciwszy go za nogi, przewrócił na ziemię.

Stanley z palcem na cynglu śledził Asmaniego, który był niebezpiecznie blisko. Ale oto znowu za czarnym olbrzymem ukazało się dwoje rąk, które wyrwały strzelbę zaskoczonemu. Tym razem Mabruki przyszedł z pomocą.

Bunt był stłumiony. Bombay podszedł do Stanleya, aby mu powiedzieć, że zgadza się prowadzić dalej wyprawę.

— Dobrze. Ale najpierw żądam uroczystej przysięgi — rzekł Stanley. — Każdy z was musi przysięgnąć na wszystko, co dlań jest święte, że pozostanie wierny i pójdzie ze mną dopóki nie znajdę białego człowieka, Dawida Livingstone'a.

Murzyni złożyli przysięgę i mieli jej dotrzymać. Nie żywili urazy do Stanleya za to, że dzięki własnej stanowczości i oddaniu małego Kalulu i Mabrukiego zdławił bunt.

A wyprawa potrzebowała rzeczywiście dobrej woli jej uczestników. Wyszedszy teraz na niezamieszkałe i jałowe, pozbawione zwierzyny ziemie, wkrótce zaznali głodu. Zapasy się skończyły. Żywili się jagodami i korzeniami. Dnia 29 października po dwudziestoczterogodzinnym przymusowym poście dostali na kolację tylko herbatę. Stanley, jakby wiedziony instynktem człowieka skazanego, wyciął w korze wielkiego drzewa napis, który by mógł powiedzieć światu o ich losie: „Giniemy z głodu. H.M.S.”

Tym razem jego pesymizm okazał się przedwczesny. Następnego dnia ustrzelił razem z Bombayem kilka zajęcy. Spotkali karawanę — również jak oni idącą okólną drogą, by uniknąć Miramby — od której wyhandlowali nieco ziarna. Ale jeszcze radośniejsze dla amerykańskiego dziennikarza były nowiny, których się dowiedział od wodza karawany, o białym człowieku, przebywającym w Udżidzi: schorowanym, przedwcześnie postarzałym, znużonym wielkimi podróżami.

Rozradowany, Stanley odzyskał energię i zwołał do siebie wszystkich swoich ludzi.

— Dwa dhoti perkalu jako dodatek do umówionego wynagrodzenia dostanie każdy — rzekł — kto od tej chwili pomaszeruje aż do Udżidzi bez rozbijania obozowiska.

Murzyni w karawanie nie dbali o powody Stanleya, ale im samym również pilno było do odpoczynku w arabskim miasteczku. Zgodzili się. Odtąd urządzano tylko najkrótsze postoje.

Piątego dnia po spotkaniu z karawaną Stanley stwierdził, że znajduje się w zasięgu parogodzinnego marszu od Udżidzi.

— Wyczyść mój hełm kredą i owiń wokół niego nowe „pugari”. Wypakuj nowe flanelowe ubranie — rozkazał Kalulu. — Selim, wywoskuj moje buty.

Próżność Stanleya domagała się zaspokojenia. Chciał zrobić możliwie najlepsze wrażenie na Livingstone. Nie wiedział jeszcze, że dla człowieka, którego poszukiwał, elegancki strój niewiele znaczył.

Stanley, który nie odczuwał obawy w obliczu zbuntowanych Murzynów, teraz drżał ze zdenerwowania. Czy Livingstone będzie w Udżidzi? Jak przyjmie amerykańskiego dziennikarza? Czy pesymistyczne ostrzeżenia Kirka się sprawdzą?

Długie wzgórze skrywało miasteczko przed oczyma podróżnych. Dopiero, kiedy wspięli się na jego grzbiet, cel podróży ukazał się ich oczom.

— Czeka was odpoczynek, piwo i pod dostatkiem jedzenia! — wołał Stanley. — Rozwinąć sztandary. Naładować broń. Dać ognia, by wiadano, że nadchodzimy!

Ta właśnie powitalna salwa przekonała Livingstone'a, że jego słudzy, Suzi i Czuma, nie ulegli halucynacjom, gdy przybiegli do niego z wieścią o nadejściu białego człowieka na czele karawany nad wybrzeża jeziora Tanganika.

Zwykle pewny siebie, aż do arogancji zarozumiały dziennikarz tym razem nie wiedział, co ma począć. Jak ten Anglik go przyjmie? Jak najlepiej do niego podejść, powitać?

Oddajmy głos Stanleyowi, niech mówi słowami swego sprawozdania z podróży.

Serce waliło mi jak młotem, ale nie mogłem okazać żadnego wzruszenia, aby wobec tych wszystkich czarnych nie narazić niczym godności białego człowieka. Zachowałem się więc, jak mogłem najwłaściwiej: rozsuwając cisnące się tłumy szedłem jakby wzdłuż alei żywych ludzi, aż znalazłem się przed grupą Arabów, wśród których stał biały człowiek. Gdy wolno podchodziłem do niego, zauważyłem, że jest blady, wygląda na znużonego, że broda jego i wąsy są siwe, że odziany jest w surdut z czerwonymi rękawami i szare spodnie, a na głowie ma niebieską czapkę z wypłowiałymi złoceniami. Podbiegłbym do niego... rzuciłbym mu się w objęcia... ale czy ja wiem, jak mnie ten Anglik przyjmie? Więc pod dyktando moralnego tchórzostwa i fałszywej dumy podszedłem do niego z rozmysłem, zdjąłem mój hełm i powiedziałem:

— Doktor Livingstone, jak sądzę?

— Tak — odpowiedział on z dobrotliwym uśmiechem, unosząc nieco czapki.

Nakrywszy głowy, uścisnęliśmy sobie ręce, a ja powiedziałem:

— *Dziękuję Bogu, doktorze, iż dane mi było zobaczyć pana. A Livingstone odrzekł:*

— *Rad jestem, że mogę pana tu powitać.*

To był właśnie on, Henryk Morton Stanley, ze sztandarami, salwami powitalnymi i „pustym pudłem, przewróconym do góry nogami”, on, którego nadejście z takim podnieceniem zapowiedzieli Suzi i Czuma. O nim myślał Livingstone, gdy to jedno pytanie wciąż powracało w jego umyśle: „Któż to mógł być? Kto?,..”

Rozdział XI

STANLEY ODNAJDUJE SIEBIE

— Dam grosz za twoje myśli, doktorze — rzekł Stanley, gdy pewnego ranka Livingstone siedział pogrążony w myślach, zapatrzony w daleki horyzont ponad niskimi dachami Udżidzi, ze zmarszczką zamyślenia na wysokim, łysiejącym czole, dwoma palcami prawej ręki przyciskając kąciki opadających ku dołowi ust.

Przez chwilę starszy mężczyzna ignorował ten atak na swoje odosobnienie. Wreszcie zwrócił głębokimi, ciemnymi oczami na korespondenta „New York Herald” i rzekł z wolna:

— Te myśli niewarte twego grosza, mój młody przyjacielu, a gdyby były warte, może wolałbym je zatrzymać dla siebie.

Tego rodzaju wymówkę mógłby zrobić surowy, lecz kochający ojciec. Przeżywszy wiele czasu w samotności, wielki podróżnik ulegał nastrojom posępnych medytacji i czasem drażniło go towarzystwo młodego, niespokojnego, wiecznie pytającego i dość zarozumiałego dziennikarza.

Dom, w którym obaj siedzieli, był zwykłą arabską „tembą” o płaskim dachu, niepewnej użyteczności w czasie deszczu, glinianych podłogach, o jednej izbie bawialnej, a drugiej do spania i jedzenia, o wewnętrznym dziedzińcu, gdzie zapędzało się na noc żywy inwentarz, i oddzielnych pomieszczeniach dla służby na końcu podwórza. W domu tym, oddanym do dyspozycji Livingstone’a przez Arabów, Stanley był gościem, ale on to dostarczył — z ładunków, przyniesionych na grzbietach tragarzy przez pół Afryki — przeróżne przysmaki, szampan, porcelanę i srebrny imbryk, które tyłu przyciągały gapiów, gdy je rozstawiono na kulawym stole, że dwaj biali czuli się, jak zwierzęta w zoo w porze karmienia.

Dziwne było, że Stanley, tak zawsze wrażliwy na brak szacunku i uznania dla swojej osoby, nie czuł się dotknięty słowami Livingstone’a. Ci dwaj mężczyźni różnili się zasadniczo usposobieniem i zwyczajami: Livingstone łagodny, skłonny do medytacji, z rzadka ostrzejszym słowem karcący bezmyślność służącego; Stanley energiczny, szorstki, porywczy, gotów uderzyć człowieka albo rzucić mu podarek. A jednak na ogół dobrze się czuli razem: jeden pobłażliwy, wdzięczny, nie skąpiący pochwał, drugi przejęty respektem i podziwem, starający się przypodobać.

„Nie mam otwartego usposobienia — pisał Livingstone w swoim dzienniku. — Przeciwnie, jestem tak chłodny i zamknięty w sobie, jak to zwykło się mówić o nas, wyspiarzach. Ale bezinteresowna (sic!) dobroć pana Bennetta, wcielona w życie przez pana Stanleya, po prostu oszołomiła mnie. Jestem nieskończenie wdzięczny, a jednocześnie ogarnia mnie wstyd, gdyż zdaję sobie sprawę, że nie zasługuję na tyle wspaniałomyślności. Pan Stanley spełnił swoje zadanie z niewyczerpaną energią, stanowczością i rozsądkiem w obliczu wielu poważnych przeszkód.”

Szlachetność wielkiego podróżnika zaskoczyła Stanleya i podbiła jego serce, a jeśli nawet nie wpłynęła na złagodzenie jego własnych, często brutalnych metod postępowania, to nakazała mu w przyszłości kontynuować dzieło życia Livingstone’a. Codzienne z nim przebywanie — pisał później Stanley —

w zdrowiu czy chorobie, pogłębiało mój podziw i respekt dla niego. Był zawsze i konsekwentnie szlachetny, prawy, pobożny i dzielny.

Livingstone wspomniał mimochodem, że dostawy, przesyłane mu przez konsula Kirka z Zanzibaru, były niedostateczne, a tragarze okazali się złodziejami. Na to Stanley wybuchnął gniewem, oskarżając Kirka o to, że w ogóle nie dbał o Livingstone'a, a Królewskie Towarzystwo Geograficzne — że skąpiło pomocy w chwili, gdy Livingstone najbardziej jej potrzebował.

— Czyżby tak było? — zauważył spokojnie Livingstone. — Nie sądziłbym.

Stanley ponownie zapadł na febrę i Livingstone, doświadczony w leczeniu tej choroby, pielęgnował go z kobiecą czułością.

Dnia 15 listopada wyruszyli razem w podróż wzdłuż północnych wybrzeży jeziora Tanganika. Dziennikarz dostarczył ludzi, ekwipunku i towarów wymiennych, a jednocześnie podporządkowywał się wiedzy i doświadczeniu wielkiego podróżnika, czyniąc go wodzem wyprawy i spełniając najmniejsze jego życzenie jak rozkaz.

Na północnym krańcu jeziora znajdowała się rzeka Ruzizi, co do której niektórzy geografowie wyrażali przypuszczenie, że wypływa na północ, do Nilu. Gdyby tak było, to można by przyjąć, że jezioro jest właściwym źródłem najdłuższej rzeki świata (w owym czasie nie wiadano jeszcze, że jezioro Tanganika leży za nisko). Livingstone i Stanley definitywnie obalili tę teorię, stwierdziwszy w tej podróży, że Ruzizi nie wypływa z jeziora, lecz odwrotnie — wpada do niego, płynąc w kierunku południowym. Wdzięczny stary podróżnik nazwał archipelag na jeziorze „Wyspami New York Herald”, ale nazwa ta się nie przyjęła. Dziś używana jest dawna krajowa nazwa wysp — Kavuneh.

Powróciwszy do Udżidzi w połowie grudnia, dwaj biali zaczęli się zastanawiać, jak by tu uroczystie spędzić dzień Bożego Narodzenia.

— Proszę to mnie pozostawić — nalegał Stanley. — Mam kucharza, który będzie mógł nam dogodzić, a ja zakupię najlepsze, co tylko można dostać na targu w Udżidzi.

Zabrał się do przygotowań świątecznych z całą energią. Posłał Bombaya i Mabrukiego, by kupili owce i kozy, jaja, mleko, piękną białą mąką, ryby, cebulę, słodkie bulwy i miejscowe przysmaki zwane zogga, pombe i singwe. Kalulu — którego Livingstone serdecznie polubił — został wydelegowany jako kuchcik do pomocy Feradžemu. Gdy nadszedł uroczysty dzień, Selim udekorował stół liśćmi i kwiatami i wydobyl ostatnią butelkę szampana.

Ale tym razem talenty organizacyjne Stanleya poniosły klęskę. Dodatkowe dania z jarzyn można było jeszcze zjeść, ale pieczeń barania i kozia okazały się prawie surowe, niejadalne, a słodki budyń na deser — przypalony.

— Drogi doktorze, nie mam słów na usprawiedliwienie — irytował się Stanley, upokorzony nieudolnością swojej służby. Wstał od stołu i biegał w gniewie po izbie, bijąc pięścią w dłoń.

— Ależ siadaj, mój drogi — łagodził Livingstone. — Zjedliśmy już szereg doskonałych potraw i gdybym był sam, dostałbym dziesięć razy gorszy obiad świąteczny.

— Ale ten przeklęty człowiek, ten Feradzi — pieniał się Stanley. — Powiedziałem mu najdokładniej, co ma zrobić, jak przyrządzić, podyktowałem, ile czasu ma piec każdą potrawę! To bałwan, idiota, może jeszcze gorzej: może celowo popsuć wszystko! — Chwyć szpicrutę do ręki. — Sprawię temu łobuzowi takie lanie, że mnie do śmierci popamięta!

Livingstone porwał się na nogi.

— Nie zrobisz nic podobnego — zawołał, chwytając Stanleya za ramię. — Nie w dzień Bożego Narodzenia. Ani w żaden inny dzień, dopóki jesteś ze mną. Folgując własnym namiętnościom zaszkożysz sam sobie, bo ten kucharz albo ciebie opuści, albo otruje.

Stanley ustąpił.

— Dobrze, doktorze — powiedział. — Ale tylko dlatego, że tego sobie życzysz. Łobuz zasłużył na baty. Pewno teraz sam zajada te potrawy, które mogły być doskonałe, ale które dla naszego podniebienia są nie do przyjęcia. A taki z niego tępak, że może nawet nie rozumie, czemu nam nie smakowało.

— Życie postawi ważniejsze zadania dla twojej energii, mój młody przyjacielu, i nie marnuj jej na gniewne wybuchy z powodu niedopieczonego mięsa albo przypalonych ciast — rzekł Livingstone. — Zapomnij już o tym. Wypij ze mną, za naszą następną wspólną podróż, ostatni kieliszek tego wybornego, orzeźwiającego szampana!

Stary podróżnik wznosił srebrny pucharek, a Stanley, ułagodzony, wypił wraz z nim, chociaż rzucał jeszcze niechętne spojrzenia w stronę drzwi.

Następna wspólna podróż była już początkiem powrotu Stanleya do Zanzibaru. Dziennikarz chciał koniecznie namówić Livingstone'a, aby mu towarzyszył aż do końca i razem z nim powrócić.

— Nie. Muszę zostać i rozstrzygnąć definitywnie sprawę źródeł Nilu — odpowiadał Livingstone z niewzruszonym uporem. Ale w głosie jego nie było zapału. Może to, co Stanley mu opowiadał o niedbałości konsula Kirka i lekceważeniu Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, zniechęciło starego podróżnika do powrotu do cywilizacji białych społeczeństw; a może myślał o tym, że pragnie umrzeć w Afryce, gdzie przed laty pochował swoją żonę.

Jakakolwiek była istotna przyczyna odmowy, w każdym razie o stanowczość jego rozbiły się wszelkie argumenty Stanleya, wszelkie dowodzenia, że powinien odwiedzić synów i córkę, odpocząć, odzyskać siły, zebrać fundusze i zapasy na nową wyprawę.

— Odprowadzę karawanę aż do Taboru — rzekł Livingstone. — Tam zapewne znajdę przesłane dla mnie dostawy. Tam również są, jak pan mówisz, zapasy, z których mogę skorzystać dzięki wspaniałomyślnej hojności pana Bennetta. Następnie powrócę, by pójść z biegiem rzeki Lualaba. Może ta rzeka okaże się początkiem Nilu?

Pod koniec grudnia wyruszyli okrężną trasą, wyznaczoną przez Stanleya, by wyminąć grasujących wojowników Miramby, a jednocześnie oszczędzić Livingstonowi trudnych marszów. Pierwsze sto mil płynęli po jeziorze Tanganika łodziami, pożyczonymi od Arabów, którzy ofiarowali je z wrodzoną gościnnością. Tyle chętnie zrobili i dla Livingstone'a, i dla Stanleya. Ale na przesłanie listów

Livingstone'a, - za pośrednictwem karawan prowadzących niewolników — nigdy się nie zgodzili. Wiedzieli aż nazbyt dobrze, że w listach będą zawarte surowe potępienia, które prędzej czy później odbiją się niekorzystnie na ich niecnym procederze.

Livingstone nieustannie apelował do władz i prywatnych osób, z którymi korespondował, aby podejmowali wszelką możliwą działalność celem zniesienia handlu niewolnikami. Wiedział, jak handel ten wyniszczał Centralną Afrykę. Chciwość, żądza posiadania broni, perkalu, drutu i paciorków była częstym powodem wojen międzyplemiennych i porywania jeńców, których mogli później korzystnie sprzedać handlarzom. Szlachetne serce starego podróżnika współczuło niedoli tych ludzi; i to nie tylko ich fizycznym cierpieniom, ale również ich upokorzeniom i mękom umysłu. „Najdziwniejsza choroba, jaką zaobserwowałem w tym kraju — pisał Livingstone — polega, jak się zdaje, na cierpieniu serca, a atakuje i do śmierci prowadzi najsilniejszych nawet mężczyzn, których uczyniono niewolnikami”.

Wybrzeża jeziora Tanganika, wzdłuż których płynęły wielkie łodzie, opatrzone baldachimami, chroniącymi białych podróżników od słońca, zieleniły się bujnie po niedawnych deszczach, całą gamą odcieni, od jasnego seledynu począwszy. Wody jeziora, odzwierciadlając czyste niebo, barwiły się głębokim błękitem. Instynkty łowieckie Stanleya budził widok licznych hipopotamów, o czerwonych kręgach wokół uszu i na szyi.

Przybyli do Urimby, miejscowości na brzegu jeziora, skąd mieli już dalej iść lądem, i zatrzymali się, by czekać przybycia tej części karawany, która szła brzegiem. Stanley, wzięwszy dubeltówkę Livingstone'a, wybrał się na polowanie. Selim prowadził, Kalulu niósł broń. Nagle Selim padł na ziemię, dając znaki, aby go naśladować. Poprzez wysoką trawę Stanley dostrzegł stado pasiących zebra, pasących się spokojnie. Selim leżał bez ruchu. Stanley razem z Kalulu czołgali się na kolanach, aż znaleźli się w odległości stu jardów od stada. Wziął dubeltówkę od chłopca.

— Nie strzelać, Bwana. Nic nie będzie. Niedobre miejsce — ostrzegł Kalulu.

Istotnie miejsce było źle wybrane. Nogi Stanleya plątały się w niskich, kolczastych krzakach. Podniósł broń do ramienia, ale muchy tse-tse obsiadły mu oczy i nos. Próbował odganiać muchy, a jednocześnie wyplątać nogi z gałęzi.

— One się spłoszą, Bwana. Niedobre miejsce do strzału — szepnął Kalulu.

Zebry podniosły łby, nastawiły uszu, patrzyły w stronę niepokojących je odgłosów, zwracając się prosto w wylot dubeltówki. Stanley nie oparł się pokusie i strzelił, ale speszony i zdenerwowany — chybił. Zwierzęta pogalopowały, a dwaj myśliwi wybiegli za nimi na otwartą przestrzeń. Oddaliwszy się na jakieś trzysta jardów, zebry zwolniły biegu. Przewodnik stada znajdował się o dziesięć jardów oddalony od innych, świetny cel dla strzelby Stanleya z drugiej lufy. Tym razem już nie chybił. Kula przeszła przez serce zwierzęcia. Myśliwy powrócił dumnie do obozu, gdzie go Livingstone powitał słowami:

— Mój drogi, cóż to za wspaniała zdobycz! Będziemy mieć teraz pod dostatkiem mięsa na początek naszej podróży lądem. Jesteś już doprawdy wytrawnym podróżnikiem po puszczech.

Livingstonowi ta podróż, chociaż po nowej trasie, nie dawała możliwości żadnych odkryć. Był jednak zadowolony, poddając się energii Stanleya, który z zamiłowaniem organizował wszystko i wszystkich wokół siebie. Zmęczony pod koniec każdego dziennego marszu, stary podróżnik wołał chwalić Stanleya, niż samemu iść ze strzelbą na polowanie.

Dnia 7 stycznia 1872 roku wyprawa ruszyła lądem na wschód. Tego samego dnia Stanley znowu miał sposobność zapolować. Szli doliną rzeki Loajeri. Dolina zwężała się, aż wreszcie przekształciła się w wąwóz, którego dnem płynęła bystra szumiąca woda, grożąc, zdawało się, pochłonięciem karawany. Szczęściem znaleźli wyjście na wysoki płaskowyż i dotarli do stóp góry, rozbili obóz na noc.

Stanley wydawał właśnie rozkazy, gdy Livingstone podszedł i ująwszy go za ramię, wskazał przed siebie. Kalulu w tej samej chwili podał mu nabitą dubeltówkę. Z bronią w ręku Stanley dostrzegł wspinającego się po przeciwnej stronie wąwozu ogromnego bawołu. Wydostawszy się na płaskowyż, bawół odwrócił się i spojrzął na nich.

— Teraz — rzekł Livingstone. — Mierz w tył głowy. Stanley nacisnął cyngiel. Bawół ryknął krótko z bólu.

— Krwawi! Patrz! Po karku spływa krew! — Nawet flegmatyczny i zawsze spokojny Livingstone dał się ponieść myśliwskim emocjom.

Tragarze, włącznie z Bombayem i Asmanim — którzy teraz, gdy szli powrotną drogą, spełniali swe obowiązki lojalnie i chętnie — wydali radosny okrzyk. Stanley strzelił znowu, tym razem mierząc w grzbiet ranionego zwierzęcia. Bawół padł na kolana i wkrótce askarysi obdzierali go ze skóry, a mięso krajali w wąskie, długie płyty do wędzenia nad ogniem. Doświadczony Livingstone poradził Stanleyowi:

— Każ ludziom odłożyć ozór, garb i parę innych części. Dasz to zasolić i będziemy mieć wyborne przysmaki, których tamci by nie ocenili.

Natrafili z kolei na okolice, porośnięte tak wysoką trawą, że przewodnik Asmani nie mógł dostrzec dalekich wzgórz, którymi się kierował. Wziąwszy mały, wysadzany perłami kompas Livingstone'a, Stanley poszedł na czoło karawany i prowadził ją dalej.

W parę dni później znowu dostrzegli grubego zwierza, ale tym razem zbyt grubego. Dopilnowawszy rozbicia obozu Stanley zostawił zmęczonego Livingstone'a i wziąwszy tylko lekką strzelbę na ptaki poszedł wraz z Selimem i Kalulu do niewielkiego wąwozu, oddalonego o parę mil. Wspiąwszy się na przeciwny brzeg wąwozu Stanley stanął zdumiony.

— Słonie! Słonie! — krzyknął Kalulu i rzucił się do ucieczki z powrotem do wąwozu.

Wspaniałe zwierzęta pasty się na równinie, wśród z rzadka rozrzuconych ogromnych drzew. Mając w ręku broń, która na nic by się nie przydała przeciw tym kolosom, Stanley pośpiesznie pobiegł za Kalulu i Selimem, którym nogi trzęsły się ze strachu. Wreszcie zatrzymali się na chwilę, zdyszani, przerażeni, ale winszując sobie wzajem ocalenia. Zabawne było zakończenie. Stanley gwałtownie

plasnął się ręką po karku. Z powodu nieodpowiedniej strzelby, ominęła go okazja zabicia słonia, a w momencie, gdy tego żałował — ukąsiła go osa.

Z kolei uwagę Stanleya zwróciły czerwonobrode małpy, które wspinając się po drzewach wykrzywiały się i robiły miny, jak by z niego kpity.

Wkrótce karawana wkroczyła w puszcze, okrywające płaszczem zieleni zbocza gór na terytorium, zwanym Ukawendi. Wspaniała podzwrotnikowa roślinność wywierała niezwykły czar, który okazał się jednak zdradziecki, gdyż Stanley zapadł znowu na febrę. Ta sama gorąca wilgoć, pod wpływem której rośliny i drzewa rozrastały się do niebywałych rozmiarów, wypijała siły i krew z organizmów ludzkich.

Tylko w Ukawendi — pisał Stanley — można nieomal gołym okiem śledzić wzrost roślinności. Ziemia tu wspaniałomyślna, natura tak dobrotliwa, miłująca (sic!), że choćby nie pragnąc się osiedlić, ani też wdychać tej dusznej atmosfery dłużej niż konieczne, człowiek czuje się nieświadomie pociągnięty nieodpartym urokiem tej krainy. (...) Nawet uginając się pod ciężarem okropnej choroby, z umysłem chwilami na wpół przytomnym od ataków wciąż powracającej gorączki, nawet wiedząc, że febra, rodząca się właśnie wśród tego urzekającego piękna, wyniszcza siły mego umysłu i ciała — patrzyłem w piękne oblicze tej krainy z niedorzeczną miłością, a smutek coraz głębiej zakradał się do mego serca na myśl, że z każdym dniem odchodzę dalej i gotów byłem pokłócić się z losem, który mnie zabierał z Ukawendi.

Dżungla czarodziejska i zwodnicza została za nimi. Murawa łagodnie sfalowanych wzgórz kładła się miękko pod stopy i nie stawiała przeszkód karawanie. Z chytrą naiwnością Bombay oznajmił, że śniło mu się, iż Bwana Mkuba strzelał do zwierząt na prawo i na lewo. Istotnie, dubeltówka Livingstone'a znowu zagrzmiała w rękach Stanleya. Raz zabił dwie zebry dubetem — z obu luf. Ale następne polowanie, gdy natknął się na stado złożone z jedenastu żyraf, mniej mu się udało.

— Strzelaj, Bwana! — wołał Kalulu. — Piękna skóra!

Stanley nie potrzebował zachęty. Z odległości stu pięćdziesięciu jardów wypalił z obu luf. Był pewien, że przynajmniej jedno ze zwierząt trafił, ale wszystkie uciekły niezdarnym galopem, przypominającym podrygi taneczne krajowców. Powrócił przygnębiony, gdyż istotnie bardzo pragnął zdobyć ten piękny łup: skórę żyrafy. Livingstone umiał równie dobrze pocieszyć rozczarowanego po nieudanym polowaniu, jak chwalić powodzenie.

— Mój drogi, młody przyjacielu. To nie była wcale twoja wina; przecież nie spodziewałeś się spotkać żyraf. Gdybyś wybierał się na polowanie na żyrafy, doradziłbym, ci nie używać ołowianych kul. Są za miękkie na twardą skórę tych zwierząt.

— Przetop parę pudeł cynkowych i użyj tego jako dodatku do ołowiu. Następnym razem przyniesiesz nam wspaniałą sztukę.

Nie trzeba było długo czekać na „następny raz”. Karawana zatrzymała się na jeden dzień, aby dać spoczynek obolałym stopom Livingstone'a. Stanley skorzystał z tej sposobności, by wybrać się na polowanie z dubeltówką, młodym Kalulu, który niósł broń, i Mabrukim, który wybornie oprowaiał zwierzyne. Wspiąwszy się na grzbiet wysokich wzgórz ujrzeni po drugiej stronie rozległą dolinę

w kształcie niecki, porośniętą wysoką trawą, z rzadka rozrzuconymi palmami i drzewami mimozy. I oto, poszczypując swój ulubiony przysmak, delikatne listki mimozy — pasło się stado żyraf.

Trawa, choć wysoka, nie mogła jednak ukryć podchodzącego myśliwego i trzeba było postugiwać się licznymi wysokimi mrowiskami. Ale na dosyć znaczną odległość wokół stada nie było już mrowisk. Stanley, obłany potem, rozgorączkowany, drżący ze zmęczenia i nerwowego napięcia, przykląkł za ostatnim kopcem, oddalonym o jakieś sto pięćdziesiąt jardów od zwierząt. Uspokoiwszy się nieco, popieścił dubeltówkę i starannie ją sprawdził, po czym wstał i uważnie wycelował. Nie był zadowolony. Opuścił broń. Kalulu w milczeniu szturchnął go łokciem. Stanley podniósł głowę i dostrzegł, że jedna z żyraf zwróciła się wprost ku niemu: doskonały cel, choć daleki. Podniósł znowu broń. Jedno szybkie spojrzenie, muszka w okolicy serca zwierzęcia. Spokojnie pociągnął za cyngiel. Wielkie zwierzę zachwiało się, jak statek żaglowy, gdy zmienia hals, zatoczyło i porwało do galopu. Stanley, Kalulu i Mabruki, wpatrzeni z zapartym tchem, ujrzeli krew, tryskającą strumieniem z piersi żyrafy, która jednak przebiegła dwieście jardów, nim wreszcie przystanęła i obejrzała się, zdziwiona, z uszami po sobie.

— Jeszcze raz strzelać, Bwana! — nalegał Kalulu, zawsze gotów z radą, zwykle w tych warunkach słuszną.

Stanley dobiegł na dwadzieścia jardów od zwierzęcia i dobił go drugą kulą z mieszaniny cynku. Trafił między oczy. Mabruki skacząc i tańcząc okrążał zabitą żyrafę i wołał:

— Allah akhbar! Oto mięso, panie!

Żyrafa mierzyła przeszło pięć metrów od prawego kopyta do czubka głowy.

— Doskonały strzał — chwalił Livingstone. — Mięsa będzie więcej niż zdołamy unieść. A jaki piękny deseń!

Ale doktor, obliczając, że nie zdołają zabrać całego mięsa, nie wziął pod uwagę, do jak skromnych rozmiarów pagazi i askarysi potrafią zmniejszyć nawet żyrafę, gdy zasiądą do wielkiej uczty. Z zupełną łatwością uniesiono na ramionach to, co nie było już w żołądkach.

Dwukrotnie w czasie tej podróży do Taboru Stanley spodziewał się, że do swych trofeów zaliczy skórę lwa. Ale za każdym razem król zwierząt wymykał mu się, czy też, jak amerykański dziennikarz twierdził zupełnie serio, uciekał przed nim w przerażeniu.

W Taborze dowiedzieli się, że Mirambę zapędzono do jego fortecy i rozpoczęto oblężenie. Ale spotkało ich rozczarowanie. Bagaże, które czekały na Livingstone'a, częściowo rozkradł przewodnik, wysłany z Zanzibaru przez Kirka. Pisząc o tym w swoim sprawozdaniu, Stanley najbardziej irytował się z powodu straty kilku butelek koniaku.

Stanley oddał Livingstonowi swoje zapasy, które pozostawił był pod opieką arabskiego wodza w Taborze. Tak więc stary podróżnik miał więcej rzeczy, niż jego ludzie mogli zabrać. Zgodził się więc czekać w Taborze na powrót części pagazich Stanleya z Bagamojo.

Stanley śpieszył się teraz do Europy z materiałem zebrany w Afryce, materiałem najbardziej może sensacyjnym, jaki kiedykolwiek dziennikarz wywiózł z Afryki.

Dnia 13 marca wieczorem rzekł:

— Jutro, doktorze, pozostaniesz sam.

— Będę się czuł, jak w domu, który nawiedziła śmierć — odrzekł Livingstone. — Powinieneś zaczekać, dopóki nie minie pora deszczowa, która niebawem się zacznie.

— Zostałbym, gdybym mógł, drogi doktorze, ale każdy dzień zwłoki teraz, gdy nie jestem tu więcej potrzebny, opóźnia powrót twój do pracy i do twego domu.

— Wiem — przyznał Livingstone. — Ale pomyśl o swoim zdrowiu. Nie powinieneś ruszać w podróż w tym stanie zdrowia. Chodzi zaledwie o parę tygodni. Jeśli wyruszysz teraz, nie dojdiesz wcale szybciej do wybrzeża, niż gdybyś tu przeczekał porę deszczową. Wody zaleją równiny, nie przejdziecie.

— Tak sądzisz, doktorze? — rzekł wyzywająco Stanley. — A ja podejmuję się dość do wybrzeża w czterdzieści dni, no, najwyżej pięćdziesiąt. Myśl, że mam ważne zadanie do spełnienia, doda mi sił.

Nie o wiele się omylił: wyprawa dotarła do wybrzeża w pięćdziesiąt cztery dni. Stanleyowi dodawała sił nie tylko chęć jak najszybszego wysłania reportażu. Miał ze sobą skarby, cenniejsze dla ludzkości od wszystkiego, co wywozili handlarze niewolników i kości słoniowej z Tanganiki: list Livingstone'a do Gordona Bennetta, opublikowany później w „New York Herald”, wzywający pomocy w walce o zniesienie handlu niewolnikami — „plagi i klątwy tego pięknego kraju”. Drugi list — do premiera rządu Wielkiej Brytanii. A nade wszystko — dzienniki wielkiego podróżnika, obejmujące pięć lat badania terenów Centralnej Afryki, nie tkniętych do tej pory stopą białego człowieka.

Te właśnie skarby stały się przyczyną największego przestraszenia, jakiego Stanley doznał w czasie tej podróży do Bagamojo. Nieliczna karawana, bez wielkich ciężarów do niesienia i bez kłopotów z dezertkami — szli do domu — posuwała się w kierunku wschodnim szybko, pomimo wezbranych rzek i równin, zalanych powodzią, którą przepowiedział Livingstone. Brodzili często po kolana w wodzie i błocie.

W miesiąc po wyruszeniu doszli do rzeki, wąskiej wprawdzie, ale dość głębokiej i o bystrym prądzie. Stanley uznał, że nie będzie można jej przejść w bród. Zrąbano więc drzewo i przerzucono je przez rzekę, po czym tragarze posuwali się po gładkim pniu jeden za drugim, popychając przed sobą pakunki. Stanley był już na drugim brzegu, gdy Selim szarpnął go za rękaw, krzyżąc:

— Skrzynka siwego Anglika! Przepadnie!

Stanley odwrócił się i zobaczył młodego Murzyna, któremu powierzono cenną skrzynkę, idącego w bród przez rzekę. Przepawa po pniu wydała mu się zbyt powolna. Dziennikarzowi stanęła przed oczyma przerażająca wizja stracenia wszystkich dokumentów, rezultatów pracy i dowodów całej podróży, w mętnej, wezbranej rzece. W tej samej chwili pagazi prawie cały zanurzył się, skrzynkę tylko trzymając nad wodą; stąpnął w głęboką dziurę na dnie. Kiedy wygrzebał się na płytszą wodę, znalazł się oko w oko z pistoletem w ręku Stanleya.

— Uważaj! Jeśli upuścisz tę skrzynkę, zastrzelę ciebie! — krzyknął Bwana Mkuba.

Ci na pniu drzewa i ci na obu brzegach zamarli w przestrachu, wpatrzeni w towarzysza, któremu groziła i woda, i kula. Mabruki uklęknął przed Stanleyem, błagając go, by nie strzelał. Z oczyma wytrzeszczonymi z przerażenia, nieszczęsny pagazi potykał się po nierównym dnie, przyciskając skrzynkę na głowie tak mocno, jak by chciał własną głowę wbić sobie w ramiona. Wreszcie był już o krok od brzegu. Stanley wetknął rewolwer w podniesioną rękę Mabrukiego i schyliwszy się, osobiście zabrał cenną skrzynkę od przerażonego pagazi.

Pośpiesznie otworzono skrzynkę. Jej zawartość była nie uszkodzona.

— Twoje szczęście, nicponiu! — grzmiał Stanley. — Gdyby kropla wody znalazła się na tych papierach, kazałbym cię zachłostać na śmierć. Nigdy więcej nie dotkniesz tej skrzynki. Będziesz szedł w karawanie tak daleko od niej, jak tylko się da!

Był dzień szósty maja, gdy karawana dotarła do Bagamojo, a dwudziesty dziewiąty, gdy Stanley stanął znowu na pokładzie statku. W ciągu 411 dni przebył 2250 mil, z czego prawie połowę — okrężną drogą z Taboru do Udżidzi i z powrotem, oraz po jeziorze Tanganika, po terytoriach, nigdy przedtem nie oglądanych przez białego człowieka. Jak trudna i niebezpieczna była ta podróż, świadczyła śmierć 18 pagazich i askarysów oraz dwóch białych: Farquhara i Shawa, a także wygląd Stanleya, który posiwiiał i stracił 30 kilogramów wagi.

Teraz na pokładzie stał przy nim Kalulu, którego postanowił zabrać ze sobą do Europy. Chłopak był radośnie podniecony perspektywą podróży po oceanie, przejęty myślą o tym, co może go spotkać u kresu tej wielkiej podróży. A jego opiekun, patrząc niewidzącymi oczyma na znikające wybrzeża Zanzibaru, przedsiönka haniebnego handlu niewolnikami, wymówił powoli i z triumfem cztery słowa:

— A jednak znalazłem Livingstone'a!

Te z rozmysłem wymówione słowa pojętny Kalulu zrozumiał. Nie wiedział jednak, że jego opiekun, spotykając i pokonując olbrzymie przeszkody, ucząc się trudnej sztuki dowodzenia, uznając wyższość wielkiego starego podróżnika i wypełniając do końca swoją misję — znalazł nie tylko Dawida Livingstone'a, ale również odnalazł Henryka Mortona Stanleya.

Rozdział XII

POTOMEK OSTATNIEGO KRÓLA POLSKIEGO

James Gordon Bennett junior, człowiek, który z paryskich biur „New York Herald” posłał Stanleya na historyczną wyprawę, celem „znalezienia Livingstone’a”, siedział w swoim gabinecie w nowojorskiej redakcji. Jego ojciec, założyciel dziennika, zmarł przed dwoma miesiącami. Teraz on sam był jedynym właścicielem i naczelnym redaktorem gazety o wielkiej popularności i znacznych wpływach.

Rozłożone na biurku leżały przed nim depesze od paryskiego korespondenta: „Henryk Morton Stanley — czytał ze zmarszczoną brwią prasowy magnat — jest bohaterem dnia. Poszukiwany, honorowany, ugaszczany — przewróci mu się w głowie, jeśli ma głowę słabą. Reporterzy nachodzą go o wywiady, korespondenci pism ilustrowanych rysują jego portrety i sceny z jego podróży. Jest lwem salonów paryskich”.

Gordon Bennett junior przeglądał dalsze kartki pośpiesznie, zmarszczka na jego czole się pogłębiała, palcami wybijał nerwowo rytm na blacie biurka. Zacisnął pięść i uderzył nią gniewnie w bibułę. W końcu wstał i podszedłszy do kominka, przy którym wisiał sznur od dzwonka, szarpnął zań z taką siłą, że hałaśliwy dźwięk rozbrzmiał po całym budynku — a koniec sznura został mu w ręku.

Do gabinetu wpadł jego główny zastępca z pytaniem raczej zbytecznym:

— Pan dzwonił?

— Tak. Dzwoniłem. Czytałeś pan depesze o Stanleyu?

— Tak jest, szanowny panie. Wielki sukces dla „Heralda”.

— Nie widzą wcale, gdzie tu jest miejsce dla „Heralda” — odparł z gniewną goryczą Bennett. — Wszystko o Stanleyu! Tylko Stanley!

— On jest naszym przedstawicielem, szanowny panie.

— Ale nikt o tym nie pamięta, a już najmniej on sam. Spójrz pan tylko: ci zwariowani francuscy dziennikarze porównują odnalezienie Livingstone’a do marszu Hannibala na Rzym i do przeprawy Napoleona przez Alpy! Ten człowiek straci wszelkie poczucie odpowiedzialności wobec mnie! Zapomina, kim jest!

— Ale Paryskie Towarzystwo Geograficzne, szanowny panie, ogłosiło go oszustem. Powiadają, że nigdy tego nie dokonał, o czym opowiada.

— Zasuszone profesory! Nikt na nich nie zwróci żadnej uwagi — odparł Bennett i dorzucił: — Oczywiście, że znalazł Livingstone’a. Jest wytrwały i uczciwy.

— Czy szanowny pan czytał ten fragment o jego domniemanych przodkach? — Główny zastępca naczelnego redaktora, wciąż stojąc przed biurkiem, był zdezorientowany: nie wiedział, czy ma chwalić, czy też ganić Stanleya, aby nie narazić na gniew porywczego szefa.

— Nie, jeszcze nie skończyłem czytać. Gdzie to jest?

— Na samym końcu, szanowny panie. Bennett spojrział na ostatni ustęp.

— Mój Boże! Stanley polskiego pochodzenia!? Co to za brednie! Nazwisko przekręcone od imienia „Stanisław”? Potomek ostatniego króla polskiego i jakiejś Francuzki? Nonsens! Nonsens!

Bennett wpadł w pasję. Twarz mu poczerwieniała, na masywnym czole wystąpiły żyły.

— Sprawdzałem czy to możliwe, szanowny panie — rzekł uspokajająco zastępca. — Jak się zdaje, król Stanisław August nie miał ślubnych potomków. Ale nie brakło mu okazji pozostawienia nieślubnych dzieci.

— Głupstwo! Głupstwo! — wykrzykiwał Bennett. — Nieślubny, i owszem, to by pasowało do naszego sławnego czy też osławionego kolegi. Ale Polak? Nonsens! Jeśli już o to chodzi, to on nawet nie jest prawdziwym Amerykaninem. Urodził się w Walii. Jego jedyne uprawnienia do amerykańskiego obywatelstwa to wyskoczenie z angielskiego statku w amerykańskim porcie i dezercja z amerykańskiej marynarki. On pewno nawet nie przypuszcza, że ja o tym wiem. Ale moim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko o moich współpracownikach.

— Oczywiście. Mało czego szanowny pan nie wie — podlizywał się redaktor.

Magnat prasowy burknął coś pod nosem. Żywił się pochlebstwami, tym bardziej drażniła go niezależność Stanleya. Wyprawa celem odnalezienia Livingstone'a miała zwiększyć nakłady „New York Herald” i przynieść sławę nazwisku wspaniałomyślnego fundatora, Gordona Bennetta. Wybrał młodego reportera, który miał tylko o tyle wyrobioną opinię jako dziennikarz, że można było mieć do niego zaufanie. Nie wyobrażał sobie, że będzie dzielić ze Stanleyem sławę.

— Kim był Stanley, nim go odkryłem? — pytał agresywnie swego zastępcę, jak by biedaczysko mu się sprzeciwiał. — Kto wpadł na pomysł tej wyprawy? Kto łożył na to pieniądze?

— Nie potrzebuję chyba odpowiadać na to, szanowny panie. Odpowiedź jest jasna!

— Więc co ja mam zrobić. Może mi pan na to odpowiesz? — warknął Bennett.

— Może mu szanowny pan kazać natychmiast wracać do Nowego Jorku.

Bennett zignorował tę propozycję.

— Chodzi o to, że wszelkie wiadomości o wyprawie i o Livingstone są wyłączną własnością „Heralda” — rzekł. Osobista uraza ustąpiła miejsca zawodowej zazdrości. — A ten nicpoń, Stanley, oddaje ją na własność wszystkim reporterom świata; za dobrą zapłatą, nie wątpię!

— To piraci, ci francuscy dziennikarze.

— Wyślij do niego telegram — rozkazał Bennett. — Natychmiast. Dwa słowa: „Przestań gadać”.

Ale Stanley nie przestał — mówił i pisał o swoim głośnym osiągnięciu. W Londynie przyjmowano go rozmaicie. Agnieszka Livingstone, córka wielkiego podróżnika, napisała doń list z podziękowaniem. Członkowie rządu zapraszali do swych domów dawnego wychowanka sierocińca. Ale w niektórych kołach przebąkiwano, że listy, które dziennikarz przywiózł, pisane rzekomo przez Livingstone'a, są sfałszowane. W prasie wyrażano wątpliwości, czy Stanley w ogóle był w Afryce! Żądano przeprowadzenia dochodzeń.

Kryzys przypadł na dzień 15 sierpnia. Zaproszono Stanleya do Brighton na zebranie, zorganizowane przez Sekcję Geograficzną Brytyjskiego Stowarzyszenia dla Rozwoju Nauk. Stanąwszy na mównicy Stanley znalazł się w obliczu trzech tysięcy uczestników, wśród których znajdowali się najwybitniejsi geografowie, a także były cesarz i cesarzowa Francji.

Krępy, opalony na ciemny brąz, z wielkimi wąsami, stał przed nimi pozornie arogancki. Ale w rzeczywistości miał szaloną tremę.

— Wasze cesarskie moście, lordowie, panie i panowie — zaczął. — Uważam siebie za... — Przełknął z trudem, psując pierwsze wrażenie pewności siebie. — Uważam siebie za współczesnego trubadura, którego zadaniem będzie odtworzyć... to jest, opowiedzieć... — zająknął się znowu. Wśród audytorium rozległy się szmery niezadowolenia. Niedowierzający szeptali, że Stanley jest w strachu, ponieważ wie, że jego opowieść nie wytrzyma krytyki tak wybitnych specjalistów. Stanley zaczął po raz trzeci, lecz tym razem nabierał pewności w miarę, jak mówił. — Uważam siebie za współczesnego trubadura, którego zadaniem będzie opowiedzieć historię starego człowieka, idącego naprzód, wciąż naprzód, w poszukiwaniu źródeł Nilu...

Mówił o ofiarach, jakie ponosił Livingstone dla wiedzy, dla rozstrzygnięcia problemów geograficznych. Nie będąc doświadczonym mówcą sądził, że szczegóły przekonają słuchaczy o jego prawdomówności. Plątał się w anegdotach, gubił myśli w szczegółach. Ale wytrwał do końca swego przemówienia, tak jak wytrwał i doprowadził do końca wyprawę afrykańską. Gdy usiadł, okazało się, że nie tylko nie wierzono mu, ale nawet powątpiewano o sukcesach Livingstone'a.

— Doktor Livingstone podobno twierdzi, że widział goryle w tych okolicach, gdzie przebywa — zaczął jeden z krytyków. — Otóż jest to niemożliwe. Musiał chyba zawędrować dużo dalej na zachód, niż mu się zdawało.

Wstał następny antagonistą.

— Jestem przekonany, że doktor Livingstone nie odkrył źródeł Nilu.

I trzeci.

— Doktor Livingstone w końcu wróci do mojej teorii. Nie dam się przekonać do jego arbitralnej metody poszukiwania źródeł Nilu, ponieważ jej nie rozumiem.

Stanley wysłuchał wielu wypowiedzi tego rodzaju, zanim go poproszono o odpowiedź. Tym razem nie jąkał się i nie wahał. Był tak rozgniewany, jak gdyby przyłapał pagaziego na kradzieży. Cóż jednak

znaczyła kradzież paru zwojów perkalu wobec próby ukradzenia dobrego imienia wielkiemu człowiekowi?

— Jeden z panów powiedział — zaczął Stanley — że ponieważ doktor Livingstone widział goryla nad Lualabą, więc musiał być znacznie dalej na zachód, niż sądził, bo w Ugandzie nie ma goryli. Ten pan zapomniał chyba, że pomiędzy Ugandą a terenem poszukiwań Livingstone'a leży przestrzeń ośmiu stopni długości geograficznej. To tak samo jak by ktoś powiedział: „Widziałem katedrę Św. Pawła”, a ktoś inny we Francji odpowiedziałby mu: „Pan się myli: nie ma katedry Św. Pawła we Francji, wobec tego nie ma jej w Anglii”.

Stanley dał szereg odpowiedzi w tonie nie obliczonym na ułagodzenie antagonistów, ani na wprowadzenie do dyskusji poważniejszej, naukowej atmosfery. Zakończył gorzkimi zarzutami pod adresem „fotelowych geografów”, budzących się z drzemki, by dogmatycznie rozstrzygać o sprawach, którym Livingstone poświęcił życie w długich i trudnych badaniach w głębi Centralnej Afryki. Gdy usiadł, zabrał głos prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, sir Henry Rawlison.

— Jesteśmy bardzo zobowiązani panu Stanleyowi — mówił. — Ale nam nie potrzeba sensacji; nam potrzeba faktów...

Opuszczając Brighton Hall, Stanley usłyszał, jak jeden z geografów mówił do drugiego:

— Mamy prawo zignorować go w ogóle. Jest tylko dziennikarzem. Cóż on może wiedzieć o geografii?

Towarzysz Stanleya, minister spraw zagranicznych lord Granville, położył mu rękę na ramieniu, powstrzymując jego gniewny odruch.

— Więc niech pan ich zignoruje — radził. — Nie rozumie pan wcale, jaką pan zbrodnię popełnił. Uważa się, że tylko Anglik ma tyle charakteru, iż potrafi zapuszczać się w głąb Afryki. Oni są wściekli, ponieważ pan, amerykański dziennikarz, dokonał tego i odnalazł człowieka, o którego oni się nie troszczyli. Oni jeszcze przyjdą do pana. Trzeba tylko poczekać.

Upokorzony dziennikarz nie potrzebował czekać długo. Pomimo listu sir Henry Rawlisona — w którym przytoczono często powtarzany dowcip, że to w rzeczywistości nie Stanley odnalazł Livingstone'a, ale odwrotnie: Livingstone Stanleya — najpoważniejszy dziennik angielski, „Times” wziął go w obronę, a w ślad za nim czasopisma „Daily Telegraph” i „Punch”. Rodzina Livingstone'a potwierdziła publicznie niewątpliwą autentyczność listów, dziennika i wszelkich papierów Livingstone'a, przywiezionych przez Stanleya. Skoro ta wątpliwość została usunięta, wszystko inne się ułożyło. Jasne, że człowiek, który przywiózł z głębi Afryki te dokumenty i listy, wychwalające go, nie mógł być nikim innym, jak Stanleyem. Było to oczywiste nawet dla geografów, choćby niechętnych do uznania zasług Stanleya. Sir Henry Rawlison zmienił kompletnie front i publicznie przeprosił za swoje wątpliwości i źle skierowane dowcipy. Królewskie Towarzystwo Geograficzne wydało bankiet na cześć tego, którego do niedawna nazywali „tylko dziennikarzem”. Udekorowano go najwyższym odznaczeniem Towarzystwa — Orderem Wiktorii.

Teraz popłynęły pochwały i zachwyty, jak powódź. Zасыpywano go zaproszeniami na bankiety, na publiczne zgromadzenia, ofiarowywano medale i rozmaite podarki. Uwieńczeniem tych dowodów uznania była mała tabakierka, złota, wysadzana sześćdziesięcioma diamentami, z napisem na wieczku:

Prezent

Jej Królewskiej Mości Wiktorii dla

Pana Henryka M. Stanleya w uznaniu jego przezorności, odwagi i zapału, jakie okazał w odnalezieniu i nawiązaniu kontaktu

z doktorem Livingstonem, w ten sposób uspokoiwszy powszechną opinię, zatroskaną losem tego wybitnego podróżnika.

Jej królewska mość łaskawie udzieliła mu dziesięć minut swego czasu na prywatnej audiencji, a później mniej łaskawie określiła go w swym dzienniku, jako „stanowczego, brzydkiego człowieka, mówiącego przykrym amerykańskim dialektem”.

Stanleya wzruszyły te dowody uznania, jakże odmienne od początkowych powątpiewań i obelg. *Królewskie Towarzystwo Geograficzne* — pisał w swej książce, zatytułowanej „*Jak znalazłem Livingstone'a*”, którą ukończył z nieprawdopodobną szybkością, zważywszy, jak bardzo był w owym czasie zajęty — *przekonało się, powoli lecz pewnie, że nie jestem żadnym szarlatanem i że zrobiłem to, o czym mówiłem. A wówczas podano mi rękę i zaproszono na członka ich grona z serdecznością, której nigdy nie zapomnę.*

Być może, iż nie zapomniał nigdy owej „amende honorable”. Ale też nigdy nie zapomniał bolesnych oszczerstw, które pozostawiły mu blizny na całe życie. W wiele lat później wciąż jeszcze pieniał się wewnętrznie, gdy pisał: *Wszystkie moje postęпки, nawet wszystkie moje myśli od roku 1872 były zawsze zabarwione goryczą, jaką wywołała we mnie ta burza obelg i kompletnie bezpodstawnych zarzutów, z jaką się w owym czasie spotkałem.* Przypuszczał, że ciężki trud, poświęcenie niebezpiecznej misji, stanowczość w pokonaniu przeszkód i ostateczne odnalezienie zaginionego bohatera Anglii zdobędzie dlań miejsce w angielskim społeczeństwie. I wydało mu się, że *lata cierpliwego czuwania, wstrzeźliwości, ćwiczenia w odwadze, zakończyły się katastrofalnym niepowodzeniem.*

Rozczarowany był z pewnością częściowo z własnej winy. Gordon Bennett przetelegrafował mu mądrą radę: „Przestań gadać”. Stanley nie posłuchał jej — mówił za dużo. Skrytykował ostro konsula Kirka za rzekomą niedbałość w przesyłaniu dostaw i tragarzy Livingstonowi. Zlekceważył poprzednich podróżników po Afryce — Richarda Burtona, Jamesa Speke i Samuela Bakera. W obraźliwy sposób komentował niedostateczną pomoc Królewskiego Towarzystwa dla Livingstone'a. A nie była to walka z wiatrakami. Zaatakowani mogli się bronić — i bronili się.

Po przezwyciężeniu burzy w Anglii Stanley pojechał do Ameryki, gdzie jakiś przedsiębiorczy impresario zorganizował mu sześćdziesiąt odczytów. Pierwszy z serii odbył się w sławnym nowojorskim Steinway Hallu. Mównicę udekorowano sztandarem amerykańskim — tym samym, który Asmani niósł z Bagamojo do Udżidzi i z powrotem — dzidami, mieczami, zardzewiałymi strzelbami oraz sznurkami

paciorków i zwojami perkalu, jako pamiątkami z podróży. Z pewnością niefalszowaną pamiątką był Kalulu, który stał obok swego Bwana Mkuby, gdy ten przemawiał, trzymając w rękach strzelbę w pogotowiu, jak by każdej chwili mogła się pojawić zebra na horyzoncie.

Słowem, dekoracje były efektowne. Natomiast odczyty nie dorównały dekoracjom. Zbyt długi tekst, nafaszerowany banalną filozofią, czytany monotonnym głosem, nużył słuchaczy, którzy oczekiwali atrakcji. Odczyty te spotykały się z druzgocącą krytyką amerykańskich dziennikarzy, włącznie z przedstawicielem „New York Herald”. Stanley musiał poprzestać na trzech odczytach. Przerzucił się na cyrkowe demonstracje talentów Kalulu, który wyrastał na pięknie zbudowanego młodzieńca o bystrych oczach i inteligentnej twarzy. Podnoszono wysoko portret Livingstone'a, a Kalulu wołał: „Lifinston!”, po czym śpiewał piosenkę w języku Swahili. Ale najwięcej publiczności podobało się, gdy na rozkaz Stanleya Kalulu padał na kolana, naśladując modlących się Arabów, których widział w Zanzibarze, nie zapominając przy tym o ustawicznym zabijaniu moskitów, które zwykle towarzyszyło modłom. Tę upokarzającą parodię amerykańska publiczność witała śmiechem i brawami.

W amerykańskiej prasie, jak poprzednio w angielskiej, przyjmowano afrykańską podróż Stanleya bardzo różnie. Mało kto kwestionował autentyczność podróży, ale niektóre czasopisma — bardziej zresztą pragnąc zdyskredytować „New York Herald” niż jego korespondenta — zaczęły wygrzebywać szczegóły z młodości Stanleya. Przypomniano, że nie jest on Amerykaninem lecz Walijczykiem, że zdezerterował z amerykańskiej marynarki. Człowiek, który wystawiał biednego murzyńskiego chłopca na cyrkowe popisy, nie miał prawa reagować na to. Niejako dla przeciwstawienia, były również i głosy uznania. Zwolennikiem okazał się między innymi wielki amerykański pisarz Mark Twain, który — przedstawiając Stanleya zebranej w Bostonie publiczności — wygłosił następujące przemówienie:

„Nie mam tu zamiaru umniejszać zasług Kolumba. Nie, tego nie będę robić: ale jeśli spojrzymy na osiągnięcia tych dwóch ludzi, Kolumba i Stanleya, z punktu widzenia trudności, jakie musieli przezwyciężyć, przyznacie sami, że więcej zasług ma Stanley od Kolumba. Bo przecież Kolumb, żeby odkryć Amerykę, nie potrzebował nic innego robić, jak trzymać ster i płynąć prosto przed siebie, a Ameryka sama się odkryła. Barykadowała mu całą swoją długością i szerokością dalszą drogę i nie mógł jej minąć. Natomiast Stanley odkrył doktora Livingstone'a, zagubionego gdzieś w głębi Afryki, na terytorium równie wielkim, jak całe Stany Zjednoczone”.

Redakcja „New York Herald” wydała bankiet na cześć swego kolegi. Redaktorzy działów, reporterzy, zecerzy, urzędnicy, gońcy, portierzy — wszyscy byli obecni. Ale brakło jednego człowieka. James Gordon Bennett junior został w swoim gabinecie, pisząc listy. Jeden ze starszych redaktorów zaprowadził Stanleya do człowieka, który go wysłał w ową podróż. Bennett poświęcił mu dokładnie tyle samo czasu, co królowa Wiktoria — dziesięć minut.

Ludzie teatru również zaszczylicili Stanleya swoim zainteresowaniem. Wśród szeregu sztuk, opartych na jego przeżyciach, znalazła się komedia muzyczna, na którą poszedł sam jej bohater. Były w tej komedii także walki między wojownikami Miramby a Arabami, były nawrócenia na chrześcijaństwo; tańce, nazwane „kokosowymi”, odtańczone przez umalowanych „Tancerzy z Konga”; wreszcie scena, w której sparodiowany Livingstone, umierając z głodu i pragnienia, próbuje dać w zastaw swój zegarek Arabowi za kawałek ananasa. W tej samej chwili na drugą część sceny wkracza Neil Warner, znany aktor, grający rolę Stanleya, a za nim askarysi i pagazi. „Stanley” chodzi niecierpliwie tam

i z powrotem, nie widząc Livingstone'a, ukrytego za kaktusem. Wreszcie, rozchyliwszy liście owego kaktusa, dostrzega Livingstone'a, uchyla kapelusza wytwornym gestem miejskiego dandysa i powiada: „Doktor Livingstone, jak sądzę?”

Widzowie byli zachwyceni. Klaskali i pękali ze śmiechu. Ale nie Stanley. Nie mógł zrozumieć, dlaczego właściwie ci ludzie tak się śmieją?

Gdy Stanley powrócił do Londynu, właśnie wyszła z druku jego książka „Jak znalazłem Livingstone'a". Miała powodzenie, jak rzadko która książka o podróżach, mimo że można się w niej dopatrzeć wielu oznak megalomanii, przesady, oraz niesmacznych ataków na Kirka i innych, którzy narazili się osobiście Stanleyowi. Florencja Nightingale, założycielka angielskiej służby pielęgniarek, przyjaciółka i powiernica ministrów, określała ją jako „najgorszą książkę na najlepszy temat". Konsul Kirk, w swój spokojny, opanowany sposób zauważył: „Stanley zrobi fortunę na Livingstone". Gdy o tej uwadze dowiedział się Livingstone, napisał w dzienniku: „Życzę tego Stanleyowi z całego serca, bo mnie się nigdy nie udało zrobić fortuny na Livingstone".

Stanley uważał się nadal za dziennikarza, żyjącego z pracy swego pióra. Posłał Kalulu do szkoły, a sam, wystany przez „New York Herald", pojechał do Hiszpanii, gdzie rozgorzała wojna; później na Złote Wybrzeże, gdzie towarzyszył brytyjskiej wyprawie wojskowej przeciw Aszantom. W powrotnej drodze z tej wyprawy dowiedział się, że dnia 1 maja 1873 roku Dawid Livingstone zmarł w pobliżu jeziora Bengweulu. Zapisał w swoim dzienniku: *Drogi Livingstone! Jeszcze jedno życie, poświęcone Afryce! Ale jego dzieło musi być podjęte i prowadzone dalej. Inni muszą przyjść, aby zapętnić lukę. Może ja będę wybrany, by kontynuować jego dzieło udostępnienia Afryki? Tylko że moje metody będą się różniły zasadniczo od jego metod. Każdy człowiek ma swoje sposoby.*

Dwa lata prawie minęły od chwili, gdy Gordon Bennett junior odczytywał depesze swego paryskiego korespondenta o sukcesach dziennikarza, którego posłał na poszukiwania Livingstone'a. Teraz znowu czytał list, w którym Stanley miał być centralną postacią.

„Livingstone został pogrzebany w Opactwie Westminsterskim, wśród bohaterów i poetów Anglii — donosił właściciel dziennika londyńskiego »Daily Telegraph«, Edward Levy-Lawson. — Ale misja jego nie została spełniona. Nie rozstrzygnął ostatecznie problemu, czy Lualaba jest początkiem Nilu; zmarł, zanim mógł dokończyć eksploracji Środkowej Afryki; handel niewolnikami, którego nienawidził, nadal kwitnie pod panowaniem sułtana Zanzibaru..." W tym miejscu Gordon Bennett mruknął:

— No, dobrze, ale co to wszystko mnie obchodzi?

Z dalszej części listu Levy-Lawsona wynikało, że chciałby on pod egidą „Daily Telegraph" zorganizować wyprawę, która by raz na zawsze rozstrzygnęła te sporne kwestie geograficzne. Jednakże właściciel dziennika nie czuł się na siłach, by samemu sfinansować takie przedsięwzięcie. I tu wysunął sugestie, czy Gordon Bennett, w imieniu „New York Herald", nie zechciałby przyłączyć się i ponieść połowy kosztów?

— To zależy od... — zastanowił się Gordon Bennett, ale przerwał, spojrzawszy na koniec depeszy:

„Pan Henryk Morton Stanley, którego nie potrzebuję panu przedstawiać, podjął się prowadzenia ekspedycji”.

Gordon Bennett miał powody znienawidzić człowieka, który miał przynieść sławę i wielkie nakłady „New York Heraldowi”, a tymczasem większą część tej sławy zagarnął dla siebie, ale doskonale wiedział, że tenże Stanley nie wyda na darmo pieniędzy. Zadzwoił więc energicznie na sekretarza i podyktował jak zwykle zwięzłą odpowiedź:

„Tak. Bennett”.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział XIII NA DWORZE KABAKI

W małej wiosce zwanej Kagehi, w pobliżu której leży dziś miasto Mwanza, na południowym krańcu Jeziora Wiktorii, drugiego co do wielkości jeziora na świecie, Stanley założył wśród przyjaznych krajowców obóz-bazę dla ponad dwustu pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet, którzy mu towarzyszyli, i dla niezliczonych ilości bagaży.

Zebrawszy swoich ludzi na brzegu jeziora, Stanley wskazał barcę „Lady Alice”, przez niego samego zaprojektowaną, czterdzieści stóp długą, sześć stóp szeroką, wykonaną z drzewa cedrowego grubości blisko jednego cala, którą z Zanzibaru nieśli, rozebraną na części, specjalnie dobrani, najsilniejsi tragarze.

— W tej łodzi — oznajmił Stanley zebranyemu pagazim, askarysom i ich żonom — zamierzam po raz pierwszy opłynąć wybrzeża całego jeziora. Podróż zajmie miesiąc czasu, może dwa miesiące. Nie można przewidzieć. Będzie to zależało od ludzi i zdarzeń, od różnych okoliczności. Potrzebuję tuzina dzielnych ludzi, którzy by popłynęli ze mną.

Dwaj biali, Francis Pocock i Fryderyk Barker, spojrzeli na niego błagalnie. Także Kalulu, wysoki, silnie zbudowany młodzieniec, patrzył na niego prosząco. Stanley potrząsnął przecząco głową.

— Wy musicie zostać, żeby pilnować obozu, rzeczy i większości ludzi — tłumaczył.

Żaden z Murzynów się nie odzywał.

— No? Który z was chce pójść ze mną? — pytał Stanley. Ale nadal nikt ani nie wystąpił do przodu, ani się nie odezwał.

— Mabruki? Ty z pewnością zgłosisz się na ochotnika? — Stanley zwrócił się do starego, wiernego towarzysza, który i tym razem przyłączył się do wyprawy.

— Nie znam się na łodziach, Bwana — zastrzegł się Mabruki.

— To może Zaidi? — zapytał Stanley.

— Ja się boję wody, Bwana — odrzekł Murzyn.

— Uledi! Safani! Wy już braliście udział w wyprawach z białymi.

Ale oni potrząsali kędzierzawymi głowami. Ci czterej, których Stanley wymienił, oraz Manwa Sera zostali na początku ekspedycji wyznaczeni przywódcami grup. Manwa Sera przed czterema laty poprowadził do Livingstone'a grupę tragarzy, wybranych przez Stanleya w Zanzibarze.

Stanley wzruszył ramionami na te odmowy i już zaczął się naradzać z Pocockiem i Barkerem, gdy odezwał się Manwa Sera:

— Panie, nie pytaj, ale rozkazuj. Wszyscy tu jesteśmy twoimi dziećmi i nikt ci nie będzie nieposłuszny. Jeśli pytasz jak przyjaciel, nie zgłoszą się. Rozkaż, a każdy pójdzie za tobą.

Manwa Sera wiedział, że jego współplemieńcy przywykli do autokratycznych rządów swoich wodzów. Jeśli uważają się za dzieci wielkiego wodza, pójdą, gdzie on im rozkaże. Nie posłuchaliby tylko wtedy, gdyby stracili do wodza zaufanie.

Stanley posłuchał mądrej rady i natychmiast wyznaczył jednego z tych, którzy poprzednio odmówili — Safeniego, Murzyna średniego wzrostu, o olbrzymich uszach, przezornego i doświadczonego. Wyznaczył także Ulediego, który miał mu towarzyszyć przez setki mil, Sarambę i Kirango, ludzi o wypróbowanej odwadze, i sześciu innych, którzy w czasie marszu z Zanzibaru wykazali się odwagą, rozsądkiem i posłuszeństwem. Nikt się teraz nie wzdrażał.

W trzy dni później, 8 marca 1875 roku, pożegnawszy się z Pocockiem, Barkerem, młodym Kalulu, Mabrukim i pozostałymi, którym powierzył opiekę nad obozem, Stanley wyruszył w trzech wielkich łodziach (jedna z nich została nazwana „Livingstone”) na zbadanie wybrzeży Jeziora Wiktorii, położonego tysiąc metrów nad poziomem morza. Jedynymi pływającymi w owym czasie po jeziorze statkami, prócz czółen murzyńskich, były arabskie dhow, które nierzadko tonęły podczas sztormów.

Zbadanie brzegów Jeziora Wiktorii, odkrytego w 1858 roku przez Johna Speke i nazwanego imieniem królowej Anglii, było jednym z głównych zadań tej drugiej wyprawy Stanleya w głąb Afryki. Następnie miał zbadać brzegi jeziora Tanganika, którego tylko północny kraniec zwiedził razem z Livingstone, a w końcu zamierzał pójść z biegiem rzeki Lualaba aż do jej ujścia. Livingstone przypuszczał, że Lualaba zasila wody Nilu. Stanley marzył o rozwikłaniu raz na zawsze zagmatwanego labiryntu jezior i rzek Środkowej Afryki, a jednocześnie, jak pisał do swego wydawcy, Edwarda Marstona, pracował *nie dla próżnego poklasku, ale dla zdobycia zaufania w oczach wszystkich poważnie myślących ludzi, tego zaufania, którego mnie pozbawili złośliwi wrogowie.*

Zaplanował i zorganizował tę ekspedycję aż do najdrobniejszego szczegółu, wykorzystując własne doświadczenia i wszystko, czego nauczył się od Livingstone'a. Jego metody miały być jednak inne od metod podróżnika-misjonarza, który zwykł był maszerować z paru zaledwie tragarzami. Przygotowania Stanleya przywodziły na myśl raczej wyprawę wojenną — i taką w pewnym stopniu miała być jego wyprawa. Szybkie pochody, łamanie siłą oporu miejscowych władców, gdyby usiłowali stanąć im na drodze, nieuniknione straty wśród własnych ludzi: do tego się przygotowywał. A może był pod wrażeniem francuskich pism, które go przyrównywały do Napoleona? Z pewnością maszerując ze Stanleyem należało być przygotowanym na śmierć albo zwycięstwo, a może na jedno i na drugie.

Zanim Stanley opuścił Anglię, zasypano go prezentami ze wszystkich stron. Entuzjaści jego wypraw przysyłali mu zegarki, pistolety, instrumenty naukowe, chronometry, aparaty fotograficzne, lekarstwa, cygara, nawet poematy i traktaty religijne. Dosłownie setki ludzi zgłaszały się na ochotnika, by przyłączyć się do jego wyprawy. Wśród nich kilkunastu oficerów marynarki. Ale tych Stanley unikał od

czasów doświadczeń z Farquharem i Shawem. Wybrał tylko trzech towarzyszy, ludzi typu zawodowego sierżanta, twardych, zahartowanych, przywykłych do ślepego słuchania rozkazów. Dwaj z nich, bracia Pockock, Francis i Edward, byli synami rybaka z Kent i mieli doświadczenie w obchodzeniu się z małymi statkami. Trzeci, syn urzędnika z londyńskiego Hotelu Langham, szczyił się jako główną zaletą przemożnym pragnieniem podróżowania po Afryce.

W Zanzibarze i w Bagamojo Stanley zakupił, jak poprzednio, towary na handel wymienny, wynajął pagazich i askarysów. Miał nadzieję, że odnajdzie Selima, ale młody arabski tłumacz powrócił do swej rodzinnej Palestyny. Stanley wybrał 356 ludzi. Przywódcy grup i specjalnie dobrani, najsilniejsi tragarze do niesienia łodzi, mieli przywilej zabrania ze sobą żon — przywilej, który więcej cenili sobie mężczyźni niż ich żony.

Dnia 16 listopada 1874 roku wyruszyła z Bagamojo na północ największa i najlepiej wyekwipowana karawana, jaka kiedykolwiek przemierzała Wschodnią Afrykę. Szli początkowo przez piękną otwartą krainę, nie napotykając na przeszkody, prócz jednej: kraj nawiedziła klęska głodu. Pewnego dnia, gdy uciekło pięciu ludzi, wysłany po nich pod wodzą Mwany Sery oddział znalazł trzech dezertersów zmarłych z głodu i wycieńczenia, a o dwóch pozostałych wszelki śluch zaginął. W styczniu 1875 roku zmuszeni już byli jeść kleik owsiany z zapasów lekarskich — wypadało po dwie filiżanki wodnistej zupki na człowieka. Epidemia tyfusu zabrała dwudziestu Murzynów, a 17 stycznia zmarł Edward Pockock. Do tego czasu zbiegło już 89 ludzi.

Przyjacielska gościnność, z jaką poprzednio przyjmowali karawanę krajowcy, ustąpiła teraz zdecydowanej wrogości. Jednego marudera znaleziono z trzydziestu ranami na ciele, a pewien młody Zanzibarczyk, nazwiskiem Soudi, który przywłókł się któregoś wieczora do obozu ostatkiem sił, z czołem głęboko zranionym uderzeniem „knokerrie” (maczugi), opowiedział o śmierci brata, którego zabito, gdy szukał żywności. On sam ledwo umknął. Taktyka podjazdowa krajowców wkrótce zmieniła się w jawną wojnę. Stanley wiedział, jak sobie radzić w takiej sytuacji. Nie na darmo był korespondentem amerykańskich i brytyjskich wypraw „pacyfikacyjnych” przeciw Indianom, Abisyńczykom i Aszantom. Poprowadził kontratak, odpędził wojowniczych krajowców, spalił kilka wsi i zabrał dla karawany kilkanaście wołów, kóz i większą ilość koszy ziarna. Ale w zamian pozostawił 24 ludzi zabitych, zabierając ze sobą trzech rannych.

Tylu tragarzy ubyło, że część bagaży trzeba było spalić. Nawet przywódcy grup musieli teraz nieść ładunki. Ale tych pozostałych — dwustu ludzi i dwadzieścia pięć kobiet — gnano bez litości wciąż naprzód. I wreszcie, zbliżywszy się do wybrzeży Jeziora Wiktorii, znaleźli znowu przyjaznych krajowców i pod dostatkiem żywności.

Mała flotylla płynęła teraz z wolna wzdłuż wybrzeży jeziora. Gdy grozili im wrogo usposobieni krajowcy, Stanley używał sposobu, którego nauczył się od Livingstone'a na jeziorze Tanganika: siedział spokojny i uśmiechnięty w swojej łodzi, choćby wymierzano w niego włócznie i wykrzykiwano groźby. Tym razem więcej go obchodziło sporządzanie planów i map, dokładne mierzenie, odnotowywanie każdej zatoki, strumienia i wyspy, aniżeli „pouczanie” krajowców, protestujących przeciw nieproszonym intruzom w ich kraju. Ale zawsze był gotów do zbrojnego wypadu, jeśli uznał taki za potrzebny.

Właśnie mała liczba uczestników tej wyprawy wzdłuż brzegów Wiktorii — najwyraźniej nie zagrażająca niczyjej suwerenności — była prawdopodobnie źródłem jej bezpieczeństwa. Z niewielkimi stosunkowo przeszkodami dotarli do północnego krańca Jeziora Wiktorii w niecały miesiąc. Tu Stanley zbadał Wodospady Rippona, odkryte i nazwane tak przez Johna Speke, i stwierdził, że olbrzymie ilości wód, które przelewały się z hukiem, płynęły dalej w kierunku północnym. Klimat był tu gorący i wilgotny; krajobraz tworzyły poszarpane, skaliste góry i nieprzebyte dżungle. Na czerwonawej ziemi rosły gaje bananów, kwitnące krzewy, ponad głowami przelatowały niezliczone egzotyczne ptaki, równie barwne, jak flora.

Właśnie, gdy Stanley miał dać znak małej flotylli, by ruszała w dalszą drogę wzdłuż północnych wybrzeży, ukazała się uroczysta procesja, na której czele szedł dygnitarz w purpurowej, powłóczyściej todze.

— Wieść o twoim przybyciu dobiegła uszu kabaki Mutesy, władcy Bugandy — oznajmił dygnitarz ceremonialnie. — Jego Majestat wysłał mnie, abym przekazał pozdrowienia i zaprosił cię do jego stolicy, Lubagi.

— Imię twojego władcy jest dobrze znane w Anglii — odparł Stanley. — Sam o nim wiele słyszałem i czytałem. Przyjmuję jego zaproszenie i będę z niecierpliwością oczekiwał chwili spotkania z tak znamienitym mężem Afryki.

Po wymianie ceremonialnych powitań nastąpiła wymiana podarunków: woły od kabaki, czyli króla, perkal i drut od Stanleya, który miał się wkrótce przekonać, że tych towarów nie brakło w Bugandzie. Niezupełnie pewny, jakiego rodzaju przyjęcie czekało go na dworze Mutesy, który słynął zarówno z kultury, jak i okrucieństwa, dziennikarz postanowił uciec się do dyplomacji. Kazał swym ludziom przystroić się w białe szaty i czapki, rozwinął żagle, postawił Ulediego na dziobie, a sam z Safenim stał przy sterze pod białym baldachimem, ręką ukradkiem dotykając pistoletu. Gdy „Lady Alice” wypłynęła na wody jeziora, pojawiła się z dala liczna flota wojennych szybko wiosłujących czófen i otoczyła przybyszów dookoła. Mimo ofiarowanego w darze wołu, intencje Mutesy były dla Stanleya nadal nie wyjaśnione. Jednakże z kilkunastoma zaledwie towarzyszami nie miał innego wyboru, jak przyjmować wszystko za dobrą monetę.

„Lady Alice” wkrótce znalazła się w pobliżu stolicy. Zbliżyli się do brzegu i Stanley mógł dostrzec wojowników z muszkietami w ręku, ustawionych w dwóch grupach, oddalonych od siebie o sto jardów, nad samym brzegiem. Za nimi widać było parę tysięcy Bagandów, w białych szatach, słoczonych w dwóch szeregach, prostopadłych do linii brzegu. Powstrzymując ich przed naporem na wolną przestrzeń pośrodku, stali uzbrojeni wojownicy, ramię przy ramieniu, a przed nimi dobosze z bębnami.

— To oznacza pokój — szepnął Safeni do Bwana Mkuby.

— Czyżby dlatego, że są tu wojownicy z bronią? — mruknął ironicznie Stanley.

— Gdyby miała być wojna, byłiby tylko wojownicy — wyjaśnił Safeni.

Stanley dostrzegł na samym końcu wolnej przestrzeni pod barwnymi flagami kilku wspaniale wyglądających dostojników, przybranych w togi purpurowe, czarne i białe. Uledi wyskoczył na brzeg, by przytrzymać dziób „Lady Alice”, a Stanley zeszedł na ląd. To było sygnałem dla setek muszkietów, z których gruchnęła salwa powitalna, dla doboszy, którzy uderzyli w bębny i dla tłumów, które wydały przeciągłe okrzyki powitania. Istotnie, tak jak powiedział Safeni, był to pokój, a nawet ostentacyjna demonstracja przyjaźni.

Zatrzymawszy się na chwilę, w niepewności, co ma dalej czynić, Stanley zobaczył, że żaden z dygnitarzy się nie poruszył. Widocznie oczekiwano, że on do nich podejdzie. Więc tak jak w Udżidzi, gdy odnalazł Livingstone'a, poszedł między wiwatujący tłum, a za nim Safeni i wioślarze, tylko Uledi pozostał przy łodziach. Stanął przed wspaniale przybranymi dygnitarzami. Jeden z nich przemówił, a Safeni tłumaczył:

— Katekiro (premier rządu) Bugandy wita was w imieniu kabaki Mutesy.

Stanleyowi nie brakło tupetu. Odpowiedział z wielką pewnością:

— A ja przekazuję pozdrowienia królowej Anglii!

W pobliżu znajdowała się większa od innych budowla otoczona kręgiem krytych słomą chat. Do niej to zaprowadzili Stanleya ceremonialnie dostojnicy, zapewniając go, że dom ten będzie do jego dyspozycji tak długo, jak długo zechce pozostać w Lubadze. Wypytywali dokładnie o ostatnie wydarzenia w Europie i o cel jego wizyty. Wkrótce po ich odejściu odgłosy porykiwań, beczenia i gdakania wywołały go na dwór. Był to kolejny prezent od kabaki, przysłany w wyniku pozytywnej relacji ministrów: czternaście wołów, szesnaście kóz i owiec, trzydzieści kur — cała farma — jamy, kukurydza, ryż, jaja i krajowe wino.

Rozpoczęły się ceremonie. Władca trzy milionowej Bugandy udzielił Stanleyowi audiencji. Mutesa był w owym czasie jednym z najwybitniejszych władców afrykańskich: autorytet jego popierało 150 000 wojowników, uzbrojonych w różnorodną broń palną, i liczna flota łodzi wojennych. Droga do królewskiej rezydencji na szczycie wysokiego wzgórza wiodła między dwoma wysokimi palisadami, które powstrzymywały napór bujnej roślinności na gościniec.

Mutesa przyjął Stanleya siedząc na wzniesieniu, przykrytym purpurową materią, w otoczeniu dostojników, począwszy od katekiro, naczelnego wodza, admirała floty i skarbnika, aż do królewskiego kata, głównego piwowara i naczelnego dobosza. Za królem, mężczyzną czterdziestoparoletnim, wysokim, szczupłym, gładko wygolonym, o wielkich, pięknych oczach i niespokojnych ruchach, stał niski, lecz potężnie wyglądający niewolnik. Po pierwszych powitaniach podano Stanleyowi niski, żelazny stołek. Mutesa usiadł, nie patrząc wcale za siebie: „siedzenie” dla niego towarzyszyło mu jak cień — były nim szerokie plecy owego czarnego niewolnika. Wspaniałomyślnie łaskawym gestem — podobnie jak królowa Wiktoria, o której rękę niegdyś bezskutecznie prosił przez swoich wysłanników w Londynie — zaprosił Stanleya, by usiadł. Było to wyjątkowym zaszczytem, gdyż nikomu innemu nie wolno było usiąść w obecności króla.

Mutesa mówił płynnie językiem Swahili, którym Stanley władał teraz nie mniej biegle. W czerwonym fezie z kutasem, w czarnej todze, której wyłogi były haftowane złotą nicią, i w białej, długiej koszuli

bez kołnierza, przepasanej złotym paskiem, Kabaka wyglądał dostojnie. Stanley zauważył w królewskim pałacu wiele przedmiotów bez wątplenia europejskiego pochodzenia, między innymi materiały bawełniane i stalowe noże. U stóp króla leżały symbole jego władzy: dzida, tarcza i biały pies.

Po wymianie powitalnych uprzejmości, Mutesa zaczął rozmowę o stosunkach Bugandy z innymi państwami, o tym, jak nawiązał przyjaźń z sułtanem Zanzibaru posyłając mu w darze woły, a w zamian otrzymał nie tylko mydło, koniak i dżin, ale także karabiny i naboje oraz pozwolenie na zakup różnej broni w większych ilościach. Gdy chwilami przerywał swoje wywody, zgromadzeni dworzanie, których było około dwustu i tyleż samo ich żon, pochylali się w głębokim pokłonie, powtarzając dziwny okrzyk:

— N'yanzig... N'yanzig!

Było to wyrażeniem wdzięczności, pokory i czci.

Zachwycony swym królewskim gospodarzem, Stanley uznał go później za dogodny obiekt do nawrócenia na chrześcijaństwo z muzułmanizmu, na który był niedawno przeszedł. Charakterystyczną cechą wszystkich odkrywców Afryki — z wyjątkiem jednego może Livingstone'a — było to, iż ignorowali oni kulturę i cywilizację afrykańską, uważając, że Afryka powinna upodobnić się do Europy, przyjmując europejskie wierzenia i kulturę.

Rachuby Stanleya okazały się zawodne. Mutesa kontynuował praktyki swoich przodków, dla których atmosfera grozy była główną podporą tronu. Po wstąpieniu na tron, Mutesa natychmiast rozkazał spalić żywcem swoich sześćdziesięciu przyrodnych braci, jako możliwych pretendentów do władzy. Despota za lada przyczyną oddawał ludzi w ręce kata. Zdarzało się to nawet podczas pobytu Stanleya, który albo udawał, że nic o tym nie wie, albo też, wobec własnych metod utrzymywania dyscypliny za pomocą bata i pistoletu, uznał metody rządzenia kabaki za konieczność. Jeśli młoda dwórka odezwała się głośniejszemu w obecności kabaki, albo jeśli paź zapomniał zamknąć drzwi, natychmiast biednego winowajcę oddawano w ręce kata.

A mimo to poddani kabaki Mutesy wydawali się Stanleyowi zadowoleni. Stwierdził, że mieli pod dostatkiem żywności, domostwa ich były obszerne, sporządzone z ciasno splecionych trzciny, często do dwunastu metrów wysokości. Pomieszczenia były chłodne w gorącej porze roku i dobrze chroniły przed deszczami. Bez wątplenia lepiej nadawały się do miejscowych warunków klimatycznych od tych białych, kamiennych okropności, które pobudowano w Ugandzie później, w dwudziestym wieku.

Łodzie Bagandów, do dwudziestu metrów długie, były pięknie wykonane. Kosze tak plecione, że nie przepuszczały wody. Materiały tkano z kory drzew. Zamożniejsi obywatele na nogach nosili sandały, a na powłóczyście białe szaty zarzucali peleryny ze skór antylop, sporządzone tak umiejętnie, że niewidoczne były szwy. Ciało Bagandów nie znieszczały blizny ani tatuaże. Przestrzegali zasad higieny: zawsze myli ręce przed posiłkami, na które składały się potrawy gotowane z ryb, mięsa i drobiu, słodkie bulwy, kukurydza i trzcina cukrowa, a także rodzaj kaszy z bananów. Z bananów wyrabiano również piwo. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety palili tytoń, kochali się w muzyce i grali na melodyjnych instrumentach, sporządzanych przez wybranych miejscowych rzemieślników.

Działalność Mutesy przynosiła już owoce. Nauczono się czytać, pisać i rachować, a także wprowadzono pług do uprawy roli. Ale tym błogosławieństwom towarzyszyły mniej dobroczynne dary cywilizacji — syfilis i ospa.

Przez blisko miesiąc Stanley przebywał w Rubadze, spędzając czas między innymi na czytaniu Biblii Kabace i jego dworowi. Człowiek pokroju Mutesy nie widział zapewne sprzeczności w tym, że biały przybysz, który czytał im ewangelię miłości, osobiście nie cofał się przed przelewem krwi dla osiągnięcia swoich celów.

W czasie pobytu Stanleya w stolicy kabaki Mutesy, na dwór przybył Francuz, pułkownik Linant de Bellefonds, jako emisariusz generała Gordona, gubernatora generalnego Sudanu. Zjadłszy sardynki, pate de foie gras i inne przysmaki Francuza, Stanley namówił go, aby zabrał ze sobą w powrotnej drodze do Chartumu listy i telegramy dla „Daily Telegraph”, w których dziennikarz apelował do chrześcijańskich misjonarzy, aby przybyli do Bugandy. Tego dnia, gdy pierwsza z jego depeesz ukazała się na łamach dziennika, w Londynie wpłynęło z ofiar na ten cel pięć tysięcy funtów szterlingów. Najhojniejszymi ofiarodawcami byli ci magnaci, którzy zbili majątek na sprzedaży broni i amunicji brytyjskim ekspedycjom przeciw Afrykanom. Wkrótce zebrano grupę misjonarzy i wysłano ją do Mutesy.

Ale gdy misjonarze dotarli na dwór Mutesy, Stanleya już nie było, by ich powitać. Wyruszył w dalszą podróż wokół Jeziora Wiktorii. Mając do pomocy wojenne łodzie kabaki i jego wojowników, dotarł do leżącego na zachodnim brzegu terytorium Karagwe, które dziś należy do Ugandy. Poza stromą skarpą nadbrzeżną ciągnęły się otwarte, pagórkowate łąki, na których widniały liczne stada zwierzyny: żyrafy, bawoły i różne gatunki antylop. Nocami stada słoni schodziły do wodopoju. Hipopotamy wyłaziły na piaszczyste brzegi na drzemkę. Tu Stanley znalazł jedyny, jak się okazało, znaczniejszy dopływ jeziora — rzekę Kagerę.

Król Karagwy, Rumanika, był wasalem Mutesy. Jego niewielki dwór mieścił się w pewnej odległości od brzegów jeziora. Słynął z haremu żon tak tęgich, że nie mogły chodzić: przewracały się i taczały po wystanej matami podłodze haremu. Czy chciały, czy nie, musiały bez ustanku popijać mleko z gurd przez słomkę, a gdy która z nich odmawiała, eunuch chłostał ją trzcinką i karmił przymusowo.

Pewnego wieczora Stanley wraz ze swą powiększoną flotyllą szukał dogodnego miejsca, by przybić do brzegu na noc.

— Ten płaski brzeg — wskazał Stanley — będzie się nadawał do lądowania. Zatoka, łagodnie wzniesienie. Możemy wciągnąć łodzie. Tam dalej jest ładna murawa, gdzie wygodnie będzie rozbić mój namiot.

— Widziałem wojowników na brzegu — ostrzegł Safeni. — Zdaje mi się, że nie przyjmą nas przyjaźnie. Kryją się, to zły znak.

— Zanadto jesteś podejrzliwy — upierał się Stanley. — W każdym razie musimy gdzieś przybić do brzegu.

Łodzie miękko wplynęły na piasek. Rozbito obóz na noc, po czym zjedzono szybko wieczerzę. Ciemność zapadła, a wojowników, o których mówił Safeni, nie było słychać ani widać. Ogniska wygasły i Murzyni pokładli się do snu. Stanley wszedł do namiotu. Zaledwie wszakże zasnął, gdy obudziło go donośne bicie w bębny, raz dalsze, raz bliższe, chwilami zupełnie bliskie, jak by liczna armia manewrowała wokół obozu. Wyszedł przed namiot, ale było ciemno, choć oko wykol. Załoga jego łodzi i ludzie Mutesy siedzieli wokół tlejących ognisk, z bronią w rękę, w trwożnym napięciu. Bębnienie trwało bez ustanku, niepokojąc ludzi, którzy mogli tylko odgadywać — i zapewne wyolbrzymiać — liczbę zagrażających im nieprzyjaciół.

Stanley ubrał się i sprawdził broń. Wyszedł na skraj obozu, gdzie krążąc pomiędzy obozem a domniemanym wrogiem, czekał świtu. Wreszcie ciemne niebo zaczęło blednąć. Patrzył, wyęzając wzrok, w szarzejącą ciemność, a gdy świt uniósł czarną kurtynę nocy, ujrzał nie dalej, jak o trzydzieści kroków setki wojowników — było ich około trzystu, jak sprawdził później — w bojowym przybraniu, zbrojnych w dzidy, tarcze, łuki i długie topory. Patrzyli na niego groźnie, w milczeniu.

Jednym energicznym machnięciem ręki w tył Stanley podniósł na nogi swoich ludzi. Stanęli od razu gotowi do obrony.

Stary Murzyn, wyprostowany, pełen godności, odłączył się od tłumu wojowników i śmiało szedł w stronę wycelowanych w niego muszkietów. Stanley pierwszy przemówił.

— Co znaczą te wojenne przygotowania? O co wam chodzi? Stary Murzyn odparł pytaniem na pytanie:

— A co znaczą te wasze łodzie na naszym brzegu?

— Chcemy osłonić nasze łodzie przed wiatrem, a sami zażyć odpoczynku. Te łodzie, to nasze domy. Nie możemy ich stracić.

— Ale czyż nie rozumiesz, że to nasz kraj?

— Wiem o tym. Ale co my złego robimy? Przecież nie uszkodzimy wybrzeża.

— To jest nasz kraj. Mamy prawo zatrzymać go dla siebie. Nie chcemy tu obcych. Musicie zaraz opuścić ten brzeg.

— Zrobimy, jak sobie życzysz — zgodził się od razu Stanley, spojrzawszy na groźny tłum wojowników, wobec których jego ludzie nie mieli żadnych szans. — Ale przedstawię tę sprawę Kabace Mutesie. Niech on rozstrzygnie, czy wyrządziliśmy jakąkolwiek krzywdę waszemu brzegowi.

— Jeżeli potrzeba wam żywności — powiedział stary krajowiec, złagodniawszy na dźwięk nazwiska Mutesy — to przyślemy wam bananów na tamtą wyspę. Ale nasz brzeg musicie opuścić.

Tak więc powiosłowali na wyspę, gdzie w parę godzin później przysłano im dziesięć wiązek bananów.

Wydarzenie to wcale nie zniechęciło Stanleya, przeciwnie, wydawało się, że nabierał życia i zapału w obliczu przeciwności. Poszedł na samotny spacer po wyspie. Uwolniony na krótką chwilę od

odpowiedzialności za losy wyprawy, poczuł się jak lekkomyślny smarkacz. Biegał, skakał, wieszał się rękoma na gałęziach, to znów włąził pod krzaki i czołgał się, jak by się bawił w Indian. Przystanął, rozłożył szeroko ramiona, wykrzyknął pełnym głosem w zieloną dżunglę:

— Jak pięknie jest żyć!

Ale jego okrzyk radości został ucięty dosłownie w połowie. Stanley skoczył do wysokiej gałęzi i zawisł na niej kotysząc się, a jednocześnie spojrzał w dół i — zdrętwiał. Tuż pod własnymi machającymi nogami ujrzał zwłoki Murzyna, o czaszce straszliwie przeciętej toporem i nogach przywalonych głazem.

Tak bezceremonialnie przywołany do rzeczywistości, Stanley zeskoczył ostrożnie na ziemię i zaczął obutą stopą przetrząsać zarośla dokoła tej strasznej głowy. Wkrótce odgrzebał jeszcze pięć niedbale ukrytych trupów, które nosiły ślady niedawnej gwałtownej śmierci. Stanley nie czekał nawet, by przykryć zwłoki z powrotem gałęziami i liśćmi. Zawrócił i pędem pobiegł do obozu, gdzie członkowie wyprawy zajadali właśnie banany. Zdyszany, pośpiesznie opowiedział Safeniemu o tym, co zobaczył.

Murzyn wysłuchał opowiadania spokojnie, tylko potrząsnąwszy głową, i rzekł:

— Lepiej odjedźmy stąd co prędzej, Bwana. Ja już podejrzewałem coś niedobrego, gdy ten stary wysyłał nas na wyspę. Z pewnością wysyłają tu wszystkich obcych, których chcą obrabować i zabić — we śnie. Przyplývają tu cicho łodziami, a potem nie mają kłopotu z chowaniem zwłok.

Dobrze, że przynajmniej nie są kanibalami — pomyślał Stanley.

Ludzie Mutesy dosłyszeli rozmowę. W mgnieniu oka zbiegli na brzeg i stłoczyli się wokół swoich łodzi.

— Czekaście! — krzyknął Stanley. — I my też odpływamy. Ale razem!

Ci jednak nie zważali na to. Zepchnęli łodzie do wody i skierowali się na północ. Stanley i jego załoga zaledwie w parę minut później odbili na „Lady Alice”, ale nigdy więcej nie ujrzeli swojej eskorty.

Rozdział XIV O MAŁY WŁOS

Świt ubielił statek i zmęczoną załogę, uciekającą przed wrogami, opuszczoną przez przyjaciół. Wszyscy byli przemoknięci do nitki. Białe togi Safeniego i Ulediego oblepiały ich ciała. Baldachim Stanleya nie istniał, jego hełm zmienił się w bezkształtną, mokrą masę, a po gęstej kasztanowatej brodzie spływała kroplami woda. Już trzy dni minęły od chwili, kiedy uciekli z owej makabrycznej wyspy. Nie śmieli przybliżyć się do brzegu, skąd wciąż dolatywało głucho bębnienie, ukazywały się wśród zarośli głowy wojowników i rozlegał się ich bojowy okrzyk: — Hehu — a hehu -u-uu!

Z żywnością było źle. Mieli tylko to, co zostało z owych dziesięciu wiązek bananów, a trudne położenie pogarszały jeszcze ciągłe ulewy, tak obfite, iż musieli bez ustanku czerpać wodę z „Lady Alice”. Zgłodniałych i zniechęconych ożywiała jedynie nadzieja, że muszą już być blisko wyspy Bumbireh, o której wspominał Mutesa w rozmowie ze Stanleyem. Na wyspie miało być około pięćdziesięciu małych wiosek. Słońce osuszyło im odzież, i nawet prędeż wiosłowali w takt marsza, którego im własne kiszki grały, w nadziei, że na wyspie dostaną tak bardzo spóźnione śniadanie.

Postawili żagiel, ale nie poruszyła go najłżejsza nawet bryza. Wioślarze usiłowali zapomnieć o głodzie wiosłując zawzięcie. Ranek minął, a na horyzoncie nie było nawet śladu upragnionej wyspy. To jeden, to drugi z wioślarzy ustawał. Było już południe i upał prawie nie do zniesienia, gdy Uledi, na dziobie, wykrzyknął:

— Wyspa! Widzę wyspę!

Wyczerpani wioślarze zerwali się do ostatniego wysiłku. Wyspa była szeroka, na dwie mile i więcej, i Stanley mógł dostrzec stada bydła pasące się na zboczach, plantacje bananów, skrawki uprawnej ziemi wokół chat, zgrupowanych w kręgi.

— To rolnicy, nie myśliwi — rzekł do Safeniego. — Ci nas przyjmą gościnnie. Dostaniemy żywności pod dostatkiem.

Wysoki brzeg wyspy zstępował do jeziora, a jej północnego krańca, oddalonego o jakieś jedenaście mil, nie było widać.

— Mamy dość towarów na wymianę — powiedział Safeni, ale w głosie jego brzmiało powątpiewanie.

— Jeszcze trochę, moi dzielni chłopcy! — popędzał ich Stanley. — Jeszcze trochę, a będziemy mieć wszyscy w bród mięsa, owoców i warzyw! Tylko musimy znaleźć dogodne miejsce do wylądowania.

Ale oto nagle na brzegu ukazały się ciemne sylwetki i dobrze znany, groźny okrzyk doleciał ich uszu:

— Hehu-a hehu-u-uu!

Stanley i Safeni spojrzeli na siebie bez słowa. Wioślarze odruchowo przestali wiosłować i chwycili za broń.

— Wiosłujcie dalej — rozkazał Stanley. — Widzę zatokę. Przed zatoką zatrzymano łódź. Załoga z przestraczem spoglądała na brzeg, gdzie hałasował tłum zbrojnych mężczyzn, odzianych tylko w skórę wokół bioder. Kobiet nie było widać.

— Możemy równie dobrze umrzeć taką śmiercią, jak inną — rzekł filozoficznie Safeni. — A ich groźby mogą się okazać próżne. Przemów do nich, panie: może przestaną hałasować.

„Lady Alice” wpływała powoli do zatoki, Safeni sterował, a Uledi stał odważnie na dziobie z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

Optymizm Safeniego okazał się zawodny. Znane już pogrożki dobiegały od strony brzegu.

— To nasz kraj! Idźcie precz! Nie chcemy tu obcych. „Lady Alice” była już na płytkiej wodzie, o kilka jardów od brzegu. Safeni wstał uśmiechnięty jak Uledi.

— Jesteśmy głodni — powiedział, gestami ilustrując słowa. — Przybywamy w pokoju. Potrzebujemy żywności. Umieramy z głodu. Jesteśmy przyjaciółmi.

Podniesione dzidy pochylły się, strzały odjęto od napiętych łuków, z zaciśniętych pięści wypuszczono kamienie. Krajowcy zaczęli się naradzać, wskazując przy tym na Stanleya, jedyne białego człowieka między tuzinem czarnych. Wreszcie narada się skończyła. Murzyni uśmiechając się trzymali broń swobodnie, kilku spośród nich weszło do płytkiej wody, gadając coś przyjaznymi głosami.

Stanley wychylił się z łodzi, przybierając najprzyjaźniejszy wyraz twarzy. Safeni i Uledi wyciągnęli ręce na powitanie.

Wtem najniespodziewaniej krajowcy chwycili za burty i linę i wyciągnąwszy łódź razem z załogą wynieśli „Lady Alice” po kamienistym brzegu około dwadzieścia jardów w głąb lądu.

Łódź otoczył las wzniesionych dzid i napiętych do strzału łuków. Napastnicy najwyraźniej kłócili się o przywilej zadania pierwszego ciosu. Stanley stał z rewolwerami w obu rękach.

Safeni dotknął ramienia Bwana Mkuby.

To na nic — rzekł, i w tej samej chwili gwałtownie pchnięty z tyłu padł jak długi na dno łodzi. Na przerażonych wioślarzy spadały razy zadawane długimi drągami. Ktoś szarpnął Stanleya za brodę, jak by chciał sprawdzić, czy nie odpadnie. Saramba pomógł wstać Safeniemu.

— Nie bronić się! Spokojnie! — wołał Stanley do wioślarzy. Ukrywszy rewolwery usiadł w łodzi, z uśmiechem patrząc na napastników.

Wioślarze próbowali go naśladować, ale niełatwo jest siedzieć z założonymi rękoma pod ciosami.

Naraz wśród krajowców ukazał się starszy mężczyzna, bez broni, który idąc z wolna w kierunku Stanleya, uspokajał ogarniętych bojową gorączką krajowców. Jakoż wrzaski i hałas jęły przycichać.

— Kto ty jesteś? — zawołał Stanley w języku Swahili.

— Jestem Shekka, król wyspy Bumbireh — brzmiała odpowiedź.

Stanley wydobyl ze skrzynki, na której siedział, kilka sznurów paciorków i nieco drutu, pokazując na migi, że chce handlować. Wojownicy opuścili broń. Tłum krajowców nadal otaczał ciasnym kręgiem łódź. Shekka odszedł nieco od brzegu, przyzywając do siebie kilku przywódców. Część wojowników zebrała się wokół nich, słuchając i czyniąc głośne uwagi.

— To jest „shauri”, czyli narada — rzekł Safeni, ocierając ręką krew ze swoich warg. — Obok wina „pombe”, kobiet i wojny największa namiętność w Centralnej Afryce.

Konferencja trwała dość długo. Wreszcie jeden z wodzów podszedł do łodzi i kiwnął na Safeniego.

— Niebezpiecznie — mruknął Stanley.

— Nasza jedyna szansa — odpowiedział Safeni i w uśmiechu pokazał dwa wybite zęby, które stracił padając.

— Więc, na Boga, bądź przezorny!

— To jedyne, co nam pozostało, Bwana!

Safeni nie był już młodziekiem. Szedł powoli, dostojnie, a za nim reszta krajowców. Stał przed Shekką z rękoma założonymi na piersi, spokojny, nie okazując trwogi. Król zadał mu pytanie. Stanley słyszał głos Safeniego, wznoszący się i opadający rytmicznie, jego ramię poruszające się gestami oratora. Przypominał adwokata, przemawiającego w obronie swego klienta — beznamiętnie i rzeczowo. Stanleyowi zaimponował ten Murzyn z Zanzibaru.

Pertraktacje trwały dość długo. Ci, którzy pozostali na „Lady Alice”, mogli swobodnie się wymknąć: wszyscy wojownicy przysłuchiwali się shauri. Ale Safeniego nie można było zostawić. Wreszcie wycofał się z koła otaczającego króla i poszedł z powrotem do łodzi, nadal dostojny, ale już z promienną twarzą.

— Wszystko w porządku, Bwana. Nie mamy się czego bać. Ofiarowują nam swoją gościnność.

— Przyślą nam żywność?

— Wszystko, czego nam potrzeba, Bwana. I zezwalają nam spać na brzegu bezpiecznie.

— Więc niech dają tę żywność, czego marudzą? — jęknął Kirango, słaby z głodu.

— Muszą najpierw skończyć shauri — skarcił go Safeni tonem człowieka, który rozumie i szanuje cudze obyczaje.

Ale czy naprawdę rozumiał? Nagle kilku krajowców podbiegło, odtrącając Safeniego na bok i zanim ktokolwiek mógł się zorientować co się dzieje, wszystkie wiosła z „Lady Alice” znalazły się w ich

posiadaniu. Uciekli z nimi wśród śmiechu i oklasków swoich towarzyszy, przypatrujących się z dala tej scenie.

— To mi źle wygląda — rzekł Stanley. — Bez wiosł jestesmy zdani na ich łaskę i niełaskę. Czyś pewien tej ich przyjaźni, Safeni?

— Nie martw się, Bwana. Oni są przyjaźni. Chcieli się tylko upewnić...

— O czym się chcieli upewnić? — przerwał mu Stanley. — Najpierw nie chcą, byśmy wylądowali. Teraz chcą się upewnić, że nie możemy odplynąć.

Safeni nie odpowiedział na to, tylko powtórzył:

— Zaufaj mi, Bwana. Oni są nam przyjaźni.

— Niech więc na dowód tej przyjaźni przyniosą nam jedzenie — mruknął Saramba, a inni wiosłarze mu przywtórzyli.

Ale żywności nie przynoszono. Krajowcy znikli w głębi wyspy, zapewne poszli na obiad. Tymczasem kilka kobiet podeszło do brzegu, śmiejąc się z osadzonej na ziemi łodzi.

— To dobry znak — zauważył Safeni. — Gdyby byli wrogo usposobieni, nie puściliby kobiet.

— Zaproponuj im paciorki — rzekł Stanley.

Ale kobiety odtręcały sznury paciorków i nie dały się nakłonić Safeniemu. Odeszły, chichocząc między sobą. A żywności nie było.

— Bwana, patrz!

To zawołał Uledi. Stanley podniósł wzrok za ruchem jego ręki i zobaczył stadko dzikich kaczek, lecące nisko w ich stronę. Stanley podniósł strzelbę do ramienia i wypalił. Ale kaczki skręciły w ostatniej chwili i zanim Stanley ponownie zdążył nabić broń, już odleciały daleko. Ludzie w łodzi aż jęknęli z żalu. Kaczka — nie byłoby to wiele na tuzin ludzi, ale zawsze coś.

Upał obezwładniał. Ludzie pokładli się na dnie łodzi. Na chwilę głowa Stanleya opadła na piersi.

Donośny, głuchy dźwięk bębna...

Stanley otrzeźwiał w mgnieniu oka. Wiosłarze zerwali się na nogi. Uledi wskazał ręką w głąb wyspy, gdzie długa linia krajowców, umalowanych w białe i czarne pasy, postępowała ku wybrzeżu.

— Może to jakiś taniec wojenny? — rzekł niepewnie Stanley. Ale tym razem optymizm Safeniego opuścił go. Wojownicy wymachiwali bronią i wrzeszczeli w ferworze wojennym. Safeni, obraz rozczarowanego dyplomaty, potrząsnął żałośnie głową i wyznał:

— Nie, Bwana. Teraz naprawdę będzie źle. Usłyszeli strzał i myśleli, że to wyzwanie.

Wysoki wojownik oderwał się od wrzeszczącej hordy i podbiegł po piaszczystym brzegu. Widząc, że nikt doń nie strzela, chwycił w ręce bęben, który Uledi złożył na brzegu, by mieć więcej miejsca w łodzi na odpoczynek. Wojownik odbiegł nieco ze swą zdobyczą, odwrócił się i krzyknął:

— Jeśli chcecie wojny, będziecie mieli wojnę! Stanleyowi to wyznanie przyniosło niemal ulgę. Skończyło się czekanie. Skończyła się przewaga Safeniego. Miały przemówić teraz argumenty, których Stanley umiał używać, choćby przeciw przeważającym siłom. Wskoczył na piasek i zwrócił się do swojej załogi.

— Jeśli spróbuję was ocalić — zawołał — czy będziecie mnie ślepo słuchać? Bez wahania?

— Rozkazuj, Bwana — rzekł Saramba. — Zrobimy wszystko. Tu chodzi o nasze życia... i o twoje.

Safeni milczał, jeszcze wstrząśnięty tym, że jego pertraktacje spełzły na niczym.

— Czy zdołacie zepchnąć naszą łódź do wody po tych kamieniach? — zapytał Stanley.

— Tak, Bwana.

— Taką, jak teraz, z ładunkiem, z jednym człowiekiem za sterem, a Uledim na dziobie? — Wskazał na tłum wojowników, zbliżający się groźnie do nich z oddali. — Zanim ci do nas dojdą?

Krajowcy istotnie nie śpieszyli się: obcy nie mieli przecież wiosł. Nie uciekną im.

- Na pewno, Bwana!

— A więc wyskakiwać z łodzi! Ty, Uledi, tutaj. A Saramba tam. I Kirango... — wyznaczał każdemu stanowisko.

Stanley wskoczył do łodzi i układając pod ręką nabitą broń, zapytał Safeniego:

— Nie boisz się ich? Safeni zacisnął pięści.

— Daj mi sposobność, Bwana, a ja już pokażę im, i tobie czy się boję!

— Więc weź tę odzież, te ładne rzeczy, na ramię. Pójdiesz murawą pod górę, w stronę wojowników, rozkładając szaty jedno po drugim, swobodnie, tak jak byś sam je podziwiał, a nie, jak byś chciał je im pokazać. Ale słuchaj bacznie przez cały czas. Zawołam ciebie, jak wszystko będzie gotowe. Wtedy rzuć odzież przed siebie i uciekaj do łodzi. Jeśli twoje nogi nie dopiszą, zginiesz. Rozumiesz?

— Każde słowo. Dobrze, Bwana. Idę.

Stanley miał przy sobie gotową do strzału broń: sztucer na słońce, dubeltówkę, pistolety i parę strzelb, należących do wioślarzy. Czarna, tańcząca linia wojowników zbliżała się bardzo powoli, gdyż jednocześnie wykonywali rytualny taniec wojenny. Pokazywali sobie dzidami białego człowieka, który sądził, że parę jego strzałów powstrzyma ich atak. Stanley przymrużył oko i obliczał odległość między nimi a łodzią, śledząc jednocześnie Safeniego, który szedł obojętnie i dostojnie, jak zwykle.

— Mocno weźcie za burty — rozkazał Stanley wioślarzom. — Gdy powiem: „Już!” — pchajcie z całej siły. Raczej łódź połamać, niż się zatrzymać! Chodzi o śmierć lub życie!

Safeni był oddalony od łodzi o jakieś pięćdziesiąt jardów. Krajowcy zawahali się, zaskoczeni jego spokojem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi? Może przybysze zamierzają się poddać? Safeni właśnie wyjął spod pachy jedną z szat, otrząsnął ją swobodnie i podniósłszy wysoko lewe ramię, a prawe wsparłszy na biodrze, oglądał dokładnie materiał, po czym jednym zręcznym ruchem zwinął szatę i wydobyl następną. Krajowcy przystanęli, jakby oczarowani czarodziejskimi sztuczkami.

— Teraz, chłopcy, bądźcie gotowi — szepnął Stanley do swoich. — Już! — Machnął ramieniem.

Wioślarze schylili się, napięli ramiona, wytężyli mięśnie, stęknęli. Łódź drgnęła, ruszyła, nabierała rozpędu, kilem szorując i krusząc kamyki. Safeni z szybkością prestidigitatora zmieniał jedną szatę po drugiej. Ale tylko na kilka sekund udało mu się odwrócić uwagę wojowników. Gdy spostrzegli, że łódź sunie po brzegu, wrzasnęli i rzucili się w dół po murawie z bojowymi okrzykami.

„Lady Alice” była do połowy w wodzie. Stanley siedział w łodzi ze strzelbą na ramieniu.

— Safeni! Safeni! Biegnij! — krzyczał.

Murzyn cisnął szaty, jak by go nagle sparzyły, i zebrawszy swoją togę nad ciemnymi kolanami, pognął przed biegnącymi za nim wojownikami — czarodziej, którego oszukaństwa wykryto.

Łódź rozpryskiwała już fale jeziora. Wioślarze czepiali się boków i włązili pośpiesznie przez burty, wciągani przez Stanleya i Ulediego. Tylko Saramba został jeszcze w wodzie.

Safeniego, który lepiej umiał szaty demonstrować niż biegać, doganiał szybko wysoki wojownik z nastawioną do ciosu włócznią. Zamachnął się nią — Safeni słyszał jedynie za sobą coraz bliższy tętent bosych stóp i wrzaski wojowników — i w tym samym momencie Stanley nacisnął cyngiel. Wojownik z włócznią rozłożył ręce, potknął się, padł na twarz. Kula przeszła go na wylot i raziła następnego Murzyna.

Safeni dopadł brzegu jeziora. Zawahał się na chwilę, zdjął fałdzistą, zawadzającą mu togę.

— Skacz do wody, Safeni! — krzyknął Stanley.

Safeni nagi, jedynie z opaską na biodrach, wciąż jeszcze jak by się wahał. Ale gdy krajowcy zbliżyli się do niego na niebezpieczną odległość, skoczył do wody. Wojownicy wrzasnęli z wściekłości widząc, że im się ofiara z rąk wymyka. „Lady Alice” była nie dalej jak o trzydzieści jardów od brzegu. Gdy Stanley wciągnął Sarambę na pokład, pierwsza strzała bzyknęła i utkwiała w burcie, drżąc. Druga utknęła w maszcie. Kilka wpadło w wodę. Safeni płynął mocnymi rzutami ramion do łodzi, która oddalała się dalej i dalej od brzegu. Chmara strzał leciała nad nim, ale żadna go nie trafiła.

Stanley wymierzył spokojnie i strzelił w masę ciał na brzegu. Wystrzeliło również kilku wioślarzy, dobrych strzelców. Sześciu krajowców padło z krzykiem i jękiem na ziemię, jeden z nich wpadł do wody, czerwieniąc swą krwią czyste wody jeziora. Inni zawahali się, opuścili łuki, ale nie uciekli. Ta

chwila wahania pozwoliła „Lady Alice” odpłynąć poza zasięg ich strzałów. Stanley i jego ludzie naładowali powtórnie broń i oddali drugą salwę. Safeni dopłynął i wciągnięto go do łodzi.

— Nikt nie ranny, Bwana? — były jego pierwsze słowa, gdy wypluł z ust wodę.

— Nikt.

Znowu naładowano broń i wioślarze już zamierzali strzelać, gdy Stanley powstrzymał ich.

— Za daleki cel — rzekł. — Lepiej zajmijcie się wyrwaniem desek z pokładu. Zrobimy z nich wiosła.

Krajowcy nie dali jednak tak łatwo za wygraną. Popędzili wzdłuż brzegu do miejsca, gdzie na niewielkim cyplu leżały wciągnięte na piasek czółna; ponad sto jardów od zatoki, do której wpłynęła „Lady Alice”.

Tymczasem załodze Stanleya zagroziło jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Oto dwa ogromne hipopotamy, rozwierając wyczekująco paszcze, podążyły w kierunku dryfującej łodzi.

— Ze szponów czarnych dzikusów prosto w paszczę hipopotama — mruknął Stanley, jak by układał tytuł reportażu.

Czekał spokojnie z gotowym do strzału sztucerką, aż najbliższy z hipopotamów podpłył na odległość dziesięciu jardów. Połowa wioślarzy kryła się na porozrywanych pokładzie.

Nagle sztucer „przemówił” i kula trafiła potężne zwierzę między oczy. Hipopotam znikł. Nadpłynął drugi. I jego spotkał ten sam los.

Teraz Stanley obrócił się, by spojrzeć, co się dzieje z czółnami krajowców. Uledi stał na dziobie z podniesioną strzelbą: wypalił — i jeden z wojowników w pierwszym czółnie spadł w wodę.

— Dobry strzał, mój chłopcze! — pochwalił Stanley i w tej samej chwili trafił kulą eksplodującą drugie czółno, tuż pod linię jego zanurzenia.

Uledi strzelił znowu, ale chybił. Stanley położył jednego sternika. Uledi za drugim razem trafił wojownika, który padając, przewrócił swych towarzyszy w dalszym czółnie. Teraz i inni wioślarze, ochłonawszy ze strachu, jaki w nich wywołały hipopotamy, zaczęli strzelać do wystających z wody głów.

— Zawracają! Zawracają! — krzyknął Safeni.

Ocalałe czółna istotnie zawracają i uciekały do zbawczego brzegu.

Pojedynczy głos doleciał do statku:

— Płyńcie więc, aż zginiecie w wodach Nyanza!

Klątwa mogła się łatwo spełnić. Znajdowali się w otwartej, pozbawionej wiosel łodzi. Ludzie byli od dwóch dni bez jedzenia, a o zdobyciu sobie jakiegóż żywności na brzegu nie mogło być mowy w tej sytuacji. Położenie zdawało się beznadziejne.

Cisza panowała zupełna, ani tchnienia wiatru, a deskami, których użyli jako wiosł, tak trudno było manipulować, że „Lady Alice” robiła mniej niż milę na godzinę.

Nagle zerwała się gwałtowna burza... Wynurzyli się z niej w pobliżu jakiejś wyspy... Nowy sztorm odpędził ich, zanim zdążyli do niej przybić... Z głodu ledwie mogli się poruszać, wszystko wokół wydawało się już nierzeczywiste... Zaledwie wiedzieli, czy to dzień, czy noc, a gdy ulewa zalała ich potokami deszczu, nie zauważyli jej prawie, aż dopiero Stanley spostrzegł, że trzeba wylewać wodę. Załoga nie mogła już prawie poruszać zaimprovizowanymi wiosłami, a słabsi leżeli w odrętwieniu na dnie.

Byli od 76 godzin bez żywności, kiedy Safeni, odporny pomimo niemłodego wieku i znoszący głód lepiej od innych, siedząc za sterem nareszcie doprowadził na wpół dryfującą „Lady Alice” do brzegu jakiejś wysepki. Dno stateczku zgrzytnęło na szorstkim piasku. Ci, którzy jeszcze mogli wstać o własnych siłach, zeszli na brzeg z największym wysiłkiem i pomagali wydostać się swoim towarzyszom. Wszyscy, prócz Stanleya, Safeniego i Kirango, legli bezwładnie na ziemi. Stanley otrząsnął się siłą woli.

— Rozpal ognisko — rzekł do Safeniego. — Może któryś z tych ludzi będzie mógł ci pomóc. Kirango i ja idziemy na poszukiwanie żywności...

— Ale... przecież tubylcy! — przypomniał Safeni.

— Możemy równie dobrze umrzeć taką śmiercią, jak inną — odparł Stanley, przypominając mu jego własne słowa.

Wyspa okazała się bezludna. Stanley i Kirango chodzili dość długo, zanim wreszcie natrafili na stadko dzikich kaczek. Tym razem Stanley nie chybił. Gdy wrócili do obozowiska, przekonali się, iż kilku wioślarzy wróciło do sił o tyle, że sami poszli szukać żywności i wrócili z dwoma wiązkami bananów oraz pewną ilością jagód, które Stanley określił jako „czerwone i lśniące, podobne do czereśni”. Posiłek uzupełniła kawa, którą dziennikarz dostał od Francuza de Bellefonds.

Kiedy nareszcie zasiedli do jedzenia, mogłoby się wydawać, że pod względem ilości posiłek ten musiał być niedostateczny dla tuzina wygłodzonych mężczyzn. Ale Stanley później pisał: „ubyla to jedna z najprzyjemniejszych wieczerzy, jakich zabrałem”.

Zapaliwszy fajkę wstał z filiżanką kawy w ręku, odszedł kilka kroków od zgromadzonych wokół ogniska ludzi i ulawszy nieco kawy na ziemię, wyrzekł:

— Ten płodny skrawek ziemi chrzczę imieniem Wyspy Ocalenia.

Rozdział XV

ZEMSTA STANLEYA

Po wielu trudnościach Stanley powrócił dnia 6 maja 1875 roku do głównego obozu koło Kagehi, nie utraciwszy nikogo z ludzi, których zabrał ze sobą. Ale twarze Kalulu i Franka Pococka, choć rozjaśnione uśmiechem, świadczyły o mniej szczęśliwych losach. Ci wierni słudzy ucieszyli się, gdy mogli nareszcie odpowiedzialność za powierzoną im placówkę przerzucić na barki innych. Pięciu pagazich zmarło na dyzenterię. Zmarł także „twardogłowy” Mabruki, którego strata ze względu na jego pogodną lojalność była szczególnie dotkliwa.

— A gdzie Barker? — spytał Stanley, rozglądając się dookoła.

Frank Pocock i Kalulu spuścili głowy. Odezwał się Manwa Sera:

— I on nie żyje, Bwana. Febra. Przed dwunastu zachodami słońca.

— Biedny Fryderyk! — rzekł strapiony Stanley. — Więc po to chciał koniecznie zobaczyć Afrykę? Biedny, zacny chłopiec!

— On był dobrym człowiekiem, Bwana — dodał Manwa Sera.

Przygnębiający to był powrót z ekspedycji przecież niezwykle udanej, ekspedycji, która dowiodła, że północny i południowy kraniec wód, poprzednio odkrytych, stanowił rzeczywiście jedno wielkie jezioro, w co wielu geografów wówczas wątpiło. Oprócz tego stwierdzono istnienie jednego tylko odpływu: Wodospadów Rippona, i jednego znaczniejszego dopływu: rzeki Kagera. Dzięki tym odkryciom zyskano argument, jeśli jeszcze nie dowód, na poparcie teorii, że Nil wypływa z Jeziora Wiktorii, a Kagerę lub jakiś górny jej dopływ można uważać za ostateczne źródło.

Chcąc prowadzić poszukiwania dalej na zachód od Jeziora Wiktorii—Nyanza aż do Jeziora Edwarda, Stanley postanowił zgromadzić taką ilość łodzi, która by wystarczyła do przewiezienia całej wyprawy na dwór kabaki Mutesy. Pracę przerywały mu trzykrotnie ataki febry, po których tak schudł, że ważył zaledwie 50 kilogramów. Jednakże zaprzyjaźnione plemię dostarczyło potrzebnej ilości czóten, a także sprzedało mu ziarna prosa, kukurydzy, sezamu i ryżu w ilości dostatecznej, by wyżywić wyprawę w drodze do Ugandy.

— Tym razem nie będziemy zależni od tubylców — powiedział z posępną zawziętością wódz do Safeniego.

Dnia 20 czerwca wszystko było gotowe. Zepchnięto na wodę czółna załadowane żywnością i towarem przeznaczonym na handel wymienny. Tym razem wyprawa liczyła przeszło dwustu ludzi. Razem ze Stanleyem i Kalulu na pokład „Lady Alice” wsiadł Safeni, Uledi i jego brat Shumari, Manwa Sera, Zaidi, Saramba i Kirango. Innym wodzom i bardziej doświadczonym Murzynom powierzono opiekę nad poszczególnymi czótnami.

Sfalowana powierzchnia wód czyniła wrażenie oceanu. Żółta, piaszczysta plaża i lesiste zbocza spływały na przemian do jeziora. Wyspy i półwyspy urozmaicały linię wybrzeża, a daleki horyzont przerywały poszarpane, skaliste szczyty górskie. Wszystko tu było na wielką skalę, jakby w kraju olbrzymów; góry jak głowy cukru na potężnej tacy, odwieczna dżungla jak dziecinny ogródek. Na północy tafla wody zdawała się łączyć z horyzontem, biorąc od nieba błękitu, który w dni sztormów i burz miał ustępować ciemnoszarej, lub niemal czarnej barwie. Uszu Stanleya dolatywało nieustanne poklaskiwanie fal o trzciny i papirus, brzęczenie tysięcy owadów, świetlików i koników polnych, słabe wołanie ibisów, gnieźdzących się w niskich krzewach. Od czasu do czasu widać było tuż nad wodą długie, zielonawe, mieniące się czarno szyje węzówek.

Pierwszy dzień podróży wodą był nieomal idylliczny. O zachodzie kolory wybuchnęły jednym wielkim pożarem, ogarniającym niebo i jezioro. Ludzie przeważnie nie umieli obchodzić się z łodziami i flotylla wciąż jeszcze znajdowała się dość daleko od wyspy, na której Stanley zamierzał rozbić obóz na noc. Ciemność zapadła jak kurtyna z aksamitu, czarna, gęsta, nieprzenikniona. Stanley zapalił świecę i stanąwszy z nią na rufie „Lady Alice”, która szła na czele, donośnym głosem groził, że zastrzeli każdego, kto wyprowadzi łódź z linii. Cała flotylla posuwała się naprzód powoli, ale przez parę godzin bez przeszkód. Nagle rozległo się głośne chlupnięcie i wołanie:

— Łódź... Bwana, Bwana! Łódź! Stanley zwrócił się do Safeniego:

— Steruj w kierunku głosów — rozkazał, a do wioślarzy zawołał: — Spieszcie się, chłopcy! Tam może chodzi o śmierć lub życie!

Wyteżał wzrok w ciemność. Safeni zręcznie wyminał parę czółen, płynących naprzód.

— Patrz, Bwana! — zawołał.

Dookoła kołysały się na wodzie ciemne punkty, które przy zbliżeniu okazały się głowami mężczyzn i dwóch kobiet z wywróconego czółna. Po kolei wciągnięto ich na pokład „Lady Alice”. Ostatni wylał przez burtę Kirango, który dowodził czółnem. Rzucił się na kolana przed Bwana Mkubą błagając, by mu oszczędzono chłosty.

— Gdzie jest perkal, amunicja i czterysta funtów ziarna, które wiołeś? — spytał surowo Stanley.

Kirango, z ręką na burcie, spojrzał smutno w ciemne, chłodne wody jeziora.

Safeni zawrócił łódź i wioślarze czynili wszystko, by zająć dawne miejsce na czele flotylli. Ale nim się tam znaleźli, z innej strony zabrzmiał znowu żałosny krzyk:

— Łódź... Och, Bwana... łódź!

Ponownie zawrócili w kierunku głosów. Kalulu wydierał kartki z książki, którą Stanley czytał tego popołudnia, i zapalał je, by rozproszyć ciemności. Znowu pojawiły się głowy płynących rozbitków, bele bawełny i przewrócone do góry nogami czółna. Przyjęła ich „Lady Alice” na swój pokład, ale znowu stracono pewną ilość ziarna oraz pięć muszkietów.

— Jeśli powieje choćby najłżejsza bryza — powiedział Stanley do Safeniego, zbyt zatroskany, żeby zganić Sarambę, dowódcę drugiego przewróconego czółna — to znajdziemy się w takim samym położeniu, jak ci tutaj!

— A kto nas wyciągnie? — zapytał Safeni posepnie. — Utonę, jeśli będę musiał, ale pójść na kolację dla hipopotamów? Br!

Na przeciążoną „Lady Alice” nie można było zabrać ani jednego człowieka więcej. Stanley złożył ręce przy ustach i krzyknął:

— Jeśli wasze czółna są w niebezpieczeństwie, wyrzucie ziarno i ładunki za burtę. Trzymajcie się czółna choćby przewróconego. Czekajcie wtedy na pomoc. Przyptyniemy po was, nie bójcie się!

Jego ostrzeżenie okazało się potrzebne. Znowu rozległ się okrzyk trwogi:

— Bwana, nasza łódź tonie! Prędko, płyn do nas! Bwana, my nie umiemy pływać!

Safeni już zawracał „Lady Alice”, ale w tej samej chwili pluski i rozpaczliwe okrzyki dobiegły z drugiej strony:

— Do nas, Bwana, toniemy!

Mała flotylla rozpadała się. Zakupione czółna okazały się spróchniałe, nie nadawały się do dalszych wypraw, jedynie do przybrzeżnych połowów. Stanley stanął w obliczu utraty nie tylko transportu wodnego, ale także bagaży i połowy ludzi wyprawy.

— Wy tam, w czółnach! — krzyknął. — Płyńcie za mną na te wysepki jak najprędzej! A ci, których czółna się przewróciły, niech się ich trzymają, dopóki nie powrócimy.

Już Safeni ponownie zawracał łódź na północ, gdy Stanleya doszedł rozpaczliwy krzyk:

— Hipopotamy, Bwana!

Zignorował to żałosne wołanie. Nie widział możliwości dania im pomocy. Na szczęście księżyc wyrwał zza chmur i w tej chwili ujrzeli wysepkę w najbliższej odległości. Wciąż słychać było głosy, wołające:

— Bwana, przyprowadź łódź!

— Toniemy, Bwana!... — Nasze czółno...

— Hipopotamy!

Wyratowanych bez ceremonii wyrzucono na brzeg, za nimi padały bagaże.

— Z powrotem! Jak możecie najszybciej! — naglił Stanley. Księżyc oświetlał im teraz drogę. Minęli dwa czółna, śpieszące do brzegów wyspy.

— Wyładowujcie szybko i płyńcie z powrotem za nami! — krzyknął do nich Stanley.

— Tak zrobimy! — odpowiedział wesoło Frank Pocock.

— Popłyniemy za tobą, Bwana — powtórzył Uledi z drugiego czołna.

Akcja ratownicza była w toku. Do „Lady Alice” przyłączył się Uledi ze swym bratem Shamuru oraz Pocock. Kalulu pracował jak praczka, wyciągająca bieliznę z wody. Wyratowano wszystkich. Okrzyki: „Hipopotamy!” świadczyły raczej o strachu Murzynów niż o obecności tych zwierząt. Na wodach jeziora pozostało jednak pięć wywróconych czołen, a na jego dnie skrzynia z amunicją, 1200 funtów ziarna i pięć strzelb.

Tej nocy nic już nie pozostało do zrobienia, jak rozpaść ogniska, zjeść wieczerzę i ułożyć się do snu. Stanley, Pocock i murzyńscy wodzowie zebrali się na naradę. Manwa Sera zaproponował, żeby część wyprawy szła lądem, a pozostali wodą.

— Nie wiemy, jakiego mamy się spodziewać przyjęcia — powiedział Stanley. — Nie chcę teraz narażać się na bitwę. Będę jeszcze potrzebował wszystkich naszych askarysów — dodał tajemniczo.

— W takim razie będziemy zmuszeni płynąć partiami — rzekł Pocock.

— Tak będzie najlepiej — zgodził się Stanley. — Jutro od rana popłynę naprzód tymi łodziami, jakie jeszcze mamy. Ty tu zostaniesz. Kiedy znajdę miejsce na obóz, wyślę łodzie po ciebie i resztę ludzi.

— To będzie bardzo długo trwało — zauważył Safeni — ale nie ma innej rady.

Przez parę dni posuwali się w tym żółtym tempie naprzód. Stanley stawał się coraz więcej roztargniony, jak by go zaprzętał jakiś tajemny plan, coraz częściej wpadał w gniew, gdyż opóźnienia te wyczerpywały jego cierpliwość. Ale nie zdradził się nikomu, nawet Frankowi Pocockowi, ze swych trosk. Raz tylko odezwał się w zamyśleniu do Kalulu: — Musimy być już blisko wyspy Bumbireh.

Pewnego dnia Uledi, powróciwszy z łodziami, by zabrać drugą partię i ludzi, i rzeczy, powiedział do Pococka:

— Bwana bardzo zadowolony. Kabaka Mutesa przysłał łodzie wojenne dla niego. Wódz Sabadu nimi dowodzi.

Gdy Pocock przyłączył się do swego dowódcy, zastał go w radosnym uniesieniu. Z pomocą Sabadu i groźnego imienia Mutesy zdołali nakłonić wojowników jednego z miejscowych plemion, by przyłączyli się do Bwana Mkuby, jako jego sprzymierzeńcy.

— To się nazywa strategia! — rzekł Stanley z satysfakcją, wskazując wioskujące czołna w kierunku wyspy Bumbireh.

— A co tą strategią mamy osiągnąć? — zapytał Pocock.

— Czas pokaże — odparł tajemniczo Stanley i odszedł.

W parę godzin później powrócili ludzie ze sprzymierzonego plemienia.

— Mają go! — wykrzyknął Stanley, który z brzegu przypatrywał się bacznie nadpływającym czołnom.

Pocock nie mógł opanować ciekawości.

— Kogo mają?!

— Shekkę, osławionego króla wyspy Bumbireh. To on na nas napadł, gdyśmy wracali z Bugandy, kiedy to Safeni jak najlepszy handlarz szaty zachwalał. Opowiadałem ci przecież o tym.

— Czyżbyś chciał zabrać Shekkę do kabaki Mutesy?

— Czas pokaże — odparł znowu zagadkowo Stanley.

Sprowadzono na brzeg Shekkę i dwóch starszych z jego plemienia, którzy brali udział w pamiętnej shauri sprzed paru miesięcy, pod strażą, złożoną z wojowników Sabadu.

— Łatwo nam poszło — opowiadali. — Król zeszedł do brzegu gdyśmy podpłynęli. Wskoczyliśmy z łodzi, i zanim się tamci zorientowali, co się stało, porwaliśmy go i tych dwóch jeszcze. Jednego z naszych ludzi ustrzelili z łuku. Ale nam łatwo poszło!

Shekka wyjaśniał Stanleyowi, że gdy po skończonej naradzie postyszeli strzał, ruszyli do walki przekonani, że to biały człowiek atakuje kogoś z ich ludzi. Stanley uznał to wyjaśnienie za zwykłe kłamstwo. Postanowił już sobie, co robi. Nie da się zwieść z drogi wykrętami kacyka.

Następnego ranka Stanley wczesnie wszedł do swojej wanny. Potem polecił Kalulu nabić wszystkie strzelby, Pocockowi zaś zebrać tych askarysów, którzy posiadali broń palną, a kiedy już wszystko było przygotowane, wraz z ludźmi Mutesy wypłynęli na wody jeziora z „Lady Alice” na czele, na której dziobie Kalulu trzymał powiewający na wietrze sztandar amerykański. Shekkę ze związanymi rękoma posadzono między Stanleyem a Safenim. Pocock, na rozkaz Stanleya, pozostał na brzegu.

Wkrótce zbliżyli się do wyspy Bumbireh, na której widok Stanley zacisnął usta i wzięwszy strzelbę, położył ją sobie na kolanach. W tym momencie Shekka rzucił się na deski pokładu i czołgając się u nóg Bwany Mkuby zaczął go błagać, aby oszczędził jego poddanych. Stanley odrzuciwszy króla lufą strzelby kazał go podnieść Safeniemu.

— Spełnię moją powinność — rzekł uroczyście.

Na brzegu stłoczyli się już mieszkańcy Bumbireh wzywając swego króla. Na to właśnie Stanley liczył. Zbita masa czarnych ciał wzbudziła w nim żądzę krwi.

— Wprowadź łódź na odległość trzydziestu jardów od brzegu — rozkazał Safeniemu.

Czółna płynęły za „Lady Alice”.

— Powiedz im, że mają się zdać na moją łaskę i niełaskę! — powiedział Stanley do Shekki.

Ale murzyński król, który gotów był na kolanach błagać o litość dla swoich poddanych, gardził pohanbieniem dla ocalenia własnego życia. Potrząsnął przecząco siwiejącą głową.

— Więc niech ta krew, która się poleje, spadnie na twoją głowę! — powiedział twardo Stanley.

Powstał i wydał rozkaz otwarcia ognia.

— Uciekajcie! Uciekajcie, jeśli wam życie miłe! — krzyknął z całych sił Shekka do swoich poddanych na brzegu.

Stanley strzelił pierwszy, a tuż po nim zabrzmiała salwa ze wszystkich strzelb. Kilkunastu wyspiarzy padło, ale ostrzeżenie króla ocaliło setki tych, którzy natychmiast porwali się do ucieczki. Ich ciemne ciała w szybkim biegu stanowiły trudny cel.

Shekka usiłował znowu coś krzyknąć, gdy Safeni uderzył go w usta i władca wyspy Bumbireh padł na wznak do wody.

— Zostawcie go! — rzekł Stanley, gdy kilka rąk wyciągnęło się, by pomóc mu wydostać się z powrotem na pokład.

Shekka zwrócił się w stronę brzegu. Stanley spojrzął za nim i nagle dostrzegł w pobliżu dobrze znany ogromny, kwadratowy nos. Podniósł strzelbę. Kula jego trafiła tuż nad samym nosem. Woda wzburzyła się, olbrzymie cielsko hipopotama wynurzyło się na moment i zatoneło. Król płynął dalej. Stanley kazał swoim wioślarzom podpłynąć bliżej brzegu.

— Myślę, że jak król doplynie do brzegu — rzekł złośliwie — to tamci znowu wybiegną. Wówczas będzie dla nas sposobna chwila...

Na płytkiej wodzie Shekka podniósł się i zaczął brodzić do brzegu. Krajowcy, w obawie, że biały człowiek zechce ponownie porwać króla, strzelali z łuków, ale strzały ich padały do wody. Kalulu wychylił się za burtę i chwycił jedną strzałę w rękę.

Stanley nakazał zmienić gwałtownie kurs „Lady Alice” prawą burtą do brzegu. Czółna Sabadu naśladując ten manewr ustawiły się w jednej linii i w momencie gdy wyspiarze podbiegali do powracającego króla, wszystkie strzelby naraz przemówiły. Ludzie padali, wrzeszcząc i jęcząc. Inni wraz z Shekką rzucili się do ucieczki, chroniąc się za drzewa i przypadając do nierówności gruntu. Druga salwa dosięgła jeszcze opóźnionych.

— Teraz dosyć — rzekł Stanley z nieukrywaną satysfakcją. — To była moja zemsta. Myślę, że następnym razem będą gościnniejsi, kiedy biały człowiek zawita do nich.

Gdy potem opowiedział przebieg zdarzeń Pockowi, ten ściągnął usta jakby do gwizdania i rzekł:

— O to będzie hałas w Anglii.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparł hardo Stanley, zapominając, że sam wyraził chęć odzyskania zaufania w oczach swoich krytyków. — Spełniam moje obowiązki tak, jak uważam za konieczne.

O konieczności masakry na wyspie Bumbireh byłoby trudno przekonać na przykład Livingstone'a. Jego ogarnęła zgroza na widok takiej właśnie masakry, której sprawcami byli arabscy handlarze niewolników w Nyangwe na zachód od jeziora Tanganika. W rezultacie tragedii w Nyangwe

Livingstone z tym większą energią żądał zniesienia niewolnictwa, a handlarzy niewolników uznał za wrogów cywilizacji.

Ekspedycja karna na Bumbireh stała się czarną plamą w biografii Stanleya, wbrew wyzywającej samoobronie w jego książce „Przez ciemny kontynent”, gdzie tak pisał: *Dzicy szanują jedynie siłę, przemoc, śmiałość i stanowczość...*

Motywy tej masakry była wyłącznie zemsta, zemsta na prymitywnym ludzie, który pragnął tylko, aby go pozostawiono w spokoju. Czytanie Biblii i kazania o obowiązku białego człowieka „ucywilizowania” Afryki w świetle tych faktów było zwykłą hipokryzją.

Druga przeprawa wzdłuż Jeziora Wiktorii okazała się tylko stratą czasu i wysiłku. Po przybyciu w sierpniu do Lubagi dowiedzieli się, że Mutesa nie może im pomóc w dalszej podróży do Jeziora Edwarda, gdyż zajęty był właśnie przygotowaniem do wojny z plemieniem Wavuma, które zbuntowało się przeciw jego zwierzchności. W tej sytuacji Stanley musiał czekać aż do Nowego Roku 1876, zanim wreszcie Mutesa, pokonawszy swoich nieprzyjaciół, mógł wyznaczyć oddział w sile dwóch tysięcy ludzi, który miał towarzyszyć wyprawie do Jeziora Edwarda. Ale wysłani ze Stanleyem wojownicy nie mieli ochoty walczyć o sprawę, której nie pojmowali, przeciw plemionom coraz bardziej wrogo nastawionym w miarę, jak wyprawa posuwała się w głąb nieznanych krain.

Pewnego dnia wódz przydzielonych przez Mutesę wojowników przyszedł do Stanleya.

— Po co mamy iść wciąż naprzód walczyć i ginąć? — zapytał.

— Bo ja chcę dotrzeć do Jeziora Edwarda — odparł Stanley.

— A jak dojdiesz do jeziora, co z nim zrobisz? Po co ci to? Na to pytanie trudno było mu znaleźć odpowiedź, która mogłaby przekonać Murzynów.

— Musi ci wystarczyć, że taka jest moja wola — rzekł Stanley.

— Ale nam to nie wystarcza — upierał się wódz. — Moi ludzie nie chcą iść dalej. Oni gotowi są umierać za Kabakę, ale za nikogo innego.

Następnego ranka wódz poprowadził swoich wojowników na wschód, w kierunku Jeziora Wiktorii. Stanley nie miał innego wyboru, jak porzucić swój projekt. W gniewnym rozgoryczeniu, on, który miał prowadzić, musiał teraz iść za innymi. Ale do Bugandy już nie wrócił. Zanim ukazały się brzegi Jeziora Wiktorii, wyprawa skręciła na południe i bez większych przeszkód dotarła do Udżidzi. Arabowie pamiętali przyjaciela Livingstone'a i przyjęli go z serdeczną gościnnością.

Frank Pocock znowu pozostał jako dowódca obozu-bazy, a Stanley, zabrawszy Safenię, Ulediego, Manwę Serę i dziewięciu innych, udał się w podróż wokół jeziora Tanganika, która trwała 51 dni. Najbardziej dokuczały im gwałtowne sztormy, które rzucały „Lady Alice” jak pustą muszlą i groziły załodze zatonięciem. Natomiast krajowcy na wybrzeżach zachowywali się przyjaźnie i optywnie — które dowiodło, że Tanganika jest najdłuższym słodkowodnym jeziorem na świecie: 450 mil od południowego do północnego krańca — odbyło się bez strat w ludziach. Nikt nawet nie zachorował. Stanley brał pomiary i notował wszelkie szczegóły linii wybrzeża na użytek przyszłych kartografów.

W ciągu dwóch lat spełnił dwa ze swoich głównych zadań geograficznych: określił położenie jezior Tanganiki i Wiktorii, które do tej pory były niesprecyzowanymi plamami na mapach Afryki. Teraz można było je umieścić i narysować z pewną dokładnością. Ale najtrudniejsze zadanie było jeszcze przed nim: zbadanie i wyznaczenie biegu rzeki Lualaby. Livingstone wierzył — albo też zmuszał się do wierzenia, ponieważ chciał, aby tak było — że Lualaba jest właściwie górnym Nilem. Dręczyły go jednak wątpliwości! *Męczy mnie obawa* — pisał — *że ostatecznie okaże się, iż idę wzdłuż rzeki Kongo.*

A więc — Nil czy Kongo? To pytanie miał rozstrzygnąć Stanley i jego dzielni, choć nie zawsze chętni pomocnicy, ruszając w kierunku Nyangwe, najdalszego punktu na rzece, do którego dotarł Livingstone.

Rozdział XVI

LUALABA SPŁYWA KRWIĄ

W Nyangwe Arabowie usilnie odradzali Stanleyowi wyprawę wzdłuż rzeki Lualaby. Plemiona po obu brzegach odznaczały się ponoć szczególną dzikością i okrucieństwem, prąd na rzece miał być bystry, miejscami nie żeglowny. Handlarze niewolnikami i kością słoniową nie zapuszczali się nigdy w te okolice — dlaczego więc, pytali zdumieni, ryzykować życie własne i cudze po to tylko, by się przekonać, dokąd płynie rzeka? Czyż to nie wszystko jedno?

Dla Stanleya nie było to wszystko jedno. Był zdecydowany osiągnąć wytknięty sobie cel, choćby nawet jego ludzie się buntowali, choćby nie mógł dostać ani jednej łodzi, choćby musiał poprzestać tylko na „Lady Alice” (dwa pozostałe stateczki wyprawy zatoniły na Jeziorze Wiktorii). Nie dał się zastraszyć mrozącym krew w żyłach opowieściom, nie dbał o przestrogi, o przepowiednie, że połowa jego ekspedycji zginie. Niebezpieczeństwa były w jego pojęciu nierozłącznie związane z wyprawami badawczymi i odkryciami. Sumy, które wypłacał pagazim i askarysom uwzględniały ryzyko. Jeżeli chodziło o niego samego — miał swoją misję i chciał ją spełnić albo zginąć.

Wśród Arabów był pewien kupiec o wielkich bogactwach i wpływach, zapewne najstynniejszy handlarz niewolników, jakiego Afryka wydała, który, chociaż próbował odwieść Stanleya od zamierzonego przedsięwzięcia, skazanego jego zdaniem na klęskę, uległ w końcu energii amerykańskiego dziennikarza. Ów kupiec miał do swojej dyspozycji praktycznie biorąc, nieograniczone ilości krajowców i zapasów żywności. Stanley przyłgnął do niego jak pijawka. Przesiadywał codziennie w jego domu w Nyangwe, namawiając go, by mu towarzyszył przynajmniej przez część drogi wzdłuż rzeki.

Człowiek ten zwał się Mohammed bin Sayed, popularnie zwany Tippu Tib od charakterystycznego dla niego tiku — mrugania oczyma. Tippu Tib był ciemnoskórym, wysokim, przystojnym mężczyzną, o czarnej brodzie i bardzo białych, pięknych zębach. Ubierał się tak, jak bogaci Arabowie w Zanzibarze — w nieskazitelnie białą, fałdzistą togę i szkarłatny fez. Nosił przy sobie sztylet o rękojeści wysadzanej klejnotami. Inteligentny, przezorny, dobry organizator, bywał bezwzględny w realizowaniu swoich celów, a sprytny w swoich oszustwach. Wyrażał podziw dla cywilizacji europejskiej i chętnie pomagał napotykanym białym ludziom — nie odmówił pomocy nawet Livingstonowi, który dążył do zniesienia handlu niewolnikami, źródła bogactw Tippu Tiba.

Ten ugrzeczniony, o gładkich manierach potentat afrykański miał luksusowy dom w Zanzibarze na ostatnim etapie rozgałęzionej sieci licznych karawan, operujących od granic Konga. Był on postrachem krajowców. Gdy Stanley go poznał, Tippu Tib miał blisko czterdziestkę. W żyłach jego płynęło nieco krwi murzyńskiej, a trzy czwarte arabskiej. Negroidalne cechy były widoczne na twarzy. Podstawą jego fortuny była przez niego samego obmyślona metoda taniego zdobywania niewolników i kości słoniowej. Nawiązując przyjazne stosunki z jednym plemieniem, ofiarowywał swą pomoc w waśniach z sąsiadami. Pokonawszy owych sąsiadów, z ostentacyjną uczciwością dzielił się zdobytymi niewolnikami i kością słoniową ze swym sprzymierzeńcem. Następnie wywoływał z nim kłótnię, a pokonawszy go, odbierał część łupów wraz z haraczem od ostatniej ofiary. Jego największym

wydatkiem były koszty broni i amunicji. Zabił ze swoimi pomocnikami tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, a jeszcze więcej sprzedał w niewolę, z której jedynym wyzwoleniem była śmierć. Ulubionym jego powiedzeniem było: „W Afryce strzelba jest królem”.

Takim był człowiek, którego wytworność i gładkie maniere zjednywały mu przyjaźń i zaufanie europejskich podróżników; ale zważywszy na jego charakter, przyjaźń taka świadczyła również o celach i zamierzeniach owych podróżników. I tego człowieka Stanley nakłonił, by za sumę pięciu tysięcy dolarów towarzyszył z siedmiuset Murzynami wyprawie przez co najmniej sześćdziesiąt marszów z biegiem rzeki Lualaby. Tippu Tib miał przy tym nadzieję znaleźć przy tej sposobności nowe tereny dla łowów na niewolnika, z czego nie czynił sekretu, a co Stanleyowi nie przeszkodziło skorzystać z jego pomocy.

Dnia 5 listopada 1876 roku wyruszyła w pochód karawana licząca blisko tysiąc osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, idąc na północ od Nyangwe wzdłuż tajemniczej rzeki, która przez dziesięć długich i trudnych miesięcy miała ich wieść, groźna, niszcząca każdego, kto sobie pozwolił wobec niej na zbyt dużą bezceremonialność. Obok Stanleya kroczył smukły i zgrabny Kalulu, niosąc jego strzelbę. Tuż za nimi szli Safeni i Uledi, który coraz częściej otrzymywał odpowiedzialne zadania do spełnienia. Następnie tragarze nieśli rozebraną na części „Lady Alice”. Dalej pagazi Stanleya, z pakunkami na głowach lub plecach, pilnowani przez askarysów po obu stronach. W tylnej straży tej części karawany, którą stanowili ludzie Stanleya, szli Frank Pocock i Manwa Sera. Dopiero za nimi rozciągał się długi, nieskończony na pozór, wąż wojowników Tippu Tiba. Rozpoczęła się jedna z najstraszniejszych epopei afrykańskich.

Ludzie szli chętnie w takt rytmicznych śpiewów murzyńskich przez otwarty, wygodny do marszu kraj. Tak było jednak tylko pierwszego dnia. Drugiego dnia dotarli do posępnej puszczy, zwanej Lasem Mitamba. Przed nimi wznosiła się gęsta, spleciona masa zieleni, o podszyciu roślinnym pod olbrzymimi drzewami tak gęstym, iż było nie do przebycia, o mocnych, grubych linach tarasujących przejście między pniami drzew. Przywołano ludzi Tippu Tiba z toporami i kazano im wyrąbywać drogę. Tego dnia posunęli się zaledwie o pięć mil.

Następnego dnia nie było lepiej. Trzy czwarte członków olbrzymiej karawany przesiadywało beczynnym, czekając na wyrąbanie przejścia. Stanley irytował się i niecierpliwił, przynaglał ludzi z toporami do pośpiechu, Ale dżungla była coraz gęstsza, a praca rąbiących coraz powolniejsza. Nad głowami ich zamykał się baldachim zieleni tak gęstej, iż nie dopuszczał światła, a nawet powietrza. Piersi oddychały z wysiłkiem. Pokonywanie zwalonych drzew, wydzieranie korzeni oplątujących stopy było nad wyraz trudne i wyczerpujące. Jednakże wycinanie bujnej, dławiącej roślinności tropikalnej w dusznym upale stawało się pracą ponad siły. W ciągu pierwszego tygodnia karawana przebyła zaledwie czterdzieści mil od Nyangwe.

— To nie ma sensu — rzekł pewnego dnia Tippu Tib. — Moi wojownicy nie mogą iść dalej. Wyzywasz śmierć dla siebie i swoich ludzi.

— Nie myślę o śmierci — odparł Stanley. — Ta możliwość jest zawsze ze mną, jak bicie mego serca. Ja myślę tylko o moim zadaniu.

— Twoje zadanie jest zapewne ważne dla ciebie — przyznał Tippu Tib. — Ale dla mnie ono nic nie znaczy. Nie widzę żadnego pożytku dla siebie w tej wyprawie.

— Jeśli mi pomożesz, moi europejscy przyjaciele będą cię wysoko poważać, a wzgardzą tobą, jeśli mnie zawiedziesz — zaczął dyplomatycznie Stanley.

— A na co mi się przyda ich poważanie albo co mi zaszkodzi ich pogarda?

— Oni, jak wiesz, są w zasadzie przeciwni handlowi niewolników — odpowiedział przebiegle Stanley.

— Jeżeli jednak dowiedzą się, że pomagasz europejskim podróżnikom, wybaczą ci wiele.

— Nadal nie jestem pewien, jaką wartość może mieć dla mnie ich przebaczenie i czy w ogóle jest mi to potrzebne — mruknął Tippu Tib.

— Nieraz pomogli ludziom zamożnym i godnym zaufania uzyskać wysokie stanowiska...

— A jakiego rodzaju stanowiska?... — zainteresował się Tippu Tib.

— Na przykład gubernatorstwo prowincji — odrzekł Stanley, śledząc bacznie wrażenie swoich słów. — Czasem zyskowne koncesje handlowe, czasem odznaczenia... nawet tytuły...

Rozmowa ta ciągnęła się przez dwie godziny. Tippu Tib opierał się, Stanley pochlebiał, z lekka groził, obiecywał i kusił. Wreszcie Tippu Tib zgodził się iść z karawaną przez dalsze dwadzieścia marszów.

— Nie możemy jednak dłużej dźwigać tej twojej łodzi — zastrzegł się Arab.

— Przecież to moi ludzie ją niosą, nie twój!

— Ale moi ludzie muszą dlatego wycinać szerszą drogę — obstawał przy swoim Tippu Tib.

Stanley uznał, że nie należy przeciągać struny.

— Więc wezmę „Lady Alice” na rzekę, a ty będziesz dowodził siłami lądowymi.

Tak więc zebrano dawną załogę stateczku, tym razem z Uledim za sterem, gdyż Safeni miał pomagać Frankowi Pocockowi i Manwa Serze na lądzie. Kalulu zajął dawne miejsce Ulediego na dziobie.

Krajowcy, o których dzikości tyle mówiono, nie dawali znać o sobie. Pod koniec dnia, po spotkaniu dwóch oddziałów wyprawy, Tippu Tib zaprowadził Stanleya do leżącej w pobliżu wioski murzyńskiej, którą był już wcześniej odkrył.

Na długiej ulicy, po której obu stronach wznosiły się okrągłe, kryte słomą chaty nie było żywego ducha; nie było też ludzi w chatach, jedynie z zabudowań dochodził ich ryk głodnego bydła i pobekiwanie kóz. Prawdopodobnie mieszkańcy wioski uciekli na wieść o zbliżaniu się tak wielkiej karawany. Naraz Stanley dostrzegł zdobiące ulicę ludzkie czaszki, a po chwili we wnętrzu chat — obgryzione ludzkie kości.

— Czy twój ludzie to widzieli? — zapytał.

— Tylko zwiadowcy. Zawołali mnie, bym zobaczył — odparł Tippu Tib.

— A moi ludzie? — dopytywał się Stanley.

— O ile wiem, nie.

— Proszę więc, żeby się o tym nie dowiedzieli — powiedział

Stanley stanowczo, choć zdawał sobie sprawę, że tajemnica nie utrzyma się zbyt długo.

— A więc wiesz, do jakich ludzi idziemy? — zapytał Tippu Tib.

— Niczego innego się nie spodziewałem — odparł obojętnie Stanley opuszczając wioskę.

Tippu Tib wzruszył swymi szerokimi ramionami. Nie umiał rozmawiać z tym białym człowiekiem, nie był w stanie przekonać go o niebezpieczeństwie. On po prostu wcale się tym nie przejmował.

Odtąd coraz częściej dostrzegał Stanley z pokładu „Lady Alice” czarne głowy, wychylające się z nadbrzeżnych zarośli. Coraz częściej wywiadowcy Tippu Tiba donosili o tym, że ledwo uniknęli śmierci od strzał tajemniczych wojowników. Ale schwycić nikogo nie mogli. Coraz częściej słyszeli świst strzał z towarzyszącym mu dziwnym, przejmującym grozą, przeciągłym okrzykiem, brzmiącym jak „Oohu-hu-hu”, co nieprzyjemnie przypominało „Hehu-a-hehu-uu” z wyspy Bumbireh.

Pewnego razu, gdy Tippu Tib, idący lądem, nie przybył z oddziałem na czas do wyznaczonego miejsca postoju, Stanley, zostawiwszy w obozie czterech swoich ludzi pod opieką Ulediego, poszedł z resztą oddziału w górę rzeki. Kiedy wrócił, zastał obóz atakowany z czółen wojennych dzidami i strzałami z łuków. Na widok powracających napastnicy uciekli, zostawiając jednego zabitego — ofiarę celnego strzału Ulediego.

Chociaż utarczki zdarzały się coraz częściej, dotkliwszy dla wyprawy był wybuch epidemii ospy, która w dziesięć dni porwała dwanaście ofiar ludzkich. Umierający błagali, by ich ciała raczej rzucać do rzeki, krokodylom i hipopotamom na pożarcie, niżby je grzebać w ziemi, na łup dla kanibali.

Sześć znalezionych na brzegu porzuconych czółen, uszkodzonych, lecz nadających się do naprawy, wykorzystano do przewożenia chorych, dla których marsz przez dżunglę był bardzo ciężki. Dowódcą floty szpitalnej został Frank Pocock. Jedno z czółen wywróciło się na bystrym prądzie. Na szczęście ludzi uratowano, ale stracono cztery cenne strzelby.

Prawie co wieczora, w obozie, który rozbijali na noc, Tippu Tib namawiał Stanleya do porzucenia projektu i powrotu do Nyangwe, zanim nie utraci wszystkich ludzi i sam nie stanie w obliczu śmierci. Ale dla Stanleya skończyły się bezpowrotnie czasy wahań i dezercji. Wierzył w siebie i swoją misję. Nie dał się zawrócić z raz obranej drogi. Tak więc szli wciąż na północ. Niekiedy rzeka skręcała na wschód, i Stanley zaczynał już przypuszczać, iż Livingstone miał jednak rację: Lualaba istotnie była Nilem.

W sześć tygodni po opuszczeniu Nyangwe, „Lady Alice” i pięć czółen, które pozostały z owych znalezionych i naprawionych, wpłynęły w okolice, znaną pod nazwą Vinya-Njara. Z oddziałem idącym

lądem pod wodzą Tippu Tiba stracono kontakt. Zbliżało się właśnie upalne, obezwładniające żarem południe.

— Steruj do brzegu — rzekł Stanley do Ulediego.

Mała flotylla skręciła w ślad za Bwana Mkubą, wypatrującym wśród gęstej dżungli miejsca odpowiedniego na obozowisko. Wszystkie oczy utkwione były w nadbrzeżnych zaroślach. Nagle rozległ się okrzyk bólu. Stanley odwrócił się i w tym momencie ujrzał jednego z askarysów, który stał na dziobie czółna, padającego ze strzałą w piersi.

— Wiosłować ze wszystkich sił! — krzyknął Stanley. „Lady Alice” wraz z czółnami pomknęła naprzód. Stanley nie odrywał oczu od brzegu i gdy nareszcie ukazała się mała polana, polecił przybić do brzegu. Kalulu zeskoczył na brzeg i przywiązał łódź.

Wszystkich zdrowych postano do lasu po drzewo na opał i budowę ogrodzenia wokół obozowiska.

— Weź oddział askarysów, Uledi — wydawał dalsze dyspozycje Stanley. — Pójdiesz na zwiady. Jeśli natrafisz na krajowców, strzelaj i staraj się ich odciągnąć od obozu. Musimy mieć czas, by ukończyć barykadę.

Tego rodzaju zadanie bardzo odpowiadało Ulediemu, który zahartował się w przeciwnościach i trudach wyprawy. Dumny był z tego, że Bwana Mkuba pokładał w nim zaufanie.

Barykadę wznoszono w pośpiechu. Frank Pocock sam ścinał drzewa, wbijał słupy razem z Murzynami, Stanley wskazywał każdemu, co ma robić. Wykorzystano każde drzewo, nawet wyższe krzewy, aby utworzyć zaporę dla strzał i włóczy. Nim minęło parę godzin, mogli już odwołać askarysów, którzy dostrzegli zaledwie paru krajowców. Ledwie jednak askarysi powrócili do obozu, ledwie weszli za barykadę, gdy z dżungli wypadło z bojowym okrzykiem kilkuset wojowników. Wśród ich dzikich wrzasków i okrzyków można było rozróżnić dobrze już znane słowa:

— Wynoście się z naszego kraju! Precz stąd! Nie chcemy was!

Stanley wyznaczył do obrony barykady czterdziestu ludzi, zdrowych na tyle, że byli w stanie władać strzelbą i rzucać włóczy. Chorych umieszczono w samym środku kraalu. Pocock, Uledi, Saramba i Kirango dowodzili poszczególnymi odcinkami palisady. Kalulu stał przy Stanleyu, Safeni pilnował chorych.

Chmura włóczy wpadła do środka kraalu. Zraniono jedną chorą kobietę i jednego mężczyznę. Stanley strzelał spokojnie i regularnie. Inni, przywykły już do niebezpieczeństwa po dwóch latach podróży z Bwana Mkubą, widząc jego spokój i opanowanie, dostosowali się powoli do niego. Kalulu nabijał i podawał strzelby Stanleyowi, który w ten sposób mógł strzelać prawie bez ustanku.

— Ooh-hu-hu! Oooh-hu-hu! — Ten przeciągły i przenikliwy okrzyk wojenny rozbrzmiewał bez przerw, a wojownicy podbiegali wciąż na nowo do palisady tak blisko, jak im starczyło odwagi, wyrzucali włóczy i uciekali z powrotem.

Zarośla i wysoka trawa, chroniąc obozowisko, jednocześnie umożliwiały atakującym ukrywanie się i bliskie podchodzenie. Trudno było do nich strzelać. Włócznie krajowców niewiele jednak szkód wyrządziły w obozie. Za to z drugiej strony palisady krajowcy wciąż zabierali kogoś ze swoich rannych lub zabitych towarzyszy.

W powietrzu rozszalała się przeraźliwa kakofonia dźwięków: wrzaski atakujących, ryki ich rogów bojowych, głucho warczenie bębnow, strzały obrońców, żałosne krzyki kobiet i dzieci, jęki rannych. I wciąż nowe fale napastników, wciąż odrzucane i na nowo powracające.

Zwątpienie i strach zaczęły się wkradać w szeregi ludzi Stanleya. Nie widzieli końca tej masakry. Niektórzy z nich próbowali uciekać w kierunku rzeki.

— Bij ich! Zaganiaj z powrotem! Na miejsca! — krzyczał Stanley, zadając lufą strzelby energiczne razy Murzynowi, który usiłował chyłkiem wymknąć się ku rzece. Frank Pocock posłuchał rozkazu, a Kalulu zręcznie podstawił nogę uciekinierowi, który już wyminał Stanleya. Przestraszeni Murzyni wrócili na swoje miejsca i nową, skuteczną salwą odparli następny atak krajowców. Ci jednak tylko cofnęli się za drzewa, nie dając za wygraną.

O zmroku posępny dźwięk rogów bojowych i głuchy warkot bębnow ogłosiły odwrót. Ale w kraalu nie zapanował spokój ani bezpieczeństwo. Z niewielkiej odległości dolatywało nieustanne pojękiwanie rogów, a z zarośli co chwila wylatywały zatrute strzały i utkwiszony w ziemi dygotały długo.

Broniący się byli zbyt znużeni, by jeść. Rzucili się na ziemię tam, gdzie kto stał, a ci z chorych, którzy mogli się poruszać, przynosili spragnionym wodę.

— Nie pozwolić im spać — nalegał Stanley.

— Trzeba by trzęsienia ziemi, żeby ich od tego odwieść — odparł Pocock.

— Więc módl się o trzęsienie ziemi — rzekł Stanley.

Kalulu znał inne sposoby prócz trzęsienia ziemi. Poszedł z Sarambą do rzeki, zabrawszy duże, gliniane naczynia, które napełnili wodą. Następnie krążyli między Zanzibarczykami i każdego, który zasypiał polewali wodą.

Stanley chodził z wolna wewnątrz kraalu, spoglądając wciąż w ciemne zarośla, do których blask księżyca nie przenikał. Wypatrzył wreszcie ciemną postać, czołgającą się na czworakach. Ujrawszy to, sam padł na kolana i czołgając się dotarł do miejsca, gdzie właśnie Uledi polewał wodą śpiącego askarysa. Naradzali się szeptem, po czym Uledi wezwał gestami dwóch askarysów i w milczeniu przemknęli do przeciwległej palisady. Przepisnęli się na zewnątrz i ostrożnie popęzli, krwawiąc sobie ręce i nogi na kolczastych zaroślach, po ciemku wążąc w niewidoczne mrowiska. Za palisadą każdy nasłuchiwał w czujnym napięciu. Uledi dosięgnął krajowca w chwili gdy ten wspinał się na barykadę — może, by ją rozwalić, może, by zadać zdradziecki cios nieprzygotowanemu obrońcy. Uledi skoczył mu na kark, jednocześnie zagłębiając zdradziecki sztylet w jego plecy. W krzakach dał się słyszeć szelest.

— Strzelajcie tam, skąd ten szelest słychać! — krzyknął Stanley. — Musimy ich powstrzymać, zanim Uledi nie wróci.

Strzelano na oślepię w zarośla. Grupa krajowców wypadła na polanę i wyrzuciła chmurę strzał. Ale Uledi i dwaj askarysi zdążyli umknąć wraz z rannym krajowcem do środka kraalu i z ciemności rozległy się gniewne okrzyki.

Reszta tej bezsennej nocy minęła spokojnie, tylko strzały z łuków od czasu do czasu wpadały do środka lub grzęzły w palisadzie.

O świcie okazało się, że straty obłążonych są nieznaczne: trzech lekko rannych. Stanley dobrze rozmieścił swoich ludzi, zabezpieczył chorych i wykorzystał wszystkie naturalne osłony. Natomiast w nocy zmarło trzech chorych na ospę, wtedy, gdy ich chroniono od zatrutych strzał i włócznie.

— Co mamy na śniadanie? — zapytał Stanley Franka Pococka.

— Banany — brzmiała zwięzła odpowiedź.

— Każ je upiec — zarządził Stanley. — Można rozpalic ognisko pod osłoną skarpy nadbrzeżnej.

— Żywności mamy mało — odrzekł Pocock. — Miejmy nadzieję, że Tippu Tib wkrótce nadejdzie. Będzie ich dosyć, by odpędzić naszych nocnych stróżów.

— Jeszcze jedna taka noc — dorzucił Stanley — a żaden z naszych chorych nie wyżyje. Wezmę Safenię na „Lady Alice” i poszukam bezpieczniejszego miejsca na obozowisko.

O milę dalej z biegiem rzeki znaleźli więcej niż się spodziewali: całe osiedle krajowców, kilka wiosek nad brzegiem rzeki.

— To domy tych, co nas w nocy atakowali — rzekł Safeni.

— A teraz my ich zaatakujemy — odparł Stanley i kazał spiesznie wracać do obozu.

— Wszyscy do czóten! — zawołał. — Odpywamy.

— Dokąd, Bwana?

— My umieramy, Bwana...

— Nie możemy wstać...

Niektórzy z chorych byli w tak ciężkim stanie, że woleli umrzeć, byle ich w spokoju zostawić. Zabrano jednak wszystkich — siedemdziesięciu dwóch, ciężej i lżej chorych — do czóten. Flotylla ruszyła z prądem. Strzały padały wokół nich, na szczęście krajowcy nie byli szczególnie dobrymi łucznikami. Przed pierwszą z wiosek, położoną na stromej skarpie nadbrzeżnej, bez dogodnego miejsca do lądowania, Stanley wezwał wszystkich zdrowych, by szli za nim. Wskoczył na brzeg i chwytając się trzciny i trawy wspiął się po skarpie. Z pistoletem w każdej ręce, w towarzystwie Kalulu, wbiegł na ulicę wioski.

Pustka! Ani żywego ducha! Tylko ta jedyna ulica, około trzystu jardów długości, zabudowana z obu stron chatami tak ciasno, że zwarte ściany od tyłu musiały stanowić niezły mur obronny przed napastnikami.

Stanley zatrzymał się tylko na parę sekund, dopóki reszta jego ludzi nie dogoniła go. Miał już plan gotowy.

— Weź dziesięciu ludzi z toporami, Frank — rzekł. — Każ ściąć tyle drzew, żeby pniami zabarykadować oba wyloty ulicy. Uledi, weź pięciu ludzi i uważaj od strony lądu. Saramba, pilnuj czółen.

Pocock i jego ludzie już rąbali wielkie drzewa. Gdy pierwsze padło, ściągnięto je do wylotu ulicy. Po zabarykadowaniu jednej strony przeniesiono chorych z czółen i umieszczono możliwie najwygodniej w chatach.

— Saramba, ty będziesz odpowiedzialny za straż przy łodziach — rzekł Stanley. — Kirango! Każ pięciu ludziom wejść na najwyższe drzewa. Niech pilnie baczą, czy nikt się ku nam nie czołga w wysokiej trawie.

Dobrze się złożyło, że nikt im nie przeszkodził w tych przygotowaniach. Z dala wyły posępne rogi, głucho brzmiały bębny, ale żaden wojownik się nie pojawił. Gdy ostatni pień wciągnięto i ułożono w poprzek ulicy, ostatni obrońca zajął wyznaczone mu stanowisko na stożkowatym dachu albo na barykadzie, złowieszcze „Ooh-hu-hu” rozbrzmiało echem w dżungli rozpościerającej się za polami, porośniętymi wysoką trawą.

Spomiędzy drzew wypadli z wrzaskiem umalowani w pasy, zbrojni w dzidy i tarcze wojownicy. Celny ogień zatrzymał i zmieszał ich szeregi. Dzidy poleciały na oślep, nieszkodliwie trafiając w tylne ściany domów, w pnie drzew. Napastnicy zawrócili i uciekli pod osłonę lasu, a w ślad za nimi huknęła druga salwa.

Stanley wraz z Kalulu nabijającym strzelby stali na płaskim dachu, z którego mieli dobry widok na pole bitwy.

Właśnie z dżungli wybiegła druga fala wojowników, z równym zapałem jak pierwsza. Biegli nisko pochyleni, tak że salwa obrońców, niedoświadczonych w obchodzeniu się z bronią palną, poszła górą. Krajowcy zbliżyli się do chat i z rozmachem rzucili włócznie. Trzy z nich po prostu przygwoździły ludzi Stanleya do dachów, na których stali. Kolejna salwa broni palnej wstrzymała impet wojowników. Schylili się po rannych i konających.

Stanley krzyknął do najbliższych ludzi na dachach:

— Na dół chłopcy! I za mną!

Zsunął się na ziemię i przez lukę między dwiema chatami poprowadził oddział, liczący około dwudziestu ludzi.

— Klęknać! — zawołał. — I strzelać!

Zanim wojownicy spostrzegli się, zanim chwycili za broń, oszołomił ich bliski ogień muszkietowy. Zawrócili, zostawiając rannych w trawie. Ludzie Stanleja rzucili się w pogoń za nimi, ale Bwana zabiegł im drogę i zawrócił biegnących. Gdyby ktokolwiek zapuścił się w dżunglę — nie wyszedłby stamtąd żywy.

Powróciwszy do wioski tą samą drogą jaką wyszli, Stanley spotkał uśmiechniętego Ulediego, który zrobiwszy wypad na własną rękę zdobył jeńca.

Zadowolony z obrotu sprawy, Stanley rzekł do Pococka: — Każ przynieść każdemu po porcji bananów.

Jeszcze przez godzinę czuwano na dachach. Ale krajowcy nie atakowali. Wystawszy Ulediego z garstką ludzi na zwiady, Stanley zabrał się do wzmocnienia pozycji obronnej swojej fortecy. Wszystkie chwasty i wysoką trawę wycięto na odległość stu jardów od domów, aby uniemożliwić krajowcom niezauważone zbliżenie się do zabudowań. Następnie wzniesiono przy obu wylotach ulicy wysokie platformy dla najlepszych strzelców.

Gdy nadeszła noc, postawiono strażę, które miały się zmieniać co cztery godziny, a pozostali poukładali się spać w chatach, każdy z nabitą strzelbą pod ręką. Tylko Stanley, Uledi i Kalulu nie zasnęli. Krążyli bez ustanku po wiosce, budząc drzemiących strażników. Nocny spokój zakłócały od czasu do czasu strzały krajowców, stukające o ściany, a nieraz świszczące nieprzyjemnie tuż nad głowami Stanleja i jego małego patrolu. Wciąż myślał o niepokojącym opóźnieniu Tippu Tiba. A może Arab zdezerterował i zabrał lądowe oddziały z powrotem do Nyangwe?

Rankiem krajowcy przypuścili nowy szturm, który znowu został odparty przez strzelców na platformach. Ale niebezpieczeństwo zagroziło im z innej strony. Przeciągłe „Ooh-hu-hu” doszło ich nagle od rzeki. Stanley pośpiesznie wspiął się na dach domu nad brzegiem i zobaczył odległe o pół mili, ale płynące ku nim szybko z prądem liczne czółna wojenne, a w nich setki zbrojnych ludzi.

— Zbierz natychmiast dwudziestu ludzi przy północnej barykadzie! — rozkazał młodemu Kalulu.

Widział, jak czółna ustawiły się w szereg bojowy i skręciły w stronę wioski. Ześliznąwszy się z dachu, zawołał Pococka.

— Odpieraj sam ataki od strony dżungli — polecił mu, i dodał: — oby Tippu Tib prędko nadszedł, bo nie damy rady.

I poprowadził dwudziestu ludzi do krzewów, porastających skarpe nadbrzeżną. Zaledwie ukryli się na wyznaczonych pozycjach, gdy uszu ich dobiegł potężny wrzask od strony dżungli. Chmura strzał wyleciała spomiędzy drzew i zasypała ściany i dachy chat. Czółna z wojownikami doplynęły już do skarpy przy wiosce.

— Ognia! — rozkazał Stanley.

Kilkunastu wojowników spadło do wody. Krajowcy nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Wskoczyli na brzeg i zapamiętali wdrapywali się po stromej pochyłości, choć za każdą salwą obrońców po kilkunastu napastników spadało do rzeki. Ludzie Stanleja okazali zdumiewający spokój i zimną krew w obliczu przeważających sił.

— To nasz kraj! Wypędzimy was stąd! — wrzeszczeli krajowcy.

Z wioski słychać było nieustanną strzelaninę. Stanley pomyślał, że na Pococka też widocznie przypuszczono generalny szturm. Nie mógł mu iść na pomoc. Każdy musi pilnować wyznaczonego odcinka i trzymać się, dopóki Tippu Tib nie nadejdzie z odsieczą. Jeżeli w ogóle nadejdzie...

Nie bacząc na dziesiątkujący ich szeregi ogień, wojownicy z czółen wdarli się na szczyt skarpy. Stanley wiedział, że koniec jest blisko. Gdy Tippu Tib przybędzie, znajdzie tylko setkę ciał albo obgryzione kości. Atakujących było zbyt wielu, aby strzelby, nawet w najbardziej wprawnych rękach, mogły ich powstrzymać. Krajowcy zatrzymali się i z całym spokojem napięli ciężki łuk. Stanley znowu wydał rozkaz, w przeczuciu, że czyni to po raz ostatni:

— Ognia!

I zamarł. Bowiem w tym momencie przeraźliwy wrzask wzbił się nad zgiełk bitwy — wrzask wściekłości, rozpacz i przerażenia — od strony dżungli. Wojownicy w popłochu skakali w dół ze skarpy, spychali czółna, rzucali się do wody. W ślad za dzikim wrzaskiem z dżungli rozległ się radosny, triumfalny krzyk w wiosce — po czym silny, nieregularny ogień, świadczący o ilości strzelb pięciokrotnie większej od tej, którą mieli oblężeni.

Słyszając to, Stanley popędził na czele swoich dwudziestu ludzi z powrotem do barykady, gdzie powitał go — Tippu Tib, strojny, spokojnie uśmiechnięty, witał go z wyciągniętą do uścisku ręką.

— Mamy czterech zabitych i trzynastu rannych — powiedział Stanley w czasie narady, na którą wezwał Tippu Tiba, Franka Pococka i Safeniego, by omówić dalszą drogę. — Czy twoi ludzie są dobrej myśli?

— Wprost przeciwnie — odrzekł Arab. — Od trzech dni mieliśmy bardzo mało żywności. Parokrotnie zabłądziliśmy. Przecinanie drogi przez puszcę wyczerpało już wszystkich.

Stanley spojrział na zażywną postać handlarza niewolników, skrytą pod powłóczyстыми szatami.

— Nie mogę dalej... — ciągnął Arab, ale Stanley przerwał mu stanowczo:

— O ile nie przechrzemy tych wojowniczych krajowców, nikt z nas nie może iść ani naprzód, ani w tył. Zastanówmy się nad tym. O innych sprawach będziemy później dyskutować.

— Nie możesz pokonać plemion Vinya-Njara — powiedział Tippu Tib głosem jak zwykle ugrzeczonym, ale chłodnym. — Zwyciężają liczebnością. Będą powracać znowu i znowu, dopóki nas wszystkich nie wybiją lub nie zagłodzą. Nie dbają o własne straty. Są bardzo odważni.

— Przekonaliśmy się już o tym — burknął Stanley z niechęcią.

— Jeśli zawrócimy i popłyniemy w górę rzeki — mówił dalej Arab — to być może będą nas nękać; ale z pewnością nie przypuszczą generalnego ataku. Im tylko chodzi o to, byśmy opuścili ich ziemie.

— A my nie opuścimy ich ziem — odparł kategorycznie Stanley — tak długo dopóki nie dojdziemy do ich krańca z biegiem rzeki.

— W tym nie mogę wam pomóc — odrzekł obojętnie Tippu Tib i wstał, by odejść.

— Poczekaj — zatrzymał go Stanley. — Mam pewien plan. Gdy ich wojenne czółna odpłynęły, zdawało mi się, że ukryli je na tej wyspie, która leży pośrodku rzeki, dalej w dół...

— A dla ludzi nad rzekami — rzekł Safeni, poważnie kiwając głową — czółna bywają więcej warte niż życie...

— A nam — dodał Frank Pocock — dobre, mocne czółna bardzo się przydadzą!

Była dziesiąta wieczorem, ciemności panowały smoliste, gdy „Lady Alice” ze Stanleyem na pokładzie i cztery czółna pod dowództwem Pococka popłynęły bezszelestnie z prądem rzeki w stronę wyspy. Uledi sterował na przeciwległym brzegu..

Na wyspie płoną ogniska. Osiem czółen kotłyszę się uwiązanych do pali... Ciche, ostrożne lądowanie... Z „Lady Alice” schodzą Stanley i Uledi, i Saramba, i Kalulu... Z głębi wyspy dobiegają śpiewy, dźwięki tam-tamów, tupot tańczących stóp... Łodzie Franka Pococka spływają dalej z prądem... Mocowanie się z palami, do których uwiązane są linami czółna... pale nie puszczają... Noże! Kalulu na straży wpatruje się w ciemność między drzewami... Nareszcie! Cztery czółna odcięte, zepchnięte na wodę, płyną tam, gdzie Frank Pocock czeka na nie... Nagła przerwa w śpiewach i tańcach koło ogniska... Stanley wstrzymuje oddech... Tam-tamy i tańce zaczynają się na nowo... Dalsze czółna spływają na wodę... Ludzie z „Lady Alice” wracają na swój statek.

Popłynęli w dół rzeki, gdzie leżały jeszcze cztery czółna. I znów Stanley, Uledi i Kalulu schodzą na brzeg i wracają szczęśliwie. Dalej w dół rzeki odkryli główną przystań: dwadzieścia sześć łodzi wojennych, fale pluszczą o ich boki, burty uderzają z lekka jedna o drugą. To jest znalezisko! Tańce i bębnienie ustają, a od ognisk słychać teraz spokojne, senne głosy. Każde z czółen uwolnione z uwięzi płynie swobodnie z prądem...

„Lady Alice” cicho przepłynęła do przeciwległego brzegu i dopiero tam wioślarze wzięli się do pracy ze wszystkich sił.

— Czy Pocock zdoła wszystkie połapać? — szepnął Stanley do Ulediego.

— Będzie mu trudno, Bwana — odszepnął Murzyn. Istotnie było trudno, ale Pocock dał sobie radę. Dwanaście czółen odholowała „Lady Alice” do ufortyfikowanej wsi, a Frank Pocock pilnował reszty, aż do jej powrotu. O piątej nad ranem wyprawa była w posiadaniu trzydziestu ośmiu dobrych, mocnych, trwale zbudowanych czółen. W godzinę później okrzyki wściekłości, wrzask i bicie w bębny oznajmiło, że krajowcy odkryli swoją stratę. A nim minęła następna godzina, nieliczna grupa wojowników podeszła do północnej barykady, prosząc o shauri, czyli pertraktacje.

W wyniku rozmów krajowcom zwrócono piętnaście łodzi, a za resztę zapłacono paciorkami i drutem. Otrzymało pod dostatkiem żywności.

— I przyrzekacie, że nie będziecie nas więcej atakować? — upewniał się Stanley.

— My nie będziemy atakować — odparł wysłannik „ludzi rzeki” — ale nasze ziemie nie sięgają daleko. Nie możemy więc ręczyć za sąsiadów w dole rzeki. Radzimy białemu człowiekowi i jego towarzyszom, by wrócili w górę rzeki.

— Część jego towarzyszy zamierza wrócić w każdym razie — wtrącił Tippu.

Po zakończeniu shauri, Stanley zwrócił się do arabskiego kupca:

— Według naszej umowy i twojej obietnicy powinieneś nam towarzyszyć jeszcze przez osiem marszów. Wyszlibyśmy poza najniebezpieczniejsze tereny. Czy naprawdę zamierzasz zdezerterować?

— Moi ludzie nie chcą iść dalej — odpowiedział Tippu Tib.

— A ty? — zapytał Stanley.

— Podziwiam ciebie — odrzekł Tippu Tib. — Nie widzę jednak, co zyskam na tym, że umrę razem z tobą. Muszę wracać i pilnować moich szlaków karawanowych.

Stanley zrozumiał, że tym razem na nic się nie zda przekonywanie. Jego własni ludzie już mu przyrzekli, że pójdą za nim dalej. Uledi zaklinał się, że jeśliby nikt inny nie chciał pójść, to załoga „Lady Alice” zawiezie Bwana Mkubę tam, dokąd rzeka zaprowadzi.

Prawdę mówiąc, wyprawa nie potrzebowała teraz usług Araba i jego wojowników. Mieli dość czółen, by podróżować wodą. Stanley miał nadzieję, że prędko przepłynie w dół rzeki i pozostawi za sobą trudy i trwogi dżungli. Chciał się rozstać w przyjaźni. Przywołał uśmiech na wargi i podał dłoń Arabowi.

— Uczyniłeś dla nas więcej, niż miałem prawo oczekiwać — przyznał wielkodusznie.

Był to dzień Bożego Narodzenia 1876 roku.

Rozdział XVII

NOWE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Stanley, Frank Pocock, Kalulu, Safeni, Uledi i inni członkowie wyprawy zebrali się wokół starej, pomarszczonej kobiety, jedynej mieszkanki wsi, do której weszli po krótkim lecz krwawym starciu. Staruszka nie zdradzała żadnej trwogi. Siedziała spokojnie na ziemi, z szeroko rozkraczonymi nogami, z rękami założonymi pod wyschniętymi, zwisającymi piersiami.

— Nic mi nie zrobicie — rzekła, pokazując dziąsła w bezzębnym uśmiechu. — Nie pierwsi tu jesteście. Byli inni, zabierali młodych mężczyzn, zabierali tłuste dziewczęta. Ale mnie nikt nie tykał! — zachichotała złośliwie. — Na mnie tylko skóra i kości! — palcem wskazała na pomarszczoną, żółtą jak pergamin skórę, która okrywała szkielet jej czarnej twarzy.

Safeni zrozumiał, do czego zmierzała.

— My nie jemy ludzkiego mięsa — powiedział jej.

Frank Pocock, który nie zorientował się w pierwszej chwili o czym mówiła stara, teraz zmarszczył się gniewnie. Stanley pozostał niewzruszony.

— A co wy jecie w takim razie? — zapytała starucha z zaciekawieniem.

Safeni przedstawił jej pokrótce jadłospis wyprawy.

— Dlaczego jecie ludzkie mięso? — zapytał staruchę Bwana Mkuba.

Murzynka uśmiechnęła się, jak niańka do dziecka, które pyta, czemu się je kartofle.

— Mówicie mi, że jadacie mięso bydła, dzikich zwierząt z prerii i dżungli — powiedziała. — Jeśli stado antylop nadbiegnie, czyż nie zabijacie i nie zjadacie ich?

— Oczywiście — zgodził się Safeni. — Mówiłem ci...

— A więc dla nas, wy jesteście stadem bydła — powiedziała starucha.

— Wariatka! — burknął Stanley i odszedł.

Frank śmiał się: — Wszystko zależy od tego, do czego kto od dzieciństwa nawykł — powiedział.

Nie minęło wiele czasu od chwili rozstania z Tippu Tibem i plemieniem Vinya-Njara, a znowu zobaczyli na brzegach szerokiej rzeki tłumy wrogich krajowców, o ciałach umalowanych, głowach ozdobionych piórami, i znowu rozlegały się przerażające okrzyki wojenne. Coraz to wywiązywały się utarczki i bitwy. Flotyła czóten, którym ponadawano takie nazwy, jak między innymi: „Livingstone”, „Mirambo”, „Mutesa”, „Mabruki”, „Herald”, „Telegraph” i „Bennett” — płynęła wciąż pod osłoną zdobytych tarcz bojowych.

Ale oto czółnom zagroziło inne niebezpieczeństwo — katarakty. Nakładem olbrzymiej pracy i zagrożeniem ludzkiego życia przepawiono się przez dwie pierwsze. Za każdym razem trzeba było najpierw zabezpieczyć się przed krajowcami. Pracowano na dwie zmiany: nocną i dzienną. Pracującym nocą przyświecano pochodniami z suchych liści palmowych i trzciny, posmarowanych żywicą kadzidlaną i umocowanych na drzewach. Wycinano przejścia przez dżunglę, którymi przenoszono bagaże i łodzie do budowanych w odstępach „bomów” czyli obronnych obozów dla kobiet, dzieci i chorych. Przepawa przez drugą kataraktę trwała siedemdziesiąt dwie godziny — siedemdziesiąt dwie godziny nieprzerwanego, wyczerpującego trudu.

Po kataraktach przyszły cieśniny o bystrych prądach i wirach. Stanley nakazał wprowadzić czółna na płaski brzeg wysepki na środku rzeki i patrzył na szeroką przestrzeń wód, wezbraną od wschodnich doptywów, rozpluskowaną od gwałtownej ulewy. Mierzeje, przybrzeżne jeziora i pływające wyspy, utworzone z trawy i zgniłych liści, zacierały linię brzegu tak, iż nie wiadomo było właściwie, gdzie kończy się rzeka.

— Katarakty, wiry! — westchnął Frank Pocock. — Trzeba będzie znowu przenosić wszystko brzegiem.

— Ludzie dość już mają tego przenoszenia — przyznał Stanley.

— Nie umieją jednak przepływać cieśnin — przypomniał Frank.

— A kto z nas umie? — wykrzyknął niecierpliwie przywódca wyprawy. — Musimy się nauczyć, nabrać doświadczenia, jak nauczyliśmy się wszystkiego innego.

— I płacić życiem za naukę — stwierdził rzeczowo i spokojnie Frank, strząsając wodę deszczową ze swego tropikalnego hełmu.

Stanley popłynął na „Lady Alice”, by zbadać niebezpieczne miejsce. Prąd był szybki, zmienny, zdradziecki. Ze skalnych progów woda spadała z rykiem, wzbijając chmurę białej piany. Powyżej znajdowała się niewielka naturalna przystań. W samym środku rzeki wystawały ponad powierzchnię wody groźnie wyglądające głazy.

Powróciwszy do flotyli, dowódca oznajmił:

— Z czółnami naładowanymi bagażem i ludźmi nie zdołamy się przedostać żywi przez te wiry. Musimy znowu przenosić. Ciężko to będzie dla was wszystkich, ale nie ma innej rady. Trzeba przenieść bagaże i tych chorych, którzy sami iść nie mogą. Łodzie spróbujemy spławić wodą.

— Oszczędzimy sobie największego ciężaru — zgodził się Frank, który zawsze we wszystkim znajdował dobre strony.

„Lady Alice” przeholowała wśród deszczu w dół sześć pierwszych czółen; w każdym było tylko trzech ludzi. Dotarli szczęśliwie ponad wirami do upatrzonej przystani, naprzeciw małej wysepki, i zabrali się do zakładania obozu. Bwana Mkuba wrócił po następne sześć czółen, których dowódcą był Zaidi, i zbliżyli się już do obozu, a „Lady Alice” dobiła do przystani. Nagle Zaidi wykonał zbyt ostry zwrot i czółno zakotławszy gwałtownie wywróciło się do wody. W następnym czółnie płynęli Uledi i Manwa Sera.

— Utonęli! — wykrzyknął Stanley.

Ale Zaidi ukazał się na powierzchni, trzymając się kurczowo wywróconego czółna. Dwaj pozostali popłynęli do wysepki, pod opiekuńcze skrzydła Uledi i Manwa Sery.

Położenie Zaidiego było groźne. Nie mógł zatrzymać czółna, znoszonego gwałtownym prądem w cieśninę, prosto do spienionych wirów w dole. W ostatniej chwili trafiło na wąską wysoką skałę, która przecięła je na pół jakby nożem. Jedna połowa pomknęła w przepaść i roztrzaskała się na drzazgi.

Krajowcy na bliskim brzegu krzyknęli z przerażenia. Stanley stał pochylony do przodu, bez słowa, z ustami otwartymi i zaciśniętymi pięściami.

Druga połowa czółna utknęła na skale, wepchnięta tam siłą prądu. Tego szczątku trzymał się jeszcze Zaidi. Z siłą rozpaczcy wciągał się mozolnie na skałę, wciąż ześlizgując się po mokrej powierzchni.

— Do dżungli! Ciąć liany na sznury! — krzyknął Stanley, wyrwany ze swego transu.

Zaidi przywarł do skały, dygocąc i z przerażeniem patrząc wokoło. Jego wołanie o pomoc ginęło w ryku wodogrzmotów. Sporządzoną tymczasem długą linę z pnączy przywiązano do małej łódeczki, którą ostrożnie spuszczone na wodę z prądem. Coraz bliżej i bliżej podpływała łódka do nieszczęsnego Zanzibarczyka, który wpatrywał się jak by chciał ją wzrokiem przyciągnąć, niebezpiecznie wychylony ku niej, z wyciągniętymi rękoma. Jeszcze parę jardów i łódka dotknęłaby skały. I stała się rzecz straszna — lina nie wytrzymała. Łódka pomknęła jak strzała, by rozbić się w spienionym wirze cieśniny. Zaidi opadł z powrotem na skałę i ukrył twarz w dłoniach.

— I przez te wody zamierzałem spławiać łodzie! — westchnął Stanley.

Zaidi był zaledwie o dwadzieścia jardów od brzegu, ale równie dobrze mógł się znajdować o dwieście jardów. Ciężkie pnie — uwiązane na sznurach i rucane do niego — padały o wiele za blisko.

Frank Pocock, wypróbował różne sposoby, z których każdy zawiódł, wpadł w rozpacz.

— Nie możemy pozwolić, by na naszych oczach ginął powolną śmiercią — rzekł. — Jeszcze się rzuci do wody w desperacji!

Zaidi nie wpadał w panikę: tkwił na skale z wyrazem twarzy człowieka na stosie, czekającego na podpalenie drewna, na pierwsze dotknięcie płomieni.

Bwana Mkuba przygotowywał następną próbę. Do nowego, najlżejszego jakie było, czółna, przymocowano trzy liny z pnączy, grube na cal, długie na dziewięćdziesiąt jardów, wzmocnione sznurkami z namiotów.

— Wolno puszczać! — pouczał. — Tym razem musimy go ściągnąć z tej skały. Te liny wystarczyłyby, by zatrzymać dwa słonie, ciągnące w przeciwnym kierunku.

Liny przywiązano do dziobu, steru i do burty czółna, a każdą z nich trzymało kilku ludzi na brzegu. Do czółna przymocowano jeszcze czwartą linę, znacznie krótszą, którą zamierzali rzucić Zaidiemu.

— Kto zaryzykuje swoje życie i popłynie czółnem? — zapytał Stanley.

Frank wystąpił pierwszy, następnie Uledi, Manwa Sera, Kalulu i pewien Zanzibarczyk z załogi „Lady Alice”, imieniem Mazouk, młody, potężnie zbudowany, pełen zapału. Wyznaczono Ulediego i Mazouka.

Czółno zanieśli dalej w górę rzeki i spuszczały je powoli z prądem, przytrzymując linami. Zaidi znowu wychylił się i podniósł ręce w rozpaczliwej nadziei. Czółno znalazło się na wysokości skały. Mazouk ujął krótszą linę i rzucił ją w kierunku wyciągniętych dłoni Zaidiego.

— Przekleństwo! Prąd porwał linę! — wykrzyknął Stanley. Czółno zniosło daleko od skały, w stronę groźnego progu wodospadów cieśniny. Stojący na brzegu jęli ciągnąć ze wszystkich sił. Tym razem liny wytrzymały. Czółno wyciągnięto z powrotem na brzeg.

Jeszcze pięciokrotnie spuszczano czółno, za każdym razem znoszone daleko od skały. Pięciokrotnie ściągano je z powrotem. Pięciokrotnie iskierka nadziei zapalała się i gasła przed oczyma Zaidiego. I oto szósta próba.

— Teraz, rzucać! — krzyczał Stanley na brzegu, chociaż wiedział, że go nie mogą usłyszeć.

Czółno było o jakieś dziesięć jardów od skały. Uledi rzucił linę, ta uderzyła o rękę Zaidiego — pochwyił ją. Chwiejnie, bosymi stopami szukając oparcia na śliskiej skale, Zanzibarczyk zszedł do wody. W oka mgnieniu porwał go gwałtowny prąd.

— Przepadnie! — wykrzyknął Stanley.

Zaidi znikł pod pianą pierwszego wodospadu. Ale lina pozostała napięta: Zanzibarczyk przylgnął do niej z uporem rozpaczy. Ludzie na brzegu ciągnęli jak opętani, inni jeszcze rzucili się im na pomoc. Czółno z wolna wracało. Ponad wodospadami ukazała się głowa Zaidiego. Lina, wciąż napięta, ciągnęła go pod prąd.

— Mamy go! Mamy go! — wołał Pocock zdyszany. Nagły odgłos, jak strzał z pistoletu. Drugi!... Trzasnęły liny umocowane przy dziobie i na burcie. Ludzie przy trzeciej linie czynili nadludzkie wysiłki, aby utrzymać czółno. Zaidi był już ponad wodospadami. Napięcie było jednak zbyt wielkie na jedną linę: pękła i czółno pomknęło w gardziel cieśniny.

— Wszyscy zginą! — wołał w rozpaczy Stanley.

Tym razem kapryśna Fortuna ujęła losy nieszczęsnych w swe ręce. Prąd zniósł czółno, razem z Zaidim, wciąż uparcie trzymającym się liny, na drugą wysepkę, bliżej brzegu. Czółno uderzyło o skałę, Uledi i Mazouk wskoczyli na nią w oka mgnieniu i wyciągnęli linę, a z nią Zaidiego.

Wyczerpany i przerażony Zanzibarczyk upadł na skałę, jak zawodnik, który ostatnim wysiłkiem dobiegł mety.

— Teraz trzech ich jest w takim samym położeniu, jak przedtem jeden Zaidi — zauważył posępnie Safeni.

W ogólnym podnieceniu i zdenerwowaniu nie zauważono, kiedy słońce zaszło. Za kilka chwil miały zapaść ciemności: pod równikiem zmierzch prawie nie istnieje. Przed świtem już nic nie można było zrobić. Na szczęście deszcz przestał padać.

Ulediego, Zaidiego i Mazouka czekała teraz bezsenna, straszna noc. Wszyscy trzej zdawali sobie sprawę, jak małą mieli szansę ocalenia, chociaż ta druga skała, na której się znajdowali, była tak blisko brzegu.

Skoro świt Stanley i Frank wysłali ludzi pod ochroną askarysów do lasu po pnącza. Sporządzono mocną, grubą linę i po wielu próbach dorzucono ją wreszcie na wysepkę poprzez odnogę rzeki, wąską, ale szumiącą tak gwałtownym prądem, że najlepszy pływak na świecie nie mógłby jej przepłynąć. Następnie za pomocą przywiązanych ciężarków przerzucono rozbitkom trzy lżejsze sznury.

Grubą linę Uledi przywiązał do ogromnego głazu.

— Ja pójdę pierwszy — powiedział ze spokojną odwagą.

Owiązawszy lekki sznur wokół pasa, zsunął się w wodę mocno ująwszy linę. Siła prądu wściekle biła po wystającej ponad nurt twarzy, ciągnęła go z piekielną siłą w otchłań. Z trudem przekładając rękę za ręką posuwał się naprzód, chwilami tylko podciągał się ku górze, by swobodnie zaczerpnąć tchu. Wreszcie dotarł. Dziesiątki rąk pochwyciły go, wyciągnęły na brzeg. Pięćdziesięciu podnieconych Zanzibarczyków zebrało się dookoła, lecz on odsunął ich i stanął przy Stanleyu i Franku, by śledzić wzrokiem następnego na linie — Zaidiego.

I po wszystkich tych przerażających doznaniach, Zaidi wreszcie znalazł się na brzegu, padając z wyczerpania.

Mazouk, najmłodszy i najsilniejszy spośród nich, stał przez chwilę i z drżeniem wpatrywał się w rwący nurt. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie na Bwana Mkubę, który gestami przyzywał go z brzegu, po czym zsunął się w wodę. Z wysiłkiem przekładał rękę za ręką. W pewnym momencie jego prawa dłoń ześliznęła się przedwcześnie i zawisł niebezpiecznie na lewej, ciągniony przez prąd ze straszną siłą. Zdołał jednak przyciągnąć się z powrotem i obu dłońmi zawisł na linie. Ta okropna chwila wytrąciła go z równowagi i odebrała mu zaufanie do własnych sił. Nie mógł zmusić się, by posunąć prawą czy lewą rękę. Wisiał nad bystrym, porywającym nurtem. Nie mógł tak długo wytrwać. Musiał posuwać się naprzód albo ulec prądowi.

Wysiłki ratujących były już tak bliskie uwieńczenia, a jednocześnie tak bliskie zmarnowania, że Stanley wpadł w furję ze złości i obawy zarazem.

— Ruszaj, głupcze! — krzyczał. — Nie bądź tchórzem!

Być może słowa przywódcy dotarły do uszu młodego Murzyna, gdyż opanował dygotanie, i z najwyższym wysiłkiem posuwał się cal za cal — aż wreszcie ramiona towarzyszy wyciągnęły go na brzeg.

Gdy długie godziny trudu i napięcia nareszcie się zakończyły, wszyscy zdali sobie sprawę, że są rozpaczliwie głodni i wyczerpani. Jednakże krótką tylko chwilę można było poświęcić na posiłek.

Ponieważ czółna nie mogły spłynąć cieśniną zmuszeni byli iść wzdłuż brzegu znowu mozolnie przecinając drogę w dżungli. Na razie krajowcy nie atakowali powolnie posuwającej się naprzód kolumny. Ale, jak gdyby sama natura była przeciwna wyprawie, napadła na nich plaga czerwonych mrówek. Tysiące i miliony drobniotkich owadów zmieniały w czerwień zielone liście i żdźbła. Kąsały skórę czarną i białą z idealną bezstronnością, aż wreszcie każdy spuchł.

Gdy znowu zbliżyli się do rzeki, z ulgą pozostawiając w dżungli mrówki, dali o sobie znać krajowcy. Przed stopami znajdowali utkwione ostrzem w ziemi strzały, a pewnego ranka z przerażeniem stwierdzili, że usiłowano ich złapać tak, jak dzikie zwierzęta — do sieci.

— To mi przypomina słowa tej staruchy — rzekł Frank Pocock. — Dla nich jesteśmy po prostu mięsem.

Wreszcie minęli siódmą kataraktę spomiędzy tych, które miały później otrzymać nazwę Wodospadów Stanleja. Wzięci do niewoli jeńcy powiedzieli im, że jest to katarakta ostatnia. Zeszli więc na rzekę, rozlaną tu na milę szeroko, rozkoszując się myślą, że nareszcie do brzegu będą przybijać jedynie na posiłki i odpoczynek.

Utarczki z tubylcami trwały nadal. *Dzień po dniu* — pisał Stanley w swojej książce o tej podróży, zatytułowanej „Przez ciemny kontynent” — *stwierdzaliśmy, że nierozsądna nienawiść, jaką tubylcy żywili do obcej inwazji, wzrasta się z każdym dniem, zamiast zniknąć. Na każdym zakręcie rzeki „telefonowali”, przekazując dalej mieszkającym swoje ostrzeżenia; lasy po obu brzegach rozbrzmiewały echami ich okrzyków bojowych, wielkie bębny wzywały do oporu nieustannym huczeniem. Z dżungli wylatywały w naszym kierunku strzały z trzciny, maczane w truciźnie.*

Doborem słów — „nienawiść do obcej inwazji”, „wzywa do oporu” — Stanley zdradza świadomość wojskowego charakteru wyprawy.

Amina, żona jednego z Zanzibarczyków, umierając w połogu, powiedziała do Stanleja:

— To jest zły świat, Bwana, a ty w nim zabłądziłeś.

Rozdział XVIII

BITWA NA RZECE

Stanley nie przyznawał pewno racji Aminie, ale i jego ogarniały wątpliwości. Zapisał w tym czasie w swoim notatniku: *Livingstone mówił, że spływ Lualaba będzie wyczynem szaleńca. Tak się istotnie okazało, a w chwili gdy kreślę te słowa, mam uczucie, że może nigdy ich nie odczyta żaden człowiek; jednakże uparcie płyniemy z prądem ku naszemu przeznaczeniu, a ja uparcie piszę, pozostawiając zdarzenia przychylnęj łasce opatrności.*

Można powątpiewać o przychylnęj łasce opatrności, ale za to przygód nie brakło. Sprzyjała temu metoda eksploracji, której hołdował Stanley. Tam, gdzie Livingstone podróżował z paru sługami i minimalną ilością zapasów, przypominając raczej nauczyciela na niedzielnej wycieczce z dziećmi, Stanley maszerował z całym ceremoniałem wojennej gotowości. Gdy Livingstone rzadko kiedy kusił chciwość krajowców, ostentacyjna wojowniczość wyprawy Stanleya wywoływała nieustannie wrogość i opór.

Dnia 1 lutego 1877 roku wyprawa płynęła z biegiem rzeki przy zwykłym akompaniamencie wielkich bębnow i rogów wojennych, ostrzeżeń przed lądowaniem, pogróżek, a czasem strzał.

Gdy przy płynęli do miejsca, gdzie do Kongo wpada jeden z jego największych dopływów, rzeka Aruwimi, Stanley kazał załodze „Lady Alice” zaprzestać wiosłowania, gdyż chciał dokładniej przyjrzeć się wielkiemu, prawobrzeżnemu dopływowi. Ale widok, jaki ujrzął, odpędził od razu myśl o wszelkich geograficznych spekulacjach. W oddali czekała na nich najliczniejsza flotylla łodzi wojennych, jaką kiedykolwiek widział.

— Frank, prowadź za sobą czółna szykiem torowym! — krzyknął osłaniając usta dłońmi. I dorzucił do Zanzibarczyków: — Wiosłujcie co sił, jeśli wam życie miłe!

— A my, Bwana? — zapytał Mazouk ze swego miejsca w „Lady Alice”.

— My stanowimy tylną straż — odparł dowódca. — Zaczekamy, dopóki reszta naszych czółen nie znajdzie się w przodzie.

Jedno po drugim czółna mknęły naprzód, ustawiając się szykiem torowym za czółnem Pococka. Ale i krajowcy w łodziach wojennych też nie próżnowali. Gdy tylko dostrzegli obce czółna, a na dziobie każdego z nich — mężczyzn uzbrojonych w strzelby, z przerażającym okrzykiem rzucili się do wiosł.

Flotylla Stanleya spłynęła już o jakieś pół mili w dół rzeki; Stanley tymczasem uważnie śledził łodzie wojenne krajowców, które wypłynęły teraz z Aruwimi; były tak wielkie, że przy wiosłach siedziało po pięćdziesięciu lub więcej silnych mężczyzn, wiosłujących z nadzwyczajną wprawą.

— Nie zdołamy uciec przed nimi — rzekł Bwana Mkuba do Ulediego. — Musimy przyjąć bitwę i ufać, że nasze strzelby wzniecą wśród nich popłoch.

Krzyknął najbliższej łodzi, aby zahamowali, ustawili się w linię w poprzek szerokiej w tym miejscu na około jednej mili rzeki i rzucili kotwice. Zaledwie manewr wykonano, gdy silna flota złożona z pięćdziesięciu czterech wielkich łodzi wojennych nadpłynęła całym pędem. „Lady Alice” znajdowała się o jakieś pięćdziesiąt jardów przed frontem reszty czółen.

Na czele nieprzyjaciół płynęła największa łódź, której wiosła wprawiało w ruch osiemdziesięciu mężczyzn, po czterdziestu z każdej strony; ich lśniące, czarne ciała schylały się i wyprostowywały zgodnym rytmem, na ramionach błyskały bransolety z kości słoniowej, z gardeł wydierał się potężny okrzyk bojowy. Do sterowania służyło osiem wiosł, bardzo długich, z gałkami z kości słoniowej na rękojeści. Na dziobie tego jakby statku flagowego umieszczona była podwyższona platforma, na której stało dziesięciu młodych wojowników, ze szkarłatnymi piórami na głowach.

Uledi, z palcem na cynglu, bystrym okiem mierzył nieprzyjacielską flotę.

— Dwa tysiące ludzi, ani o jednego mniej! — rzekł.

Okrzyk z okrętu flagowego podjęli podobnie przystrojeni wojownicy w płynących za nim pięćdziesięciu trzech łodziach bojowych. Wielka łódź płynęła prosto na „Lady Alice”. Jej wiosła wzbijały pianę, dziób roztrzącał nurt rzeki wodotryskami w prawo i lewo.

Zanzibarczycy stali w swoich czółnach: czterdziestu posiadało strzelby, reszta dzidy. Frank Pocock wysunął swoje czółno, osłonięte ścianą czarnych tarczy, na prawe skrzydło. Manwa Sera zajął pozycję na lewym skrzydle.

Jakby dążąc do zderzenia, groźna łódź pędziła naprzód. Stanley krzyczał z całych sił, ale bojowy śpiew krajowców zagłuszał jego głos tak, że tylko ludzie w jego własnej łodzi mogli go usłyszeć:

— Stać twardo! Czekać, aż będą blisko! Nie strzelać wszyscy na raz! Każdy strzał musi trafić! Strzelba jest waszym przyjacielem! Nic innego was nie ocali!

Okręt flagowy znajdował się już o parę jardów od „Lady Alice”, gdy nagle skręcił z najwyższą precyzją i wprawą. Jednocześnie poleciały dzidy i strzały z jednej strony, a kule z drugiej. Jeden z Zanzibarczyków zgiął się w pół; sześciu atakujących z wrzaskiem bólu i rozpaczcy spadło do wody.

Okręt popłynął w poprzek rzeki, przed linią czółen wyprawy, prowadząc za sobą wszystkie łodzie wojenne. Bitwa zawrzała teraz na całej szerokości rzeki. W powietrzu ciemno było od dzid i strzał. Odgłosy wystrzałów i wrzaski odbijały się echem od obu brzegów, pokrytych gęstym lasem.

Dopłynąwszy do Franka na prawym skrzydle, wielka łódź wykręciła znowu w górę rzeki, a za nią reszta floty. Na powierzchni wody tu i tam kołysały się czarne głowy. Stanley i Zanzibarczycy strzelali do nich z całą bezwzględnością.

Krajowcy nie dali za wygraną. Po dwustu jardach zawrócili, formując się ponownie w szereg bojowy. Jednakże zwroty ich łodzi nie były już tak pewne i zręczne jak poprzednio: straty poniesione uczyniły na nich widoczne wrażenie.

Stanley nie był pewien, czy jego ludzie odeprą następny szturm. Niechby tylko parę wpadło w panikę, tylko jedno czółno przerwało linię i uciekło w dół rzeki z prądem, a cała wyprawa poniosłaby niezawodnie klęskę. Najlepszą szansę dawał atak.

Na dany znak przez Stanleya czółna odkotwiczyły i ruszyły do ataku w górę rzeki wprost na łodzie krajowców. Posunięcie okazało się nadspodziewanie skuteczne. Nieprzygotowani do odparcia zdecydowanego ataku broni palnej, krajowcy przeszli do odwrotu. Zanzibarczycy popędzili za nimi, zmuszając do lądowania i ucieczki w dżunglę dziesięciokrotnie liczniejszych nieprzyjaciół.

— Batalia wspaniale rozegrana, Frank! — rzekł Stanley ściskając dłoń Poccocka. — Nasi ludzie nabierają coraz więcej doświadczenia w walce.

— A ty nabierasz doświadczenia w rozgrywaniu bitew na wodzie i na lądzie — odparł Frank, patrząc na niego z podziwem.

Żaden z dwóch białych nie poświęcił ani jednej myśli krwi, którą przelali, ani agresywnemu charakterowi wyprawy. Krajowcy instynktownie wyczuli, że ten pierwszy najazd zwiastuje nadejście obcej przemocy, obcego panowania. Nastrój Stanleya i Poccocka z owej chwili znajdziemy w sprawozdaniu z bitwy, napisanym doświadczonego piórem dziennikarskim.

Krew w nas zawrzała. Ten świat jest pełen okrucieństwa i po raz pierwszy pojęliśmy, że nienawidzimy tych wstrętnych, krwiożerczych upiorów, które go zamieszkują.

To był Stanley nagi, niezawstydzony, Stanley bezlitosny zabójca, wzór dla wszystkich przyszłych wysłanników imperializmu, którzy poszli jego śladami po splamionej krwią drodze od Zanzibaru do Oceanu Atlantyckiego.

Kiedy wpłynęli na terytorium Rubungi, odetchnęli wreszcie. Rzeka płynęła teraz wprost na zachód i Stanley doszedł ostatecznie do przeświadczenia, że Lualaba, czyli Kongo, nie ma nic wspólnego z Nilem. Kunsztownie tatuowani krajowcy powitali przybyszów gościnnie i chętnie wymieniali żywność na paciorki i drut. Powracając z wioski, Uledi oznajmił:

— Oni mówią, że nigdy dotąd nie widzieli białego człowieka, ale zauważyłem u nich cztery strzelby.

— Wniosek stąd, że zbliżamy się do cywilizacji — zauważył Safeni rzeczowo. — Cywilizowani ludzie mają broń, która lepiej zabija niż broń dzikich.

Zanzibarczycy przekonani, że bliskość cywilizacji musi oznaczać bliskość wybrzeża i koniec podróży, uradowali się ogromnie. Ale Bwana Mkuba rzekł na osobności do Franka:

— Wszystko dobrze, jeśli krajowcy będą nam przychylni. Jeśli nie — stracimy naszą przewagę. Tarcze na naszych czółnach dobrze chronią przed strzałami z łuków i oszczepami. Ale co będzie, jeśli przeciwstawią się nam krajowcy uzbrojeni w strzelby?

Obawy Stanleya okazały się słuszne i przesadne zarazem. Za Rubungą wyprawa wkroczyła w kraj Bangalów, którzy mieli później dostarczać najwięcej czarnych żołnierzy i policjantów belgijskim kolonizatorom w Kongo. Nie witali przychylnie intruzów. Wystali przeciw wyprawie flotyllę, złożoną

z sześćdziesięciu łodzi wojennych, a każda zaopatrzona w pięć strzelb. W pierwszym starciu raniono trzech ludzi z „Lady Alice”, a dwóch z łodzi Franka Poccocka. Na szczęście krajowcy nie mieli kul. Nabijali swoją broń kawałkami żelaza i miedzi, a takie naboje, chociaż dość skuteczne na bliską odległość, nie przebijały tarcz osłaniających czółna. Jednakże bitwa toczyła się przez cały prawie dzień, nim wreszcie krajowcy się wycofali.

W parę tygodni później rozpoczęła się trzydziesta druga potyczka, jaką wyprawa miała stoczyć z krajowcami w Kongo. Cyfra ta świadczy nadto dobrze o gniewie, jaki obudziła ta obca inwazja wśród krajowców. Na przestrzeni 1235 mil od Nyangwe ekspedycja straciła siedemdziesięciu ludzi, z tego trzydziestu trzech zabito w potyczkach. Ze wszystkich członków wyprawy zaledwie trzydziestu uniknęło cięższej lub lżejszej rany. Jednym z tych trzydziestu był sam Bwana Mkuba, chociaż zawsze na czele, w każdej bitwie na najniebezpieczniejszym stanowisku. Stanley przypisywał to niezwykle szczęście częściowo swojej białej skórze, *która budząc ciekawość większą od nienawiści i żądzy krwi, zatrzymywała ramię, które naciągało łuk, opóźniła mknący oszczep*. Gdy niebezpieczeństwo było największe, Stanley stał lub siedział nieruchomo, aby krajowcy mogli go dobrze widzieć. Wymagało to nieprzeciętnej odwagi. *Nieprzyjemnie tak wystawiać się na cel — pisał później — ale była to najsmądrejsza taktyka*. Ponadto Stanley przypisywał swoje tylokrotne ocalenie siłom irracjonalnym: wyraził przekonanie, że jego misja była mu powierzona przez Boga, i że będzie faworyzowany tak długo, dopóki tej misji nie wypełni. Taka megalomania dała mu pewność siebie, potrzebną do pokonywania trudów eksploracji tak zwanego przez Europejczyków „Czarnego Łądu”.

Chociaż wciąż napotykana wrogość i nieustanne walki ograniczały czas, który można było poświęcić obserwacjom naukowym z dziedziny geograficznej, zoologicznej i antropologicznej — zresztą Stanley nie miał przygotowania do takich badań — interesował się i innymi sprawami niż te, które narzucały trudy przeprawy przez rzekę lub żądza krwawej zemsty. Pewnego razu, po wypędzeniu ze wsi po krótkiej utarczce jej mieszkańców, Kalulu zawiadomił Stanleya, że znalazł we wsi meskiti, czyli świątynię, a w niej pełno kości słoniowej. Stanley, zabrawszy ze sobą Franka Poccocka, kazał się tam zaprowadzić.

Wkrótce dwaj biali stanęli pośrodku świątyni, zbudowanej z trzydziestu trzech ogromnych kłów słoniowych, które podtrzymywały okrągły dach, osłaniający posąg bożka, czterostopowej wysokości, pomalowany roztworem z drewna sandałowego na fioletowo, oczy, włosy i broda na czarno. W świątyni i w pobliskich wioskach znaleziono ślady kultury wyższej od spotykanych dotychczas. Były tu pięknie rzeźbione długie wiosła, wielkie rogi wojenne z kości słoniowej, włócznie długości sześciu stóp, zakończone żelaznym ostrzem, wielkie noże, zawieszane na czerwonych pasach ze skóry bawołów lub antylop, stołki, laski, maski, flety — wszystko rzeźbione i ozdabiane.

Zanzibarczycy oglądali cenne przedmioty z źle ukrywaną pożądlivością. Dotąd Bwana Mkuba zabraniał choćby dotykania czegokolwiek w opuszczonych wioskach, a to były prawdziwe skarby. Tym razem Stanley, gdy ujrział te bogactwa sztuki ludowej, wydał rozkaz, który nie mógł przynieść mu sławy.

— Zabierajcie, co chcecie — rzekł. — Gdyby oni nas pokonali, nie tylko by zdarli bagaże z pleców tragarzy, ale ogryźliby ciało z naszych kości.

Usczęśliwieni Zanzibarczycy rzucili się na cenne przedmioty z kości słoniowej, na rzeźby i ozdoby, na broń i narzędzia. W kilka chwil obrabowano doszczętnie i świątynię, i całą wieś.

Najcenniejsze skarby zasekwestrowano na rzecz dwóch białych najeźdźców: Stanleya i Poccocka.

Rozdział XIX

KATARAKTY ŚMIERCI

W trzy dni po owej ostatniej, trzydziestej drugiej z kolei bitwie z nieprzyjawnymi mieszkańcami doliny Kongo, wyprawa dotarła do miejsca, gdzie rzeka tworzyła szerokie rozlewisko.

— Nazwiemy to Zalewem Stanleya — zaproponował Frank Pocock.

Rzeka płynęła teraz na południowy zachód, więc Stanley wiedział już, że dotrze do oceanu — i sławy.

Okazało się jednak, że jeszcze nie minęli wszystkich katarakt. Poniżej Zalewu Stanleya zaczynały się znowu katarakty, jedna za drugą w ilości trzydziestu. Stanley nazwał je Wodospadami Livingstone'a.

Wypadki następowały teraz za wypadkami. Jeden z Zanzibarczyków wykręcił sobie ramię; drugi potłukł się niebezpiecznie. Aby zaoszczędzić trudów przenoszenia, czółna, w których pozostawała tylko niezbędna załoga, podprowadzono jak najbliżej katarakty, holując je na linach, które ludzie na brzegu przytrzymywali.

Tuż ponad trzecią kataraktą Stanley założył obóz-bazę na płaskim, piaszczystym wybrzeżu, otaczającym małą zatokę. Zaczęło się ściąganie czółen. Kilka z nich przyplłynęło szczęśliwie. Potem czółno z dwoma wioślarzami porwał gwałtowny prąd, tuż pod ostro wybiegającym w rzekę cyplem koło obozowiska. Cudem jakimś prąd przerzucił je przez pierwszą kataraktę i zniósł na przeciwległy brzeg. Nie można było im pomóc. Byli pozostawieni własnemu losowi.

Dalsze czółna przepływały szczęśliwie. W ostatnim czółnie, mniejszym od innych, siedział tylko młody Soudi, którego brat zginął poszukując żywności w czasie głodu w pobliżu Ituru. Jego czółno porwał ten sam zdradziecki prąd, płynący koło cypla przy obozowisku. Przytrzymujące czółno liny pękły; chłopak usiłował zapanować nad swoim stateczkiem, ale nie dał rady i gdy go niosło z szaloną szybkością wzdłuż brzegu, krzyknął do Stanleya:

— Zginąłem, Bwana!

Członkowie wyprawy patrzyli na drugą tego dnia katastrofę. Czółno poleciało na próg katarakty. Skakało w dół po skałach, zakręciło się jak bąk i dało się ponieść spokojniejszej, cięższej fali, która zniosła je najpierw na jedną potem na drugą stronę. Soudi klęczał na dnie, obu rękoma kurczowo trzymając się burt. Nowa fala uderzyła o czółno, zalała je, przemoczyła chłopca, wreszcie silniejszy prąd porwał je i zniósł na pobliskie skały. Frank Pocock spojrział na dowódcę z bezradną rozpaczą i rzekł cicho:

— Znowu zginął dzielny chłopak.

W górze rzeki pozostało jeszcze jedno czółno, największe ze wszystkich, nazwane „Krokodylem”. Bwana Mkuba posłał Kalulu wzdłuż brzegu do miejsca, z którego czółna rozpoczynały ten niebezpieczny spływ.

— Ostrzeż ludzi — polecił mu Stanley. — Niech szczególnie uważają przy tym cyplu. Tam prąd jest najsilniejszy, najbardziej zdradziecki.

Ale Zanzibarczycy, którzy mieli sprowadzić czółno, jakby zamarli z przerażenia, siedzieli w siedmiu w wielkim czólnie, dygocąc, chociaż słońce paliło promieniami.

— Nie ruszymy się stąd — powiedzieli. — Wolimy zanieść czółno.

— Tchórze! — wykrzyknął Kalulu i wskoczył do czółna. — Odepchnijcie nas! — zawołał do ludzi na brzegu.

Wypadki potoczyły się szybko. Ludzie nie chwycili jeszcze dobrze w ręce lin, gdy wysliznęły się im i pomknęły wodą za „Krokodylem”. Okrzyk rozpaczony wydarł się załodze czółna, które teraz gnało w stronę cypla, gdzie za chwilę porwał je prąd i zniósł na środek rzeki. Rozpaczliwe wiosłowanie nie zdało się na nic: obciążone czółno sunęło prosto na skaliste progi.

Stanley, tak zwykle opanowany dowódca, zakrył twarz drżącymi rękoma. Przywiązał się do Kalulu jak do syna. Gdy znowu odważył się spojrzeć na kataraktę, czółno zawirowało w kółko za pierwszym progiem, i nagle znikło, nurkując dziobem. Gdy wynurzyło się znowu, było puste.

Nie ujrano nigdy więcej ani Kalulu, ani tamtych siedmiu.

Był to prawdziwy dzień grozy. Ośmiu ludzi zatono na oczach całej wyprawy. Soudi musiał również zginąć. Ci dwaj, którzy wylądowali na przeciwległym brzegu, wpadną z pewnością w ręce kanibalów. Kalulu i Soudi, tacy młodzi, zawsze weseli, pełni pomysłów, ulubieńcy wszystkich! Stanley nazwał to tragiczne miejsce Wodospadem Kalulu.

Tymczasem Soudi, gdy go odżałowywano przy ogniskach, wciąż płynął małym czólnem w nieprzeniknionych ciemnościach po grzmiącej rzece między pierwszą a drugą kataraktą. Boczny prąd zniósł go ku brzegowi, przybliżył do skały. Soudi skoczył, całym ciałem przywarł do śliskiej powierzchni głazu. Wspiął się na brzeg i w tej samej chwili uczuł, że jakieś ręce chwytają go z tyłu i wiążą mu ramiona. Krajowcy — było ich może dwunastu — powalili go na ziemię, związali i powlekli do pobliskiej wsi. Następnego dnia przywiązano go do słupa pośrodku ulicy wioskowej, a mężczyźni, kobiety i dzieci zbiegli się tłumnie, by podziwiać pięknego, młodego jeńca. Soudi spoglądał na nich z pogardliwą obojętnością, ale w duchu zastanawiał się, czy przygotowali sobie coś jeszcze na obiad.

Tymczasem Stanley wydał zarządzenia o przenoszeniu czółen wzdłuż rzeki. Pracowano w milczeniu. Wszyscy wiedzieli, że jakaś ilość wodospadów jest wciąż jeszcze przed nimi. Czy ktokolwiek z nich żywy dotrze do ujścia rzeki? Jeśli jedna katarakta przyniosła śmierć jedenastu ludziom...

Nagle rozległo się trzaskanie gałęzi w gęstym podszyciu dżungli. Zanzibarczycy natychmiast przerwali robotę, automatycznie chwytając za broń. Stanley w mgnieniu oka wymierzył sztucer w kierunku podejrzanych hałasów... I z zarośli wyszedł — uśmiechnięty Soudi, a za nim dwóch Zanzibarczyków, tych, którzy pierwsi szczęśliwie prześliznęli się przez kataraktę i dobili do przeciwległego brzegu.

Soudi opowiedział swoją przygodę. Gdy stał uwiązany u słupa, nadszedł jeden z krajowców i zobaczywszy go, wszczął wielki rwetes. Widział tego chłopca w karawanie białego człowieka, który ma

kij, co pluje ogniem. Biały człowiek ukarze ich, pozabija wszystkich tym czarodziejskim kijem. Rozległy się okrzyki, żądające oswobodzenia jeńca. Chłopcu przecięto więzy, nakarmiono go mięsem koźlęcia i wsadzono z powrotem do czółna, zaklinając gorąco, aby nie mówił swemu białemu panu, kto go pochwycił w niewolę.

Soudi nie miał odwagi płynąć czółnem. Gdy tak siedział i zastanawiał się, co ma dalej począć, niespodziewanie nadeszli dwaj Zanzibarczycy, którzy także przetrwali niezamierzoną przeprawę przez wodospad. We trójkę zdołali przepłynąć czółno przez niespokojne, bystre wody na przeciwległy brzeg, po czym pieszo powędrowali w stronę obozu.

Tego wieczoru żałobne zawodzenia po tych ośmiu, którzy na pewno zginęli, przekształciły się w radosne tańce i śpiewy na cześć tych, którzy ocalili.

Następna groźna przygoda spotkała „Lady Alice” i samego Stanleya. Przeprowadzono się przez kilka dalszych katarakt według ustalonego już porządku: Frank Pocock szedł naprzód z kilku askaryjami, kobietami i dziećmi i zakładał obóz. Stanley zostawał w tylnej straży i doglądał holowania czółen lub przenoszenia ich wzdłuż szlaku, wyznaczonego przez Franka. Pewnego razu, podczas manewrowania, rwący prąd porwał „Lady Alice”. Liny wymknęły się z rąk ludzi na brzegu. Stanleya, Ulediego i całą załogę łodzi zniosło w cieśninę, gdzie spieniony nurt pędził z grzmotem wąwozem między dwoma skalnymi ścianami. Śmierć zajrzała Stanleyowi w oczy. Tak opisał to zdarzenie w swoim dzienniku:

Nigdy skały nie były tak ogromne, surowe i uroczyście, nigdy tak nie imponowały potęgą i grozą, jak wówczas, gdy byliśmy obiektem okrutnej zabawy brunatnoczarnych fal, które kręciły nami jak bąkiem, odtrącały na bok, wciągały w otchłań po to tylko, by znów nas wyrzucić wraz z białą pianą.

W owej chwili Stanley przeżył to, czego zaledwie przed paru dniami doświadczał Kalulu, jego „syn”, nim zginął w wodnych czeluściach.

Unoszona potężnym nurtem „Lady Alice” przeleciała dwie mile w ciągu paru minut, mijając obozowisko, rozłożone poniżej wodospadów. Nagle Uledi uchwycił Stanleya kurczowo za ramię. Wargi jego się poruszały, ale w ogłuszającym grzmocie wodospadu Stanley nie mógł dosłyszeć ani jednego słowa. Do hałasu rozbijającej się o skalne progi wody dołączył się teraz jeszcze inny odgłos, głęboki i niski, jakby spod ziemi wydobywający się grzmot. Rzeka wokół nich uniosła się w górę, jak gdyby wyniesiona potężną trąbą powietrzną. „Lady Alice” wychynęła na szczyt góry wodnej.

— Wiosłujcie! Wiosłujcie ze wszystkich sił! — wrzeszczał Stanley, a choć wiosłarze nie mogli go usłyszeć, pojęli w lot o co chodzi. Kilkoma rozpaczliwymi ruchami szarpnęli za wiosła. Łódź ześliznęła się, zanim góra wodna opadła i przetrworzyła się w ów fatalny, wszystko pochłaniający wir, który tak przeraził Stanleya. Tym razem wymknęli się z objęć wodnej otchłani.

Ale niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. „Lady Alice” gnała wprost na nowy próg skalny.

— Wiosłujcie! — krzyczał znowu Bwana Mkuba, jak mógł najgłośniej.

Przeskoczyli i tę przeszkodę.

Następny taras wodny przed nimi rozlewał się szeroko. „Lady Alice” dobiła do brzegu. Opanowując wyczerpanie Bwana Mkuba uśmiechnął się i rzekł pogodnie:

— Dobrze zrobione, chłopcy! — A zwracając się do Ulediego dodał: — Sądzę, że nie będziemy mieć kłopotu z wyszukiwaniem imienia dla tego wodospadu!

— Wodospad Lady Alice — odrzekł od razu Uledi.

— Gdyby z nami nie było Bwana Mkuby — powiedział uroczyście Saramba — zginęlibyśmy wszyscy!

Trudno było odgadnąć, czy Zanzibarczyk miał na myśli talenty dowódcy, czy ów czar, który zdaniem jego ludzi chronił go od złej przygody. Stanleyowi było to obojętne; w każdym razie jego zarozumiałość znajdowała odpowiednią pożywkę.

Dwudziestego drugiego kwietnia pokonano ostatnią kataraktę Wodospadów Livingstone'a. Trzydzieści cztery mile zabrały im aż trzydzieści siedem dni. Ostatnią kataraktę, zwaną Inkisi, można było jedynie obejść przenosząc czołna przez wysokie wzgórza. Pertraktacje z miejscowym, przyjaźnie usposobionym plemieniem doprowadziły do wynajęcia sześciuset ludzi w zamian za czterdzieści sztuk odzieży. Ale nawet mimo tej pomocy po dwóch tygodniach nieprzerwanego wyczerpującego marszu wszyscy byli u kresu sił. Stanley niechętnie zarządził parodniowy odpoczynek, chociaż rwał się do dalszej drogi, czując już niedaleki koniec podróży, który istotnie odległy był tylko o dwieście mil.

Stanley zlecił Frankowi Pocockowi — bolesny wrzód na stopie utrudniał mu chodzenie — sporządzenie dokładnego inwentarza wyprawy. Obawiał się, że może mu nie wystarczy towarów na zamianę, zwłaszcza że krajowcy coraz więcej żądali za prowiant. Po kilku godzinach Frank przyszedł do Stanleya z posępną twarzą.

— Wszystko jest mniej więcej w porządku — rzekł „młody Bwana” — tylko stwierdziłem duże braki, jeżeli chodzi o paciorki.

— Co? Jakiś przekłety złodziej? — wybuchnął gniewnie Stanley. — A myśmy się obywali bez mięsa, żeby tylko paciorków zaoszczędzić! Musisz się dowiedzieć, kto to ukraść.

— Już wiem — odrzekł Frank — i bardzo to smutna świadomość.

— Powiedz! — rozkazał ostro Stanley.

— Nie będzie to miłe dla ciebie. Nigdy nie myślałem, że to możliwe. Z trudem uwierzysz.

— Przestań marudzić — zirytował się Stanley. — Uwierzę we wszystko, prócz tego, że to ty albo Uledi.

— Wolałbym tobie powiedzieć, że to ja. Niestety jest to najdzielniejszy i najwierniejszy z twoich ludzi... — zrobił pauzę, patrząc w napiętą twarz Stanleya. — Tak. To Uledi.

— To kłamstwo! Głupiec z ciebie, że w to wierzysz!

— Wolałbym, byś mnie wyzywał od głupców, byle tylko to prawdą nie było. Zapytaj Ulediego.

Mimo że Uledi bardzo gorąco i z gwałtowną gestykulacją wyparł się przestępstwa, Stanley nagle zwątpił w jego uczciwość.

— Trzeba zrewidować jego osobisty bagaż — zaproponował Frank.

— Idź z nim i każ tu przynieść jego rzeczy — zgodził się Stanley i nagle dorzucił z niechęcią: — Widzę, że ci bardzo zależy na skazaniu Ulediego.

— Bez sprawiedliwości byłaby niesprawiedliwość — odrzekł krótko Frank i pokuśtykał za wciąż protestującym Uledim.

Bagaże Ulediego okazały się niespodziewanie dużych rozmiarów. Paciorków znalazło się tam tyle, że wystarczyłoby na zakupienie żywności dla całej wyprawy na przeciąg kilku dni.

Stanleya ogarnęło przygnębienie: Kalulu zginął, Uledi jest złodziejem. Ale zachował spokój. Powziął pewną myśl. Być może uznał, że forma rozstrzygnięcia sprawy, jaką obrał, będzie najlepszym sposobem ocalenia Ulediego. Może chciał, aby w sprawach dyscypliny wszyscy dzielili z nim odpowiedzialność. Może w tym właśnie okazał swoje głębokie przywiązanie, które rzadko kiedy ujawniał.

— Wezwij wszystkich ludzi — rozkazał Frankowi.

Gdy Zanzibarczycy z kobietami i dziećmi zgromadzili się na polanie przed obozem, wodzom: Manwie Serze, Safeniemu i Zaidiemu kazał usiąść osobno. Także oddzielnie zebrała się załoga „Lady Alice” — najbliżsi przyjaciele Ulediego.

— Uledi, wódz, w którym pokładałem zaufanie — zaczął Bwana Mkuba — został przyłapany na kradzieży. Każda kradzież jest rzeczą karygodną, ale ta kradzież zagroziła życiu każdego z nas. Paciorki są dla nas niezbędne po to, aby kupować żywność, abyśmy mogli przeżyć dopóki nie dotrzemy do oceanu. Kraść te paciorki, to tak, jak by kraść naszą żywność. Martwi mnie ogromnie, że muszę mówić o tym. Ale sprawiedliwość tego wymaga.

Stanley przerwał. Zanzibarczycy zaczęli szeptać, jedni w obronie Ulediego, inni przeciw niemu.

— Manwa Sera, wodzu wodzów; mądry, stary dyplomato, Safeni; dzielny wojownik Zaidi — pytam was trzech, jaka jest słuszna kara za ten zdradziecki czyn?

Wodzowie naradzali się po cichu między sobą. Uledi, milczący teraz i upokorzony, stał ze spuszczoną głową, z rękoma złożonymi na piersiach. Bwana Mkuba chodził niecierpliwie tam i z powrotem, uderzając szpicrutą o cholewy swych wysokich butów.

Chociaż wodzem wodzów był Manwa Sera, jednakże w imieniu trzech przemówił Safeni.

— Gdyby którykolwiek inny człowiek popełnił taki występki — powiedział z wolna, ważąc każde słowo i patrząc na Ulediego z ojcowską surowością — powiedzielibyśmy, że tylko kara śmierci przez utopienie w rzece mogłaby zmazać jego winę. Ale to jest Uledi, którego ty kochasz, Bwana, i którego my wszyscy poważamy, gdyż jest odważny, zaradny i dobrego serca. Z uwagi więc na te jego cnoty,

których dowiódł nie jeden raz, odkąd opuściliśmy Zanzibar przed wielu, wielu księżycami, my wodzowie zalecamy, aby go wychłostać mocno i pozwolić mu żyć.

Uledi podniósł głowę i spojrzał na wodzów z budzącą się w sercu nadzieją. Stanley, skinął głową i odetchnął z ulgą, po czym zwrócił się do załogi „Lady Alice”:

— Wy, którzyście razem pracowali i najbliżsi byli temu... temu... złodziejowi, od kiedy zaczęliśmy tak straszną dla nas podróż po rzece, co sądzicie o zaleceniu waszych wodzów?

Saramba odpowiedział od razu.

— Błagamy, Bwana! Jeśli Uledi, najdzielniejszy z załogi „Lady Alice” musi zostać wychłostany, niechaj ciosy nie będą zbyt mocne.

Wszystko się układało po myśli Stanleya. Zwrócił się do Ulediego i powiedział:

— Musisz czuć się bardzo upokorzony. Ograbiłeś ludzi, którzy tak gorąco ujmują się za tobą! Ich właśnie narażałeś może na śmierć głodową!

Uledi znowu zwiesił głowę, ale nie odezwał się ani słowem.

Bwana przemówił teraz do Shumariego, brata Ulediego, i drugiego Zanzibarczyka, imieniem Saywa, który był bratem stryjecznym Ulediego.

— Co, sądzicie, powinienem uczynić z waszym krewniakiem złodziejem?

— Jeżeli zasłużył na chłostę, to niechaj wolno mi będzie przyjąć połowę jego razów na mój grzbiet — błagał Shumari.

— A połowę mnie — dodał Saywa i rzucając się na kolana przed Stanleyem tak mówił dalej: — Bwana jest mądry. Wszystko, co się nam zdarza, zapisuje w wielkiej księżce. Codziennie zapisuje tam coś nowego. Może, jeśli Bwana zajrzy do tej swojej księgi, zobaczy tam coś o Uledim. Jak Uledi się zachowywał na jeziorze Tanganika; jak ocalił Zaidiego na katarakcie; jak wielu innych uratował na rzece; jak więcej od trzech ludzi razem wziętych pracował na czótnach; jak zawsze pierwszy słuchał głosu Bwany; jak był ojcem dla ludzi na „Lady Alice”... I wiele jeszcze innych rzeczy.

Stanley nie stracił zaufania do Ulediego, uważając kradzież, której się dopuścił za pożałowania godny, ale odosobniony postępek. Opinie jego podwładnych cieszyły go. Nie chciał jednak w pełni uwolnić Ulediego od kary. Udał, że się zastanawia przez chwilę, wreszcie oznajmił:

— Bardzo słusznie. Uledi głosem wodzów, którzy reprezentują was wszystkich, jest ogłoszony winnym przestępstwa. Ale Shumari i Saywa wezmą jego karę na siebie:

Uledi odezwał się wreszcie, padając na kolana:

— Nie, Bwana! To nie może być! Ja zawiniłem — ja poniosę karę.

Stanley uśmiechnął się.

— Uledi jest wolny — oznajmił. — A Shumariemu i Saywie darowuję karę.

Saywa nie był jedynym, który widział, że biały pan pisał w księdze. W okolicach, w których się właśnie znajdowali, ludność była dość przychylna, toteż zdumieli się wszyscy, gdy pewnego dnia długi szereg zbrojnych wojowników podszedł do obozu. Stanley z Safenim wyszli im naprzeciw. Frank Pocock nie mógł już wcale wstawać, do tego stopnia pogorszył się stan jego nogi. Pogodny, jak zawsze, siedział przed namiotem i zszywał grubymi nićmi podarte worki.

— Gdy przychodzicie z bronią w ręku do przyjaciół, trudno jest zrozumieć, czego chcecie — powiedział Safeni do wodza wojowników.

— Mamy skargę — odrzekł wódz. — Przychodzimy zbrojni na wypadek, gdybyście nie chcieli naszej skargi wysłuchać.

— Bwana zawsze wysłuchuje skarg — wyjaśnił Safeni. — Mów. Bwana nakłoni ucha ku tobie.

— Widzieliśmy, że biały człowiek pisze w księżce. To bardzo źle. To znaczy, że nasze kozy wyzdychają, nasze ziemie wyschną, nasze kobiety będą bezpłodne. Biały człowiek musi zniszczyć księżkę.

Wojownicy podnieśli tarcze i włącznie, wykrzykując jak jeden mąż:

— Zniszczyć księżkę!

Safeni chciał coś powiedzieć i już otwierał usta, ale Stanley podniósł rękę gestem nakazującym milczenie i wymówił jedno słowo:

— Czekaj.

Pozostawiwszy Safeniego z wojownikami powoli, ze zmarszczoną brwią i zaciśniętymi wargami, szedł Stanley z powrotem do swego namiotu. Od notatek z tej podróży zależała cała jego przyszłość, zależało szczegółowe sprawozdanie z całego historycznego marszu. Nie było mowy o oddaniu notatek. Ale Zanzibarczy — nieliczni, zmęczeni — nie byli w stanie walczyć. Stali w obliczu przeważających sił, uzbrojonych i gotowych na rozkaz zasypać przeciwnika lawiną strzał i włącznie.

Blady uśmiech przewinął się po ustach Stanleya, gdy wchodził do namiotu, mrużąc do siebie: Te ulubione stronice muszą mnie teraz uratować. Wyjął ze swoich rzeczy dużą, podniszczoną księżkę. Przez chwilę obracał ją z żalem w ręku i znowu szepnął: Najlepsi z przyjaciół muszą się rozstać.

Nie tracąc jeszcze nadziei na uratowanie książki, Stanley pokazał ją krajowcom, mówiąc:

— Jest nieszkodliwa. Ale uczynię z nią, co zechcecie.

— To zły fetysz — odrzekł wódz krajowców. — Bwana musi go spalić.

Słowom wodza towarzyszyło wymachiwanie bronią i pomruk wojowników:

— Spal go! Spal!

Nazbierawszy spiesznie chrustu rozpalili ogień.

Z ostentacyjnym ociąganiem Stanley podszedł do ogniska. Zatrzymał się i spojrzał pytająco na wodza. Ale umalowane oblicze patrzyło na niego niewzruszenie.

Bwana Mkuba cisnął swój egzemplarz Szekspira w płomienie.

O dwie mile z biegiem rzeki, zaczynały się Wodospady Massassa, a nieco dalej Wodospady Zinga. Gdy po krótkim wypoczynku wyprawa ruszyła dalej, Stanley postanowił dojść, przy pomocy Safenięgo, łądem poniżej Wodospadów Zinga, tam wybrać miejsce na obozowisko i o ile to możliwe nawiązać przyjazne stosunki z krajowcami. Tymczasem Uledi miał na silnym czótnie popłynąć na zwiady biegiem rzeki aż po Wodospady Massassa.

— Wiesz już teraz dość o rzece — ostrzegął go Bwana Mkuba — aby nie narażać się lekkomyślnie na żadne niebezpieczeństwo.

Shauri z krajowcami dało dobre wyniki. Jeden z szefów chętnie się, że widział wielką wodę — morze.

— Czy możesz mnie zaprowadzić do miejsca, skąd mógłbym rozejrzeć się po całym kraju Zinga? — zwrócił się Stanley do swoich nowych przyjaciół.

Zaprowadzili go na wyniosłą skałę. Cała rozległa kraina wokół wodospadów leżała przed nim jak na dłoni. Stanley podniósł do oczu lunetę i uważnie przepatrywał rzekę między wodospadami Massassa i Zinga. Nagle w pole widzenia wpłynął długi, ciemny przedmiot, rzucany bezwładnie gwałtownym prądem tuż nad Wodospadem Zinga. Ręce dowódcy zacisnęły się na lunecie. Pochylił się do przodu, pojmując nagle, że przedmiot, który przed chwilą zobaczył, był wywróconym czótnem, a przy nim kilku ludzi.

— Uledi! Uledi! Coś ty zrobił najlepszego! — wyrwał się mimowolny okrzyk z piersi Stanleya.

Uledi czynił tylko to, co mu polecono. Ale w chwili, gdy jego zwiadowcze czótno było już gotowe do zepchnięcia na wodę, na brzeg przykuśtykał Frank Pocock i kazał Ulediemu zrobić miejsce w czótnie.

— To nie podróż dla młodego Bwany — zaprotestował Uledi. — Tym razem tylko zdrowi i silni mogą płynąć.

Manwa Sera przyszedł na brzeg, łagodnie ujął Franka za ramię i powiedział:

— My na nich zaczekamy tutaj, Bwana!

— Ty zaczekasz, nie ja — burknął Frank, którego zwykle tak pogodne usposobienie zmieniło się pod wpływem cierpienia i kalectwa.

Uledi nie miał wyboru. Musiał wziąć chorego do czótna.

Czótno spływało do białych pian Wodospadu Massassa. O pięćset jardów przed wodospadem Uledi skierował czótno do brzegu, znalazł małą zatokę i zakotwiczył. Wspiąwszy się na nadbrzeżne skały, stanął nad samym wodospadem, spoglądając wprost w jego spienione wiry, rozbijające się o skalne progi.

— Nie możemy przepłynąć przez ten wodospad, młody Bwana — oznajmił Uledi po powrocie. — Żadne czółno nie przemknie się tamtędy.

Frank miał duże doświadczenie w obchodzeniu się z łodziami. Wielekroć w ciągu tej trudnej podróży po rzece Kongo jego zręczność i doświadczenie ocaliły niejedno czółno. Zazwyczaj przezorność zwyciężała jego skłonności do lekkomyślnej brawury. Teraz Frank tak się zachowywał, jak by chciał udowodnić, że z chorą nogą da sobie równie dobrze radę, jak każdy zdrowy człowiek.

— Nie opowiadaj bajek — sprzeciwił się Frank. — W górze rzeki przepłynęliśmy przez wodospady, które grzmiały dużo głośniej od tego. Słuchajcie, Shumari i Mazouk. Wejdźcie na górę zobaczyć. O Boże, żebym to ja mógł sam pójść!

Po chwili dwaj Zanzibarczycy powrócili potrząsając głowami. Franka jednak nie przekonali.

— Wy się boicie wody. Byle podmuch, a wam się zdaje, że idzie wielka fala! — Zapomniawszy się, Frank tupnął nogą w gniewie i krzyknął z bólu.

— Bwana, młody Bwana! — uspokajał go Uledi. — Ani biały człowiek, ani czarny nie może przepłynąć żywy przez ten wodospad. Nie masz racji, mówiąc, że się boimy. — Podniósł rękę do góry. — Więcej razy niż mam palców u tej ręki, ocaliłem człowiekowi życie na tej rzece. Jak możesz więc mówić, że ja się boję wody?

— Ty masz przeprowadzić zwiady — odpowiedział Frank. — Nie mogę ci rozkazywać. Jeżeli popłyniesz przez wodospad ze mną, przyznam ci, że się nie boisz. Jeśli nie popłyniesz, zawsze będę myślał, żeś stchórzył.

Uledi wzruszył ramionami. Takie wyzwanie mógłby odrzucić tylko tchórz albo człowiek o nadzwyczajnej odwadze cywilnej.

— Dowiedziemy ci, młody Bwana, że czarni ludzie nie boją się śmierci, tak samo jak ty!

— Umiera się tylko raz — rzekł posepnie Frank.

— Dobrze. Zajmować miejsca! — rozkazał Uledi.

— Teraz zachowujesz się jak mężczyzna! — wykrzyknął Frank i uderzył go serdecznie po ramieniu.

Szybko wydostali się na środek rzeki.

— Przepraw się bliżej tamtego brzegu — doradził Frank. — Widzę tam spokojną wodę.

Posłuchał tej rady, ale czółno ustawiło się bokiem. Nie było dość miejsca, by je wyprowadzić. Potężny prąd porwał czółno i zniósł je prawie do samego wodospadu. Uledi zmagał się z całych sił, by zwrócić dziób do przodu. Był to ostatni rozpaczliwy wysiłek ocalenia czółna i przepłynięcia wodospadu. Wysiłek beznadziejny.

Na wpół zwrócone dziobem do prądu czółno skoczyło do góry, zakręciło się i spadło w przepaść. Straszliwy wir pochwycił je, wciągnął w głąb, cisnął wytryskiem wody w górę, w promienie palącego

afrykańskiego słońca. Kilku ludzi przywarło jakimś cudem do czółna, które wir wyrzucił, jak niepotrzebny balast. Uledi, trzymając się kurczowo burty, zauważył brak Franka. Gdzie jest młody Bwana? — przeszła go myśl.

W pobliżu wywróconego, bezwładnego czółna, nowy gejzer wody wyrzucił na powierzchnię Franka Poccocka, który przez chwilę utrzymał się na powierzchni wody. Uledi oderwał się od przewróconego czółna i silnymi uderzeniami potężnych ramion popłynął za człowiekiem, który ujawnił jego kradzież. Czółno mknęło do Wodospadu Zinga z ludźmi, wciąż uczeponymi jego burt, wciąż usiłującymi skierować jego bieg w stronę brzegu. Uledi myślał tylko o jednym: Teraz pokażę młodemu Bwanie, czy się boję!

I z tą myślą wciągnął go pod wodę raz jeszcze straszny wir.

W tym czasie Stanley posłał kilkunastu Zanzibarczyków z linami wzdłuż brzegu na pomoc nieszczęśliwym. Ludzie na wywróconym czółnie dostrzegli ich i porzuciwszy niepewny statek, zaczęli płynąć rozpaczliwie do brzegu. Za nimi wynurzyła się na powierzchni wody jeszcze jedna głowa i szybko przybliżyła się do brzegu.

Tylko Uledi tak świetnie pływa — pomyślał Stanley, śpiesząc naprzód.

Jeden z tych, których Stanley posłał z linami, powrócił biegiem do niego.

— Bwana! Bwana! Ośmiu się wyratowało. Ale trzech zginęło.

— Skąd się wzięło w tym czółnie jedenastu ludzi? — zapytał zdziwiony Stanley.

— Nie wiemy, Bwana... Ale... młody Bwana zatonął. Ulediego, zupełnie wyczerpanego, przyniesiono do Stanleya, by urywanymi zdaniami wykrztusił swą opowieść.

Rozdział XX

OSIĄGNIĘCIE

— Choćbyście nie zostali ze mną, ja i tak nie opuszczę rzeki, i albo w niej zginę, albo dojdę do wielkiej wody! — mówił Stanley do swych buntujących się podwładnych.

Dwa dni upłynęły od tragicznej śmierci Franka Pococka. Zbuntowani jednak nie chwyłali za broń; po prostu oznajmili za pośrednictwem swych delegatów, Manwa Sery i Safeniego, że nie pójdą dalej. Gotowi są raczej tu zostać. Śmierć młodego Bwany wytrąciła ich zupełnie z równowagi. Zaledwie jedna trzecia Zanzibarczyków, którzy przed dwoma i pół laty wyruszyli z Bwaną Mkubą, pozostała przy życiu. Pagazi i askarysi sposepniali, niechętni rozkazom, przekonani, że i tak wszyscy zginą. Jeśli śmierć nadejdzie dziś a nie jutro, to tym lepiej, bo oszczędzi im cierpień.

Gdy jednak Bwana Mkuba zagroził im, że pójdzie sam, wszyscy w milczeniu podjęli swe ładunki i powlekli się naprzód. Dobrze to świadczyło o ich lojalności. Ominięcie dwóch następnych katarakt kosztowało życie jeszcze jednego człowieka i utratę czółna. Ale nie żegnano go zawodzeniami żałobnymi: szczęśliwy był ten, który uwolnił się od męki!

Zabrakło towarów na wymianę. Im bliżej byli oceanu, tym wyższych cen żądali krajowcy za żywność. Z każdym dniem wydzielano coraz mniejsze porcje żywności, aż wreszcie na uczestnikach wyprawy kości można było policzyć!

— Jeszcze tylko trochę wytrwałości! — zachęcał Stanley.

Jesteśmy już blisko oceanu, a tam biali ludzie zaopiekują się wami, nakarmią każdego i nagrodzą za to, że odbyliście ze mną tą wspaniałą, wielką podróż. — Chwytał się każdego sposobu, żeby wlać nieco otuchy w serca śmiertelnie znużonych Zanzibarczyków. Istotnie, ucieszyli się, nawet zebrali skąpe resztki żywności, by urządzić ucztę. Ale nawet ta ucztą odbyła się w cieniu tragedii.

Oto nagle nadbiegł Safeni z jaskrawo upierzoną papugą na ramieniu.

— Ach! Bwana! El hamd ul Illah! Dotarliśmy do wielkiej wody! — wołał. — Jesteśmy w domu! Jesteśmy w domu! Już koniec z głodowaniem. Koniec z utarczkami! Pożegnaj mnie, Bwana. Życz mi dobrze. Wyruszam w drogę. Będę biegł aż do brzegu morza, by powiedzieć twoim białym braciom, że nadchodzisz.

Stanley usiłował go uspokoić, ale Safeni — z papugą wciąż uczeponą jego togi — zaczął biec w swoim nagłym obłąkaniu w dżunglę.

— Biegnijcie za nim! Zatrzymajcie go! Zawróćcie! — wołał Stanley.

Z trudem pojęli, że Safeni, ten niegdyś mądry, rozważny dyplomata, stracił zmysły. Długo szukali go Zanzibarczycy w mrokach dżungli na wschód i zachód, na północ i południe. Nikt już więcej nie ujrzał Safeniego.

Trzech zgłodniałych Zanzibarczyków schwytali krajowcy, gdy próbowali ukraść im żywność. Niestety, towaru już nie wystarczyło na wykupienie biedaków. Musiano ich pozostawić.

Jeszcze jedną stratę poniosła wyprawa. Przyczyną obrania drogi wodnej po rzece Kongo było nie tylko ułatwienie transportu. Związana z tym konieczność przenoszenia czołen wokół katarakt stała się raczej ciężarem niż ułatwieniem. Teraz Stanley nie miał już cienia wątpliwości, że rzeką, której bieg śledzili od Nyangwe jako Lualabę, było istotnie Kongo. Pilnowanie każdej mili biegu rzeki stało się zbędne, a łodzie obciążały pochód. Tak więc dzielną „Lady Alice” wciągnięto na skały nadbrzeżne i pozostawiono.

— Haniebne traktowanie spotyka ciebie — powiedział Stanley do łodzi, którą sam zaprojektował — ciebie, która nas niosłaś przez blisko pięćset mil. — Po czym odwrócił się do rzeki i patrząc w rwący nurt rzekł patetycznie: — Ileż dzielnych i zacnych ludzi mi wydarłaś!

Dnia drugiego sierpnia 1877 roku wyprawa znajdowała się zaledwie o kilka dni marszu od Embomy (dziś Boma), gdzie czekała ich żywność i biali ludzie. Podniosło to na duchu wszystkich. Spotkali się jednak z nowymi problemami. Krajowcy śmieli się, gdy im ofiarowywano paciorki, drut i perkal. Mieli tych rzeczy pod dostatkiem, nie chcieli więcej, natomiast gotowi byli oddać żywność tylko i wyłącznie za rum. Jak w tych warunkach stu szesnastu ludzi — bo tylu ich pozostało jeszcze, w tym czterdziestu chorych — wlec się będzie głodując przez kilka jeszcze dni marszu? Jedyną szansę ocalenia widział Stanley w wysłaniu gońca, który nieobciążony kobietami, dziećmi i bagażami, dojdzie prędzej i doniesie list zaadresowany „do kogokolwiek mówiącego po angielsku w Embomie” z prośbą o wysłanie pomocy. Wódz miejscowych Murzynów zgodził się, po długich targach, dać przewodnika i Bwana Mkuba siadł, by napisać wiadomość o rozpaczliwym położeniu wyprawy: *Żywność powinna być przysłana w ciągu dwóch dni — pisał — gdyż inaczej będę miał pełno trupów wokoło. Podpisał się: H. M. Stanley, dowódca anglo-amerykańskiej ekspedycji dla zbadania Środkowej Afryki. U dołu dodał postscriptum: Jeśli nazwisko to nie będzie znane adresatowi, przypominam, że jestem tym, który odnalazł Livingstone'a w roku 1871.*

Uledi, Shumari i Soudi mieli pójść wraz z przewodnikiem. Była to ostatnia próba ocalenia towarzyszy od głodowej śmierci na samym progu sukcesu. Reszta wlokła się powoli, coraz wolniej, przez kraj, gdzie cywilizacja oznaczała, że można uchylić się od głodu tylko za cenę rumu.

W dwa dni później Uledi i jego towarzysze powrócili z żywnością. Urządzono natychmiast wspaniałą ucztę. Jeszcze w dwa dni później — dziewiątego sierpnia 1877 roku — czterech białych ludzi przybyło powitać bohatera tej nieomal niewiarygodnej podróży. Z trzystu pięćdziesięciu sześciu mężczyzn i kobiet, których zwerbowano w 1874 roku, tylko stu czternastu dotarło do Embomy, i nawet spośród nich blisko połowę trzeba było nieść, a jeśli już szli o własnych siłach, to ledwie się wlekli.

Sam Stanley osiadał do reszty w ciągu tych trzydziestu trzech miesięcy i postarzał się o dziesięć lat.

Nawet teraz, otoczeni dostatkiem, karmieni najlepszymi przysmakami, jakich mogło dostarczyć zachodnio afrykańskie wybrzeże, ci, którzy przetrwali setki bitew i zmagali z groźnymi żywiołami przyrody — umierali z wyczerpania, choć już skończyły się dla nich trudy wyprawy. Żona biednego, obłąkanego Safeniego zmarła tego samego dnia, kiedy statek, wiozący członków wyprawy, przybył do

Zanzibaru. Liczba pozostałych przy życiu zmniejszyła się ostatecznie do osiemdziesięciu dwóch, w tym sześcioro dzieci, urodzonych w podróży. Z trzydziestu sześciu kobiet, które stawiały czoła trudom wyprawy, powróciło tylko dwanaście.

Stanley oddał zasłużony hołd dzielnym towarzyszom, pisząc w swoich pamiętnikach: *W moich oczach są to prawdziwi bohaterzy, te biedne nieświadome dzieci Afryki, gdyż od pierwszej śmiertelnej potyczki z dzikimi mieszkańcami Ituru aż do ostatniego marszu półżywych do Embomy, zrywali się na mój głos, jak wyćwiczeni weterani, a w godzinie potrzeby nigdy mnie nie zawiedli.*

Co osiągnęły te „biedne nieświadome dzieci Afryki” i ich dowódca? Z punktu widzenia geografii więcej, aniżeli jakakolwiek przed nimi ekspedycja, która badała Środkową Afrykę. Wszystkie zasadnicze problemy zostały dzięki nim rozstrzygnięte: Lualaba, dopływ Konga, przepłynąwszy w poprzek Afrykę, ostatecznie wpadała do Atlantyku; Nil rodził się w Jeziorze Wiktorii, a jego właściwym źródłem była zapewne rzeka Kagera, wypływająca w górach na wysokości sześciu tysięcy stóp nad poziomem morza. Dokładne zarysy dwóch wielkich jezior, Wiktorii i Tanganiki, mogły być teraz naniesione na mapy, wraz z szerokim pasem „zbadanych okolic” wzdłuż dwudziestego piątego stopnia długości geograficznej.

Takie były wartości cennego wkładu Stanleya dla geografii. Odwrotna strona medalu miała się ukazać dopiero w przyszłości. Potencjalne walory Środkowej Afryki dla eksploatacji — nazbyt często synonimu grabieży i ucisku — odkryto państwom europejskim: Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Belgii. W siedemnaście lat później zagarnęły one każdy prawie skrawek ziemi, której krajowcy tak uparcie bronili przed inwazją białego podróżnika i jego „biednych nieświadomych dzieci Afryki”.

Był już styczeń 1878 roku, kiedy Stanley, zapłaciwszy swoim Zanzibarczykom i zakończywszy wszelkie sprawy na wyspie sułtana, przybył do Marsylii. Wyczerpany, wychudły, z nadszarpniętym zdrowiem, podróżnik zabrał się do pisania dzieła, które zatytułował „Przez ciemny kontynent”, a którego dwa tomy, ponad tysiąc stron rękopisu, ukończył w ciągu czterech miesięcy. Był równie sumienny, pracowity i uparty w pisaniu jak w podróżach. Szukając odpoczynku, odwiedził następnie słynne uzdrowiska: Trouville, Deauville, Dieppe, wreszcie pojechał do Szwajcarii. Ale komfort i rozrywki zmieniały się dla niego w gorycz. Nie umiał odpoczywać.

Przybywszy do Anglii we wrześniu, spotkał się jak i przedtem z różnorodnym przyjęciem. Towarzystwa geograficzne obsypały go zaszczytami, podróżował po całym kraju z odczytami o handlowych bogactwach kraju, który odkrył. Senat i Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych uchwaliły jednogłośnie podziękowanie dla Henryka Mortona Stanleya. Król włoski, Humbert, przysłał mu swój portret z serdeczną dedykacją. Kedyw Egiptu ofiarował mu medal. Niektóre gazety Starego i Nowego Świata wychwalały go pod niebiosa, a właściciele muzeów figur woskowych spieszenie sporządzali podobiznę bohatera dnia, otoczonego dzikimi zwierzętami i kanibalami.

Ale w wielkiej podróży były incydenty, które stały się przedmiotem surowej krytyki. W parlamencie brytyjskim jeden z posłów oskarżył go o niepotrzebny, podyktowany zemstą atak na wyspę Bumbireh. Towarzystwo Ochrony Krajowców potępiło go surowo za obrabowanie świątyni z kości słoniowej. Była to słuszna krytyka wśród morza pochwał. Natomiast niesprawiedliwie zarzucono mu, że żaden biały człowiek, który szedł ze Stanleyem w głąb Afryki, nie powrócił żywy.

Stanley nie zwracał uwagi na krytykę, słuszną czy niesłuszną. Był pochłonięty sprawą praktycznego wykorzystania swoich odkryć. Oprócz kości słoniowej, w Środkowej Afryce znajdowały się cenne drewno, rudy, olej palmowy, orzechy i inne bogactwa naturalne, które zdaniem podróżnika, opłaciłyby stokrotnie wydatki związane z inwestycjami, niebezpieczeństwem i trudami wydobycia. Kotlina Konga — o przestrzeni 1 425 000 mil kwadratowych — była krainą, równającą się pod względem bogactw dolinie rzeki Missisipi albo Amazonki. Nawet sama rzeka Kongo, długości trzech tysięcy mil, wlewająca do Atlantyku dwanaście milionów metrów kwadratowych stóp wody co sekundę, stanowiła potężne źródło siły. Trudności dla Stanleya były tylko podniętą. Planował zbudowanie wokół wodospadów przez puszcę najpierw szosy, później toru kolei żelaznej. Placówki „handlowe” miał osłaniać szereg garnizonów wojskowych.

Brytyjscy finansjści i członkowie rządu uznali początkowo jego plany za nierealne marzenia. Natomiast król belgijski, Leopold II, zebrał grupę zainteresowanych osób z Anglii, Niemiec, Francji, Holandii i własnego kraju i utworzywszy „Comite d’Etude du Haut Congo”, zaprosił Stanleya na doradcę. Dawny reporter „New York Herald” przestąpił próg królewskiego pałacu, a w styczniu roku 1879 był już w drodze do Afryki. Towarzyszyło mu kilkunastu białych: Amerykanów, Anglików, Duńczyków, Belgów i Francuzów.

Rozdział XXI

IMPERIALIZM BEZ PRZYŁBICY

Piętnasty sierpnia 1879 roku. Przybyłem do ujścia Kongo. Dwa lata minęło od chwili, gdy dotarłem tu w 1877 roku kończąc wyprawę wzdłuż biegu tej wielkiej rzeki. Byłem pierwszym, który ją zbadał: teraz jestem pierwszym, który dowiedzie jej użyteczności dla świata. Właśnie wyładowują moich siedemdziesięciu Zanzibarczyków i Somalisów, aby rozpocząć cywilizowanie obszarów dorzecza Kongo.

Użyteczność? Cywilizacja? W ciągu następnych pięciu lat po napisaniu tych słów, Henryk Morton Stanley miał udowodnić w jaki sposób on i jego mocodawcy, zachodnioeuropejscy monarchowie i finansjści, rozumieją znaczenie tych słów.

Z Anglii Stanley pożeglował do Zanzibaru, gdzie zwerbował sześćdziesięciu ośmiu krajowców, z których większość stanowili towarzysze poprzednich wypraw. Znalazł dobrego pomocnika w osobie młodego duńskiego marynarza, Alberta Christophersona, człowieka typu zawodowego sierżanta. Ludzie tego pokroju najbardziej odpowiadali Stanleyowi. Wśród zwerbowanych znaleźli się Uledi, a jako osobiści słudzy — Dualla i jeszcze jeden Mabruki.

Stanley i jego pomocnicy mieli wybudować szereg blokhauzów wzdłuż brzegów Kongo, przebić drogę przez okolice katarakt i puścić statki na żeglownych odcinkach rzek. Ostatecznym celem było utorowanie dostępu do niezmiernych bogactw dorzecza Kongo, posługując się przy tym pierwotnymi właścicielami tych ziem, jako tanią siłą roboczą do pomocy w grabieży. Bo ostatecznym rezultatem poprzedniej, odkrywczej wyprawy Stanleya miało być teraz przekształcenie Afryki w teren ekspansji europejskiej.

Niemcy, jeszcze upojone zwycięstwami w wojnie francusko - pruskiej, szukały kolonii i źródeł surowca. Francja, upokorzona pod Sedanem, miała nadzieję, że imperium kolonialne pomoże jej odzyskać utracony prestiż. Wielka Brytania i Portugalia czuły się zagrożone w swoich afrykańskich posiadłościach. A Włochy starały się, by ich nie wykluczono z tego wyścigu o posiadłości na nowo eksploatowanym kontynencie. Jednakże najbardziej ambitnym ze wszystkich okazał się król belgijski Leopold II, który pierwszy utworzył tak zwane Międzynarodowe Towarzystwo Badań i Rozwoju Afryki, a następnie, w odpowiednim momencie, zrzucił maskę i nazwał się osobistym władcą Konga. Jego współnikami stały się Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, udzieliwszy mu oficjalnej aprobaty.

Jako przedstawiciel króla Leopolda, Stanley rozpoczął tak zwane negocjacje z plemionami, zamieszkującymi południowe brzegi rzeki Kongo. W obliczu potęgi rządów europejskich, jakież szanse mogli mieć wodzowie miejscowych plemion w tych „negocjacjach”? I czy mogli przewidzieć, że zgadzając się na „misję” Stanleya, sprzedawali przyszłość swoich dzieci bezwzględny kolonizatorom, którzy zmienią ich tryb życia, obrabują je ze wszystkiego, co posiadali, zaprzęgają je do niewolniczej pracy, ofiarowując w zamian rum i syfilis? Tak nazwane kupowanie ziemi było właściwie narzucaniem władzy, która miała być na długo utrzymana batem i karabinem.

Zawarto ponad czterysta „traktatów”, kładąc podwaliny osławionego Wolnego Państwa Belgijskiego — Konga. Co oznaczało w tym wypadku słowo „wolne”? Z pewnością nie było tu wolności dla

krajowców. Raczej wolność dla Europejczyków, wolność podróżowania i handlowania — co znowu było tylko pięknie brzmiącym określeniem, ukrywającym zwykłą grabież. Szukając usprawiedliwienia, Stanley, król Leopold i inni europejscy dobroczyńcy mówili ze świętym oburzeniem o barbarzyńskich nieprawościach Afrykan. Dawid Livingstone, którego pamięci Stanley wciąż składał podszyte teraz hipokryzją hołdy, innymi metodami rozprawiał się z zabobonami, czarownikami i międzyplemiennymi waśniami.

Przy zawieraniu owych traktatów król Leopold i jego wysłannik Stanley spotkali się jednak z przeszkodami. Inne sępy krążyły nad zdobyczą i spadały po łupy.

Dnia 7 listopada 1880 roku Stanley znajdował się w obozie, odległym o jakieś dwieście mil od ujścia rzeki Kongo. Siedział właśnie w swoim namiocie zajęty pisaniem listów do Europy z naleganiami, aby przysłano mu lepszych białych pomocników od tych, których miał do tej pory. Nagle ktoś bezceremonialnie podniósł zastonę u wejścia. Lutete Kuna, jeden z tubylców, którego Stanley „namówił” do pracy za wynagrodzeniem, wpadł do namiotu i rzucił na stół kawałek papieru. Spojrzawszy ze zdumieniem, Stanley podniósł kartę i przeczytał:

„Le Comte Savorgnan de Brazza”.

— Skąd żeś to wziął? — zapytał Stanley.

— Człowiek. Wielki biały człowiek! — powiedział krajowiec, jeszcze zdyszany.

— Gdzie?

— Wioska. Niedaleko. — Kuna machnął ramieniem w kierunku północnym.

— Nie znam go. Nigdy o nim nie słyszałem — powiedział Stanley.

— Franceza. On mówi, że jest Franceza — informował podniecony Kuna. — On strzelać do drzew, wiele razy. Nie zatrzymywać się, by naładować.

— Po co to robić? — zapytał Stanley.

— Ja nie wiedzieć. Wszyscy biali ludzie strzelać do drzew. Pewno chcą zabić złe duchy.

— I co było potem?

— Powiedziałem że ja być z tobą. Wtedy on mnie dać ten kawałek papieru. Kazać mi to zanieść do ciebie.

— Czy on idzie w stronę naszego obozu?

— Ja nie wiedzieć, ale myśleć, że tak — odparł Kuna.

Stanley odprawił krajowca i zabrał się na nowo do pisania listów. W godzinę później w obozie powstało zamieszanie, słychać było hałasy i niezwykły ruch. Stanley wyszedł przed namiot. Wysoki, przystojny mężczyzna, o dziesięć lat młodszy od niego, szedł wielkimi krokami ku niemu, otoczony

przyboczną gwardią składającą się z piętnastu Murzynów z okręgu Gabon, uzbrojony w winchestery. Francuz podszedł z wyciągniętą na powitanie ręką.

— Zaszczyt to dla mnie wielki, iż dane mi było spotkać pana — powiedział. — Słyszałem, jak wszyscy na całym świecie, o pana osiągnięciach.

Stanley musiał gościnnie przyjąć białego człowieka, spotkanego w głębi Afryki. Podejmował de Brazza bardzo wystawnie i próbował zręcznie wywiedzieć się, jaki był cel wyprawy Francuza. Ale de Brazza nie powiedział nic więcej ponad to, że przeszedł przez kolonię francuską Gabon od Libreville i dotarł do rzeki Kongo znacznie powyżej obecnego obozowiska Stanleya. Miał zamiar udać się w dalszą drogę do Bomy, a stamtąd do kraju. Wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

Tyle tylko zdołał się Stanley dowiedzieć od swego gościa, który zatrzymał się na dwa dni w obozie, po czym — zauważywszy na pożegnanie, że Stanley, jeśli chce wykonać swoje zamierzenia, będzie potrzebował pięć razy więcej ludzi niż ma — wyruszył na zachód, żegnany serdecznie i zaopatrzony przez Stanleya na drogę do morza. Patrząc za oddalającą się wyprawą, Stanley stał w zamyśleniu, zastanawiając się, czemu ten Francuz taki był zadowolony, kiedy właściwie nie miał powodów do szczególnej satysfakcji.

Wysłannik króla Leopolda miał wkrótce wszystko zrozumieć. Idąc dalej w górę rzeki próbował zawierać traktaty o ziemię i swobodne przejście — daremnie. Okazało się, że de Brazza był tam już przed nim, prowadząc pod naciskiem owych repetujących winchesterów i pod grozą siły, którą reprezentowały „pertraktacje” podobne w zasadzie do tych prowadzonych przez Stanleya, tylko że w ich rezultacie wodzowie plemion znaleźli się nie pod belgijską, lecz francuską „opieką”. De Brazza i Stanley przedstawiali dwa ramiona Europy, wyciągnięte po afrykańskie łupy. Prawdziwa natura „traktatów” zawieranych przez obu mężczyzn, prawda o ich „misji cywilizacyjnej”, ujawniła się przed światem wówczas, gdy według agreement podpisanego dnia 23 kwietnia 1884 roku Francja otrzymała prawo pierwokupu tych terytoriów, zakupionych przez Stanleya w dorzeczu rzeki Kongo, których konsorcjum belgijskie nie mogłoby z jakichkolwiek powodów wyeksploatować. „Cywilizowanie” było zwyczajną aneksją.

Pierwszy odcinek drogi — którą Stanley budował przy pomocy bardzo mieszanej kompanii Europejczyków, na których narzekał i wymyślał im, jako bezużytecznym leniom, wyjąwszy jednego Christophersona, oraz Zanzibarczyków i tubylców, zmuszonych do pomagania w gwałcie dokonywanym na ich własnym kraju — ciągnął się od Vivi, gdzie wzniesiono pierwszy blokhauz, do Isangila. Pięćdziesiąt mil, które dzieliły od siebie te dwie miejscowości, prowadziły przez pierwszą część katarakt i cieśnin. Nie wystarczała tu ścieżka przez las i po skałach. Droga miała wytrzymywać ciężkie ładunki w deszczowej i suchej porze roku. Nawierzchnię trzeba było robić z kruszonego kamienia, pokrytego cienką warstwą gliny.

Gdy przyszło do rozbijania wielkich głazów na drobną kostkę, Zanzibarczycy i Kongijczycy stanęli bezradni. Nigdy tego nie robili, nie widzieli, aby ktokolwiek to robił, nie przypuszczali nawet, aby to było możliwe. Wobec tego Stanley zebrał ich wszystkich na projektowanej drodze w miejscu, gdzie mogli stanąć na otaczających skałach i z góry przyglądać się lekcji pokazowej. Z charakterystycznym dla niego wyczuciem dramatyczności chwili, Stanley wkroczył w sam środek ludzi zebranych jak w

amfiteatrze. Rozkazał przytoczyć bliżej wielki głaz. Od Ulediego wziął ogromny, ciężki młot. Stojąc z młotem w ręku, rzekł:

— Przyjrzyjcie się uważnie! Pokażę wam teraz, jak macie wykonywać tę robotę.

Rozległ się szmer na wpół powątpiewania, na wpół podziwu. Christopherson wystąpił spiesznie przed Stanleya, pozostawiając za sobą resztę Europejczyków, którzy szeptali za plecami dowódcy, skarżąc się na jego skłonności do melodramatu i pomrukując, że ludzie, którzy potrafią tłuc kamienie, zwykle uczyli się tego w więzieniu. Młody Duńczyk chciał zabrać młot, ale Stanley powstrzymał go.

— Ja jestem wyższy — zaprotestował Christopherson.

— Ale ja jestem dowódcą! — odparł Stanley.

Z rozmachem zatoczył młotem wielki łuk i rozbił głaz. Zamachnął się znowu i rozbił odłamki na jeszcze mniejsze kawałki. Szmer wśród krajowców był wyrazem uznania.

Stanley przywołał jednego z Zanzibarczyków i kazał mu w ten sam sposób rozbić następny głaz. Murzyn zamachnął młotem wysoko nad swoją głową, Stanley powstrzymał go i odebrał mu młot.

— Patrz uważnie — tłumaczył. — Nigdy ponad głową. Trzymaj młot nisko; uderzaj w kamień szerokim rozmachem.

Rozbił jeszcze kilka głazów i pouczał Murzynów, którzy przyszli, by stanąć z nim w zawody. Wieczorem zapytał Ulediego, co ludzie sądzą o tym pokazie rozbijania głazów.

— Nazwali ciebie Bula Matari — odrzekł Zanzibarczyk. Stanley uśmiechnął się z satysfakcją, gdyż miano to znaczyło: „Ten, który rozbija głazy”. I pod tym imieniem wkrótce zasłynął w całym dorzeczu Kongo.

Drogę Vivi — Isangila budowano blisko rok, a Stanley obliczył, że w tym czasie własnymi nogami przemierzył 2350 mil, wędrując pieszo tam i z powrotem wzdłuż budującej się szosy. Stanley więc chodził, dozorował i łagodził sprzeczki, wybuchające między jego białymi pomocnikami, którzy ciągle kłócili się, patrząc na robotę i oganiając się od much, a Zanzibarczycy i tubylcy rozbijali głazy, wycinali drzewa, karczowali uparte korzenie. Wilgotny upał wysysał siły najodporniejszych. Robotnicy jedli fasolę, mięso kóz i papkę z bananów. Dla białych przetransportowano liczne skrzynie z najlepszą żywnością, alkoholem, tytoniem. Ale wszyscy cierpieli nieznośnie. Zanim ten pierwszy krótki odcinek szosy został ukończony, dwudziestu dwóch Zanzibarczyków i krajowców uległo chorobom lub wypadkom; sześciu białych zmarło, a trzynastu chorych odesłano do Europy.

Stanleya nie wzruszała lista ofiar. Narzekał jedynie na brak ludzi do pracy. Cóż znaczyło życie człowieka, białego czy czarnego, w porównaniu ze sławą Henryka Mortona Stanleya, w porównaniu z zadaniem otwarcia drogi Europie do serca Afryki?

Z Isangila następny odcinek budowy szosy prowadził do Manyanga, gdzie założono dalszą stację. Z kolei Stanley zabrał się do budowy miasta, z którego był szczególnie dumny — Leopoldville, ukończonego z początkiem 1882 roku. Dzisiejsza stolica Konga była wówczas wioską o szerokich

ulicach, wzdłuż których wzniesiono blokhauz i szereg dużych składów towarowych, dobrze zaopatrzonych z myślą o garnizonie i członkach wyprawy. Założono ogrody warzywne i plantacje bananów. Była też szeroka promenada, zaplanowana przez Stanleya na użytek przyszłych „cywilizatorów”, którzy w ślad za nim przybędą z Europy: promenada na niedzielne popołudnia z widokiem na rzekę, kataraktę i góry. Tu mogli się uśmiechać i wieszować sobie wspaniałej sposobności zdobycia szybkiej fortuny, jaką dla nich stworzył H. M. Stanley.

W niecały rok później, gdy wrócił z krótkiej podróży do Europy, gdzie zażądał od swoich mocodawców przydzielenia mu lepszych niż dotąd białych pomocników — chwalił tylko jednego Alberta Christophersona — przybywszy do Leopoldville przekonał się, że biały oficer, pod którego opieką zostawił miasto, pozwolił ogrodom zarosnąć chwastami, składnicom opustoszeć, chatom murzyńskim rozsypać się, a statkom zgnić. Wrogo usposobieni krajowcy, orientując się już, że zostali oszukani, oblegali blokhauz.

Misja „użytkowania” i „cywilizowania” dorzecza Kongo, która dała początek bezlitosnemu wyzyskowi kolonialnemu ludności tej bogatej ziemi, ta najbardziej godna pogardy „przygoda” Stanleya kosztowała go najwięcej trudu.

Jego europejscy towarzysze kłócili się o rangę i pierwszeństwo. Tak na przykład inżynier na parowcu zaprotestował, ponieważ posadzono go za stołem niżej od głównego buchaltera. Dowódcy większych statków nie chcieli jeść przy tym samym stole, przy którym jadali kapitanowie mniejszych statków. Ciągłe ktoś groził, że swoje żale wyleje na papier i pošle do francuskich, belgijskich albo angielskich dzienników. Nie ulega wątpliwości, że większość białych towarzyszy Stanleya była niewiele warta. Niejaki porucznik Braconnier stał sobie na brzegu i z założonymi rękoma przyglądał się, jak młody i niedoświadczony oficer austriacki z sześciu Zanzibarczykami wsiadł do przetadowanej łodzi, która w piętnaście minut później zatonała wraz z całą załogą.

Stanley nie umiał dowodzić ludźmi wykształconymi i to było częściowo przyczyną ciągłych kłopotów z Europejczykami. Ten sam Braconnier, gdy zirytowany Stanley odesłał go wreszcie do domu po trzech latach, tak pisał o swym dawnym dowódcy:

„Nikt nie podziwia więcej ode mnie zalet Stanleya... To człowiek z żelaza, o niezwykłej woli... Ale nie ma żadnych względów dla swoich europejskich współpracowników, którzy bardziej go szanują, aniżeli lubią. Traktuje białych, jak by był królem; mieszka oddzielnie, nigdy się z nikim nie zbliży, nawet nie pogada, a nieraz byłby gotów każdego z nich poświęcić dla własnego bezpieczeństwa... Bywało, że powiedział do mnie: Braconnier, zwijaj namioty, ruszamy za dziesięć minut. Gdybym był na tyle nierozsądny, aby zapytać: Dokąd idziemy? odpowiedziałby: Pilnuj tego, co do ciebie należy, a do moich spraw się nie wtrącaj! Widziałem, jak palił w swoim namiocie, wiedząc, że jego oficerowie nie mają od dawna tytoniu i nie przyszłoby mu nawet do głowy poczęstować któregoś tytoniem... Choćby najdłużej z nim przebywać, nie można się z nim zaprzyjaźnić”.

Wielu wcale nie życzyło sobie przyjaźni Stanleya. Gdy budowano Leopoldville, oficer, pozostawiony jako dowódca stacji w Vivi, najzwyczajniej w świecie spakował manatki i pojechał do kraju, zrywając kontrakt bez listu z rezygnacją, bez słowa zawiadomienia, przesłanego do zwierzchnika. Nawet jego ulubieniec, Christopherson, nie podpisał przedłużenia kontraktu i po upływie pierwszego okresu

odjechał. Na oskarżenia i krytyki swoich oficerów, publikowane później w prasie i w książkach, Stanley odpowiedział: *Nieczęsto mi się zdarza surowość wobec ludzi, którzy wypełniają swoje obowiązki, ale trudno być łagodnym i wyrozumiałym dla niedołęgów, którzy nie chcą słuchać wskazówek, a na każde upomnienie odpowiadają obrażaniem się i gniewem.*

Oprócz Christophersona, dwóch tylko współpracowników zyskało jego uznanie. Byli to dwaj oficerowie belgijscy, którym powierzono założenie blokhauzu na samym równiku, o siedemset sześćdziesiąt mil od ujścia rzeki Kongo. Porucznicy, Coquilhat i Vangele, zbudowali dla siebie wygodny dom z suszonej gliny, zaopatrzony w okna i drzwi, umeblowali go ręcznie sporządzonymi krzesłami i stołami, a nawet zawiesili firanki. Dla żołnierzy wybudowali obszerne, skanalizowane koszary, założyli ogrody, wzniesli szopy dla kóz i drobiu. W nazwie tej dawnej Stacji Równikowej, dziś miście Coquilhatville, żyje po dziś dzień nazwisko jednego z jego założycieli.

Ci dwaj młodzi oficerowie najwidoczniej lubili swoją pracę i nie cierpieli bynajmniej na żadne wyrzuty sumienia z powodu charakteru działalności, w której brali udział. Natomiast gwałt zadawany krajowcom — oszukiwanie, rabowanie, zagarnianie ich ziem, łamanie ich trybu życia — tak przejęły młodego austriackiego oficera marynarki, Luksica, iż popełnił samobójstwo.

Do kłopotów Stanleya z białymi współpracownikami — twierdził, że ze swymi Zanzibarczykami i tubylczymi robotnikami nie miał żadnych trudności, ale co prawda z nimi mógł rozmawiać pod groźą wymierzonego pistoletu — dołączyła się jeszcze jego własna poważna choroba. W czasie jednego z ataków malarii kazał przenieść swój namiot z bagnistej doliny na szczyt góry wysokości dwustu stóp ponad poziom rzeki. Tam w ciągu jednego dnia zażył trzydzieści gramów chininy — i przez sześć dni leżał nieprzytomny. Wiedział tylko, że jego słudzy, Mabruki i Daulla, pielęgowali go z kobiecą czułością i serdecznym oddaniem. Osłabł tak bardzo, że nie mógł ani usiąść, ani nawet podnieść ramienia.

W dwa dni później doszedł do przekonania, że się tym razem śmierci nie wywinie. Jego oszołomiony umysł pojmował tylko, że śmierć będzie oznaczała klęskę jego przedsięwzięcia. Jak teraz ci głupcy w rodzaju Braconniera będą w stanie dokończyć budowy drogi, utrzymać blokhauzy i garnizony? Postanowił wezwać wszystkich członków wyprawy. Musi dokonać jeszcze jednego wysiłku, by zwyciężyć. Jeśli jego własne ciało jest zbyt słabe do czynu, to słowami sprowokuje, natchnie, a jeśli trzeba, przestraszy swoich towarzyszy. Niech oni wybudują przez Kongo drogę — pomnik jego pamięci.

— Przywołaj do mnie wszystkich Europejczyków i Zanzibarczyków — wyszeptał do Mabrukiego. A do Dualli: — Zwiń do góry boczne ściany namiotu. I podaj mi dużą porcję chininy... a potem kieliszek Madery.

Połknąwszy tę desperacką dozę, Stanley posłyszał szmer nadchodzących kroków. Gdy go podniesiono do siedzącej pozycji, zobaczył, że Zanzibarczycy ustawili się w półkole wokół otwartego namiotu. Uledi stał przed innymi. Europejscy oficerowie podeszli do nóg jego łóżka, a Christopherson zbliżył się i ujął go za rękę. Stanley zmagął się z oszałamiającym efektem chininy. Z olbrzymim wysiłkiem, na który przykro było patrzeć, zdołał powoli wymówić jedno jedyne zdanie. To osiągnięcie przyniosło mu

widoczną ulgę, chociaż głos jego był tak słaby, że tylko Christopherson, Mabruki i Duadla usłyszeli go. Nagle z wytrzeszczonymi oczyma wykrzyknął niespodziewanie głośno:

— Jestem uratowany!

...i opadł na poduszki bez przytomności.

Europejczycy spoglądali na siebie z minami, które oznaczały, że nie spodziewają się długo mieć dowódcy. Ale Stanley po dwudziestu czterech godzinach obudził się, po raz pierwszy od długiego czasu głodny i zupełnie przytomny, chociaż jeszcze słaby. W dziesięć dni później siedział już na krześle przed namiotem. A wkrótce wyzdrowiał ostatecznie na wiadomość, że znaczna partia robotników, zwerbowanych przez jego agenta w Zanzibarze, przybyła do obozu. Bula Matari okazywał równy upór w obliczu śmierci, jak i w obliczu innych przeszkód na swej drodze.

Po pięciu latach pracy blokhausy z garnizonami ciągnęły się długą linią przez tysiąc czterysta mil w górę rzeki Kongo. Łączyła je szosa, w częściach tor kolejowy oraz regularna żegluga na spławnych odcinkach rzeki pięciu parowcami. Stworzono skomplikowaną organizację polityczną i ekonomiczną, kupcy otwierali swoje placówki, a cała ta operacja grabieży szczyła się błogostawieństwem boskim, zsyłanym z ust świątobliwych mężów, zakładających coraz liczniejsze misje chrześcijańskie. Dnia 10 kwietnia 1884 roku Stany Zjednoczone, a wkrótce także inne rządy państw europejskich, uznały powołany przez króla Leopolda oficjalny rząd Konga. Co sami mieszkańcy Konga o tym myśleli? — o to oczywiście nikt ich nie pytał. Mogli okazywać swoje uczucia tylko krótkotrwałymi wybuchami, gdy z włócznią i maczugą próbowali porwać się na blokhausy, by doznawać klęsk wobec przeważających sił państw cywilizowanych.

Dnia 1 lipca 1885 roku ogłoszono w Boma proklamację władzy króla Leopolda belgijskiego nad Kongo. Znaczne części północnych brzegów rzeki, zajęte przez de Brazzę, pozostały pod panowaniem francuskim. Portugalczykom udało się wytargować kawałek południowego brzegu rzeki. Za to w wyścigu z agentami brytyjskimi zwyciężyła Belgia i zagarnęła dla siebie bogaty w minerały okręg Katangi.

Leopoldville, Stanleyville, Katanga — te trzy nazwy w ostatnich latach znowu rozbrzmiewały w naszych uszach. Imperializm ze wszystkimi nieszczęściami jakie on przyniósł narodowi kongijskiemu jest ponurym pomnikiem działalności króla Leopolda, europejskich finansistów i Henryka Mortona Stanleya.

„Użyteczność”, „cywilizowanie”, te słowa — tak jak były rozumiane przez Stanleya i jego mocodawców — znalazły swój prawdziwy wyraz w owej drodze przez niego zbudowanej, tej via dolorosa dziesiątków tysięcy umęczonych tubylców — drodze, która wiodła prosto do grobu Patrice Lumumby.

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział XXII

OCALONY ZBAWCA

„Oczekuję wciąż odsieczy, a spodziewam się jej z Anglii”. Człowiek, który dnia 22 lipca 1886 roku napisał te słowa, nosił podówczas miano Emina Paszy i był gubernatorem Prowincji Równikowej Sudanu z ramienia Kedywa Egiptu. Prowincję jego zaatakowały wojska proroka Mahdiego, który mienił się być wysłannikiem Boga i głosił świętą wojnę, by uczynić sprawiedliwość i równość na świecie.

Emin Pasza urodził się w 1840 roku w polskim mieście Opolu, wówczas zwanym Oppeln, jako Edward Schnitzer. Był lekarzem, botanikiem i ornitologiem, znał języki: francuski, niemiecki, angielski, włoski, turecki, arabski, perski, współczesny grecki i parę języków słowiańskich. Uciekł od swej kochanki na dwór sułtana tureckiego, który mianował go lekarzem rządowym w Antivari (dziś Bar w Jugosławii), małym miasteczku na wybrzeżu adriatyckim. Następnie udał się do Kairu, gdzie znalazł uznanie w oczach generała Gordona, generalnego gubernatora Sudanu z ramienia rządu egipskiego, pod protektoratem brytyjskim. Schnitzer przeszedł na mahometanizm, zmienił nazwisko i otrzymał nominację na gubernatora Afryki Równikowej.

Gdy Gordon zginął w Chartumie, a rząd egipski wycofał się z Sudanu, Emin, mający siedzibę w Wadelai na zachodnim brzegu Górnego Nilu, stał się głównym obiektem ataków Mahdiego, który zagarnął już inne prowincje Sudanu, rządzone do tej pory przez władze egipskie.

W miasteczku o białych domach, które Emin Pasza ufortyfikował, stał garnizon złożony z dziesięciu tysięcy egipskich i sudańskich żołnierzy, do tej pory na żołdzie rządu egipskiego. Ale Mahdi mógł zmobilizować kilkaset tysięcy wojowników, którzy z radością gotowi byli umierać za niego. Gdy więc apel Emina o pomoc dotarł do państw europejskich, i to zaraz po wiadomości o śmierci Gordona, sumienia się poruszyły. Ale nie zrozumiano, o co właściwie Eminowi chodziło. Sądzone, że prosząc o „pomoc”, oblężony Pasza chce, by go wyzwolono z oblężonego miasta. Tymczasem Pasza miał nadzieję, że otrzyma poparcie polityczne i odsiecz wojskową, i nie będzie musiał opuszczać wygodnego domu, ani odrywać się od ulubionych studiów botanicznych; pozostanie na miejscu, najchętniej w roli gubernatora kolonii brytyjskiej, pod opieką brytyjskich wojsk.

W Anglii tymczasem przygotowywano ekspedycję ratunkową szczególnego charakteru. Z europejskiego punktu widzenia Emin Pasza dobrze się spisywał w Afryce Równikowej. Dbał o rozwój handlu kością słoniową, kawą i bawełną na bardzo korzystnych dla Europejczyków warunkach. Wysłał tysiące starannie przygotowanych skór zwierząt i ptaków, tysiące egzemplarzy roślin, opatrzonych naukowymi notatkami. W europejskich muzeach znano go dobrze, jak również w kołach, które zajmowały się inwestowaniem kapitałów. We własnym interesie chciano mu pomóc. Ornitolodzy, hydrolodzy, geolodzy, filolodzy i antropolodzy — wszyscy interesowali się działalnością Emina. Wysyłał dane, dotyczące nie znanych dotychczas szczegółów o migracji ptaków w okolicach Górnego Nilu, o opadach deszczowych i formacjach geologicznych, o językach i obyczajach plemion.

On odkrył wielkiego pytona afrykańskiego. Kobiety niektórych plemion — pisał Emin — oswajały pytona, trzymały go w chatach, smarowały tłuszczem i wlewały mu tłuszcz do pyska. Inne plemiona tresowały jadowite żmije i posługiwały się nimi do polowań na antylopy: ukrywano przy wodopoju żmije, które rzucały się na nadchodzące antylopy i kąsały je. Uwiązywano żmije za pomocą sznura, przeciągniętego przez otwory, zrobione w ogonie żmii.

Prowincja była rozległa i chociaż na granicach zbierały się wojska Mahdiego, Emin zajmował się nadal eksperymentowaniem z przędzeniem bawełny, budowaniem statków w nadrzecznych dokach, zbieraniem i klasyfikowaniem ciekawych okazów, uprawą kukurydzy i warzyw, gromadzeniem wielkich zapasów kości słoniowej, które w chwili, gdy wysłał apel o pomoc, obliczano na sześćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów.

Ta kość słoniowa, wraz z innymi bogactwami Afryki Równikowej, które Emin w odpowiednim świetle przedstawił, o wiele więcej zainteresowała Anglików, Francuzów i Niemców, niż osobiste bezpieczeństwo uczonego. Zebrano w krótkim czasie około dwudziestu tysięcy funtów szterlingów (w tym 10 000 od rządu egipskiego pod protektorem brytyjskim), aby wyekwipować i wysłać ekspedycję.

Kogo wybrać na dowódcę takiej ekspedycji, kto najprędzej przezwyciężyłby wszelkie przeszkody i nie zawahał się przed przelewem krwi, gdy chodziło o wydobycie i przywiezienie do Europy zapasów kości słoniowej wartości 60 000 funtów szterlingów?

Gdy Henryk Morton Stanley, Bwana Mkuba, Bula Matari w jednej osobie wyruszył z Anglii w styczniu 1887 roku, przypuszczano powszechnie, że ocali on Emina Paszę od tragicznego losu generała Gordona. Ale otrzymał on również inne zlecenia, które może więcej ważyły w oczach fundatorów wyprawy. Miał przygotować grunt do założenia towarzystwa akcyjnego, które zajęłoby się eksploatacją dominiów sułtana Zanzibaru, położonych na stałym lądzie afrykańskim. Dla króla Leopolda belgijskiego Stanley miał zbadać możliwości przyłączenia Afryki Równikowej do Konga belgijskiego. Eminowi, by zjednać jego zgodę na obydwa te projekty, miano ofiarować przynętę pod postacią uczestnictwa w zarządzie Brytyjskiego Towarzystwa Wschodnio - Afrykańskiego oraz stanowiska gubernatora Afryki Równikowej z ramienia rządu belgijskiego. I jeszcze była sprawa kości słoniowej...

Stanley nie zaniedbywał również swoich osobistych spraw finansowych. Zażądał, aby każdy z dziewięciu białych, którzy mu towarzyszyli, podpisał zobowiązanie, iż nie opublikuje żadnego sprawozdania z wyprawy wcześniej, jak w sześć miesięcy po wydaniu książki Stanleya.

Przygotowania do wyprawy prowadził ze zwykłą sobie dokładnością i ze zwykłym naciskiem na zaopatrzenie w broń i amunicję włącznie z karabinem maszynowym produkcji fabryki Kruppa i wielkim ładunkiem najnowocześniejszych strzelb. Wyborowy prowiant, z dodatkiem najlepszych przysmaków zamówiono w luksusowych sklepach londyńskich. Dziewięciu gentlemanów-ochotników wybrano z setek kandydatów.

Wyprawa nie miała iść na zachód w poprzek Afryki do Jeziora Alberta, jak można było się spodziewać. Stanley wykoncypował plan następujący: zabrawszy tragarzy z Zanzibaru — gdzie go już znano i gdzie

między innymi zaangażował znowu Ulediego — popłynął statkiem dookoła Przylądka aż do ujścia rzeki Kongo, skąd miał przemaszerować przez całą Afrykę od zachodu do wschodu, po drodze zabierając Emina Paszę. Wybór tak nieprawdopodobnej drogi tłumaczył tym, że zapobiegnie ona dezercjom, gdyż Zanzibarczy będą stale zbliżać się do swych domów. Nieprzekonywające było to wytłumaczenie. Wiele osób współczesnych Stanleyowi, a jeszcze więcej w późniejszych czasach zwracało uwagę, że ta trasa, która miała kosztować najwięcej istnień ludzkich, najbardziej odpowiadała królowi Leopoldowi belgijskiemu.

Sułtan Zanzibaru zaaprobował — acz nie bezinteresownie — brytyjskie plany eksploatacji swoich terytoriów na stałym lądzie afrykańskim. Najstynniejszy z handlarzy niewolników, a dawny wspólnik Stanleya, ugrzeczniony, o gładkich manierach, Tippu Tib, przyjął od króla Leopolda nominację na gubernatora Górnego Konga — z wysoką pensją — i zobowiązał się dać tragarzy, którzy by dostarczyli Eminowi Paszy amunicji, a zabrali w zamian kość słoniową.

Tippu Tib miał ostatecznie zawieść Stanleya, zawieść jego europejskich pomocników i przyczynić się do śmierci setek krajowców, których pędzono przez Afrykę pod grozą rewolwerów. Stanley dostał naukę, na którą zasłużył, gdyż świadomie wybrał na gubernatora Górnego Konga człowieka, o którym wiedział, że jest krwiożerczym oszustem, opętanym pożądaniem bogactw i władzy. Tippu Tib sam mu raz opowiedział, bez rumieńca wstydu, jakim sposobem zagarnął niegdyś władzę w dużym kraju w Środkowej Afryce, zwanym Manyemą (zachodnia Tanzania). Otóż od pewnego renegata dowiedział się o wielkich ilościach kości słoniowej w tym kraju. Schlebając Murzynowi, a następnie upijając go, wyciągnął od niego szczegóły obyczajów i tradycji plemienia, zamieszkującego Manyemę. Jego zbrodniczą wyobraźnię podniecała zwłaszcza historia córki pewnego kacyka, którą przed wielu laty wprowadzono w czasie wojen międzyplemiennych, i o której odtąd wszelki słuch zaginął.

Handlarz dał Murzynowi dość pieniędzy, by ten mógł zapić się na śmierć w tawernach Zanzibaru, a sam wyprawił się do Manyemy. Tam zadziwił krajowców znajomością ich plemiennych tajemnic i genealogii ich władców, po czym oświadczył, iż jest synem wprowadzonej córki kacyka, czyli wnukiem panującego władcy. Tippu Tib był mistrzem oszustów i samozwańców. Stary król, imieniem Kasongo, schorowany i znudzony, oburącz uchwycił się sposobności przekazania rządów temu młodemu, energicznemu i zdolnemu człowiekowi. Pierwszym posunięciem Tippu Tib po tym sukcesie było wysłanie całego zapasu kości słoniowej — około sześć tysięcy kilogramów — do Zanzibaru. Następnie na zagarniętym podstępnie terytorium utworzył bazę do atakowania sąsiednich plemion, które obrabowywał z kości słoniowej a ludność porывał w niewolę.

Wybór na gubernatora Górnego Konga ciemniejszy i osławionego mordercy plemion afrykańskich stał się wzorem przyszłych metod imperialistycznych w Kongo. Ludzie Tippu Tib napadli na garnizon europejski w okolicach Wodospadów Stanleya, wobec czego Stanley postanowił przekupić wytwornego handlarza niewolników urzędem gubernatorskim i w ten sposób skierować strzelby jego ludzi przeciw krajowcom w interesie kolonizatorów.

Tymczasem Emin Pasza ściągał do siebie załogi różnych osiedli, rozrzuconych na całym terenie jego prowincji. Mahdi, zapewne uważając Emina za niegroźnego przeciwnika — był odcięty od swoich mocodawców w Egipcie, którzy nawet już nie rościli pretensji do gubernatora, zmuszonego prędzej czy później do ucieczki — nie okazywał pośpiechu. Prowadził wojnę nerwów. Chociaż otoczeni,

żołnierze egipscy i sudańscy wraz z żonami i dziećmi mieli pod dostatkiem żywności, swobodną przestrzeń, nic do roboty. To beczynne oczekiwanie na bitwę, która musi przynieść klęskę z rąk hord synów proroka, spowodowało spustoszenie w szeregach. Oceniając swoje położenie z fatalizmem przybranej wiary, gubernator i komendant tej rozpadającej się społeczności pisał do swego przyjaciela w słowach lepiej oddających nastrój niż położenie geograficzne: „Zawiesiliśmy nasze harfy na wierzbach i siedzimy nad wodami Babilonu”.

Kończył się kwiecień 1888 roku, zanim Emin Pasza otrzymał wieści o nadchodzącym wybawcy od jego wysłańców. Rozłożywszy obóz na brzegach Jeziora Alberta, o zaledwie jeden dzień drogi do najbliższych posterunków Emina Paszy, Stanley wysłał w metalowej łodzi jednego ze swoich oficerów, kapitana Mountenay Jephsona, aby zaprosił Emina Paszę na spotkanie.

Ornitolog i botanik, gubernator Afryki Równikowej, wybrał się pośpiesznie na spotkanie człowieka, który przedarł się przez śmiertcioną dżunglę, odparł niezliczone ataki wrogich krajowców, byle tylko na czas przybyć do Wadelaj, zanim Mahdi zada ostateczny cios. Niegdyś oskarżono Stanleya, że to nie on odnalazł Livingstone'a, a odwrotnie — Livingstone jego. Tym razem, istotnie, tylko z garstką ludzi, prawie bez amunicji, bez żywności, Bula Matari naprawdę potrzebował ratunku — od człowieka, którego miał ocalić.

Gdy Stanley dotarł do wybrzeży Jeziora Alberta, połowa z siedmiuset Zanzibarczyków, z którymi wyruszył, już nie żyła, a reszta pozostała na przestrzeni całej drogi wśród groźnej dżungli. Tragiczne wypadki, bitwy, choroby i głód były codziennymi towarzyszami. Ale z nieustępliwą determinacją Bula Matari parł naprzód przez dżunglę, do której nigdy nie zaglądało słońce, przez podszycie rojne od jadowitych żmii i lian grubych jak udo mężczyzny, splątanych jak sieć pająka, przez polany, jeszcze groźniejsze od dżungli.

Wyszedłszy z cienia lasu — pisał Stanley w „Najciemniejszej Afryce” — trzeba najpierw przepłynąć sto jardów wzdłuż ogromnego zwalonego pnia, potem wzdłuż konara zwrócić się pod kątem prostym. Po paru krokach stajemy w obliczu leżącego pnia o średnicy trzech stóp, przez który trzeba przeleźć, z kolei przedostać się przez rozpostarte konary innego zwalonego drzewa, potem pełzać, czołgać się, skakać z gałęzi na gałąź, wreszcie wdrapać się na pochyły pień, na dwadzieścia stóp nad ziemią. W głowie się kręci, trzeba zimnej krwi i dobrego oka. Po dłuższym ostrożnym balansowaniu rozpoczynamy powolne schodzenie po stromej pochyłości... i tak godzinami pod palącymi promieniami słońca, w dusznej i wilgotnej atmosferze leśnej polany, która oblewa nas wszystkich strumieniami potu.

W trakcie tych przerażających ćwiczeń gimnastycznych, o włos trzykrotnie uniknąłem śmierci. Jeden człowiek zmarł tam, gdzie spadł... Poważna to sprawa, gdy karawana ludzi obciążonych ciężkimi bagażami staje w obliczu przejścia przez takie cmentarzysko leśne. Strumienie, bagna i doły są często o dwadzieścia i więcej stóp poniżej oślizłego pnia, po którym się idzie jak po moście. Ludzie potykają się, ślizgają, dwóch już spadło, jedni chwiejnie posuwają się na wysokości dwudziestu stóp nad ziemią, inni pełzną pod pniami po bagnistej nawierzchni.

Ale oprócz ponurych, malował Stanley i inne, nie tak posępne obrazy.

Słońce zabłyśło przez baldachim lasu, rozjaśniło mroki, przekształciło pnie w marmurowo popielate kolumny, a krople deszczu z ubiegłej nocy w mieniące się brylanty; rozweseliło ptaki, które wybuchnęły śpiewem; natchnęło stada barwnych papug do radosnych wrzasków i poświstywań, a stada małpek do zabawy i nawet płochliwe szympany jęły uganiać.

Dzień po dniu, z nadejściem wieczoru, chmury zbierały się, grzmoty rozbrzmiewały echem po dżungli, błyskawice przecinały od szczytu do korzeni olbrzymie drzewa, a deszcz padał tak ulewny, jak by wiadrami lano wodę z nieba.

Najważniejszym problemem w dżungli była żywność. Wyprawa często ograbiła plantacje Pigmejów. Całymi dniami biali i czarni żywili się jagodami leśnymi, które Stanley opisał dość ogólnikowo, bez naukowej ścisłości Livingstone'a lub Emina Paszy. *Najwięcej zawdzięczamy pewnemu drzewu o drobnych listkach. Jego owoce, ukryte w strąkach długości dziesięciu cali, zawierających po cztery ziarna sercowatego kształtu, nazywają tu makweme. Każde ziarno okryte jest twardą, ciemno purpurową skorupką, po ścięciu której ukazuje się wewnętrzna skórka, różowej barwy. Po zdrapaniu tej wewnętrznej skórki ziarno można zgniatać albo gotować w całości.*

Po długich tygodniach takiego podróżowania i braku żywności, wyprawa wkroczyła wreszcie na pagórkowatą, otwartą krainę, *zieloną jak angielska murawa*. Na ten widok każdy przystanął, jakby na rozkaz, chociaż nikt takiego rozkazu nie wydał, po czym wszyscy jednocześnie rzucili się biegiem naprzód. Kiedy zatrzymali się bez tchu w tym radosnym biegu, Stanley mógł wreszcie dobrze się rozejrzeć dokoła. Miła za miłą ciągnęły się porośnięte trawą łagodne, tu i ówdzie ozdobione kępami ogromnych drzew wzgórza. *Ptaki, których nie widzieliśmy od tak dawna, wlatywały wokół; antylopy, między nimi cudne oryksy, stadami pasły się na wzgórzach, a spojrzawszy na nas ze zdziwieniem, puszczały się wdzięcznymi skokami i parskały jakby z oburzeniem; bawoły podnosiły łby, a zmierzywszy nas wzrokiem, podnosiły swe ciężkie ciała i wynosiły się na bezpieczniejszą odległość.*

Gdy wyprawa dotarła do tej idyllicznej krainy, usposobienie Stanleya było o tyle popędliwe, o ile stan jego zdrowia kiepski. Biali jego towarzysze, którzy szli z nim do końca, zniechęceni go serdecznie. Jednemu z nich Stanley nawymyślał w obecności znających język angielski Arabów od „syna kuchty okrętowego i przeklętej suki”; drugiemu, młodemu oficerowi, groził, że napisze do kraju i złamie mu raz na zawsze karierę wojskową. Tragarzom zabronił przyjmowania rozkazów od kogokolwiek prócz Bwana Mkuby i nakazał wiązać każdego, kto by hamował pochód. Jeden z oficerów, major Edmund Barttelot, pisał do swego szwagra: „Im ciężiej pracujemy, tym posępniej Stanley na nas spogląda. Po długim, nużącym marszu nie spotyka nas uśmiechem ani pochwałą, co najwyżej powie: Pakunek zgubiliście!” Inny z uczestników wyprawy, James Jameson, twierdził, że cokolwiek by dokonali, zawsze wszystko dla Stanleya było źle. Tragarzy również spotykały częste kary, aż do trzystu uderzeń biczem.

Były i pogodniejsze chwile. Pewnego razu jeden z wodzów urządził dla członków wyprawy pokaz tańców wojennych. *Przystrojeni w białe pióra „przywódcy” ustawili trzydzieści trzy szeregi po trzydziestu trzech mężczyzn w regularny, solidny i ścisły kwadrat. Większość mężczyzn miała tylko po jednej włóczni, niektórzy po dwie, prócz tarczy i kołczanów, które każdy miał zawieszony na szyi.*

Falanga stała nieruchomo z włóczniami wbitymi w ziemię. Na sygnał bębnowy wódz odezwał się dziką, triumfalną inkantacją, a wraz z najwyższą nutą podniósł wysoko włócznię: natychmiast poderwał się

las włóczy i odpowiedział mu potężny chór; falanga ruszyła naprzód, a ziemia pod moim krzestem, które znajdowało się o pięćdziesiąt jardów od pierwszego szeregu, zdrząta jak od trzęsienia ziemi. Spojrzałem na stopy wojowników i ujrzałem, że każdy uderzał z całych sił nogami o ziemię, posuwając się krokami po parę cali naprzód...

Tysiąc głów jednocześnie podnosiło się i pochylało w takt melodii. Gdy mężczyźni śpiewali, a raczej wyli z twarzami podniesionymi w górę, a głowami w tył odrzuconymi, aby głosom nadać największą moc, ten śpiew ich wydał mi się wyrazem nieugaszanej pasji, wściekłości, szaleństwa wojny; zdawało się, że napełniał każdą duszę namiętnością walki. Oczy widzów zabłyśły, prawe ramiona wznosiły się w górę, potrzęsały zaciśniętymi pięściami, jak by serca ich gorzały emocją walki. Ale gdy śpiewacy schylali głowy, a śpiew ich zniżał się do żalosnego cichego zawodzenia i nam się zdawało, że czujemy cierpienia wojny i zmartwienia, i żal; myśleliśmy o łzach i boleści wdów, o płaczu sierot pozbawionych ojców, o zrujnowanych domach i spustoszonej ziemi. I znowu, gdy wojownicy stopniowo podchodząc coraz bliżej odrzucali w tył głowy, a broń ich trzaskała i błyskała, pióra mieniły się i szeleściły — taki elektryzujący grzmot dźwięków uderzył o nasze uszy, iż widzieliśmy tylko wspaniałe barwy zwycięstwa i czuliśmy tylko uniesienia triumfu.

Wódz, który pokazywał te tańce Stanleyowi, musiał być dobrym psychologiem. Mało co przemówiło z równą siłą do jego wojowniczego temperamentu, do jego bezwzględności, do jego poświęcenia się misji cywilizacyjnej pod egidą broni Kruppa.

Stanley gnał siebie i swoich pomocników morderczym tempem w poprzek Afryki. Nie mógł więc czuć się zadowolony, gdy znalazł obłąkanego gubernatora Afryki Równikowej, zajmującego się swoimi zwykłymi codziennymi sprawami, co noc śledzącego krótkowzrocznymi oczyma okazy botaniczne. Emin doprawdy nie wydawał się mieć jakichkolwiek trudności. Był w lepszym położeniu od Stanleya, wymęczonego febrą, wygłodzonego, przybitego stratą połowy ludzi.

Trudno sobie wyobrazić dwóch mężczyzn tak absolutnie odmiennych, jak ten dobrze odżywiony „uratowany” gubernator i „wybawca”-nędzarz. Emin, o umysłowości ścisłej i przezornej, o usposobieniu fatalistycznym, biernym, niezdecydowanym, skłonny do kompromisów; Stanley, ambitny, wytrzymały, niecierpliwie odtrącający subtelne preteksty, pogardliwy wobec uczonych i zbieraczy, w każdej rozmowie przystępujący wprost do sedna sprawy, tak jak przebojem szedł, by spełniać swoje misje.

Na pierwsze spotkanie — dnia 29 kwietnia 1888 roku — Emin przyprowadził ze sobą kilku oficerów egipskich oraz dziennikarza i podróżnika włoskiego, Gaetano Casati, kapitana bersaglierów. Obaj Europejczycy ubrani byli w nieskazitelnie białe ubrania i czerwone fezy na głowach.

Stanley, wychudły, w odzieży zniszczonej, prawie w łachmanach, potrzęsał ręką każdego po kolei nie wiedząc — nie próbował nawet tego zgadnąć — który jest Eminem Paszą. Wreszcie jeden z przybyłych, mężczyzna średniego wzrostu, o pociągłej twarzy i ciemnej brodzie, o głęboko osadzonych oczach, które unikały śmiałego spojrzenia wprost, odezwał się doskonałą angielszczyzną:

— Winien jestem panu tysiąckrotną wdzięczność, panie Stanley.

— Więc to pan jest Eminem Paszą — odrzekł Stanley. — Nie mówmy o wdzięczności, ale proszę do mego namiotu. Siądziemy. — Kazał otworzyć pięć butelek szampana, które niesiono przez tysiąc mil z narażeniem życia.

Ale szampan nie wystarczył, by nakłonić Emina do powzięcia jakiegokolwiek decyzji. „Czekał pomocy” i wydawało się, że najchętniej czekałby tak dalej, co trudno było Stanleyowi zrozumieć. Podczas pierwszych dwóch spotkań Stanley nie zdołał nawet nakłonić „ocalonego”, by zechciał rozmawiać o swoich planach. Emin powątpiewał, czy ludzie Stanleya potrafią doprowadzić jego Sudańczyków i Egipcjan bezpiecznie do Zanzibaru. Grał na zwłokę, a Stanley irytował się coraz bardziej, chociaż tym razem winien był hamować swoją popędliwość, gdyż od dobrej woli Emina zależało dostarczenie żywności członkom wyprawy.

Minął prawie cały miesiąc, a Emin wciąż się wahał — ma opuścić Afrykę Równikową, czy pozostać i oczekiwać dalszego rozwoju wypadków. A może jeszcze trochę poczekać, aż coś się wyjaśni? Wreszcie Stanley nie mógł już dłużej czekać. Na całej długości drogi do zachodniego wybrzeża pozostawił na łasce losu tylną straż wyprawy i szereg obozów z chorymi, którzy nie mogli już maszerować dalej. Postanowił pozbierać ich i doprowadzić do Jeziora Alberta. Zostawił Jephsona ze zleceniem, aby namawiał Emina Paszę do opuszczenia Wadelai, a sam z jedynym pozostałym białym uczestnikiem wyprawy, lekarzem Thomasem Parke, wyruszył raz jeszcze w przerażającą dżunglę. Bula Matari nie łudził się co do trudności tego marszu. Dnia 23 maja, w wilię opuszczenia Wadelai, zapisał w dzienniku:

Zanzibarczycy zabawiali dziś Paszę i jego oficerów tańcami pożegnalnymi... Wiem, że wielu z nich patrzyło na Paszę ostatni raz.

Rozdział XXIII

POWODZENIE ZA CENĘ KRWI

Pigmejom Wielka Dżungla nie wydawała się tak straszna, jak białym kolonizatorom i Zanzibarczykom, idącym na odsiecz Eminowi Paszy. Czarne karty wśród labiryntu obalonych pni, gęstego podszycia, zaczajonej śmierci od ukąszenia żmii — czuły się tak samo w domu, jak skradające się pantery.

Ten leśny ludek nie budował wiosek na polanach, lecz głęboko w podszyciu dżungli zakładał ubogie osiedla, złożone z małych okrągłych chat o dachach z różnorodnej zieleniny, na skrzyżowaniach szlaków wiodących przez dżunglę. O sto mniej więcej jardów od osiedla wznosił przy trakcie prymitywną strażnicę, mieszczącą dwóch ludzi. Jeśli zagrażało im niebezpieczeństwo, atakowali zatrutymi strzałami; na ścieżkach zakładali pułapki zaopatrzone zatrutymi kolcami, stali gońców do normalnego wzrostu sąsiadów z wieścią o zbliżaniu się intruzów.

W wielkie doły, wykopane na polanach lub na leśnych szlakach i zakryte umiejętnie zielenią, chwyтали słonie, bawoły i antylopy. Na szympanse i pawiany mieli inne pułapki: wśród gałęzi zawieszali na sznurze orzechy, a sznur przyczepiali do ukrytej sieci; gdy zwierzę chwytało za orzech, szarpało tym samym sznur ściągający sieć, która spadała i owijała łup. Zнали, też pułapkę w formie łuku, który niebacznie spuszczone chwytał za szyję cybety, śmierzdiele i ichneumony. Do stałych zajęć Pigmejów należało też chwywanie ptaków o barwnym upierzeniu, zbieranie miodu, a także sporządzanie trucizn. Futra, skóry, pióra, mięso i kość słoniową wymieniali w rolniczych osiedlach na platan, bulwy, tytoń, dzidy, noże i ostrza do strzał. Jedynymi domowymi zwierzętami, jakie hodowali, były wyjątkowo piękne kozy oraz drobne, kundlowate psy.

Prowadzili życie czynne, ruchliwe, urozmaicone, nie szkodząc nikomu, kto nie zagrażał ich życiu. Natomiast najeźdźcę otaczali ze wszystkich stron, atakowali w marszu i podczas spoczynku. Nieustraszeni mali wojownicy wynurzali się z wykrotów leśnych i oddawszy zza drzew i krzewów śmiercionośne strzały do nieprzyjaciela znikali tak nagle, jak by roztopiali się na tle zieleni dżungli.

Przez taką dżunglę, wśród Pigmejów szła wyprawa Stanleya. Wartownicy ukryci w szalasach na skraju osiedli wysyłali sygnały ostrzegawcze: jak ogień na wietrze, tak szło ostrzeżenie. Oto idzie jakaś wielka, dziwna bestia przez las Pigmejów i innych rolniczych plemion murzyńskich. Trzeba tego wroga nieznanego schwytać w pułapkę, ustrzelić z łuku, nauczyć, że to nie miejsce dla obcych. Biada temu, kto chciałby się wtrącać do Pigmejów.

Bula Matari i Zanzibarczycy przedzierałi się przez dżunglę w powrotną drogę, by pozabierać pozostawionych członków wyprawy.

Dnia 24 maja 1888 roku Stanley zrobił odkrycie, które było może najważniejszym osiągnięciem całej tej ekspedycji. Ku swemu zdziwieniu ujrzał w okolicach pomiędzy jeziorami Alberta i Edwarda, tuż na północ od równika, olbrzymie, pokryte śniegiem wierzchołki gór: osławione, bajeczne Ruwenzori, wznoszące się do 16 500 stóp n.p.m., „Góry Księżycowe”, ostateczne źródło Nilu, legendarne homerowskie Lunae Montes, których geografowie ani rusz nie mogli umieścić na mapie, aczkolwiek zgadzali się z ich istnieniem.

Bula Matari wysłał do Emina Paszy gońca z zawiadomieniem o tym sensacyjnym odkryciu geograficznym. Gubernator Afryki Równikowej w odpowiedzi złożył gratulacje w charakterystycznych słowach: „Będę się starał usilnie dojrzeć chociaż z dala te nowe odkryte śnieżne szczyty... Z podziwem myślę, że gdziekolwiek pan pójdziesz, zawsze swymi odkryciami wyprzedzasz wszystkich poprzedników.”

Retoryka zbyt daleko poniosła Emina. Na trasie Wielkiej Dżungli Stanley nie miał poprzednika.

Nie było czasu na rozkoszowanie się wspaniałym odkryciem. Bębny wojenne Pigmejów już huczały i rozbrzmiewały echem po dżungli. Bula Matari i jego ludzie czuli się, jak Guliwer w kraju Liliputów.

Posuwali się naprzód, ale płacili za to bolesną cenę. Bezszelestnie wypuszczone zatrute strzały, kolce ukryte na ścieżkach, pułapki — brały obfitą daninę życia. Zanzibarczykom zagrażały nieustanne ataki ze strony jakichś niewidzialnych mocy. Czasem, bardzo rzadko, zdarzało się złapać jednego z małych ludków. Uledi, najzręczniejszy do chwytania jeńców, wziął do niewoli kobietę, którą zwano „królową Pigmejów”.

Przyprowadzono ją do mnie, abym mógł ją obejrzeć — pisał Stanley. — Na szyi miała zawieszane trzy koła z polerowanego żelaza. Tak samo polerowane były potrójne kolczyki w uszach. Cery jasnobrązowej, twarzy szerokiej, okrągłej, dużych oczu, pełnych lecz drobnych ust. Zachowywała się spokojnie i skromnie, chociaż cała jej strój stanowiła przepaska sporządzona z kory drzew. Wzrostu liczyła cztery stopy i cztery cale, a lat mogła mieć dziewiętnaście lub dwadzieścia.

Wydaje się, że była to królowa w sensie współczesnej królowej piękności.

Inny schwytany Pigmej, mężczyzna wysokości czterech stóp, o skórze koloru miedzi, nosił rodzaj beretu na głowie, przybranego piórami papug. Jego widok natchnął Stanleya do następujących rozmyślań: *Pomyślcie tylko! Przed czterdziestu wiekami przodkowie tego małego człowieka znani już byli jako Pigmeje, sławna bitwa Pigmejów z bocianami została uwieczniona przez Homera. Na każdej mapie od czasów Hekatajos w 500 roku przed Chrystusem umieszczano ich w okolicach Gór Księżycowych. Gdy Mesu wiódł dzieci Jakuba z Goszen, Pigmeje panowali nad najciemniejszą Afryką jako niewątpliwi władcy. I są tu nadal, gdy niezliczone dynastie Egiptu i Assyrii, Persji, Grecji i Rzymu rozkwitły i znikły.*

Wreszcie wyprawa pozostawiła za sobą Wielką Dżunglę z jej armią wojowniczych karłów. Płynąc czołnami, odnaleziono pozostawioną tylną straż wyprawy, która miała otrzymać tragarzy od Tippu Tiba i pójść w ślad za Bula Matarim. Ale, podobnie jak Stanley, który idąc na odsiecz Eminowi Paszy, musiał w końcu zwrócić się do niego o pomoc, ta część wyprawy, która miała przyjść z pomocą Stanleyowi, teraz od niego oczekiwała ratunku.

Płynęli czołnami z prądem po rzece Kongo, obserwując wyniszczone i opustoszałe wioski nadbrzeżne, co z pewnością było dziełem Tippu Tiba, władcy niewolników, mianowanego gubernatorem Górnego Konga przez króla Leopolda i jego doradcę, Stanleya. Było to 17 sierpnia, około godziny dziesiątej rano. Kiedy znajdowali się w pobliżu wioski Banalya, Uledi nagle poderwał się w swoim czołnie i wskazał ręką na brzeg. Podniósłszy lunetę do oczu, Stanley dostrzegł palisadę, a nad nią powiewającą flagę z półksiężycem. Skoczył na równe nogi, wołając:

— To nasi chłopcy! Wiosłujcie do brzegu!

Gdy podpływali, grupa mężczyzn schodziła wolno ku rzece.

Stanley szukał wzrokiem pięciu białych oficerów, pozostawionych z tylną strażą: majora Barttelot, dowódcę, Jamesa Jamesona, Johna Troupa, Herberta Warda i byłego sierżanta, Williama Bonny.

Do czołna podszedł tylko Bonny i podając rękę Stanleyowi pomógł mu wysiąść.

— Jak się miewasz, Bonny? Gdzie jest major? Chory pewnie?

— Major nie żyje, panie.

— Nie żyje? Wielki Boże! Co się stało? Febra?

— Nie, panie. Zastrzelono go.

— Kto?

— Ludzie Tippu Tiba.

— Wielki Boże! A gdzie jest Jameson?

— Przy Wodospadach Stanleya.

— A cóż on tam robi, na litość boską?

— Poszedł, by dostać tragarzy.

— A Ward i Troup?

— Pan Ward jest w Bangala.

Bangala znajdowało się o tysiąc mil dalej w dół rzeki.

— Bangala! Czemu tam?

— On jest w Bangala, a pan Troup zachorował i przed paru miesiącami wrócił do domu.

Jameson, chociaż jeszcze o tym nie wiadomo nad brzegami Kongo, zmarł już na malarię. Wardowi major Berttelot kazał wrócić do Bangala. Z kilkuset ludzi, którym polecono, aby szli z pięciu białymi oficerami w ślad za Bula Matari, gdy tylko dostaną tragarzy od Tippu Tiba, prawie połowa zmarła lub zdezerterowała. Tippu Tib nie dotrzymał obietnicy. Może wtedy Stanley zaczął pojmować prawdziwą naturę tego handlarza niewolników, którego uczynił swoim wspólnikiem w grabieniu narodów Środkowej Afryki.

Wiadomości te mogły doprowadzić do rozpaczki każdego, ale nie Stanleya. Nie darmo zwano go Bula Matari — ten, który rozbija skały. O pierwszej chwili depresji tak pisał: *Zaledwie wiem, jak przetrwałem pierwszych parę godzin. Nie kończąca się opowieść o katastrofach raziła moje uszy. W powietrzu unosiła się groza klęski, a wzrok mój natrafiał na coraz wstrętniejsze widoki. Słuchałem*

słów o morderstwach i śmierci, o chorobach i strapieniu, a gdzie tylko spojrziałem, zapadnięte oczy umierających patrzyły w moje oczy.

Tymczasem w Londynie, Paryżu, Berlinie i Brukseli fundatorzy ekspedycji wysłanej na odsiecz Eminowi Paszy czekali wiadomości o kości słoniowej — wartości 60 000 funtów szterlingów — o perspektywach Brytyjskiej Kompanii Wschodnio - Afrykańskiej i o nadziejach przyłączenia Afryki Równikowej do Konga belgijskiego.

Stanley szybko otrząsnął się z wrażenia. Miał swoją misję: świat czeka na sprawozdanie z jego podróży. Zabrał się do organizowania smętnych resztek tylnej straży i dnia 31 sierpnia ruszył jeszcze raz przez Wielką Dżunglę.

Tymczasem Emin Pasza, Casati i Mountenay Jephson mieli własne kłopoty. Poddani gubernatora zbuntowali się. Emin udał się do dawnej stolicy prowincji, Dufile, aby namówić egipskich i sudańskich żołnierzy do wycofania się do Zanzibaru wraz z wyprawą Stanleya. Ale żołnierze uznali, że lepiej im się opłaci porwać Stanleya i jego bagaże, które, jak przypuszczali, zawierają ogromne bogactwa. Zaczęli więc od wtrącenia do więzienia gubernatora i jego białych towarzyszy, których trzymali w niewoli przez trzy miesiące.

Los chciał, jak na ironię, że to właśnie wojska Mahdiego pośrednio przyczyniły się do uwolnienia Emina, gdy zażądały poddania się garnizonu Dufile. Żołnierze zamordowali wysłanników Mahdiego, uwolnili Emina i jego towarzyszy, po czym razem uciekli na południe, by oczekiwać przybycia Stanleya nie z groźbami, lecz z błaganem, by ich zaprowadził do Zanzibaru.

Stanley przybył z powrotem nad Jezioro Alberta w grudniu 1888 roku. I tym razem zastał Emina w położeniu, które „zbawcy” bardziej odpowiadało. Poddani i żołnierze buntowali się przeciw gubernatorowi, więc Stanley sądził, że teraz Emin posłusznie spełni to, co mu się każe. Wyzaczył dwudziestodniowy termin na przygotowania do drogi i przybycie na południowy kraniec Jeziora Alberta, skąd wyprawa miała ruszyć do Zanzibaru. Ale źle ocenił Emina: ten zdecydowanie odmówił podporządkowania się rozkazom.

Był już luty, kiedy gubernator, skruszony brakiem poparcia Kairu i pośrednio Londynu, pojawił się wreszcie w obozie Stanleya. Ale trzeba było jeszcze czekać kilka tygodni. Irytujące to były tygodnie. Poplecznicy Emina coraz liczniej przychodzili do obozu wraz z dobytkiem, który tragarze Stanleya mieli zanieść do Zanzibaru. Stanley — chociaż cenił w każdych okolicznościach osobiste wygody — ograniczył się do dwóch ładunków osobistego bagażu. Emin Pasza miał dwieście ładunków, Casati osiemdziesiąt, egipscy oficerowie po czterdzieści. W połowie marca 1037 ładunków czekało w obozie na odtransportowanie do Zanzibaru, a zawierały one między innymi meble, żarna, naczynia gliniane i temu podobne przedmioty. Nie do pomyslenia było, aby to wszystko nieść do Oceanu Indyjskiego. Trudno pozbyć się podejrzenia, że Emin Pasza kpił sobie ze Stanleya. Jeśli tak, to niewiele miał satysfakcji ze swego żartu.

Postanowiono, że 10 kwietnia ostatecznie opuszczą brzegi Jeziora Alberta. Na pięć dni przedtem Emin jeszcze się wahał, czy pójdzie i nie był pewien, ilu z tych, co obiecali z nim pójść, pójdzie naprawdę. Tego już było za wiele dla Stanleya. Wysłał swych zbrojnych askarysów, by zebrali wszystkich

stronników Emina, rozbroił ich i zagroził śmiercią każdemu, kto by ukraść broń. Po czym oświadczył Eminowi:

— Teraz, Paszo, proszę oznajmić swoim oficerom, że są pod moją komendą. I nie dopuszczę do żadnych nonsensów. Moim obowiązkiem jest zaprowadzić ich w bezpieczne miejsce. Zrobię to, ale muszę mieć absolutny posłuch.

Dotrzymano terminu wyruszenia w drogę dnia 10 kwietnia i istotnie panował ład i posłuch. Rozpoczęła się tysiącpięćsetmilowa podróż do oceanu, która miała trwać osiem miesięcy; w ciągu tej podróży wszelkie ludzkie przeszkody pokonywała broń Kruppa: setki strzelb w rękach ludzi Stanleya.

Zbawca i ocalony odnosili się teraz do siebie prawie wrogo. Emin trzymał się w wyniosłym odosobnieniu, poświęcając całą swoją troskę córce, półkrwi Abisynce, imieniem Farina. Niesiono ją w hamaku tuż przed osłem, na którym jechał jej ojciec. Emin nie czynił żadnych wysiłków, by ułagodzić gniewnego Bula Matari. Był przekonany, że Stanley spełni wszelkie jego kaprysy. Bo czyż on, Emin Pasza, nie był głównym obiektem wyprawy? Inne cele, dla których poświęcono wiele istnień ludzkich, mogły być równie ważne dla fundatorów wyprawy, ale tych celów nie rozgłaszano. W oczach prasy wyprawa będzie sukcesem wtedy tylko, gdy sprowadzi Emina całego i zdrowego. Emin rozumiał sytuację i wykorzystywał ją otwarcie.

Pod koniec listopada 1889 roku, w pobliżu oceanu, karawana spotkała niemiecką wyprawę, która szła im naprzeciw. W owym czasie Niemcy osiadły mocno we Wschodniej Afryce. Emin miał potwierdzenie swoich kalkulacji. Stał się sławnym. Towarzyszący Niemcom dziennikarze więcej interesowali się byłym gubernatorem Afryki Równikowej niż jego zbawcą, który ratując Emina, spowodował śmierć setek tragarzy, a dwukrotnie tyle wśród krajowców, którzy mu się opierali.

Król Leopold ostatecznie nie dostał Afryki Równikowej, a co do kości słoniowej wartości 60 000 funtów szterlingów — wszystkie źródła milczą. Nie wiadomo, co się z nią stało. Może to milczenie nieczystego sumienia?

Ta pseudo-ratunkowa wyprawa zakończyła się tragifarsą. W Bagamojo, w dzień przybycia ekspedycji, major Wissman, dowódca niemieckiej wyprawy, wydał bankiet na cześć Emina Paszy oraz — na drugim miejscu — człowieka, który zszedł Afrykę w poprzek od zachodu do wschodu. Bankiet odbywał się na wielkiej werandzie, na dachu niemieckiego kasyna oficerskiego, udekorowanego palmami i flagami niemieckimi. Orkiestra z niemieckiego krążownika przygrywała do uczyty, na którą złożyły się najwytworniejsze przysmaki dostarczone nie tylko przez niemieckich członków wyprawy, ale również sprowadzone z angielskich i włoskich okrętów, od angielskich, włoskich i niemieckich konsulów. Szampan płynął jak z wodociągów. Pod werandą, na ulicy, Zanzibarczycy urządzili tańce przy akompaniamencie fletów i chórów.

Gdy sprzątnięto talerze i półmiski, major Wissman wstał i wzniósł toast na cześć Emina Paszy, Gaetano Casati, Henryka Mortona Stanleya i oficerów wyprawy.

Stanley, który odpowiedział pierwszy, w ostrożnie dobranych słowach uniknął wszelkiej wzmianki o istotnych celach ekspedycji.

Nasze myśli zwracały się stale do dzielnego gubernatora — mówił — który..strzegł swej prowincji z wytrwałością, odwagą i rozsądkiem... Emin jest tutaj z nami, Casati jest z nami, jesteśmy tu ja i moi towarzysze; tak więc ze szczerą i pełną radością myślimy, że mamy już poza sobą codzienne uciążliwe marsze i trudy podróży.

Dziwna to była przemowa, którą Stanley sam podaje, zważywszy, że nie wspomniał w niej ani słowem o setkach towarzyszy, których przecież zwał przyjaciółmi, a którzy zostali na zawsze w dżungli lub na dnie rzeki albo wydani na łup sępów na szerokich, otwartych równinach.

Następnie wstał Emin i w pięknie zaokrąglonych zdaniach wyraził swoją wdzięczność tym, którzy wystali ekspedycję, oraz swoim rodakom, którzy powitali go jak bohatera. W doskonałym humorze — Stanley go nigdy takim nie widział — Emin spacerował później między gośćmi, rozmawiając i żartując z każdym: z konsulami, oficerami marynarki, misjonarzami.

Stanley, słuchając z zainteresowaniem opowiadań majora Wissmana o bitwach, które toczył, by uszczknąć dla swego kraju nieco bogactw Afryki, nie zauważył, kiedy Emin Pasza opuścił werandę.

Nagle chłopak ze służby Bula Matari podszedł do niego i pociągnąwszy za rękaw, szepnął:

— Bwana! Bwana! Pasza spadł z werandy na ulicę.

Stanley odsunął krzesło i zbiegł na dół, by znaleźć na miejscu wypadku tylko dwie małe "kałuże krwi. Paszę zabrano już do niemieckiego szpitala, gdzie Stanley natychmiast pośpieszył. Krótkowzroczny Emin, może z nawyku — przez wiele lat mieszkał w parterowych domach — wyszedł z werandy i spadł o piętnaście stóp w dół. Przynajmniej taka była oficjalna wersja wypadku.

Zaprowadzono mnie na górę do pokoju, gdzie wokół łóżka stała grupa zatroskanych mężczyzn. Zobaczyłem Paszę na wpół rozebranego na łóżku, zmoczone bandaże na czole i prawym oku. Gdy uniesiono mokry opatrunek zobaczyłem, że prawe oko było zamknięte z powodu olbrzymiego napuchnięcia, a opatrunek purpurowy od krwi, wypływającej z prawego ucha.

Po kilku dniach Pasza opuścił szpital, ale tymczasem Stanley wyruszył już z Bagamojo do Zanzibaru. Lekarzowi Stanleya, przysłanemu do pomocy niemieckim doktorom, opiekującym się Paszą, dano niedwuznacznie do zrozumienia, że jego usługi nie są pożądane. W Zanzibarze Stanley nie otrzymał żadnej wiadomości od Emina Paszy. Ani w Zanzibarze, ani nigdzie i nigdy.

Takie skądinąd niewytłumaczalne zachowanie Emina usprawiedliwia domysły na temat wypadku. Wydaje się możliwe, że jeden z poddanych Emina, którzy się buntowali przeciw niemu i tylko pozornie dali się ułagodzić, widząc w nim rzecznika zniechęconej europejskiej kolonizacji, skorzystał ze sposobności, że Emin był podchmielony, i pchnął go z werandy. Wydaje się również możliwe, że Emin, który nie krył swej niechęci do Stanleya i słyszał jak niewielu białych towarzyszy Bula Matari powracało z Afryki, przypisał „wypadek” inspiracji Stanleya.

Emin Pasza odrzucił propozycje brytyjskiej Kompanii Wschodnio - Afrykańskiej i wstąpił na służbę rządu niemieckiego. Prowadził ekspedycję, mającą na celu skolonizowanie okolic jezior Wiktorii i Alberta. Jesienią 1892 roku rozbił karawanę arabską, prowadzącą niewolników, i trzymał później

w swoim obozie jako jeńców kilkunastu Arabów. Gdy siedział w swoim namiocie pośrodku własnego obozowiska, rozpatrując najświeższe okazy botaniczne, kilku arabskich wodzów odsunęło płótno namiotu i weszło do środka.

— Paszo, musisz umrzeć — powiedział jeden z nich. Po czym czterech mężczyzn powaliło go na ziemię i zasztyletowało.

Tymczasem Stanley zakosztował raz jeszcze gorzko-słodkich owoców sławy, aplauzu i zachwytów, przerywanych złośliwą krytyką. Gdy wyszła z druku jego książka „W najciemniejszej Afryce”, wychwalano go, jako największego odkrywcę współczesnego. Równoważyły szalę głosy, przypominające, że spośród tych, którzy wyruszyli ze Stanleyem z Embomy, siedmuset ludzi nie żyje. Z dziesięcioletniego garnizonu w Afryce Równikowej do Kairu dotarło — dwustu sześćdziesięciu żołnierzy.

Emina, którego oswobodzenie było oficjalnym celem wyprawy, *pozostawiono z prawym okiem zamkniętym, krwią wypływającą z prawego ucha* w szpitalu w Bagamojo. Adiutant Emina, Casati, zaciskał pięści na sam dźwięk nazwiska Stanleya. Tym, dla których kość słoniowa i koncesje handlowe nie były alfą i omegą, wyprawa nie wydawała się wcale uwieńczona powodzeniem.

Prawdziwa burza rozszalała się nad głową Stanleya z powodu pozostawionej przez niego tylnej straży, z której tyle osób zginęło. Dowódca wyprawy w liście opublikowanym w londyńskim „Times” przystąpił do kontrataku i winę zwałił na swoich białych pomocników, zwłaszcza na majora Berttelot i Jamesona. Obaj nie żyli i nie mogli się bronić. W książkach, wydanych później przez żyjących jeszcze białych pomocników Stanleya, nie oszczędzano go: wszyscy podkreślali bezwzględność, megalomanię i surowość Bula Matari.

Natomiast Stanley złożył hołd — może cokolwiek dwuznaczny — swoim białym towarzyszom w ostatnich słowach książki

„W najciemniejszej Afryce”: *Dobranoc Paszo, i Ty kapitanie Casati! Dobranoc, panowie z komitetu pomocy! I dobranoc wam wszystkim, moi towarzysze! Oby takie zaszczyty, na jakie zasłużyliście, spłynęły na was!*

EPILOG

Wysoka kobieta, w żałobnym, wdowim welonie stała na cmentarzu w Pirbright, w hrabstwie Surrey przed olbrzymim granitowym głazem patrząc na litery, które kazała wykuć w szorstkiej powierzchni, lecz nie czytając ich. Była jeszcze piękna pomimo pięćdziesiątki, spokój dojrzałości dodawał dostojęstwa jej wysokiej postaci i twarzy o greckim nosie, upartych ustach, głębokich, bystrych, piwnych oczach. Mały chłopiec, również na czarno ubrany, trzymał ją za rękę, ale rozglądał się dookoła tęsknie, jak by szukał możliwości ucieczki z tego miejsca, którego ostateczność nie przemawiała do jego ruchliwego wieku. Po gładkiej, spokojnej twarzy kobiety pojedyncze łzy spływały niespiesznie.

Wyszła za mąż późno, miała wtedy trzydzieści sześć lat. Mąż jej, który za życia wznosił sobie pomniki osiągnięć równie trwałe, jak ten granitowy głaz, liczył lat czterdzieści dziewięć. Uwielbiała go i wiedziała, jak mu potrzebna była jej inteligencja i zrozumienie.

Mężczyźni traktowali go w owym czasie tak, jak by był dokładnie tym, co sugerował jego przydomek — Bula Matari, ten, który rozbija skały. Nikt nie szukał w nim człowieka. A on próbował dostosować się do roli, którą mu narzucono. Przygody jego okrutnej młodości przecięły więzy, którymi mógł się złączyć z sercami innych mężczyzn. Szanowało go i podziwowało wielu, ale nie miał żadnego przyjaciela. Mężczyźni mówili, że jest zimny, wyniosły, nieprzenikniony, odporniejszy od skał, które kazał rozbijać krajowcom w Kongo.

Ale ona była kobietą. Znała dzieje jego najmłodszych lat, wiedziała, że własna matka wyrzekła się go. Czuła, że potrzebował serdecznej czułości, takiej, jakiej nigdy nie zaznał w ramionach matki. I taką właśnie czułą miłość mu ofiarowała.

W rok po ślubie — który odbył się dnia 12 lipca 1890 roku w Opactwie Westminsterskim, gdzie koronowani są królowie Anglii, a grzebani bohaterowie i poeci — Stanley pojechał z odczytami do Stanów Zjednoczonych, skąd w listach do niej pisał: *Co za ulga móc nareszcie otworzyć i szczerze się wypowiedzieć, nie cofać się wciąż zmrożony z powrotem do swojej muszli. Ty wiesz, że między matką a dzieckiem istnieje miłość i zaufanie: ja tego nie wiedziałem; a teraz za łaską Opatrzności w ostatnich latach mego życia zaznaję osłody takich uczuć. Wobec ciebie zaczynam ufnie odstawiać moje myśli i uczucia. Wyrażam ufność... a jednak wątpię wewnętrznie... Nieśmiało zdobywam się na wyznanie, aż wreszcie teraz, gdy całą moją duszę odsłonił przed tobą, stoję bez zwątpienia, w doskonałym zaufaniu.*

Gdy pierwszy raz je przeczytała, słowa te były dla niej triumfem. Do nich powracała w późniejszych latach, one stały się ostoją, do której biegła, by uciec od bolesnych domysłów.

Po ślubie, Stanley powrócił do Afryki już tylko jako gość, zaproszony na otwarcie pierwszej kolei w Południowej Rodezji. Zajmował się podróżowaniem z odczytami po Stanach Zjednoczonych, Australii, Nowej Zelandii. Często towarzyszyła mu żona. Odkrywca, który przemierzył tysiące mil przez środkowoafrykańską dżunglę, przez podzwrotnikowe równiny, wciąż w obliczu groźnych, zatrutych strzał, lecących z poświstem włócznie, spienionych katarakt, atakujących dzikich zwierząt — potknął się na łące w Szwajcarii i złamał nogę. W Afryce, w warunkach prymitywu był samowystarczalny. W tak

zwanym cywilizowanym świecie, potrzebował opiekuńczej troskliwości. Ona wprowadziła go do parlamentu, urodziła mu syna, który stał teraz, trochę niecierpliwie, obok niej. Ona go pielęgnowała w powracających atakach febry i gastritis — spadku po podzwrotnikowych podróżach. Czuła, że ma pełne prawo powiedzieć, iż uczyniła wszystko, co uczynić powinna kochająca żona.

Zimą 1898 roku pomagała mu urządzać piękny dom wiejski, na południe od Londynu, a później podejmowała gościnnie tłumy gości, ciekawych poznać wielkiego podróżnika. Dom przebudowali, rozszerzyli, zmienili pokoje, założyli ogród, nazwali sadzawkę „Jeziorem Stanleya”, a strumień — „Kongo”. Tu, w tym małym imperium, miała nadzieję, że ucichną nareszcie szepty, które groziły, że zabiorą go od niej z powrotem tam, gdzie zrodziła się jego sława. Sądziła, że sukces jej jako żony sławnego człowieka, jest doskonały, że uczyniła go absolutnie szczęśliwym.

Nowa łza wymknęła się jej spod na wpół przymkniętych powiek, gdy przypomniła sobie zdarzenia, które pierwsze zasiały zwątpienie w jej sercu. Wiosną 1903 roku cień śmierci był już nad nim. Przez rok leżał przykuty do łóżka, sparaliżowany po ataku. W kwietniu 1904 roku wdało się zapalenie płuc. Oboje wiedzieli dobrze, że to tym razem oznacza koniec. Gdy pewnego popołudnia podeszła do jego łóżka, ocknął się z drzemki i zapytał niespodzianie:

— Gdzie oni mnie złożą? — A gdy patrzyła na niego zdziwiona, nie rozumiejąc, dodał: — Gdy odejdę...

Słowa te wstrząsnęły nią. Zebrała siły. Wiedziała, że na nic się nie zda łagodzić go wymijającą odpowiedzią. Rzeka odważnie:

— Z pewnością tam, gdzie złożono Livingstone'a. W Opactwie Westminsterskim. — Ale nie zdołała ukryć zmieszania, więc spróbował ją pocieszyć:

— Na każdego z nas czas przychodzi. I tak udało mi się wymknąć śmierci tyle razy...

Zorientowała się, że on nie rozumiał powodów jej zmieszania.

— Ale ja bym chciała leżeć blisko ciebie, gdy mój czas nadejdzie — powiedziała. — A jeśli ciebie pochowają w Opactwie, to będę daleko.

Jego następne słowa odsłoniły przed nią potęgę jego pragnienia sławy, wobec której ona nic nie znaczyła.

— Słusznym jest, abym leżał w Opactwie obok Livingstone'a. Ja znalazłem Livingstone'a.

Po tej rozmowie rzadko już był zupełnie przytomny. Nieliczne słowa, które wymawiał, sprawiały jej coraz większy ból. Dnia 9 maja powtórzył parokrotnie z głębokim westchnieniem:

— Och, ja chcę swobody, wolności! Chcę iść do wielkiego lasu i być wolnym...

Afryka wzywała umierającego. To było zrozumiałe. Ale czyż czuł się wolny tylko w Afryce, tylko wtedy, gdy strzelbą torował sobie drogę przez nieprzebyte dżungle, nieprzepełnione rzeki, dziewicze równiny, gdy szukał nowych źródeł bogactw dla europejskich finansistów? Od czego się teraz chciał uwolnić? Czy życie, które ona ułożyła dla niego tak starannie, ciążyło mu?

Następnego dnia człowiek, któremu się poświęciła z takim samym wyłącznym oddaniem, jak niegdyś on poświęcał się wypełnieniu poleconych mu misji — zmarł, właśnie w chwili, gdy Wielki Ben, zegar na wieży londyńskiej, wybił godzinę szóstą rano.

Dziekan Opactwa Westminsterskiego odmówił spełnienia jego życzenia, a bezwiednie spełnił jej życzenie. Zdecydowano, że mąż jej nie zasługiwał na to, by leżeć obok jedyne go człowieka, którego przez całe życie szanował: Dawida Livingstone'a.

Może dziekan oczyma wyobraźni ujrzał łagodnego Livingstone'a, zawierającego przyjaźń z każdym, kogo napotkał w swych podróżach, i bezwzględne go Stanleya, który przy akompaniamencie salw z broni palnej torował drogę uciskowi i grabieży?

Kazała spalić jego zwłoki. Wewnętrzna walka szarpała nią. On chciał być wolnym, chciał wrócić do wielkiego lasu. W jej mocy było spełnienie tego pragnienia. Mogła zabrać jego prochy do Afryki i rozrzucić je nad brzegami Kongo. Ale jej marzeniem było spocząć obok niego, gdy jej czas nadejdzie. Starła się zagłuszyć echo jego słów — „Chcę być wolny, chcę wrócić do wielkiego lasu” — i nakazała poszukiwania wielkiego głazu granitowego, tego, przed którym stała teraz: dwanaście stóp wysokości, cztery stopy w poprzek, wagi sześć ton. Pod nim złożyła jego prochy. Pod nim i ona kiedyś spocznie.

Chciał być wolnym w życiu. Czy mu tego odmówiła? Chciał być wolnym w śmierci. Czy mu tego odmówiła?

Odrzuciła natrętne myśli i utkwivszy wzrok w głazie, świadomie teraz czytała napis:

HENRY MORTON STANLEY

BULA MATARI 1841-1904

AFRICA

Sierota z Walii, niegdyś uparty dezertor, dziennikarz, który został najślawniejszym odkrywcą i podróżnikiem swoich czasów, człowiek, który powiedział: „Doktor Livingstone, jak sądzę?”, Bwana Mkuba, Bula Matari, spoczywał tu, pod tym głazem, uformowanym przez wieki.

Książka niniejsza opiera się mniej niż większość biografii Stanleya na jego własnych publikacjach. Przyjąłem zasadę, coraz powszechniej dziś uznawaną, że naoczny świadek niekoniecznie jest najlepszym historykiem, a osobiste sprawozdanie nie zawsze najdokładniejszym źródłem. Starłem się raczej na podstawie całego materiału, jakim rozporządzałem, odtworzyć charakter człowieka i tło jego prac, podając moją, nie mego bohatera, interpretację wydarzeń, chociaż oczywiście bez tworzenia nowych incydentów ani przemilczania tych, które by mogły być ważne dla zrozumienia całości.

Z przestudiowania wielotomowego pisarstwa Dawida Livingstone'a i Henryka Mortona Stanleya wynika jasno, że podczas gdy dla Livingstone'a ludzie, prócz cichych murzyńskich sług, byli tylko dystrakcją — wyjąwszy oczywiście jego namiętną opozycję wobec niewolnictwa — odrywającą go od ulubionych studiów geograficznych, zoologicznych i antropologicznych, to dla Stanleya przyroda była tylko pomocą lub przeszkodą — częściej tym drugim — w jego osiągnięciach. Pisma Livingstone'a są materiałem dla naukowców; pisma Stanleya są dość rozgadany m dziennikarstwem.

BIBLIOGRAFIA

„How I found Livingstone", New York 1872

„Through the Dark Continent", New York 1878

„In Darkest Africa", New York 1890

„Autobiography" (opr. przez Dorotę Stanley), New York 1909

Autor powyższych dzieł: H. M. Stanley

„The Life of E. M. Barttelot", W. G. Barttelot, London 1890

„The Years in Equatoria and the Return with Emin Pasha", Gaetano Casati, London 1890

„Emin Pasha and the Rebellion at the Equator", A. G. Mounteney Jephson, London 1890

„With Stanley's Rear Column", J. Rose Troup, London 1890

„My Life with Stanley's Rear Guard", Herbert Ward, London 1890

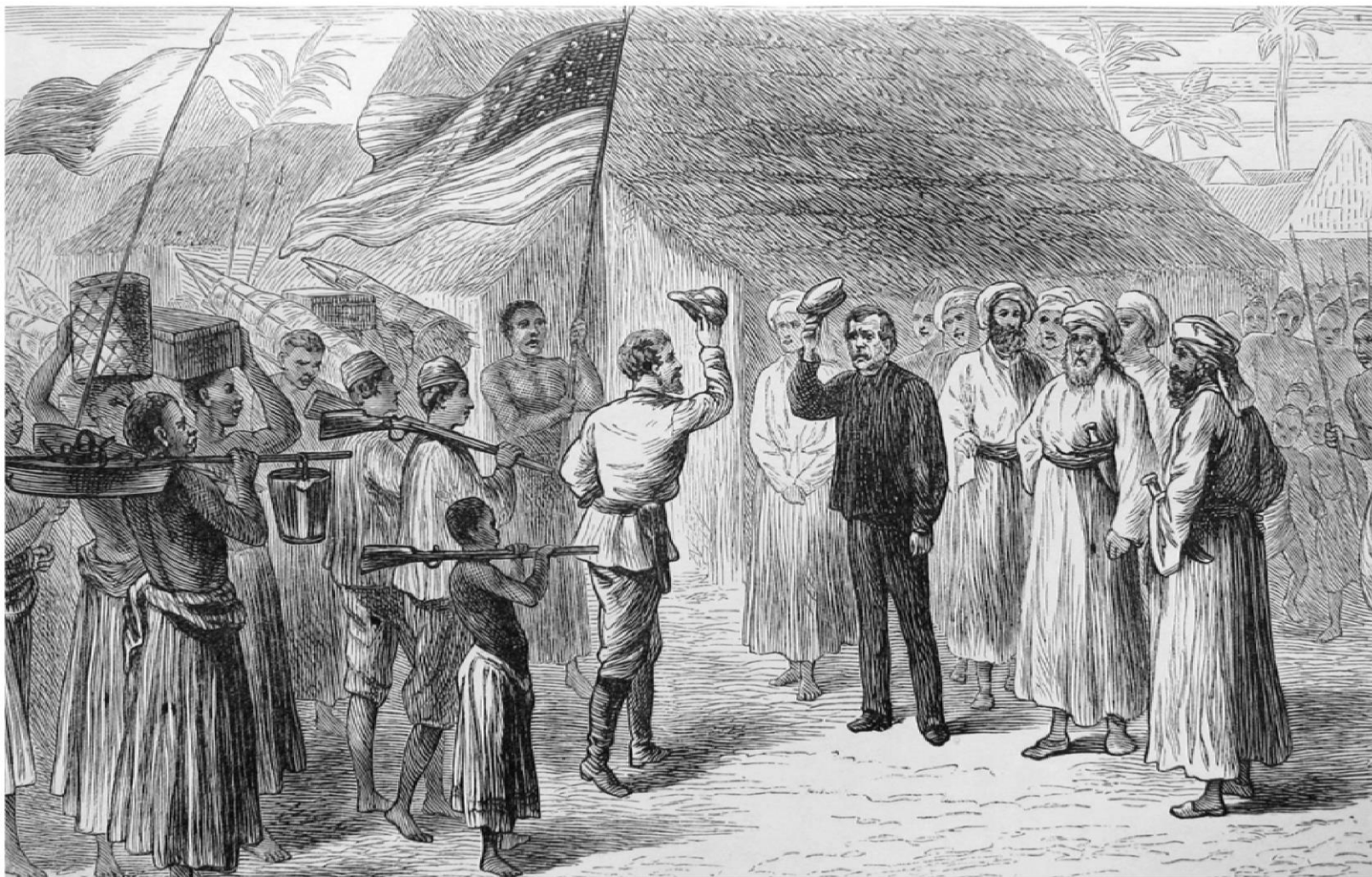
„The Las Journals of David Livingstone" (opr. Horace Waller), Londyn 1874

„The Man Who Presumed", Byron Farwell, Longmans, London 1958

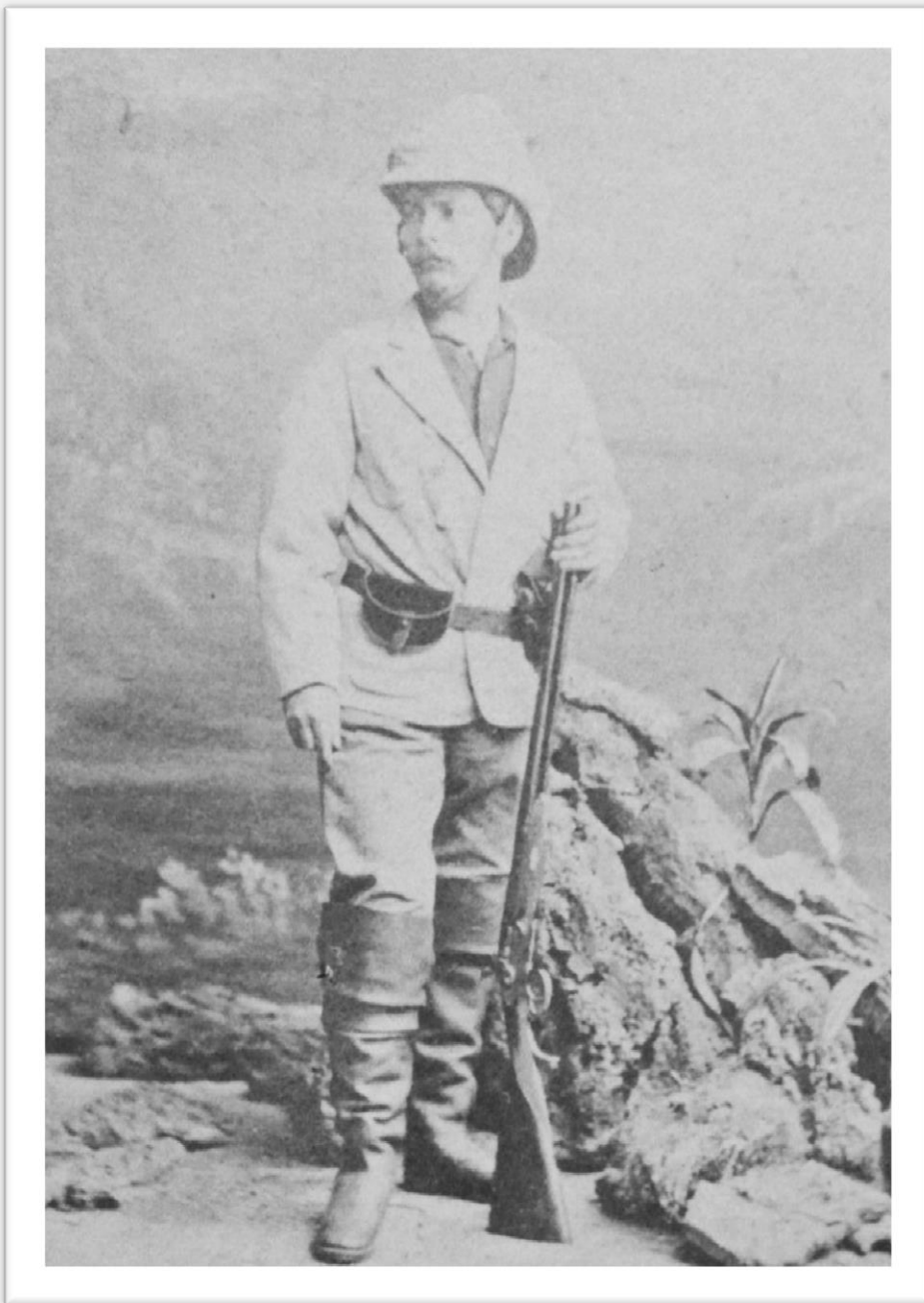
„The White Nile" Alan Moorehead, Hamish Hamilton, London 1960

SPIS ILUSTRACJI

1. **Wyobrażenie sławnego spotkania Stanleya z Livingstonem.** Stanley mówi - "Dr Livingstone, jak sądzę". Zwrot w języku angielskim stał się idiomem, jest sławny i często powtarzany. Ilustracja z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 412.
2. **Ówczesne zdjęcie H. M. Stanleya,** zrobione w Londynie i jego podpis. Fotografia z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 3.
3. **Robert Cornelis Napier.** Z: National Potrait Gallery.
<http://www.npg.org.uk/collections/search/portraitLarge/mw111368/Robert-Cornelis-Napier-1st-Baron-Napier-of-Magdala>
4. **Podpalanie wioski.** Z książki autorstwa H. M. Stanleya „Coomassie and Magdala”. Ilustracja Melton Prior, wyd. Londyn 1874.
5. **Widok na dom króla Magdali.** Z książki autorstwa H. M. Stanleya „Coomassie and Magdala”. Ilustracja Melton Prior, wyd. Londyn 1874, s. 458.
6. **Atak na Magdalę.** Z książki autorstwa H. M. Stanleya „Coomassie and Magdala”. Ilustracja Melton Prior, wyd. Londyn 1874, s. 450.
7. **Przekraczanie Bagien Makata czyli jak podróżowano w Afryce.** Ilustracja z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 135.
8. **Rozmowa Stanleya z Livingstonem. Magalala, Urundi.** Ilustracja z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 494.
9. **James Gordon Bennett,** wydawca New York Herald, który sfinansował wyprawę H. M. Stanleya w poszukiwaniu Livingstona, s. XIV.
10. **Livingstone pisze swój dziennik.** Ilustracja z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 562.
11. **Przeprawa przez jezioro Tanganika.** Ilustracja z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 566.
12. **Dom w którym mieszkał Livingstone i Stanley w Kwihara. Wizyta Arabskich gości.** Ilustracja z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 612.
13. **Jeżeli opuścisz tą skrzynkę zastrzelę!** Ilustracja z H. M. Stanley, „How I found Livingstone”, wyd. Londyn 1872, s. 642.



1. Wyobrażenie sławnego spotkania Stanleya z Livingstonem

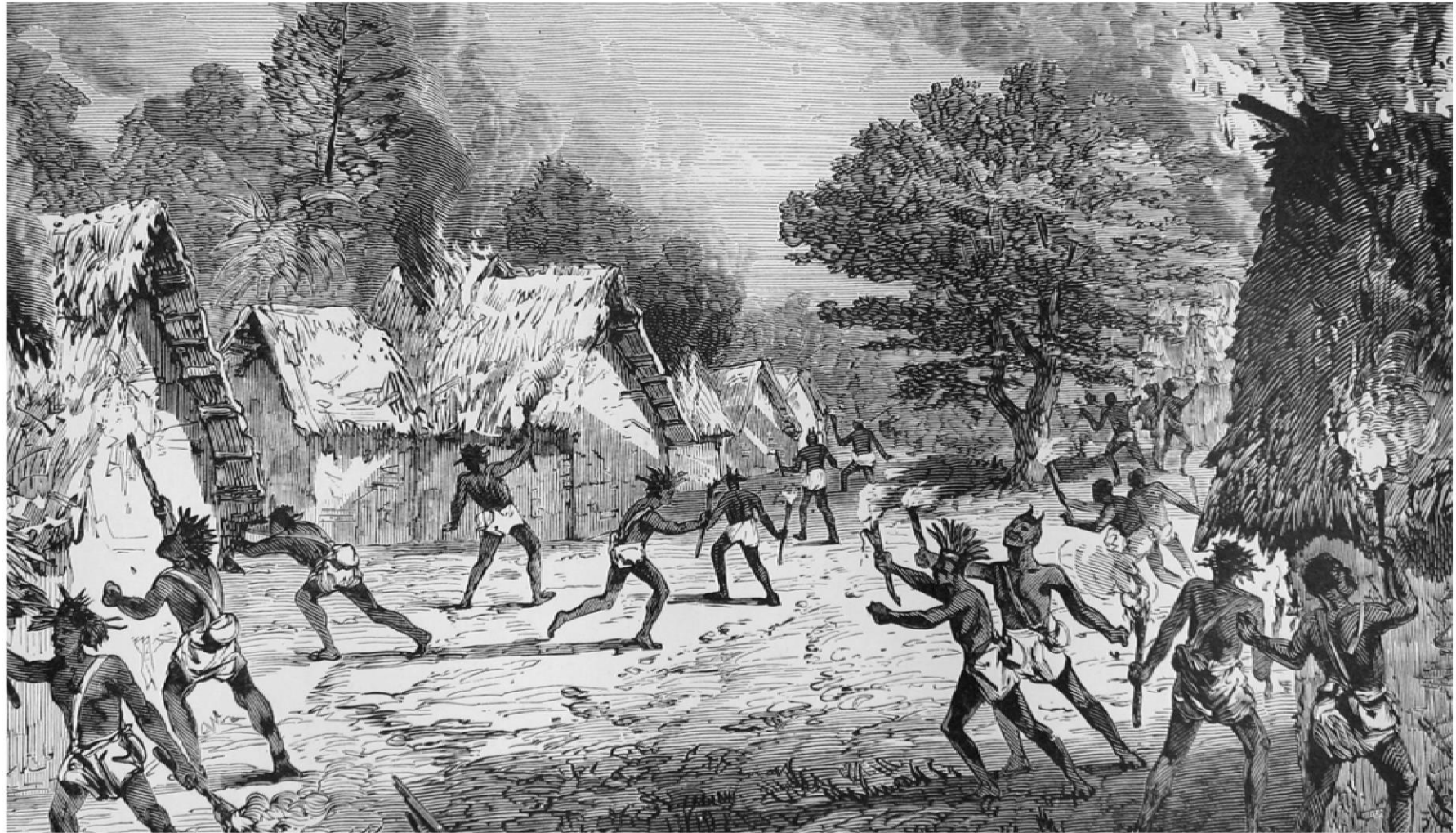


Henry M. Stanley

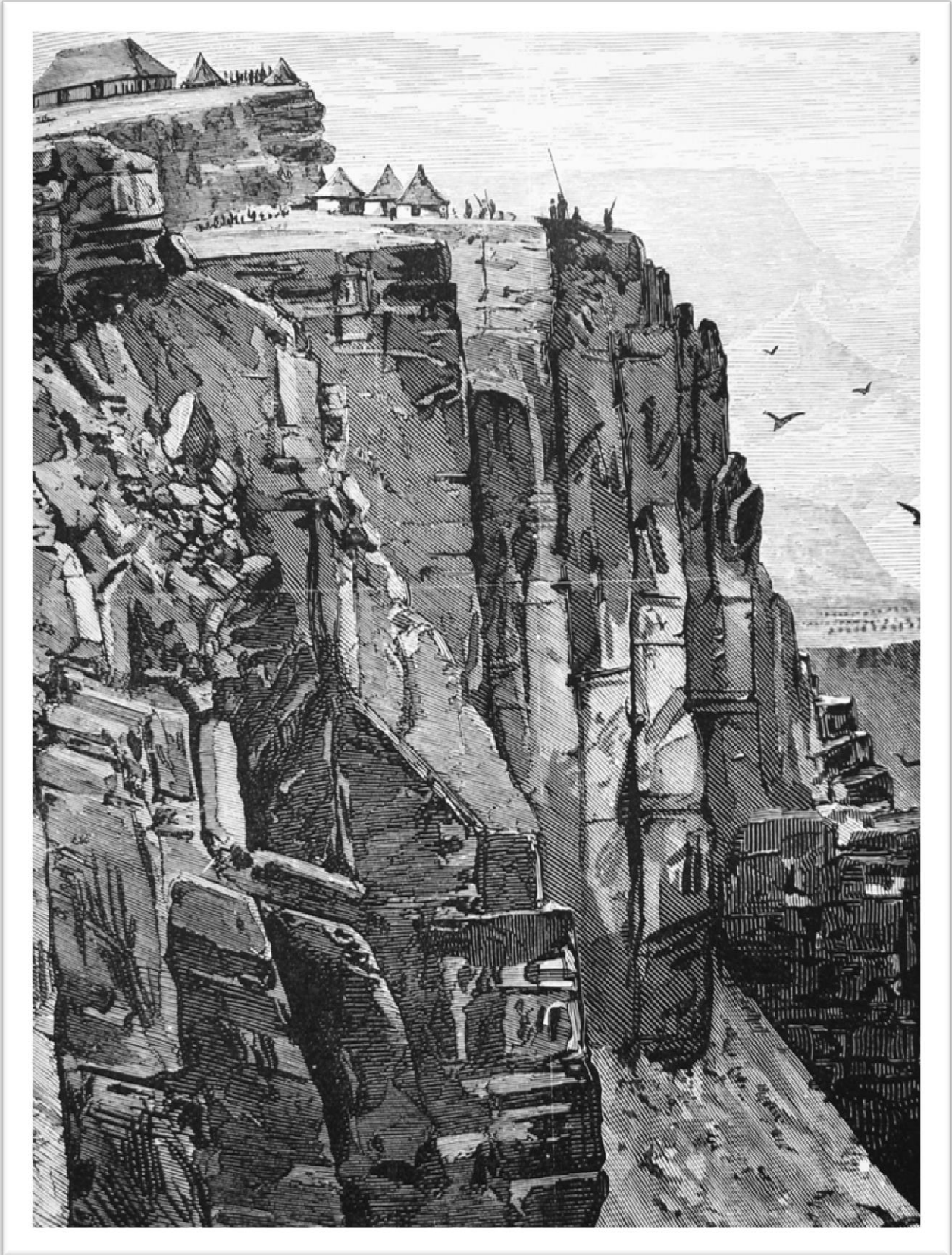
2. Ówczesne zdjęcie H. M. Stanleya oraz jego podpis



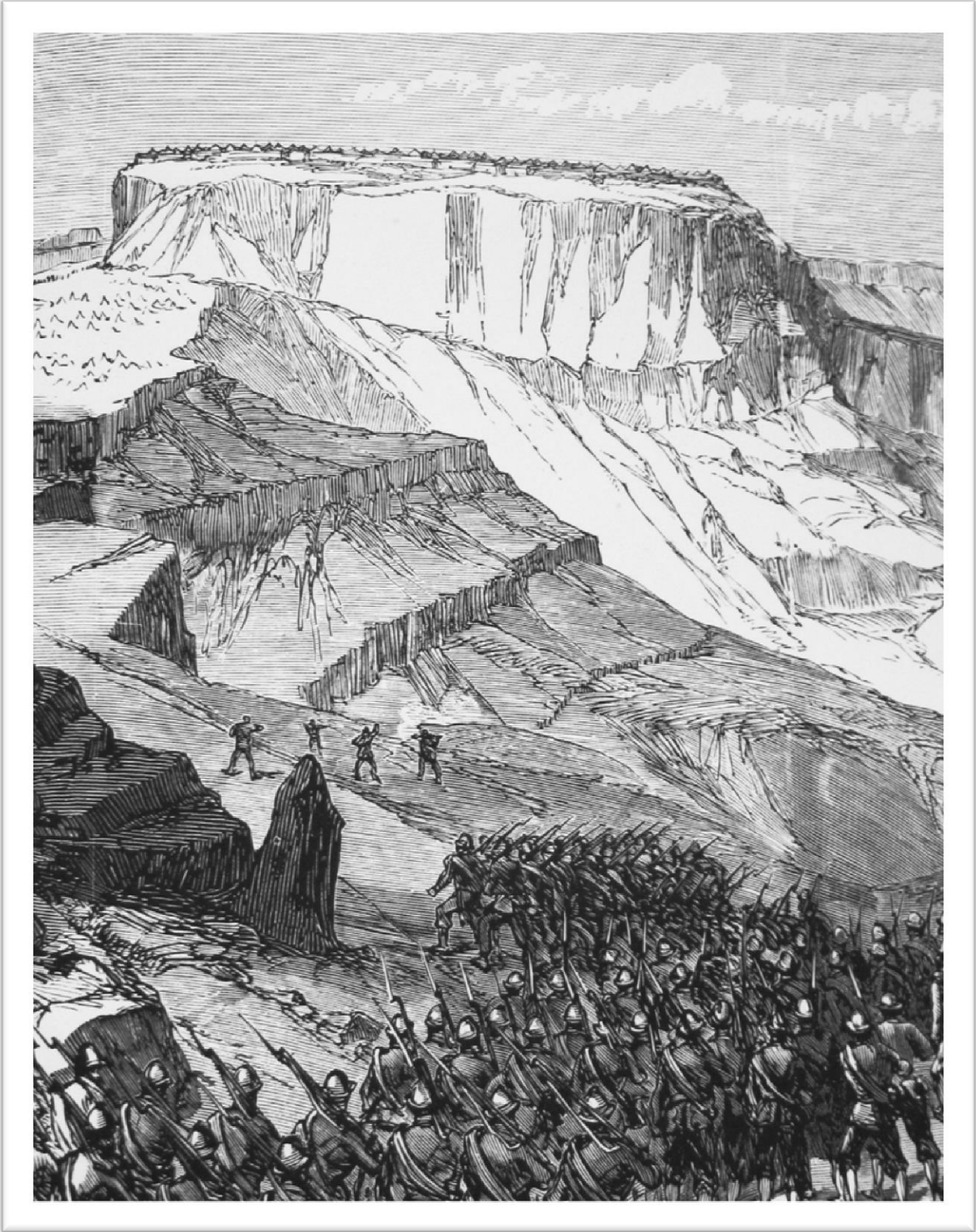
3. Robert Cornelis Napier



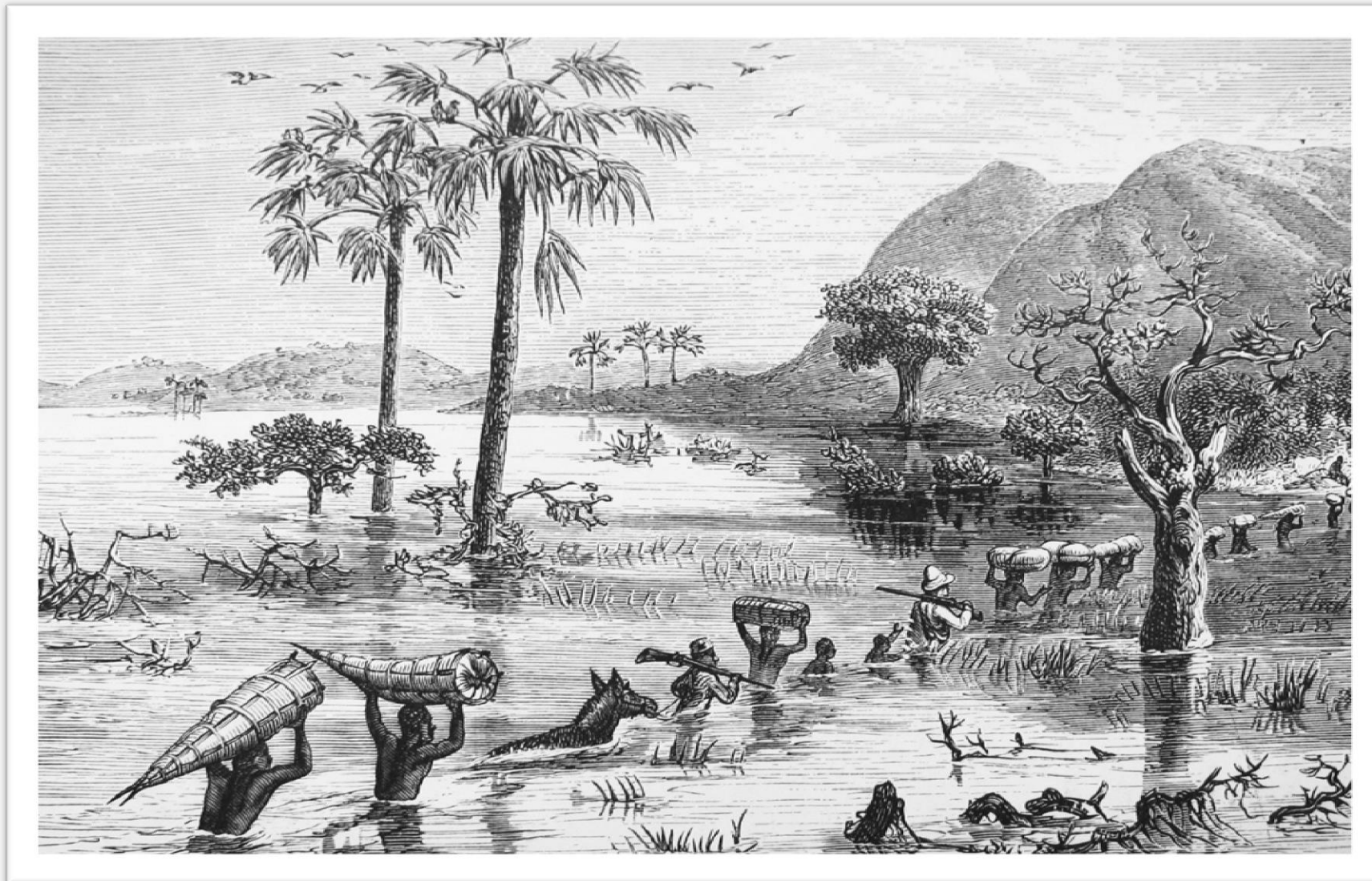
4. Podpalanie wioski



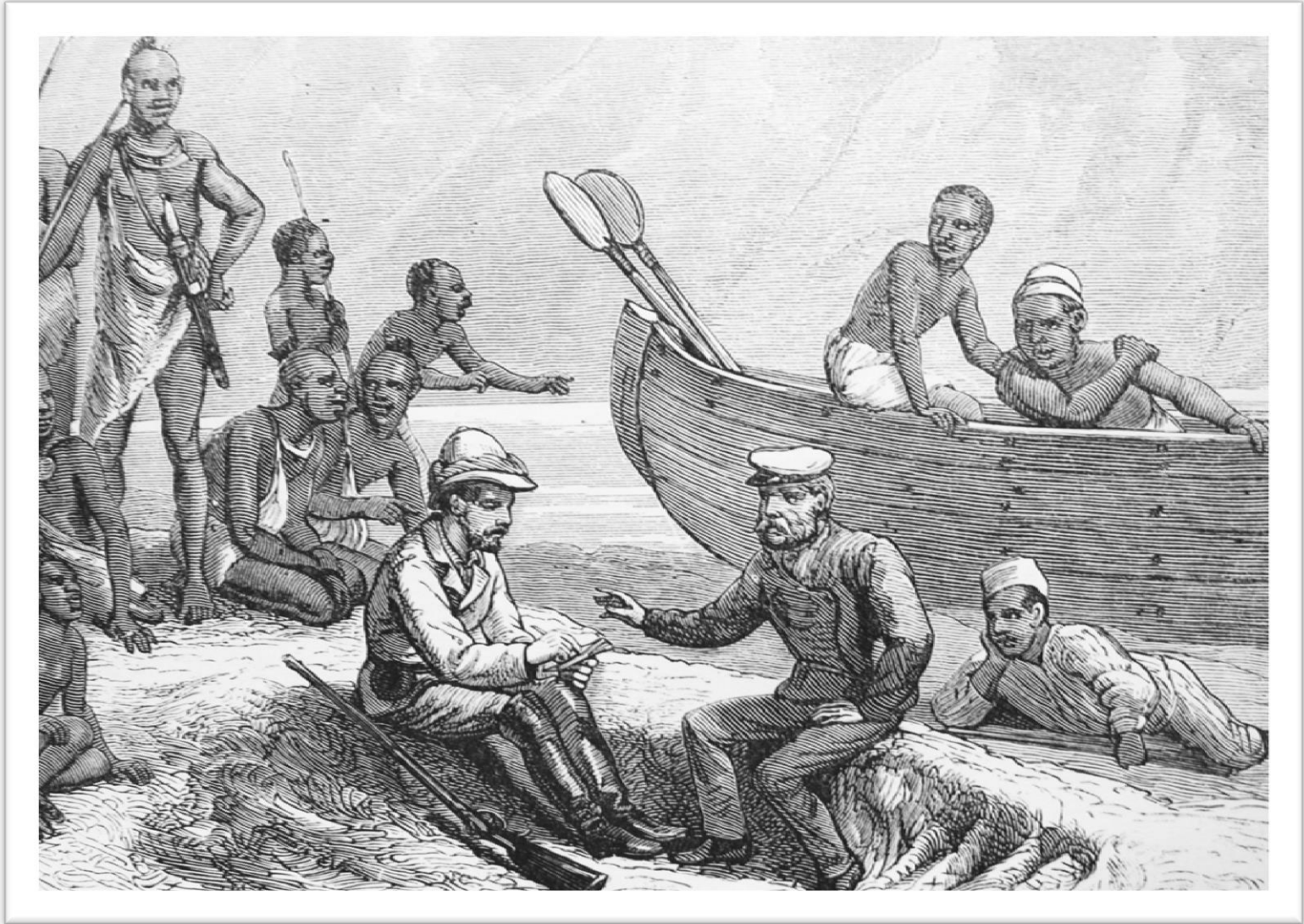
5. Widok na dom króla Magdali



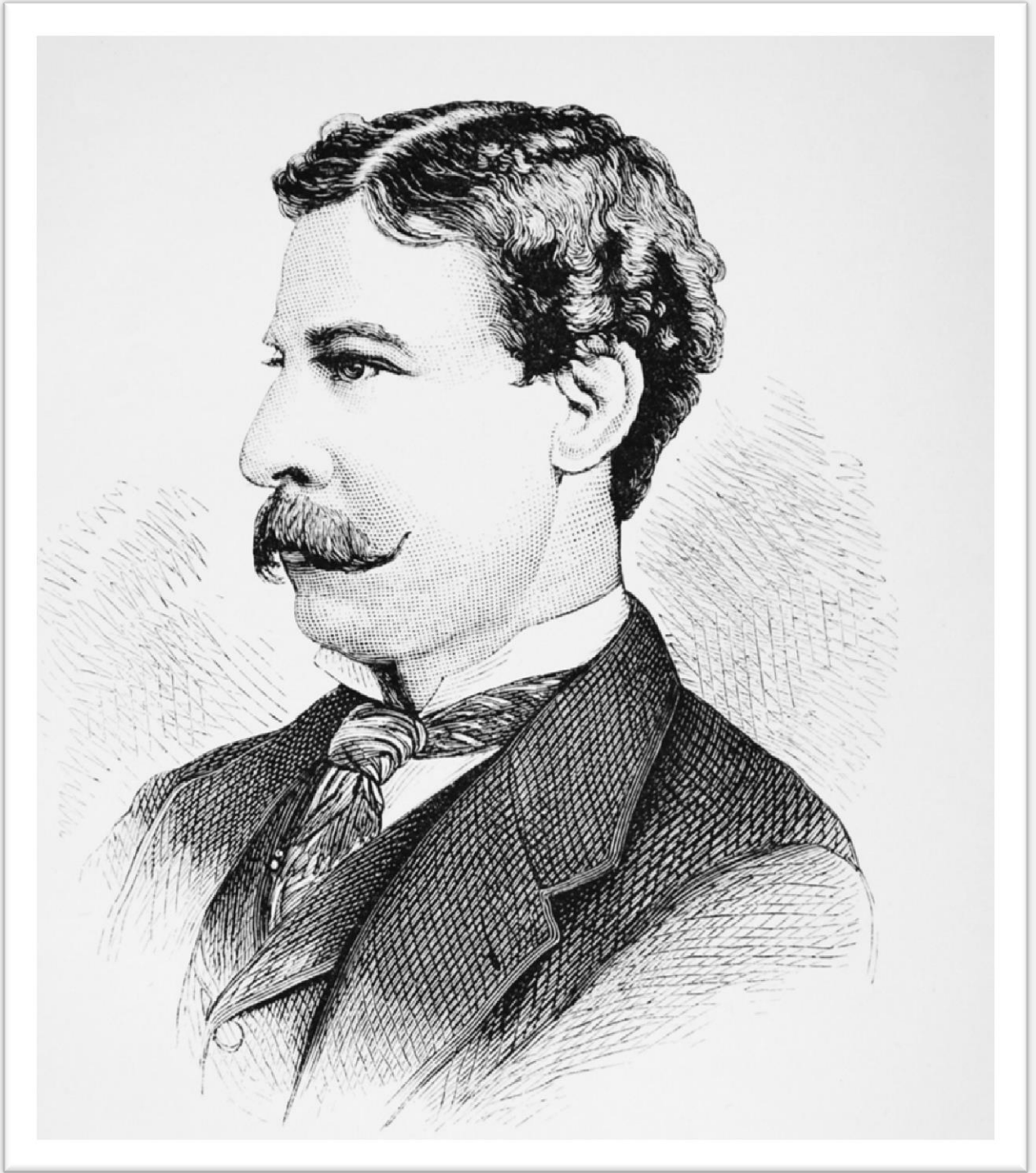
6. Atak na Magdalę



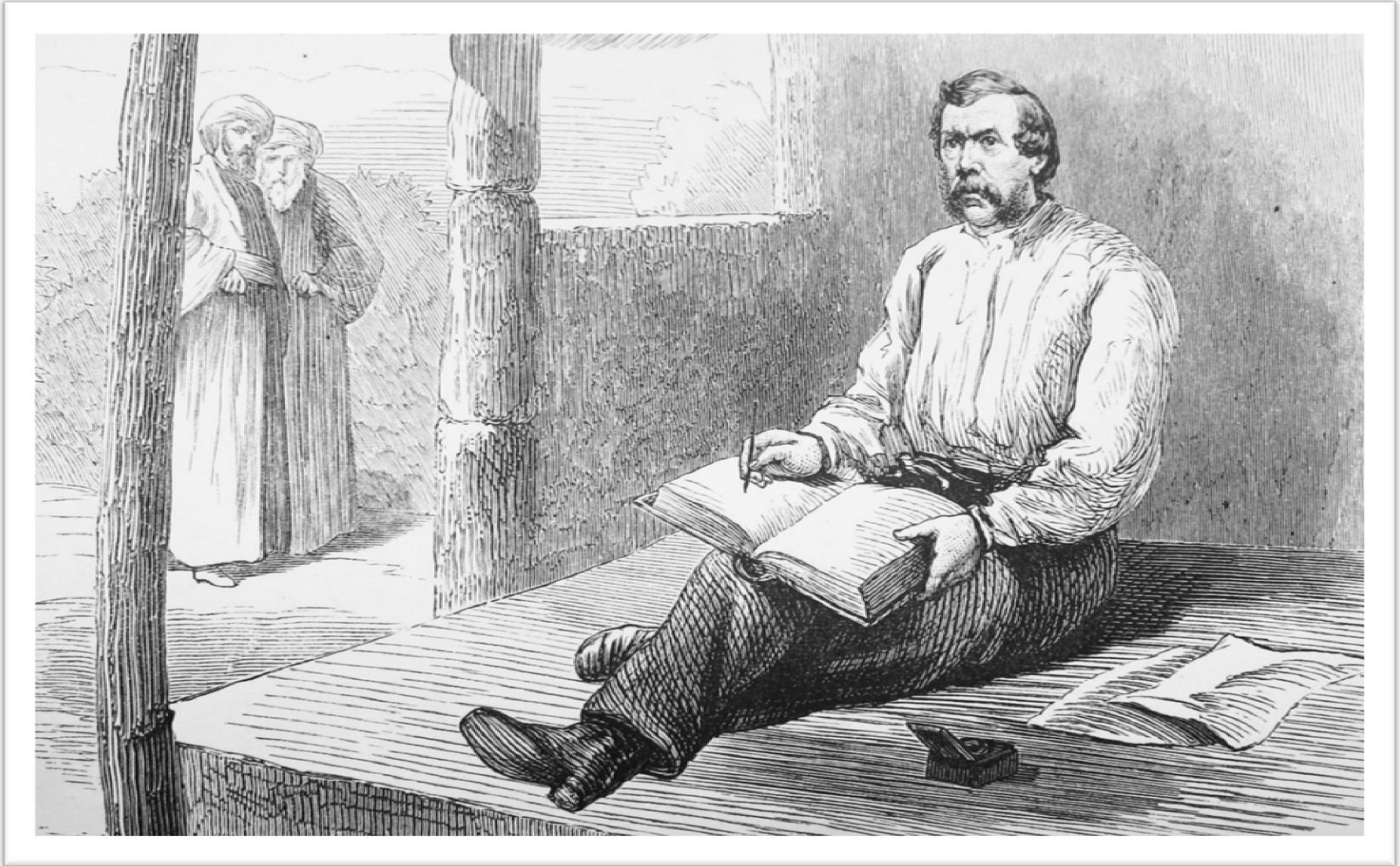
7. Przekraczanie Bagien Makata czyli jak podróżowano w Afryce



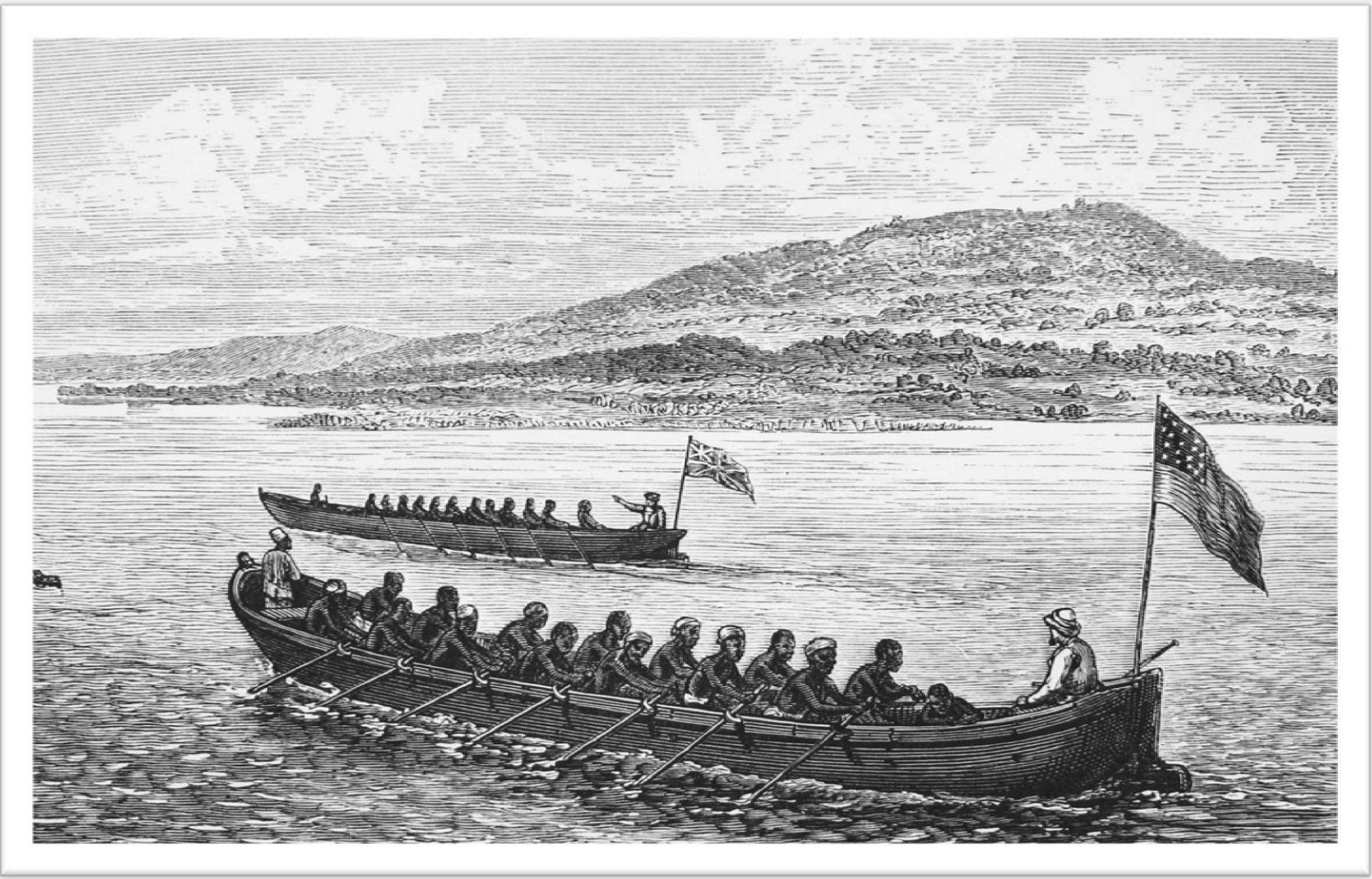
8. Rozmowa Stanleya z Livingstonem. Magalala, Urundi



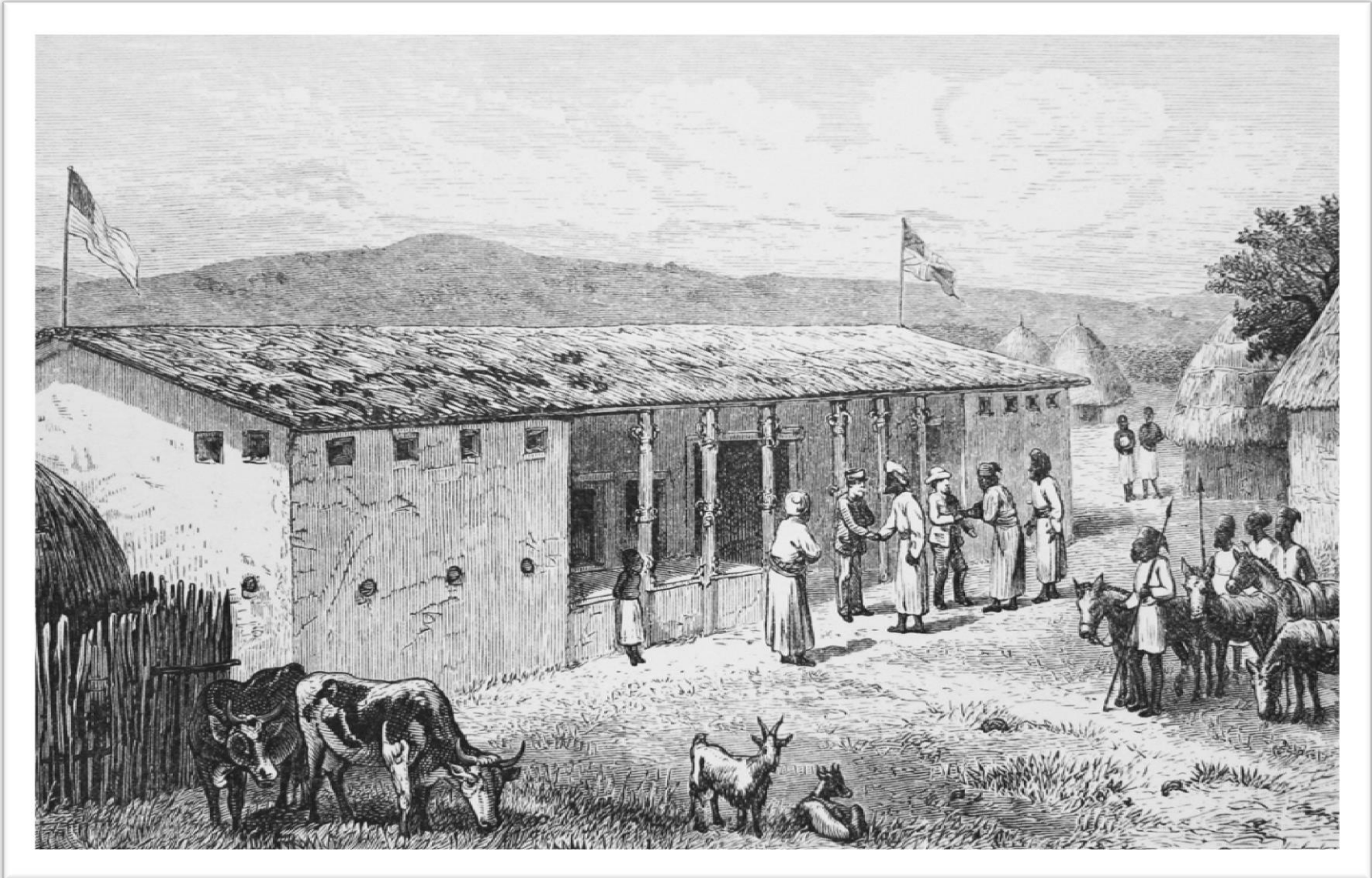
9. James Gordon Bennett



10. Livingstone pisze swój dziennik



11. Przeprowa przez jezioro Tanganika



12. Dom w którym mieszkał Livingstone i Stanley w Kwihara. Wizyta Arabskich gości



13. Jeżeli opuścisz tą skrzynkę zastrzelę!

